

ELSEBETH EGHOLM

Na podstawie książek duńskiej pisarki
powstał znakomity serial *Dicte!*

UDZIAŁ

WŁASNY



Tytuł oryginału:

SELVRISIKO

Copyright © 2004 by Elsebeth Egholm and Gyldendal Published by agreement with
Copenhagen Literary Agency ApS, Copenhagen.

Copyright © 2018 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga Copyright © 2018
for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga Projekt graficzny okładki: Ilona
Gostyńska-Rymkiewicz Zdjęcie autorki: © Sanne Berg, Politikens Forlag Redakcja:
Jolanta Olejniczak-Kulan Korekta: Anna Just, Marta Chmarzyńska, Iwona Wyrwisz ISBN:
978-83-8110-478-4

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub
fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z
sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał
praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim
lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie
zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na
użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

Polska Izba Książki Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: info@soniadraga.pl

www.soniadraga.pl

www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2018

Skład wersji elektronicznej:

virtualo

konwersja.virtualo.pl

Spis treści

1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
11
12
13
14
15
16
17
18
19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

43

44

45

46

47

48

49

50

51

52

53

54

55

56

57

58

Przypisy

Dla mojego brata

Benta

1

Najpierw pomyślała, że to przez tanie wino z Netto. Bo cóż innego mogło sprawić, że czuła się, jakby dwudziestu siedmiu budowlańców pruć ścianę w jej czaszce?

Oczywiście mogło to również mieć związek z ilością tegoż napoju, pomyślała Dicte i w półśnie wyciągnęła rękę w kierunku ciepłego ciała Bo. Głównie po to, by uciszyć jego chrapanie, którym jakby starał się zagłuszyć dudnienie w jej głowie i odgłos kacowego inferna.

O której się położył? Jak długo spała?

Ostrożnie przewróciła się na bok i spojrzała na świecące wskazówki zegara. Było wpół do trzeciej. Oczywiście nie ustawiła daty, więc od lat widniał drugi sierpnia. I faktycznie był drugi, ale miesiąc się nie zgadzał, bo właśnie zaczął się luty. Według kalendarza na zewnątrz powinno być ciemno, a według pogodynki z TV2 powinien do tego panować siarczysty mróz z temperaturą minus piętnaście stopni. Dlatego też założyła do spania wełniane skarpety, skoro Bo odmówił jej swego towarzystwa w łóżku. Obrażony i lekko pijany został przed telewizorem i oglądał jakiś kanał sportowy. Niech szlag trafi byłe żony i ich cholerną zazdrość, którą odreagowują na dzieciach. I na Bo. I na niej samej, oczywiście. Bo przecież czuła to, choć się do tego nie przyznawała.

Z drugiego krańca łóżka wysunęło się długie ramię i uderzyło ją lekko w piersi.

– Co jest? – wychrypiał niewyraźnie.

– Nie wiem.

Zamierzała mu powiedzieć, że nic wielkiego, i żeby spał dalej. Nie miała siły kontynuować tej rozmowy, słuchać, jak bardzo tęskni za dziećmi i że

poważnie rozważa ich uprowadzenie oraz ucieczkę z nimi w siną dal. Nie żeby faktycznie przyznał się, że ma taki plan, ale przecież widziała, że chodzi mu to po głowie.

Przysunął ją do siebie, przytulił. Objął nogami jej nogi i zamarł.

– A to co?

Jednym ruchem poderwał kołdrę i zapalił światło.

– Wełniane skarpety – mruknęła speszona i poczuła się jak stetryczala staruszka. – Było mi zimno.

Obrzucił skarpetki obojętnym wzrokiem, na jego twarzy było widać wyłącznie sen. I tanie wino. Może jednak są rzeczy, na których nie warto oszczędzać.

– Przecież nie o to pytam. Co to za hałas?

Dźwięk dobiegał do nich od dłuższego czasu, w sumie to chyba on ją obudził. Nagle była całkowicie przytomna i porządnie wkurzona.

– Cholerna gówniarzeria. Noworoczne strzelanie.

Dzieciaki ze wsi musiały wykupić cały magazyn fajerwerków. W każdym razie race i petardy strzelały nieprzerwanie już od kilku dni. Dicte pomyślała, że pies pewnie leży teraz pod zlewem i trzęsie się ze strachu.

Bo pokręcił głową i przerzucił nogi przez krawędź łóżka.

– O trzeciej nad ranem? I jeszcze to światło.

Rzeczywiście. Noc w oknie ich sypialni na poddaszu miała kolor pomarańczowo-czerwony. Nie wyglądało to na światła szklarni oddalonego o cztery kilometry centrum ogrodniczego. Bo na bosaka przyskoczył do okna. Dicte przez krótką chwilę widziała jego profil na pomarańczowym tle i zatęskniła za motylami w brzuchu.

– Pali się – powiedział, z trudem łapiąc oddech.

Teraz i ona stała w oknie i patrzyła na eksplozje. Dach nad stajnią sąsiadów strzelał jak popcorn w garnku. Pach. Pach. Tryskały iskry, płomień muskały mroźne powietrze. Dicte cała zeszywniała, choć trwało to może z sekundę. Jakby przymarzła do podłogi. Potem odtajała i rzuciła się,

by biec po schodach w samych skarpetkach i piżamie, bo nagle usłyszała coś innego. Z oddali. Jakiś inny, bardziej żywy odgłos.

– Konie!

Błyskawicznie znalazła się na dole schodów, potknęła się i po ostatnich stopniach zjechała na tyłku.

– Musimy wydostać stamtąd konie!

Nigdy nie sprawdzała, ile trwa zakładanie kaloszy. Teraz stwierdziła, że nieskończenie długo.

Za plecami słyszała, jak Bo szarpie słuchawkę telefonu. Oczywiście, pomyślała, gdy poczuła w płucach ukłucie mroźnego powietrza, a śnieg zaskrzypiał pod podeszwami. Rozwaga.

To była mantra w jej głowie. Działać rozważnie. Myśleć trzeźwo. Nie wpadać w panikę jak rżące z przerażenia konie. A mimo to dopadły ją wątpliwości. Powinna najpierw zapukać do drzwi domu czy od razu pomóc koniom? Wiedziała, że sąsiedzi wyjechali na narty do Norwegii. Ale była jeszcze ta kobieta, która u nich mieszkała. Siostra sąsiadki, o ile dobrze pamiętała. Minęły już czasy, kiedy na wsi wszyscy się znali. A już na pewno nie dotyczyło to kogoś takiego jak ona, stosunkowo nowego w okolicy.

Rżenie koni przesądziło sprawę. Była w stajni tylko raz, kiedy Svendsen gonił kota sąsiadów wokół ustawionych w stos beli słomy. Poszła po niego i dostała burę od gospodyni, zdaje się organistki – w każdym razie miała coś wspólnego z kościołem.

Wiszące na szynie drzwi przesuwne były ciężkie. Zapała się całym ciałem, gdy z dachu w powietrze wciąż strzelały iskry i trzaskał popcorn. I nic. Ani drgnęły. Odgłosy uwięzionych zwierząt były nie do zniesienia.

W końcu zjawił się Bo i drzwi się otwały. Ze środka uderzyło ich piekielne gorąco płonącej ściółki. Choć chyba gorszy był dym. Konie znajdowały się na samym końcu.

– Od drugiej strony! – krzyknęła. – Tędy się nie da.

Bo pobiegł za nią naokoło kurnika i gnojowni. Przez okna stajni widziała zwierzęta, które kotłowały się w swoich boksach. W ich oczach dostrzegła

błysk bezgranicznego przerażenia, wywracającego im gałki białkami do góry.

Bo szarpał się ze skoblem stajni, aż w końcu udało mu się go odsunąć.

– Uważaj – zawołał. – Są spanikowane.

Dicte o koniach nie wiedziała nic. Tak naprawdę bała się ich.

– Wychodźcie – krzyknęła. – Idźcie stąd!

Bo pootwierał boksy. Płoszył ogromne zwierzęta i klepał je po zadach. Ona tylko wrzeszczała, aż poczuła smak krwi w ustach.

– Wychodźcie, do diabła!

I wtedy usłyszała trzask. Poczowała, jak Bo otacza ją ramieniem i bierze na ręce, i że oboje jakby wypływają unoszeni płonąca falą.

– Dach.

Spojrzała w górę. Bo trzymał ją w ramionach i docisnął jej głowę do swojego barku. W tej samej chwili puściły krokwie i cały środek kalenicy zawalił się do wewnątrz.

– Jeszcze tyle zostało w środku – wyszłochała.

Płakała i czuła taki ucisk w piersi, że nie była w stanie oddychać. Bo pochylił jej głowę, niemal wciskając ją między jej własne kolana. Stała tak zgięta, jakby miała zwymiotować. Tu, prosto pod nogi, gdzie cienka warstwa śniegu pod wpływem ciepła zmieniła się w błoto.

– Za późno. Więcej nie możemy zrobić.

– Co powiedziała straż? Dlaczego jeszcze ich nie ma?

Mówiła z głową nadal wiszącą między nogami. Czuła, jak powoli wraca jej krążenie, i ostrożnie się wyprostowała. W nozdrza od razu uderzył ją nieznaną zapach palenia się czegoś żywego. Bo ujął dłońmi jej twarz i nosem niemal dotknął jej nosa. Patrzył jej w oczy i nie pozwolił znów się załamać.

– Jada. Minęło dopiero pięć minut.

Wydawało jej się, że trwało to godziny. Jakby wszystko działo się w zwolnionym tempie.

Bo wskazał głową na dom.

– Mogę iść sam.

Pokręciła głową i ruszyli razem, trzymając się za ręce jak dzieci.

Kiedy tylko ujrzała uchylone drzwi, wiedziała, że stało się coś bardzo złego.

Otworzyła je na oścież. Dom sprawiał wrażenie pustego i dziwnie niezamieszkanego.

I wtedy ukazał im się ten widok. Wnętrze wyglądało jak po wybuchu bomby, choć nie było śladów pożaru. Wszystko roztrzaskane w drobny mak. Nogi krzesel powyłamywane. Półki i stoły przewracane jak zabawkowe mebelki, a inne przedmioty – porcelanowe figurki, wazony, ramki ze zdjęciami, popielniczki, bibeloty – te wszystkie drobiazgi, które się gromadzi przez całe życie, leżały porozrzucane po podłodze.

Z zewnątrz dobiegał narastający dźwięk syren. Chwilę później na podjeździe słychać było chrzęst kół samochodu straży pożarnej. Dicte dobiegł jeszcze inny odgłos, jak nieśmiały pisk.

– Pies – wymamrotała, ale Bo już wyszedł porozmawiać ze strażakami.

– Timbo. Timbooo!

Ciepłym głosem przywoływała małego białego psa lokatorki sąsiadów, na którego Svendsen zawsze czekał, a Rose mówiła „tybetański szczekacz kanapowy”. W rzeczywistości był to chyba spaniel tybetański, ale charakterystyka Rose wydawała się bardziej trafna.

Leżał pod łóżkiem w sypialni. Dicte dostrzegła pysk, uniesiony i węszący, czy to przyjaciel nadchodzi czy wróg. Przybrała swój psi ton głosu.

– No chodź, kochanie. Nic ci nie zrobię.

W kuchni znalazła przynętę i spróbowała go skusić.

– Mmm, zobacz, Timbo, suszona rybka. Pycha.

Kuszenie trwało w nieskończoność, mijały kolejne sekundy. W końcu pies wyszedł prosto w jej objęcia – mały, rozedrgany duszek. Ryby jednak nie chciał.

– Gdzie twoja pańcia, co? Gdzie ona jest?

Mamrotała w kółko rytmicznie, jednocześnie głaszcząc skołtunioną sierść. Z krtani psa zaczęły się dobywać dziwne dźwięki, a jego mańkie ciało się naprężyło. Timbo spojrział na nią czekoladowymi oczami spomiędzy długich kosmyków i wyrzucił z siebie swoją kolację, wprost na jej płaszcz.

2

W redakcji przy Frederiksgade wszystko było jak zwykle. Na ławie stały strategicznie rozmieszczone pełne niedopałków aluminiowe popielniczki, wśród nich papierowa torba z bułkami, rozerwana jak po bezkrwawym cesarskim cięciu, a w tle świszczął termos z pompką, bo ktoś niedokładnie go zamknął. Płaszcz i kurtki leżały tam, gdzie je rzucono, czyli wszędzie, tylko nie na wieszaku stojącym w kącie, a gazety wały się po stole i na podłodze jak zrzucone z wysokości ulotki.

W pracy były cztery osoby. Krzątający się teraz w ciemni fotograf zatrudniany jako wolny strzelec i trójka dziennikarzy, która jednocześnie odwróciła się ku Dicte, kiedy ta stanęła w drzwiach kwadrans po dziesiątej, w samym środku narady redakcyjnej.

– Słyszałaś?

Cecilie zajmująca się sportem rzuciła pytanie jak piłeczkę tenisową przez całą długość pomieszczenia, zanim Dicte zdążyła zdjąć płaszcz.

– O czym?

O pożarze? Czy wszyscy już wiedzą? Minęło zaledwie sześć godzin, a Dicte czuła, jakby miało jej rozsadzić głowę od niewyspania i rozmyślania o miłości, która właśnie weszła w ostry zakręt. Bo pojechał do byłej żony rozwiązywać ich problemy, kiedy tylko wrócili do domu, w tych samych cuchnących ogniskiem ciuchach.

– O cięciach – syknęła Cecilie. – Jedna czwarta pracowników redakcji ma dostać wypowiedzenie.

Dicte przez chwilę nie ruszała się z miejsca, próbując sobie wyobrazić, jakie to uczucie, kiedy wylewają cię z pracy. Gdy tracisz grunt pod nogami.

– Z powodu?

Przecież dopiero co zatrudnili dodatkowe dwie osoby do działu kryminalnego i ekonomicznego. Do tego ich redakcja w Århus zaczęła przyjmować stażystów. Ją samą przeniesiono do działu, który nazywali ogólnym. Co było jej bardzo nie na rękę, bo oznaczało, że Kaiser ma nad nią bezwzględna władzę, a ona wolałaby trzymać się od kopenhaskiego redaktora możliwie najdalej.

– Z powodu matematyki – mruknął Davidsen, który nie był już taki hardy jak przed tygodniem, kiedy awansował na wydawcę regionalnego. – Rażący deficyt budżetowy – wyjaśnił i sprecyzował – dwieście pięćdziesiąt milionów.

– I co z tego? – zdziwiła się. – Od kiedy gazety mają być dochodowe? Jak chcą zarabiać, to niech produkują majtki albo hulajnogi.

Słyszając to, Holger Søborg, wkrótce kończący swoją edukację praktykant, parsknął cicho. Przypominał gwiazdę amerykańskiego futbolu ze swoją kwadratową szczęką i minimalną potrzebną do przetrwania liczbą szarych komórek, jak go podsumował Davidsen, ale oto po raz pierwszy wykazał się odrobiną poczucia humoru.

– Majtki – powtórzył Holger i obrzucił łakomym wzrokiem Cecilie, u której nocował w weekendy.

Ich związek był najgorzej strzeżoną tajemnicą w redakcji, zaraz po fakcie iż Cecilie zyskała również wysokie noty u Karla Juhla, ich wydawcy, odkąd konferencja dla pracowników w Kopenhadze przeciągnęła się na cały weekend. A w weekend, jak wiadomo, można zdziałać całkiem sporo.

– Albo kondomy – dodała Dicte złośliwie.

Holger oblał się rumieńcem. Cecilie spojrzała na nią z wściekłością i wycodziła przez zęby:

– Na pierwszy ogień pójda pewnie ci, którzy pracują najkrócej.

Dicte przełknęła ślinę. Od kilku godzin czuła w ustach smak dymu, choć umyła zęby co najmniej dziesięć razy. Zaczęła kalkulować. Na kogo może paść? Na nią? Teoretycznie to ona została zatrudniona jako ostatnia, bo po przeniesieniu z Kopenhagi do Århus dostała nowy numer legitymacji. Z drugiej strony łączny staż pracy w redakcji Cecilie był krótszy niż jej.

– No, to zależy, jak liczyć – stwierdziła i zrzuciła z krzesła bieżący numer „Randers Amtsavis”, żeby zająć miejsce.

Pomimo bałaganu na stole udało jej się znaleźć czysty kubek, więc sięgnęła nim przez szerokość stołu do termosu. Davidsen zaczął niuchać.

– Byłaś wczoraj na grillu? Pachniesz jak szaszłyk z kurczaka.

Dicte pomyślała o koniach, o ich oczach wywróconych białkami do góry i o dźwiękach, jakie wydawały z siebie śmiertelnie przerażone zwierzęta. Wolałaby z nikim nie rozmawiać o pożarze, ale i tak wkrótce przeczytają o tym na stronie agencji Ritzau.

– W nocy spłonęła stajnia sąsiadów.

– Mój Boże – poruszenie Cecilie wydawało się całkowicie szczere – mam nadzieję, że straty były tylko materialne.

Dziennikarze. Nikt tak jak oni nie potrafi szastać technicznymi pojęciami, pomyślała Dicte. Straty materialne. Straty osobowe. Słowa, pod którymi kryją się najprawdziwsze katastrofy i chaos emocji.

– Dwa konie zginęły – wyjaśniła, jakby czytała wiadomości radiowe – cztery udało nam się wyprowadzić.

– Straszne! – powiedział Holger, wytrzeszczając oczy. – Pomagałaś tam?

Pomagać jak pomagać. Dicte na moment zamknęła oczy. Co to znaczy, że się pomaga? Wzięła łyk kawy, gorzkiej i czarnej jak smoła.

– Ledwie znam tych ludzi. Pojechali na narty.

– A Bo?

Davidsen nie dał się nabrać. Pokiwała tylko głową. Wiedziała, o co tak naprawdę pyta. Nie o to, czy Bo u niej był, tylko czy sfotografował tragedię, jaka się rozegrała.

– Popstrykał trochę, kiedy już przyjechała straż. Ale nie wiem, jak wyszły.

Davidsen pokiwał głową i powiedział dokładnie to, co spodziewała się usłyszeć i co brzmiało, jakby powtarzał za Kaiserem. Najwyraźniej jego duch po wsze czasy będzie się unosić nad ich głowami.

– To dobry temat.

Przez chwilę siedziała jak w próżni, czując tylko mdłości i smak dymu, a ich głosy słyszała jakby przez ścianę. Pomyślała, że musi zadzwonić do Rose i ostrzec ją, żeby nie doznała szoku, kiedy wróci po szkole i zobaczy zgliszcz. Podpalenie – błyskawicznie orzekli strażacy. Zresztą dom przetrząśnięty od góry do dołu mówił sam za siebie. Rose będzie zdruzgotana. Rose, która w zasadzie nie jest już dzieckiem i co rusz ucieka z domu, żeby zanoć u swojego chłopaka.

Dicte ogarnęło znajome uczucie, że otwiera się przed nią otchłań, więc mocno uchwyciła się kubka z kawą. Człowiek się nad tym nie zastanawia. Wydaje mu się, że zawsze będzie tak samo, aż nagle któregoś dnia okazuje się, że dzieci są już duże, podejmują własne decyzje i działają na własną rękę. I tylko poprzez wychowanie i to, co się im zaszczepiło, ma się jakikolwiek wpływ na to, jak pokierują swoim życiem. Można jedynie mieć nadzieję, że wypuszcza się je w świat z odpowiednim bagażem, bo jeśli nie odziedzyczyły po nas zdrowego rozsądku, zdolności dokonywania oceny i wszystkich umiejętności niezbędnych do przetrwania, to jak sobie poradzą? Jakie nieszczęścia mogą na nie spaść, kiedy puścimy je wolno?

Jaki bagaż muszą nieść ci – albo ten – którzy podpalili stajnię? Jak do tego doszło, że tak groźne demony się w nich zakorzeniły? Czy istnieje zło w czystej postaci? Była skłonna uwierzyć, że tak.

– Dicte?

Głos Davidsena wyrwał ją z rozmyślań.

– Masz ochotę zająć się tą sprawą? Tym pożarem?

Przytaknęła. Ktoś przecież musi to zrobić.

– Macie jakieś wieści od Kaisera?

Redaktor działu informacyjnego zazwyczaj i tak dzwonił z niekończącą się listą zadań specjalnych, całkowicie ignorując kompetencje Davidsena jako wydawcy regionalnego. Davidsen zresztą sam również nerwowo przesunął swoje długie ciało, zapalił papierosa i dmuchnął w nich dymem. Otworzył usta i już miał coś powiedzieć, kiedy na biurku Dicte zadzwonił telefon. Zdążyła tylko dostrzec rozczarowanie w jego oczach, bo oczywiście i

on domyślał się, kto to jest.

– Svendsen! – przedstawiła się. W słuchawce było słycać, jak Kaiser coś przeżuwa. Na bank ciastko z czekoladą. – We własnej osobie – dorzuciła, siląc się na lekki ton.

– Ten twój kolega z kryminalnego. Wygląda na to, że złożył tę swoją sprawę.

Czekała cierpliwie. Kaiser czasem mówił niezrozumiale.

– Pomijając całą resztę, tu chodzi przecież o dobre imię, do cholery.

– Dobre imię?

– Policji z Århus, oczywiście – wyjaśnił. – Najpierw ukrywali własne mandaty za przekroczenie prędkości, a potem odstrzelili dwójkę złodziei samochodów w Tilst.

– No tak, tyle że w odwrotnej kolejności.

– Jasne, porządek czynników i tak dalej. A teraz jeszcze siedzą po uszy w tym pożarze – dodał.

Aż tak duża ta sprawa raczej nie jest, pomyślała Dicte. Czy to możliwe, że agencja Ritzau już napisała o podpaleniu stajni? Jeśli w ciągu dnia wydarzy się coś lepszego, to całkiem prawdopodobne, że pożar wyląduje jako wzmianka na stronie czwartej.

– Jakim pożarze? – próbowała go wybadać.

– Nie widzieliście? Nie oglądacie wiadomości?

Kaiser na bieżąco obserwował doniesienia Ritzau na monitorze komputera, a w telewizji stale przeskakiwał pomiędzy CNN, BBC World i Sky. Do tego przed końcem dnia miał przeczytane wszystkie duże dzienniki – duńskie i zagraniczne.

– Szkoły! – wrzasnął jej prosto w ucho, w którym już słyszała odgłosy koni. – Ktoś podpalił szkołę w samym centrum miasta. A najpierw ją zdemolował. Szkoła Møllevang, o tę chodzi.

– Kiedy to się stało? – zapytała niezbyt mądrze.

– W nocy. W najciemniejszą, najczarniejszą noc – dorzucił złowieszczo.
– Dzwon do swojego gościa z kryminalnego. Zdobądź wszystko, co zdołasz.
„Dzieciaki podpalają własną szkołę” – wyrecytował. – To materiał
wybuchowy. Koszmar każdego nauczyciela i rodzica. Jutro wchodzisz z tym
na okładkę, Svendsen.

3

John Wagner objął wzrokiem wszystkich zebranych na porannym spotkaniu w sali narad. Siedmiu komisarzy śledczych patrzyło wyczekująco na Jana Hansena, który wrócił właśnie z miejsca zdarzenia, by złożyć raport w sprawie podpalonej szkoły.

– W życiu nie widziałem czegoś takiego. To wygląda na czysty akt zemsty.

Twarz Hansena była szara jak ściana za jego plecami. Szerokie ramiona, zwykle rozpierające koszulę, teraz dziwnie zwisały. Westchnął i postukał długopisem w blat stołu.

– Kamilla ciągle mówi o jakimś misiu – mówił dalej. – Klasowej maskotce. Najprawdopodobniej spłonął w pożarze.

Zaczął coś bazgrać w bloku, który miał przed sobą. Wagner pomyślał, że nie najlepszym pomysłem było wysłanie Hansena do wstępnego rozeznania sytuacji. Jego córka chodziła do zerówki w szkole Møllevang, więc może miał jednak zbyt emocjonalny stosunek do sprawy.

– Ma na imię Simon – ciągnął Hansen głosem, który wydawał się rażąco wysoki u mężczyzny tak postawnego i z głową wygoloną zgodnie z najnowszymi zaleceniami.

Jak klony, przyszło na myśl Wagnerowi. Dlaczego wszyscy młodzi stróże prawa chcą koniecznie wzbudzać postrach? Z drugiej strony Hansen pomimo groźnego wyglądu miał prawdziwe łzy w oczach.

– Kto przyniesie kawę?

Pytanie zadał Ivar K. On i Hansen od zawsze się ze sobą ścierali, a poza tym publiczne okazywanie uczuć nie było mocną stroną Ivara.

Termos przeniesiono na drugi koniec stołu niczym puchar piłkarski. Wagner nie pił. Jego żołądek odmawiał przetwarzania owej szczególnej smolistej substancji, którą na komendzie nazywano kawą. Poza tym wciąż miał w ustach smak porannej kawy, którą Ida Marie zaparzyła mu z brazylijskich ziaren i posłodziła długim pocałunkiem.

– Co o tym sądzisz? – zwrócił się do Hansena, który w końcu, odsłużwszy swoje w Wydziale Porządkowym, został ku utrapieniu Ivara K przeniesiony do Wydziału Kryminalnego. – Jakie są twoje wrażenia? Zwyczajny wandalizm czy coś więcej?

Hansen odłożył długopis i potarł twarz dłońmi. Powieki opadały mu ze zmęczenia. Roczne bliźniaki, sześćioletnia Kamilla i żona pielęgniarka pracująca na nocki. Miał całkiem sporo na głowie.

– Myślę, że sprawcy są młodzi – zaczął powoli. – Sądzę, że dość dobrze znają to miejsce. Oczywiście sam będziesz mógł to sobie później obejrzeć, ale zdaje się, że działali systematycznie, choć wygląda to jak pobojuwisko. Zwyczajny wandalizm...

Znów wziął do ręki długopis i znów zaczął pstrykać nim o stół, kręcąc wolno głową.

– Cóż. Nazwijcie mnie złym prorokiem, ale moim zdaniem stąd już tylko krok dzieli nas od sytuacji, w której ktoś z klamką wchodzi do szkoły i strzela na oślep do uczniów i nauczycieli.

Zdecydowanie dobrze, że to nie Hansen odpowiada za kontakty z prasą. Wagner już widział te nagłówki: „Kiedy nastąpi masakra?”. Wszyscy rodzice, których dzieci chodziły do tej szkoły, zostali tego samego ranka telefonicznie powiadomieni o zdarzeniu. Hansen skontaktował się z Wagnerem, a ten poprosił go, żeby pojechał i rozeznał się przed poranną odprawą.

Hansen zaczął opisywać zniszczenia, korzystając z notatek. Jeden z budynków spłonął niemal doszczętnie, a budynek główny zdewastowano. Na podłodze rozlano roztwory z pracowni chemicznej, leki, wodę i różnobarwne płyny. Do tego odłamki szkła, potrzaskane muszle klozetowe i umywalki, połamane termosy na kawę i herbatę, powyłamywane drzwi i porąbane szafki. Innymi słowy, totalny chaos.

Wagner przez chwilę słuchał uważnie, ale po pewnym czasie odpłynął myślami. Zamiast kawy popijał wodę gazowaną i bąbelki uderzyły mu do nosa. Zastanawiał się, jak on by zareagował, gdyby podpalono szkołę Alexandra. Obstawiał, że byłby równie zdruzgotany i przerażony jak Hansen. W dzisiejszych czasach szkoła jest dla dzieci drugim domem. Nieustannie miał wyrzuty sumienia, że od śmierci Niny nie spędza z synem tyle czasu, ile powinien. Gdyby to jego szkoła spłonęła, dobitnie uświadomiłoby mu to, jak dalece przerzucił odpowiedzialność za wychowanie swojego dziecka i opiekę nad nim na otoczenie, żeby samemu ganiać po ulicach, bawić się w policjanta i łapać przestępców, którzy i tak bardzo szybko ponownie wracają na łono społeczeństwa.

W idealnym świecie uczestniczyłby aktywnie w życiu swojego dziesięcioletniego syna i jeździł z nim na treningi piłki nożnej i ręcznej, ale ostatnio tak wiele się działo. Unijny szczyt w Kopenhadze wygenerował w ich zespole niemożliwą do odebrania liczbę nadgodzin, z których teoretycznie powinni się rozliczyć przed końcem roku. W samym Århus mieli do czynienia z serią aktów wandalizmu i podpaleń. I na to wszystko nakładały się wewnętrzne problemy samej policji, które bez końca odkładali na później, a którymi ostatecznie będzie się trzeba zająć. I o tym w ogóle bał się myśleć.

Ivar K huśtał się niecierpliwie na krześle i przeczesywał palcami długie kosmyki, po czym płynnym ruchem przeniósł dłoń na modny kilkudniowy zarost. Wagner wiedział, że za moment padnie sarkastyczny komentarz pod adresem mówiącego kolegi, więc łagodnie przerwał Hansenowi, którego notes był teraz całkiem pobazgrany.

– Dobrze. Sytuacja przedstawia się następująco. Grupa pożarnicza kierowana przez Johana Dahla prowadzi dochodzenie i zajmuje się kwestiami technicznymi: przyczyną pożaru i tym podobnymi. Zwrócili się do nas o pomoc – powiedział gwoli wstępu do swojej zwyczajowej przemowy motywacyjnej. – Strażacy zabezpieczają obecnie konstrukcję dachu w budynku, który spłonął, dlatego na razie nie mamy do niego dostępu. Gdy będziemy mieli zielone światło, w pierwszej kolejności wejdą oczywiście technicy, którzy jeszcze dziś otrzymają wsparcie z Kopenhagi. W tej chwili pracują w budynku głównym. Obiecano nam również pomoc specjalnej

grupy młodzieżowej. – Tu spojrział na Jana Hansena. – Myślę, że masz rację. Powinniśmy szukać młodych ludzi, którzy znają to miejsce. Szkoła obiecała przekazać nam listę obecnych i byłych uczniów. Trzeba będzie ją porównać z danymi w naszym archiwum.

Jan Hansen pokiwał głową. Wyglądało na to, że tym razem z ulgą bierze na siebie papierkową robotę.

– Zajmę się tym.

Wagner wziął łyk wody.

– Dahl poprosił, żebyśmy wrócili do przypadków wandalizmu w innych szkołach: Samsøgade i Elise Smith i poszukali podobieństw. A także innych niewyjaśnionych chuligańskich wybryków z ostatnich sześciu miesięcy.

Petersen kiwnął głową. Miał pięćdziesiąt dwa lata, a stażem niemal dorównywał Wagnerowi.

– Poszukam tych spraw. Ale pamiętam, że tamte szkoły również próbowano podpalić. Bezskutecznie.

Ivar K odchylił się na krześle wyjątkowo daleko.

– Praktyka czyni mistrza.

Wagner przesunął wzrokiem od jednego do drugiego.

– Świadkowie. Ktoś musiał coś widzieć. Nawet jeśli był środek nocy. Trzeba będzie przepytąć okolicznych mieszkańców.

Przez chwilę omawiali podział zadań, Wagner wymieniał kolejne nazwiska i nikt nie protestował. Pomyślał, że człowiek może się jednak przyzwyczaić do podejmowania decyzji, i sam się zdziwił, nie po raz pierwszy. Nigdy nie planował kierować zespołem. Ale miał staż i doświadczenie i teraz przychodziło mu to całkiem naturalnie. Ludzie go słuchali. Wykonywali zadania, jakie proponował, a czasem również jego polecenia.

Jedyne, czego im brakowało w zespole, to pierwiastek żeński. Wielokrotnie wnioskował o to u kierownictwa, ale z jakiegoś powodu szefostwo nie doceniało, jakie to ważne, by w ich gronie pojawiła się policjantka. Wyglądało to tak, jakby nie chcieli przyjąć do wiadomości, że

może to mieć znaczenie dla wyjaśnienia sprawy. On jednak z doświadczenia wiedział, że kobiety często wykazują się zupełnie innym i czasem zaskakującym podejściem do śledztwa. Zdolna pani komisarz byłaby nieocenioną zdobyczą dla zespołu, ale na razie muszą się obyć bez niej. Przy tak ograniczonym budżecie i marnych widokach, by ktokolwiek odszedł na emeryturę, raczej nieprędko zanosilo się na zmianę w tej materii.

Westchnął do szklanki z wodą. A może po prostu ma zbyt wygórowane oczekiwania?

– Ivar. Pojedziesz ze mną obejrzeć, jak się mają sprawy.

Ivar K odchylił głowę i dopił kawę w taki sposób, w jaki robotnik opróżnia puszkę tuborga. Następnie wstał i rozprostował swoje smukłe jak u charta ciało – doskonałe przeciwieństwo sylwetki wykidajły, którą szczycił się Hansen.

– Okej, szefie.

Samochody stojące na światłach na skrzyżowaniu z Thorvaldsensgade wypuszczały gęste kłęby spalin w nieruchome mroźne powietrze. W jednym z aut siedzieli Wagner i Ivar K. Gdy zadzwonił telefon Wagnera, ten poprosił kolegę:

– Odbierzesz?

Ivar podniósł aparat z deski rozdzielczej.

– Kristiansen – powiedział szorstko i przez chwilę słuchał, po czym odparł: – Nie może teraz rozmawiać. Coś przekazać?

Znów cisza, po której w jego głosie pojawił się cień irytacji.

– Mówię przecież, że nie może rozmawiać. Proszę zadzwonić później... Informacje? Jakie informacje? Nie wie pani, że zatajanie informacji przed policją jest karalne?

Minęły jeszcze ze dwie sekundy i Ivar gwałtownie się rozłączył.

– Kobiety – warknął.

Wagner skręcił w Viborgvej.

– Kto to był?

– Jakaś dziennikarka z jednego z porannych dzienników. Dicte jakaś tam. Cholerne pismaki myślą, że jesteśmy po to, żeby im służyć.

Tysiąc myśli na milisekundę przemknęło Wagnerowi przez głowę. Dicte Svendsen nie odzywała się od dłuższego czasu. Nie tylko do niego, ale również do Idy Marie, która mu się z tego zwierzyła. Podejrzewała, że w związku przyjaciółki z fotografem mógł nastąpić jakiś kryzys. To nie takie proste budować wspólne życie, kiedy są dzieci i praca. Sam mógł coś o tym powiedzieć, mimo że oczywiście bezgranicznie kochał Idę Marie i co do tego nigdy nie miał wątpliwości.

Na krótką chwilę cofnął się w myślach o rok. Wciąż nie potrafił zrozumieć zmiany, jaka nastąpiła wówczas w jego własnym nastawieniu do życia. Dopiero co stracił żonę i miał wrażenie, jakby zapadał się w czarną dziurę. A wtedy przyszło mu prowadzić śledztwo w sprawie martwego niemowlęcia znalezionego w rzece Århus. Dziecko znalazła Dicte i jej dwie przyjaciółki – Ida Marie i Anne.

– Dicte Svendsen – mruknął Ivar K, jakby czytał w jego myślach. – Nazwisko brzmi znajomo. To była jakaś sprawa sprzed roku.

Wagner nic nie odpowiedział, lawirując między piekielnymi skuterami jadącymi całą szerokością jezdni. Sprawy prywatne z zawodowymi zmieszały się w jego życiu w koktajl, który teraz wydał mu się ciężkostrawny. Zakochał się w Idzie Marie, zanim jeszcze ruszyła tamta sprawa. Należeli do jednego chóru i od dłuższego czasu skrycie podkochiwał się w pięknej Szwedce o anielskim głosie i takowych włosach.

– Czekał, czy to nie wtedy poznałeś swoją dziewczynę? Kiedy porwano jej dziecko?

Ivar K jak zawsze pytał wprost i nie miał za grosz wyczucia sytuacji.

Wagner tylko pokiwał pośpiesznie głową i skręcił w Fuglebakkevej.

– Jesteśmy na miejscu. Przyjrzyjmy się, jak to wygląda.

Ivar K wysiadł z samochodu i rozejrzał się, próbując oszacować zniszczenia, a Wagner w tym czasie wybrał na komórce numer Dicte.

– Wygląda na to, że znów będziemy razem pracować – powiedziała

rozbawiona.

Zaśmiał się krótko.

– Nigdy w życiu. Dlaczego dzwoniłaś?

– Żeby dowiedzieć się czegoś o szkole Møllevang.

– Zwołaliśmy konferencję prasową na później. Doskonale wiesz, że trudno kogokolwiek faworyzować.

– Mogłabym ci dać coś w zamian.

Prezenty od Dicte Svendsen z reguły były obwarowane całą masą zastrzeżeń.

– Nie, dziękuję.

– Był jeszcze jeden pożar – ciągnęła niezrażona – zeszłej nocy. Słyszałeś?

Požary zdarzały się niemal każdej nocy. Ktoś tam pewnie coś wspominał. Coś mu majaczyło w tyle głowy, ale to było daleko od centrum miasta, gdzieś na wsi.

– A co miałem słyszeć?

– Zdewastowany dom. Podpalona stajnia. Dwa konie spłonęły żywcem.

Co się, u licha, porobiło z tym miastem? pomyślał, kiedy usiadł i przesunął wzrokiem po dymiących zgliszczach, które kiedyś były budynkiem szkoły. Wokół roztaczał się widok jak z obcego, ogarniętego wojną kraju.

– Co o tym wiesz? – zapytał zmęczony. Nigdy nie wiadomo, może sprawy były powiązane. Choć odległość wskazywała, że raczej nie.

– To gospodarstwo moich sąsiadów. Obudził mnie dźwięk wybuchającego dachu.

– Pewnie azbest. Strzela jak popcorn.

Nagle zmieniła temat.

– Gdzie ty jesteś?

– A jak ci się zdaje? Oglądam *Otella* w operze – rzucił w pełni świadomy, że w jego głosie wyraźnie słychać irytację. – Zatem jakie masz

informacje na temat tego pożaru?

W słuchawce na moment zapadła cisza.

– To moi sąsiedzi – powiedziała wreszcie – są na nartach w Norwegii. Dziś wracają, aż żal pomyśleć, co to będzie. Ale mieszkała tam też siostra sąsiadki i o wpół do trzeciej nad ranem nie było jej w domu.

Wagner kątem oka widział Ivara K i jednego ze strażaków. Ruszyli razem na obchód po spalonym budynku, z którego resztek ścian zwiisały bezużyteczne białe ramy okien. Można by pomyśleć, że jakiś nisko lecący samolot ściął szczyt budynku. Z dachu pozostał tylko szkielet.

– Może spędziła noc na mieście – podsunął Wagner. – Takie rzeczy się zdarzają.

– Późnym wieczorem ktoś jednak był w domu. Wychodzę z założenia, że to ona.

– Skąd wiesz? Widziałaś ją?

Znów chwila ciszy. A potem odpowiedź:

– Nie. Ale ten ktoś nakarmił psa.

4

Jakby nie dość jej było pożarów. Jakby miała za mało problemów i musiała koniecznie szukać nowych.

Wyruszając z Frederiksgade w stronę szkoły Møllevang, Dicte pomyślała o Bo, który przed chwilą przyniósł do redakcji swoje zdjęcia z nocnego pożaru. Zapytała, czy nie chce z nią pojechać, by sfotografować spaloną szkołę, ale był dziwnie nieobecny i oschły i wytłumaczył się, że obiecał odebrać córkę ze szkoły, a także zawieźć ją do lekarza. Jakby jego eks była zdolna poprosić go o coś takiego, pomyślała Dicte i wypróbowała nowe zimówki, gdy samochód jadący przed nią gwałtownie zahamował na żółtym. Kilka centymetrów brakowało, by jej niedawno kupiony fiat uno pocałował zderzak tamtego.

Eva broniła dzieci jak lwica i robiła wszystko, by przeszkodzić Bo w spędzaniu dokładnie wyliczanego czasu z nimi. Za każdym razem, kiedy miały być u niego, coś nieprzewidzianego stawało na przeszkodzie. Miarka się przebrała w noworoczny wieczór, kiedy Eva pojechała z Tobiasem i Ninką do swojej matki, zamiast odwiedzić ich do Bo. To wtedy wojna nerwów rozpełtała się na dobre. Od tamtego dnia napięcie stale rośnie i w relacjach między byłymi małżonkami nic już nie jest takie, jak być powinno.

Rozmyślała o tym wszystkim, kiedy skręciła w Fuglsangsalle i jadąc w górę ulicy, minęła szkołę handlową oraz konserwatorium muzyczne. Przyszło jej do głowy, że dzieje się coś bardzo niedobrego. Że Bo knuje coś, o czym ona nie ma bladego pojęcia. Nagły niepokój ścisnął jej serce lodowatą dłońią. Bo był zdesperowany. A zdesperowani mężczyźni bywają nieobliczalni.

Kiedy skręciła w górę w Fuglebakkevej, jej oczom ukazał się porażający widok. Krajobraz przypominał ten ze zdjęć zbombardowanego Kosowa. Wszystko wyglądało niczym w strefie walki, gdzie lada chwila powietrze

może przeciąć seria z broni maszynowej i pozostałe budynki legną w gruzach. Osobiście tego nie doświadczyła, ale pewne pojęcie miała dzięki opowieściom Bo, kiedy z rzadka wspominał swoje podróże reporterskie. Przyniosły mu one kilka prestiżowych nagród, choć niestety bez większych korzyści finansowych.

Dostrzegła Johna Wagnera rozmawiającego z jakimś mężczyzną w pomarańczowym kombinezonie. Poczula lekkie wyrzuty sumienia, że od tak dawna nie rozmawiała z Idą Marie. To było głupie, a na swoje usprawiedliwienie miała tylko najbardziej żalosalną wymówkę świata, która w dodatku jedynie połowicznie była prawdą.

Wagner zostawił pozostałych i wyszedł jej na spotkanie. Jego charakterystyczna południowa karnacja przez zimę nieco zbladła, ale i tak wyróżniał go orli nos i ciężkie powieki, jakby stale chciało mu się spać, choć było wprost przeciwnie. Był starszy od Idy Marie o dwanaście lat i w swoim znoszonym tweedowym płaszczu przywodził na myśl dawne cnoty, jak szarmanckość i przyzwoitość.

- Kopę lat – powiedział ostrożnie na powitanie i wyciągnął rękę.
- Mnóstwo pracy.

Po jego oczach widziała, że jej nie uwierzył. Po prostu ciężko jej patrzeć na szczęście innych ludzi, gdy jej własna droga stała się wyboista. A odkąd Ida Marie urodziła Martina i zdecydowała się zostać przy swoim detektywie, a nie ojcu dziecka, ich życie zdawało się czystą sielanką.

- Tyle się działo. Przenieśli mnie do innej redakcji – wyjaśniła.

Wagner nic nie powiedział. Ruszyli po prostu w stronę spalonego budynku, gdzie w kaskach i niebieskich kombinezonach z napisem „Policja, Wydział Techniki Kryminalistycznej” pracowała już grupa specjalistów od pożarnictwa. Teren odgrodzono czerwono-białą taśmą, a o osmaloną ścianę z czerwonej cegły oparto drabiny. Inna ekipa ładowała spalone krokwie do kontenera. Jej członkowie również mieli niebieskie stroje, ale na plecach widniało „Agencja Zarządzania Kryzysowego Regionu Środkowa Jutlandia”.

Na parking podjeżdżały kolejne samochody. Jakiś fotograf pstrykał zawzięcie, a wśród węszących wokół dziennikarzy Dicte rozpoznała

pracownika lokalnego dziennika „Stiften”.

– Powtórz to, co mówiłaś o tym drugim pożarze. Co to było, co ci chodziło po głowie? – Spytał Wagner, kiedy szli wzdłuż spalonego budynku poza ogrodzeniem z czerwono-białej taśmy.

Raz jeszcze opowiedziała mu, co się stało i że pies na nią zwymiotował. Nieprzetrawioną karmą.

– Sama mam psa – dodała i kątem oka spojrzała na zwęglony kawałek drewna – wiem, ile czasu potrzebuje jego żołądek, żeby strawić posiłek. Kiedy mój pies wymiotuje dwie godziny po jedzeniu, wciąż widać całe kawałki karmy.

– I jaki z tego wniosek, Sherlocku?

Jego ton był żartobliwie zaczepny, ale podszyty całkiem poważnym rozdrażnieniem. Policjanci niespecjalnie lubili, gdy dziennikarze zabawiali się w detektywów, i Wagner nie był wyjątkiem. Miał jednak dość rozsądku, by wiedzieć, że w niektórych przypadkach obie strony mogą sobie nawzajem pomóc. Udowodnił to, kiedy współpracowali przy wyjaśnianiu sprawy Mojżesza z rzeki Århus. Dicte jednak nie była do końca pewna, czy ich wymianę informacji Wagner nazwałby współpracą.

– Że pies został nakarmiony około północy.

– Dziwna pora karmienia psa.

Dicte wzruszyła ramionami.

– Jest rozpieszczony. Moja córka nazywa go szczekaczem kanapowym. Niektórzy karmią psy, zanim sami pójda spać.

Wagner nagle się odwrócił i spojrzał na nią.

– A czy ktoś cię w ogóle przesłuchał jako świadka?

Pokręciła głową. W całym zamieszaniu nikt najwyraźniej nie miał czasu dłużej z nią porozmawiać. Wszyscy skupili się na gaszeniu pożaru i opanowywaniu sytuacji.

– Policja przyjechała znacznie później. Zadali mi kilka ogólnych pytań i to wszystko.

Usłyszała jego westchnienie i pomyślała, że to pewnie z powodu frustracji wywołanej brakami personalnymi, zaległymi nadgodzinami i całą masą innych problemów. Prasa była bezlitosna w ocenie kierownictwa policji. Jej gazeta również szeroko komentowała sprawę dwóch młodych złodziei samochodów zastrzelonych przez gliniarzy albo anulowania przez stróżów prawa własnych mandatów za nadmierną prędkość. Może stąd ten chłód w postawie Wagnera, pomyślała.

– Więc mówisz, że w domu mieszka siostra sąsiadki. Chcesz powiedzieć, że mieszka tam nieoficjalnie? – głos Wagnera trzeszczał jak mróz.

Dicte przytaknęła.

– I twoim zdaniem ta siostra była w domu około północy i nakarmiła psa. To gdzie teraz jest?

W jego ustach zabrzmiało to głupio i bez znaczenia, ale ona twardo obstawała przy swoim. Doskonale pamiętała wrażenie, jakie zrobił na niej pusty, wywrócony do góry nogami dom. Przerażenie psa. Przeczucie systematycznej dewastacji, a tuż pod nim silne przekonanie, że przypuszczono atak na coś bardzo osobistego. Jak rodzinne fotografie, które ktoś z wściekłością podeptał.

– Nie znam jej, ale można sobie wyobrazić sporo scenariuszy. W każdym razie powinniście wiedzieć, że tam mieszka. Ze swoim psem.

– A z jakiego powodu mieszka w tym domu?

Dicte zakaszłała. Ciężkie od dymu powietrze drapało w nosie na całej długości aż do gardła. Nad spalonym budynkiem wciąż unosiły się opary.

– W wiosce krążą różne plotki. Coś o jej przeszłości. Że wprowadziła się do siostry, żeby się pozbierać po tym, jak spotkało ją coś niedobrego.

Wagner uniósł brwi i ciężkim od sarkazmu tonem podsunął:

– Może psychotyczny agresywny mąż ze skłonnością do podkładania ognia?

Dicte się zaczerwieniła.

– Cóż, jak sama powiedziałaś, to tylko plotki – podsumował Wagner.

Dicte nie dawała jednak za wygraną i szła za nim krok w krok, a pod butami chlupało błoto, w jakie zamieniła się trawa po interwencji strażaków i ich węży. Wagner wiedział równie dobrze jak ona, że plotek nie wolno ignorować. Bez nich zarówno dziennikarz, jak i policjant mają niepełny obraz sytuacji. I choć żadne z nich nie pałało chęcią, by to przyznać, oboje zdawali sobie sprawę, że plotki czasem okazują się prawdą.

– W każdym razie jakiś problem z mężczyzną – przyznała i poślizgnęła się, aż musiała się przytrzymać jego ramienia. Cierpliwie poczekał, aż odzyska równowagę. – I przemocą. Szczegóły różnią się w zależności od tego, z kim rozmawiam, kiedy wychodzę z psem. Kobieta jest po przejściach, tyle wiadomo na pewno.

Zatrzymała się. Starła się nadać głosowi neutralny ton i wróciła myślami do poprzedniego wieczora. Kiedy ostatni raz widziała siostrę sąsiadów?

– Mam po prostu złe przeczucia.

Właśnie miała zawrócić, kiedy spośród dymiących ruin rozległ się okrzyk jednego z techników.

– Jeden ocalony – powiedział pozbawionym radości głosem jego kolega, wyjmując coś z małej torebki.

Kiedy podeszli bliżej, okazało się, że to mały żółty miś. Z przodu na niebieskiej koszulce białymi literami miał napisane „Simon”.

Wagner w końcu się uśmiechnął i powiedział konspiracyjnym tonem:

– Powiedziałaś, że chcesz coś o szkole. Rozumiem, że chcesz temat na wyłączność?

Wzruszyła ramionami. To chyba oczywiste. Miała tu zadanie do wykonania, a Kaiser jak każdy naczelny uwielbiał, kiedy udało im się zdobyć coś, czego nie miały inne gazety.

– Zadzwoń zatem na komendę do Jana Hansena i powiedz mu, że znaleźli Simona. Od niego dostaniesz swoją historię – powiedział, nim się odwrócił i odszedł.

5

Jej pierwszą myślą był ojciec.

Czy udźwignie to. Czy poszuka schronienia, zamykając świadomość w najgłębszych zakamarkach umysłu, w strefie zapomnienia, jak to zrobił po śmierci jej matki.

Ta myśl wróciła do Karen, kiedy wygoniła Timba i przystąpiła do zmuśnionego sprzątnięcia chaosu w swojej kuchni. Nie miała wątpliwości, że jeszcze dziś musi z nim porozmawiać. W przeciwnym razie staruszek dowie się od kogoś innego albo przeczyta o tym w gazecie. Tylko jak? Jak ma mu powiedzieć, że dzieło jego życia spłonęło i ktoś zbezczeszczył jego dom rodzinny? Ona zresztą również się tu wychowała, ale nie zastanawiała się nad tym długo. Przywykła w pierwszej kolejności myśleć o ojcu. I o Inger.

Stojąc na środku poboju, w jakieś miejsce zamienił ich kuchnię, poczuła znajomy już ból – jakby ktoś szydłem nakłuwał jej ciało. Czasem odnosiła wrażenie, że lęk o Inger jest jej cechą wrodzoną. Jakby poczucie odpowiedzialności za młodszą siostrę miało jej towarzyszyć już zawsze. Inger była jak ta ozdoba ze szklanymi ptakami, która wisiała u nich nad kaloryferem i pod wpływem ciepła wciąż niespokojnie się ruszała. Był to jedynie powrót do punktu wyjścia. W poszukiwaniu szczęścia, miłości, wiary. Otwarta i krucha, kochana i zagubiona. I śmiertelnie niebezpieczna dla siebie samej. Taka była jej siostra. Karen przeszył zimny dreszcz. Co, u licha, mogło się stać z Inger?

Policjanci właśnie wyszli. Powiedzieli, że zgłoszą zaginięcie, ale wydawali się dziwnie niewzruszeni. Pytali, czy to możliwe, że jej siostra zanocowała gdzie indziej. Czy nie ma kolegi albo koleżanki, do której można by zadzwonić.

Dobrze przynajmniej, że nie podejrzewają Inger o podpalenie stajni. Aż

tacy niepoważni nie są. Ich zdaniem pożar był tragicznym w skutkach szczeniackim wygłupem. Sprawcy zakradli się do stajni od tyłu. Wylali odrobinę benzyny na stertę siana, a jako rozpałki użyli nafty. Niewykluczone, że nawet przez jakiś czas stali, żeby popatrzeć. Może nie spodziewali się, że ogień chwyci przy takim mrozie. Albo sądzili, że śnieg powstrzyma płomienie.

Może to, może tamto...

Usłyszała skrzypienie drzwi, Sørena zdejmującego buty w przedsionku i jego ciężkie kroki. Zaczęła właśnie od jednego końca zamiatać potrzaskane kubki, aby zrobić sobie przejście.

– Co powiedział weterynarz?

Kjeldsen na szczęście przyjechał od razu, kiedy do niego zadzwonili. Pomógł również znaleźć dla koni tymczasową stajnię.

Søren stanął w drzwiach. Przez moment wydawało jej się, że lekko się chwieje. Pewnie jej się przywidziało, choć ciężko znosił tę sytuację, zwłaszcza to, co się stało ze zwierzętami. Faktycznie, niezłe powitanie po powrocie z urlopu.

– Oczywiście są zdenerwowane i niespokojne, ale żaden nie doznał poważniejszych oparzeń. Parę ran i przypalonych ogonów, nic poza tym. Ale tamte...

Głos uwiązał mu w gardle. Oddychał nierówno.

– Usiądź – odezwała się.

Opadł ciężko na krzesło, które mu podsunęła, i patrzył na chaos wokoło niewidzącym wzrokiem. Kawa, pomyślała. Zrobię kawę. Albo podgrzeję zupę.

Pokręcił tylko głową, jakby czytał w jej myślach.

– Tylko chwilę odpocznę – wymamrotał. – Jest tyle do zrobienia. Również tu w środku.

Odwróciła się do niego plecami, choć wolałaby nie spuszczać go z oczu. Z drugiej strony jest dorosłym mężczyzną i będzie musiał znieść ten cios, podobnie jak zniósł wszystkie inne. I Karen wiedziała, że sobie poradzi.

– I to teraz – powiedziała, nie patrząc na niego – przed samym Ofiarowaniem Pańskim.

– Co?

Odwróciła się. No jasne, że nie pamiętał takich rzeczy. W ich małżeństwie tylko ona miała potrzeby duchowe i tylko ona zawsze mogła szukać pociechy w miejscu innym niż to tutaj. On miał swoją ziemię i swoje zwierzęta.

– Ofiarowanie Pańskie – powtórzyła – święto światła. Drugiego lutego, w środku zimy, święci się świece, które będą używane przez cały rok liturgiczny.

Patrzył na nią, nic nie rozumiejąc, a ona niemal bezwiednie zaintonowała psalm, który nawet on musiał znać:

Ciemności nocy zostały już za nami

i dzień się wszędy pełnią swą ściele.

Słońce nad polami wzeszło i mokradłami

a ptaki słodkie śpiewają trele.

Ku jej zaskoczeniu w ostatnich dwóch wersach dołączył do niej jego zachrypnięty głos:

Bóg szczęściem obdarza i dobrą radą

Światłem swej łaski oświeca.

Posłał jej zmęczony uśmiech i Karen wiedziała, że robi to tylko dla niej. Bo odkąd się poznali, każde z nich starało się trzymać pion przez wzgląd na to drugie.

– Mam nadzieję, że ten tam na górze podkręcił sobie aparat słuchowy – powiedział Søren, wskazując wzrokiem na sufit.

Zadumała się nad ciemną nocą boleśnie świadoma, że nieprędko się skończy, że znajdują się akurat w samym jej środku. Znowu poczuła się osamotniona, jakby nie miała już żadnego kontaktu z Bogiem, w którego wierzyła. To uczucie ogarnęło ją w momencie, gdy wjechali na podwórze przed domem i ich oczom ukazał się ten widok. Zgliszcza stajni i strażacy. I

możliwe, że tak naprawdę to ono martwiło ją najbardziej, bardziej niż ojciec i zniknięcie Inger.

Wzdrygnęła się, ale mimo wszystko nastawiła wodę na kawę, żeby zająć się czymś konkretnym.

Wcześniej tylko dwa razy zdarzyło jej się coś takiego – poczucie, że Bóg ją opuścił i nie jest w stanie nawet z nim rozmawiać, choć normalnie często to robiła. Czowała to po obu poronieniach, w każdym przypadku w piątym miesiącu.

Ale od tamtych wydarzeń minęło dwadzieścia lat i przez ten czas udało jej się odnowić kontakt ze Stwórcą, i z wielkim trudem odzyskać wiarę oraz wewnętrzne światło. Czy po pięćdziesiątce człowiek nadal jest w stanie zrobić coś takiego? Czy zdoła raz jeszcze przekonać samą siebie, że zło przegra, a światłość zwycięży mrok?

Pomyślała o tym ponownie, kiedy uruchomiła silnik i ruszyła w stronę Tilst. Starła się odszukać w sobie owo połączenie, które przecież stale gdzieś w niej tkwiło – jakby była marionetką poruszaną dzięki sznurkom. Nieszczerólnie napiętym, ale też nie puszczonej luzem. Dającym akurat tyle swobody, by mogła w miarę rozsądnie przemierzać dni i godziny życia.

Teraz jednak wydawało się, że ktoś te sznurki odciął.

Ojciec siedział w swoim wózku z kocem na kolanach. Właściwie Karen miała nadzieję, że akurat dziś jej nie pozna i nie dotrze do niego sens jej słów. Gdy jednak uniósł głowę, ujrzała w jego wodnistoniebieskich oczach światło i nie miała wątpliwości, że się ucieszył na jej widok. A teraz będzie musiała mu tę radość odebrać.

– Cześć, tato.

Pochyliła się nad nim i dotknęła jego dłoni spoczywającej luźno na kolanach. Nigdy nie mieli w zwyczaju ścisnąć się i całować.

– No, w końcu przyszedłeś – mruknął.

Odwiedzała go dwa razy w tygodniu.

– Byliśmy na urlopie. Na nartach. Pamiętasz przecież.

Pokiwał głową poirytowany.

– Przecież nie mam sklerozy.

Nie skomentowała tego, lecz przysunęła sobie krzesło i usiadła.

– Straszny mróz na zewnątrz. Ale tu jest całkiem przyjemnie. Miło, że macie takie duże okna, możecie się cieszyć słońcem.

Znowu machnął ręką zniecierpliwiony. Poczowała na sobie doskonale znane, czujne i podszyte irytacją spojrzenie i natychmiast opuściła głowę. Patrzyła teraz na jego pomarszczoną dłoń z plamami wątrobowymi jak zaschnięte krople brudnego deszczu.

– Tato, jest coś, o czym powinieneś wiedzieć – zaczęła. Wciąż nie wiedziała, jak to przekazać możliwie najdelikatniej, dlatego powiedziała wprost: – Chodzi o gospodarstwo. W nocy spłonęła stajnia i ktoś splądrował nam dom.

Przyglądała mu się uważnie. Wyglądał tak, jakby oczy przesłoniła mu żółta błona. Karen zorientowała się, że narasta w nim gniew, i aż westchnęła z bólu, gdy koścista dłoń zacisnęła się na jej ramieniu.

– Sukinsyny. To zemsta.

Drugą pięścią walnął w oparcie wózka. Ślina pryskała mu z jednego kącika w miejscu, gdzie po wylewie miał sparaliżowane nerwy.

– Policja to wyjaśnia – powiedziała i starała się zachować spokojny ton głosu, jednocześnie wyswobadzając się z jego uścisku – ich zdaniem to chuligani.

Z jego krtani wydobył się głos, który miał chyba wyrażać szyderstwo. To fakt, nigdy nie odczuwał szczególnego szacunku dla władz, pomyślała.

– A gdzie jest Inger? – zapytał niespodziewanie. – Czy nie miała być w domu i pilnować dobytku?

Czasem jego mózg pracował jak najsprawniejszy komputer. Pokiwała wolno głową. Nie spodziewała się, że również o tym będzie musiała mu powiedzieć.

– No tak, ale może wyfrunęła z jakimś oszołomem. Cudotwórcą – wycedził – kimś, kto ma ocalić jej duszę.

Był mokry od potu. Strużki spływały mu z czoła. Karen wstała.

– Tu ci chyba za gorąco. Zawiozę cię do pokoju.

Nie protestował, kiedy odblokowała kółka i ruszyła korytarzem. Mijali po drodze innych starszków na wózkach i Karen witała się z nimi skinieniem. Niektórzy również mieli gości. To nie było złe miejsce, ten dom w Tilst. A jednak Karen czuła, że to nie w porządku. Uważała, że nikt nie powinien kończyć życia z dala od najbliższych. Że to niehumanitarne traktować w ten sposób nawet tych, którzy sami nie zawsze potrafili po ludzku traktować innych.

Jego pokój był jasny i przyjemny. Łóżko pościelone. Zatrzymała wózek i usiadła przy małym stoliku. Z okna widać było trawnik, teraz przykryty nie tyle śniegiem, ile szronem, który każde pojedyncze źdźbło zmienił w biały patyczek.

Ojciec spojrzał na łóżko i wyglądał na zamyślonego. Następnie posłał jej spojrzenie jednocześnie podstępne i dziecięco niewinne, które czasem u niego widywała.

– Kto tutaj śpi?

Przełknęła ślinę i wiedziała już, że teraz jego świadomość jest gdzie indziej.

– No przecież ty, tato. To twoje łóżko. I twój pokój.

Pokiwał głową ze zrozumieniem. Przez chwilę siedział w milczeniu, po czym znów popatrzył na nią tym samym wzrokiem.

– A śpię sam?

Mimowolnie się uśmiechnęła. Mama umarła ponad trzydzieści lat temu, ale kto go tam wie. Gdzieś czytała, że w Stanach bogaci starszkwowie w domach opieki potrafią wydawać majątek na płatny seks.

– Chyba tak. Ale to przecież ty sam wiesz najlepiej.

Lepiej się rozmawiało ot tak, zwyczajnie, na błahe tematy. Znacznie lepiej niż o tym, o czym miała nadzieję, nie będzie już chciał mówić. Wiedziała, że nie zapomniał – myśl o pożarze została zmagazynowana w niedostępnym obecnie schowku jego pamięci.

Jeszcze trochę posiedzieli. Karen przyniosła kawę i zjedli razem ciastka, które kupiła po drodze w Brugsenie w Tilst. Rozmawiali o niczym, a ona wyczekiwała chwili, aż będzie mogła wyjść. Musiała się zająć sprząaniem domu i Inger.

Gdy w końcu się podniosła, jego oczy znowu się ożywiły.

– To jawna zemsta – powiedział złowrogim tonem.

Karen miała nadzieję, że ojciec nie zacznie teraz długiego wyliczania osób, które mogłyby mieć powód, żeby wziąć na nim odwet. Bo takowych było zapewne sporo. Zawsze był taki sam – nieprzejednany i twardy. Jak krzemienne groty, które czasem znajdował na polach, a potem stawiał w oknie salonu.

– To zemsta młynarza – krzyknął za nią, kiedy zamykała drzwi. – Zemsta młynarza, zapamiętaj sobie.

Karen pociągnęła drzwi i znikła.

6

Mróz jak szarobiała folia kładł się na wszystkim wokoło, a niskie ciężkie niebo próbowało docisnąć się do ziemi. Dicte zjechała z głównej drogi w starym Skejby i podążała w dół zbocza w stronę Ny Mølle, mijając Rolniczą Stację Doświadczalną i łąki, na których latem pasły się krowy. Teraz jedyną istotą na tym terenie był myszołów siedzący samotnie na kołku od płotu i nieruchomy, jakby zamarzał. Gdy znalazła się w miejscu, gdzie droga skręcała, ptak rozpostarł szerokie skrzydła i wzbił się w powietrze, by po chwili zmienić się w ciemny kształt na tle nieba jak z waty. Dicte przeszły ciarki. Miała wrażenie, jakby nagle usłyszała odgrywaną w tle ponurą symfonię. Jakby zamrożony krajobraz z nagimi drzewami i szybującym na niebie myszołowem opowiadał historię, której nie miała ochoty słuchać.

Włączyła nawiew, żeby choć częściowo oczyścić zaparowane szyby. Lodowaty podmuch uderzył ją w twarz i w ramionach oraz palcach poczuła, jak bardzo jest zmęczona. Niedobór snu z zeszłej nocy właśnie dawał o sobie znać, w głowie szumiała końcówka wina, której wypicia żałowała od chwili, gdy się obudziła.

Dzień w redakcji się przeciągnął, bo musiała napisać tekst o misiu i pozbierać zdjęcia. Jan Hansen z komendy wydawał się głęboko poruszony, gdy przez telefon powiedziała mu, że maskotka się odnalazła. Jej samej z kolei było trochę głupio. Niezupełnie takiego tematu szukała, ale rozmowa z Hansenem przekonała ją, że jednak coś w tym jest. Miś był światełkiem w ciemności dla najmłodszych dzieci, których pomieszczenia klasowe strawił ogień. Ona sama postrzegала odniesione straty w kategorii wielomilionowych kwot, jakie pochłonie odbudowa, i dopiero teraz w pełni uświadomiła sobie, że spłonęły również rzeczy niemożliwe do zastąpienia. Rysunki pierwszaków. Ich pluszaki i podręczniki. I kto wie, czy w jakimś sensie pożar nie pochłonał również części ich dzieciństwa.

Hansen pozwolił jej porozmawiać ze swoją córką Kamillą i zrobić zdjęcie małej, jak tuląc misia, stoi na tle spalonej szkoły. Tak, to prawda, że historia chwyciła za serce, a Kaiser był zachwycony i wrzucił ją na pierwszą stronę, ale była czymś więcej niż przygotowaną pod publikę rzewną opowieścią napisaną dla zwiększenia sprzedaży numeru.

Kiedy skręciła w górę w Topkærvej, zobaczyła wijący się w powietrzu słup dymu, wydobywający się z tego, co zostało ze stajni sąsiadów. W głowie znów usłyszała odgłos przerażonych zwierząt i połączyła go ze zdjęciem dziewczynki stojącej przed szkołą z misiem w objęciach. Zatraskana, zmęczona buzia nad kołnierzem puchówki i włosy lekko falujące na wietrze. Kamilla zwierzyła się Dicte, że jej własny miś, Peter, też leży gdzieś w spalonym budynku. Nie miała jednak serca powiedzieć tego swojemu tacie.

– Bo co, jeśli Peter leży na samym dole, przygnieciony tym wszystkim. Zalany wodą. Biedaczek.

Dicte wzięła głęboki wdech i bardzo wolno wypuściła powietrze.

Spojrzała na zegarek. Było wpół do piątej. Rose na pewno jest już w domu. Przyśpieszyła i przygnębienie powoli zaczęło w niej słabnąć. Przed dom wjechała wręcz z poślizgiem i nawet zganiła samą siebie za głupotę, gdy usłyszała, jak małe kamyki uderzają w przednią szybę. Dopiero co kupiła sobie rocznego fiata, kiedy jej stary wóz umarł śmiercią naturalną, jak to określiła Rose. Miał piętnaście lat i skutecznie oparł się wszystkim próbom przedłużenia mu życia.

Szybko wzięła torebkę i siatki z zakupami. W przedsionku wskoczył na nią Svendsen. Pomyślała z nadzieją, że będzie to mimo wszystko całkiem zwyczajny dzień. Mama wróciła z pracy, a w domu czekają pies i dziecko. Wszystko tak jak zawsze, a żeby już było w pełni doskonale, wkrótce zadzwoni chłopak mamy i powie, że wpadnie wieczorem i kupi po drodze dwie pizze.

Zdażyła jednak tylko o tym pomarzyć, bo po chwili ukazała się Rose i Dicte natychmiast, w mgnieniu oka, wiedziała, że coś się zmieniło. Kiedy to się stało? Ot tak, z dnia na dzień? A może po prostu nie dostrzegwała, że jej córka dorasta?

– Svendsen. Spokój.

W głosie córki słychać było autorytet. I nawet tego Dicte wcześniej nie zauważyła. Pies posłuchał komendy i opuścił przednie łapy na podłogę, ale nadal węszył koło niej, witając się radośnie.

– Cześć, skarbie.

W zasadzie liczyła na uścisk. Ale wtedy znów zobaczyła to spojrzenie. Dorosłe. I zatroskane, jakby to ona, Dicte, była dzieckiem.

– Wszystko w porządku, mamó?

Zadzwoiła do Rose z redakcji, żeby ją uprzedzić o spalonej stajni i opowiedzieć jej o wydarzeniach z zeszłej nocy.

– Jasne – jęknęła Dicte i zaczęła się gramolić przez korytarz z siatkami z Føtexu. – W życiu nie czułam się lepiej.

Rose podreptała za nią do kuchni w futrzanych kapciach, które dostała na gwiazdkę od swojego praktycznego Jana. „Prosto z wyprzedaży w Bilce” – skomentował złośliwie Bo. Tymczasem Jan był po prostu bardzo rozsądnym młodym człowiekiem.

– A u ciebie? Wszystko dobrze?

Dobry Boże, czy każda matka siedemnastolatki ma taki sam problem z zapytaniem córki, jak jej minęła noc u chłopaka?

Rose znów spojrzała na nią tym dorosłym wzrokiem. Dicte nagle zatęskniła za błyskiem srebrnego kólecza w nosie córki. Był to przynajmniej jakiś skromny sygnał młodzieńczego buntu. Ale Janowi kolczyk się nie podobał, więc zniknął już dawno temu.

– Przyjechali jacyś ludzie po martwe konie – powiedziała Rose. – Chyba z Falcka. Z dźwigiem. Mamó, to musiało być straszne.

Rose owinęła szczupłe ramiona wokół szyi Dicte.

– Jestem z ciebie taka dumna. To dzięki wam większość się uratowała.

– Ale nie wszystkie.

Rose dotknęła nosem nosa matki.

– Zrobiłaś, co mogłaś, mamó.

Usiadły. Rose zaparzyła herbatę. Dicte kupiła gruboziarnisty chleb i zrobiła dla nich obu kanapki z serem. Dla siebie bez masła, ale te dla Rose posmarowała grubo i nałożyła dodatkowe plasterki sera.

– Sąsiedzi już wrócili – powiedziała Rose i wzięła kęs. – To musi być dla nich prawdziwy wstrząs.

Dicte pokiwała głową. Miała właśnie zaproponować, żeby do nich zajrzały i zapytały, czy nie mogą im jakoś pomóc, kiedy Rose spojrzała jej głęboko w oczy, aż ciarki przeszły jej po plecach i niepokój ścisnął ją za gardło. Zdołała tylko pomyśleć, że to również swego rodzaju ostrzeżenie, jak wcześniej myszołów.

– Mamo, muszę ci coś powiedzieć – zaczęła.

Zostało jej kilka sekund na zgadywanki, gdy wszystkie zmysły stanęły w pogotowiu. Może tak to jest, kiedy człowiek się zbliża do któregoś z życiowych przełomów – może próbuje wówczas z całej siły zaciągnąć hamulec ręczny. Ona raczej nie różniła się pod tym względem od większości ludzi.

– Chcesz jeszcze herbaty? A może lepiej napijemy się kawy? – zaproponowała, wstając i nie bardzo wiedząc, co ze sobą począć.

Spociły jej się dłonie i wytarła je w spodnie.

– Albo nie. Już wiem. Potrzebujemy czegoś słodkiego.

Z szafki wyjęła opakowanie pianek w czekoladzie, które właściwie zamierzała zostawić na deser.

– Zobacz, domowe.

– Mamo. – Wzrok Rose sprowadził ją na ziemię. – Usiądź, proszę.

Usiadła więc. Rose odkaslnęła i spojrzała na swój kubek, zanim ponownie podniosła wzrok i popatrzyła matce w oczy.

– Oglądaliśmy taki mały dom.

– Dom?

– Szeregowiec. W Lystrup.

– Szeregowiec?

Spojrzenie Rose wypełniała czułość. Wyciągnęła rękę. Dicte spojrzała na szczupłe palce, które splotły się z jej palcami.

– Spodobałby ci się – skłamała jej najukochańsza córka. – Jest dwupoziomowy. I ma ogródek.

Matko jedyna. Niby się tego spodziewała, ale tak naprawdę chyba nie.

– Nie mówisz poważnie. Nie możesz tego zrobić. – Sama słyszała, jak żałośnie brzmią jej słowa – niczym echo słów powtarzanych przez kolejne pokolenia matek. Było jej wstyd, ale nie umiała się powstrzymać. – Jesteś za młoda.

Rose powoli pokręciła głową.

– Jan ma trochę oszczędności, a jego ojciec obiecał pomóc z resztą zaliczki. Kredyt wychodzi taniej – dodała.

Kredyt wychodzi taniej. Dicte miała ochotę wykrzyknąć jej w twarz, że nie przystoi, aby z ust siedemnastolatki padały takie zdania. Że powinna opowiadać o wypadach do kina z kumpelami, o gorących ciachach, o imprezowaniu do rana, o upijaniu się w sztok szotami z wódką i o tym, jak potem trzeba ją było wieźć na płukanie żołądka. Ale Rose bardzo krótko była nastolatką. Jeden umiarkowanie burzliwy rok, a potem spotkała Jana, który odbywał staż w biurze rachunkowym swojego ojca.

A poza tym kupował prezenty w Bilce i miał własny samochód.

Miała ochotę powiedzieć „po moim trupie” i „zabraniam i już”. Musiała niemal gryźć się w język, żeby nie wybuchnąć od złości i lęku, jakie w niej wezbrały. Ale właśnie na nowo poczuła się zmęczona. I uświadomiła sobie nieuchronność tego, przed czym się wzbrania. Fakt, że czas jest po stronie Rose, a nie jej.

– Kiedy?

Rose ścisnęła dłoń matki.

– Za sześć tygodni. O ile się zdecydujemy.

To zabrzmiało jak wyrok śmierci. Szafot już stoi, kat czeka w gotowości,

a Dicte pozostało tylko ostatnie życzenie. Wysłała do niebios milczące błaganie. Rok. Jeszcze tylko jeden rok, a będę gotowa.

Dopiła herbatę i pokiwała głową.

– Zapowiada się ciekawie – powiedziała dojrzałe. – Pójdziemy sprawdzić, co u sąsiadów?

Dom w Lystrup został na jakiś czas odsunięty na dalszy plan, bo właśnie zadzwoniły do drzwi i w szybce ukazała się twarz Karen Graugaard. Włosy miała srebrnosiwe, niemal białe, i obcięte na pazia, a świeża opalenizna ze stoku uwydatniała jej zmarszczki. Oczy wydawały się bardziej wrażliwe, niż Dicte je zapamiętała.

– Chciałyśmy zapytać, czy nie możemy wam jakoś pomóc – odezwała się.

Karen Graugaard otworzyła szeroko drzwi i obie z Rose weszły do środka.

– Już bardzo nam pani pomogła i jesteśmy niezmiernie wdzięczni – powiedziała, pokazując im wśród zniszczeń drogę do kuchni. – Napijcie się herbaty?

Zgodziły się i usiadły na taboretach przy kuchennym stole.

– Napracowała się pani – zauważyła Dicte. – W nocy wyglądało tu jak po wybuchu bomby.

Karen Graugaard zachnęła się.

– Przynajmniej miałam się czym zająć. Coś konkretnego do zrobienia, jeśli wie pani, co mam na myśli.

Dicte pokiwała głową. Timbo podszedł do niej i przyjacielsko ją obwąchiwał. Przypomniała sobie o wymiotach i o tym, że ktoś musiał go nakarmić późnym wieczorem.

– A co z psem? – zapytała Rose, najwyraźniej czując się niezręcznie. – Może trzeba z nim wyjść?

Karen Graugaard pojaśniała na twarzy. Zmarszczki ułożyły się w niepewny uśmiech.

– Ach, to pies mojej siostry. Zdążyłam tylko wyjść z nim na trawnik.

Rose już stała gotowa do wyjścia.

– Mogę go zabrać razem ze Svendsenem nad mokradła.

Kiedy Rose wyszła z psem, przez chwilę obie milczały.

– Może pomogę posprzątać – zaproponowała Dicte. – Tyle tego jest. Pewnie nie wiecie, od czego zacząć.

Karen Graugaard pokręciła głową.

– Dla kogoś obcego to będzie trudne. Wszystko tu ma swoje miejsce, sama pani rozumie.

Oczywiście. Jak w każdym domu. Na co dzień nie zdajemy sobie sprawy, jak bardzo usystematyzowane jest nasze życie.

– To może siostra będzie mogła pani pomóc?

Dicte wiedziała, że właśnie zastosowała możliwie najśłabszy trik na wyciągnięcie informacji.

Karen Graugaard jednak westchnęła tylko i przez chwilę obracała kubek na blacie. A potem spojrzała na Dicte.

– Moja siostra zniknęła.

W jej spojrzeniu Dicte zobaczyła takie przerażenie, jakie widziała w oczach koni tej nocy.

– Miała pod naszą nieobecność doglądać zwierząt – dodała cicho. – Powinna tu teraz być. To do niej zupełnie niepodobne, zniknąć w ten sposób.

Dicte odczekała dłuższą chwilę, licząc na dalsze wyjaśnienia, lecz sąsiadka milczała.

– Ma pani jakikolwiek pomysł, gdzie ona może być?

Karen Graugaard lekko się zarumieniła. A potem pokręciła głową.

– Pracuje gdzieś?

Najpierw wzruszenie ramionami i dopiero potem słowa.

– Jest na zwolnieniu lekarskim. To długa historia. Ale Inger z zawodu jest nauczycielką.

– Gdzie pracuje, kiedy nie jest na zwolnieniu?

Karen Graugaard przez chwilę wyglądała tak, jakby się zastanawiała, czy w ogóle powinna odpowiadać. Dicte przypomniała sobie, jaka była zła tamtego dnia, kiedy Svendsen gonił jej kota wokół sterty słomy. Może nie powinna była pytać tak wprost.

Ale wtedy jej oczy spotkały się z oczami sąsiadki. Zobaczyła w nich wyłącznie strach.

– W szkole Møllevang.

7

Kiedy Rose dotarła do ogrodzenia, puściła psy wolno. Patrzyła za nimi, gdy pognały samym środkiem drogi pomiędzy koleinami wyżłobionymi przez traktor w miedzy oddzielającej pola. Svendsen pędził niczym pies wyścigowy. Prostował przednie łapy, a na tylnych pod czarnym futrem było widać pracujące mięśnie. Timbo natomiast wyglądał jak wełniana kulka na wietrze. Bez przerwy poszczekiwał z nerwów, że kolega mu uciekł.

Rose podeszwami kaloszy wyszukiwała punkty oparcia w trawie śliskiej od lodu i cienkiej warstwy śniegu, którego białe płachty wciąż tu i ówdzie leżały. Podłoże było nierówne, więc cały czas musiała się pilnować, by nie stracić równowagi. Dokładnie jak w domu. Zawsze pilnować równowagi.

Oczywiście, że widziała to spojrzenie matki, zanim ostatecznie rozsądek wziął górę. Spojrzenie pełne urazy. Ktoś mógłby je nazwać dziecinnym, ale jej matka pewnie nigdy by tego nie zrozumiała. Zresztą dziecinne to być może niewłaściwe słowo. Prędzej wyrażające rozczarowanie. O tak, tak lepiej. Niech to szlag. Zawiodła ją i czuła się z tym fatalnie. Zawsze tak bardzo chciała sprawić jej radość i wiele lat poświęciła na robienie właśnie tego.

Rose ciasniej zawiązała szalik, żeby zakryć również usta. Wiał lodowaty wiatr. Płaszcz, który miała na sobie, niespecjalnie się nadawał na spacer z psem, ale był retro i w ogóle. Mimo wszystko może jednak powinna była się zgodzić na bardziej praktyczną puchówkę, którą zaoferowała mama.

Z drugiej strony wiatr był również sprzymierzeńcem. Wywiewał złe obrazy. Na przykład spalonej stajni i martwych koni. Rozpuścił swąd, który wciąż czuła w nosie. Nawet rozczarowanie matki z powodu szeregowca przefrunęło z nim małą rundkę i nagle nie ciążyło Rose już tak bardzo.

Jejku, przecież nie jest znowu aż tak źle. Jakby akurat szeregowiec był

gorszy niż zwykły dom. Ostatecznie czy to nie wszystko jedno gdzie, byle dobrze się tam mieszkało?

Psy ujadły. Wbiegły na zaorane pole, gdzie przez bruzdy śniegu przebijały się źdźbła oziminy. Popędziły dalej i teraz ślizgały się na skutej lodem powierzchni małego stawu otoczonego sitowiem. Kiedy zając wystrzelił jak z procy ze swej kryjówki, oba natychmiast rzuciły się w pościg. Pognały przez otwartą przestrzeń w dół, w stronę mokradeł.

– Svendsen! Do nogi!

Rose wiedziała jednak, że nic to nie da. Rzuciła komendę wyłącznie dla porządku. Kiedy w tym psie odezwie się instynkt myśliwego, nikt ani nic nie jest w stanie nad nim zapanować. A Timbo naśladował większego kolegę. Rose szła więc po prostu dalej koleiną wyżłobioną przez traktor.

Długo się zastanawiała, jak jej to powiedzieć. Zastanawiała się też, czy to na pewno dobra decyzja. Skończyła dopiero siedemnaście lat, jak słusznie zauważyła matka. Z drugiej strony czuła, że dzieciństwo już dawno ma za sobą. Teraz nawet nie była w stanie go dostrzec. Kiedy właściwie się skończyło?

Uznała, że wraz z rozwodem rodziców. Rozstali się ponad rok temu, a ona z matką przeniosły się z Kopenhagi do Århus. A może jednak nie. Może ten proces zaczął się jeszcze wcześniej. Zając wywiódł psy spory kawałek w głąb ugoru. Widziała je jako małe plamki przy ogrodzeniu mokradeł. Żeby tylko nie znalazły jakiejś dziury wygrzebanej przez lisy.

– Svendsen!

Pies miał dziś jednak najwyraźniej problemy ze słuchem. Matka nazywała to słuchaniem selektywnym. Pieniądze wydane na wyszkolenie tego zwierzęcia zostały wyrzucone w błoto.

Nie pamiętała czasów, gdy jej rodzice byli ze sobą szczęśliwi. Nie pamiętała, by kiedykolwiek atmosfera w domu nie była napięta. Niezliczone romanse ojca, o których nigdy otwarcie nie rozmawiano. Milczenie matki. Oczywiście tylko wtedy, gdy coś poruszało ją do głębi i było dla niej niesłuchanie ważne, ale nie miała odwagi głośno o tym mówić.

Aż nagle przyszedł dzień, kiedy wszystko się zawaliło. Po rozwodzie

rodziców i po tym, jak mama znalazła dziecko w rzece. Zdarzyło się wszystko to, co wcześniej wprawdzie przeczuwała, lecz nigdy tak naprawdę nie wierzyła, że faktycznie może nadejść.

Butami kruszyła twardą ziemię. Lekko, ale boleśnie uderzyła jednym czubkiem w kretowisko.

Czasem człowiekowi aż się kręci w głowie od tego całego roztrząsania przeszłości. Od rozmyślań o rodzinie, która mogłaby być jej rodziną, a tymczasem żyje gdzieś oddzielnie, a ona nie czuje się z nią w ogóle związana. Przyrodni brat, którego nie zna. Babcia i dziadek od strony mamy, których nigdy nie poznała. Tak było zawsze – pustka wokół. I chyba właśnie o niej tak trudno jej mówić. O tym, że pragnie czegoś innego. Że Jan i jego rodzina są tym, czego szukała. I mogą to sobie nazywać rozpaczliwym dążeniem do stabilizacji albo jakkolwiek inaczej zechcą. Ostatecznie co w tym złego? Człowiek ma chyba prawo dążyć do tego, co jest dla niego ważne?

Przywołała w pamięci widok domku w Lystrup. Rodziny z małymi dziećmi, żółte ściany. Dwa poziomy i mnóstwo miejsca do budowania skromnego życia i wspólnego zasiadania do stołu w salonie, kiedy się tego zapragnie. Nie rozumiała, dlaczego miałyby się wstydzić, że ma takie marzenia. Dlaczego człowiekowi nie wolno podjąć takiej decyzji, gdy jest jeszcze młody i ma dość czasu, by osiągnąć wszystko, czego pragnie. Dlaczego koniecznie powinna przebrnąć przez korowód słabo rokujących chłopaków i uprawiać seks z mężczyznami, których wolałaby nie pamiętać. Bo niby na tym polega dorastanie? Czy żeby naprawdę stać się dorosłym, trzeba najpierw zachowywać się jak idiotka i robić masę rzeczy, na które nie ma się ochoty?

Aż się uśmiechnęła do siebie. Jeszcze nie mówiła o tym matce, ale zamierzała zostać księgową i podjąć pracę w biurze rachunkowym ojca Jana, które wówczas na dobre stałoby się firmą rodzinną. Nie powiedziała również o tej drugiej sprawie. O tym, czego pragnie najbardziej ze wszystkiego. O czym ledwie ma odwagę pomyśleć, bo matka z jej szóstym zmysłem na pewno by to poczuła. Tylko tutaj, na mrozie i wietrze może powiedzieć to choćby na głos, jeśli przyjdzie jej ochota. Że chciałaby mieć dziecko. Dom i dziecko. Już teraz, żeby zdążyć stworzyć dużą rodzinę, tak jak planuje.

Wiedziała, że gdyby powiedziała matce, jednocześnie śmiałyby się i płakały. Rose westchnęła i próbowała wypatrzeć psy na horyzoncie. Niełatwo być dorosłym, kiedy wszyscy wokół woleliby, żeby się pozostało dzieckiem tak jak oni.

– Svendsen!

Nagle sobie uświadomiła, że nigdzie ich nie widać. Więc jednak znalazły dziurę. Przecisnęły się i wbiegły na mokradła, gdzie oczywiście psy muszą być trzymane na smyczy. To rezerwat. Czasem spotykała tu obserwatorów ptaków z lornetkami albo pomarańczowe wozy wodociągów miejskich. Poza tym sami spacerowicze albo właściciele psów.

Przyśpieszyła kroku, truchtała na tyle, na ile mogła, uważając, by nie poślizgnąć się i nie upaść. Zrobiło jej się ciepło w policzki i szyję. Na mokradłach widziano lisa, który miał strupy na skórze. Wiele psów z wioski w ten sposób się zaraziło.

– Svendsen! Timbo!

Musiała iść naokoło. Obejść ogrodzenie i wejść polną drogą. Dostała kolki. Szalik, którym przesłoniła usta, zwilgotniał od jej oddechu i jego dotyk stał się nieprzyjemny. Nagle poczuła, że się trzęsie – nie na zewnątrz, lecz wewnątrz. Od środka, jakby z samego serca, pomyślała zdumiona.

Kręta ścieżka wiodła w las, gdzie z zamarznętego mchu wystawały pnie drzew, strasząc nagimi ciemnymi gałęziami. Błoto nawet pomimo mrozu wydzielalo zapach rozkładu i zgnilizny. Małe, niepozorne ptaki podrywały się do lotu, słysząc jej kroki, a czapla wzbiwszy się w górę, nieporadnie nawigowała w gąszczu gałęzi.

Rose w końcu go usłyszała. Warczenie z głębi gardła. Svendsen. Stoi pewnie naprężony z ogonem i nosem w jednej linii. Ale wciąż go nie widziała.

Szła dalej. Nawoływała. Wiedziała jednak, że to nic nie da, jeśli psy coś znalazły. Wtedy usłyszała też drugi dźwięk. Słabe popiskiwanie. Wysokie rejestry. A teraz skowyt.

– Timbo. Timbooo.

Dostrzegła małego białego psa kręcącego się w kółko w głębokim mchu pod potężnymi drzewami po drugiej stronie strumienia, gdzie tak często widywała sarny.

Ze swojego miejsca nie widziała jeszcze co, ale była pewna, że psy coś znalazły. Byle tylko nie martwą kozę. Latem na polu przy mokradłach wypasało się spore stado tych zwierząt z ekologicznej hodowli i czasem niektóre osobniki oddzielały się od niego albo śmiertelnie bodły. Przynajmniej na tym mrozie nie będzie aż tak cuchnęło.

Znalazła miejsce, gdzie strumień był wąski. Odsunęła gałęzie – jedna smagnęła ją po twarzy, aż zapiekło. Wtedy znów poczuła wewnętrzne drżenie.

– No co takiego? Coście znaleźli?

Ziemia w głębi, między drzewami była miękka. Podłoże zdawało się kołysać.

Svensden stał w pozie winowajcy z uszami położonymi po sobie i przepaszającym spojrzeniem. Ciało utrzymywał jednak w pełnej gotowości i nie można było nad nim zapanować. Dygotał ze zdenerwowania, a Timbo wciąż skowyczał jak porzucony szczeniak.

Wtedy Rose zobaczyła coś zwiniętego w kłębek. Potem obleczoną w pończochę stopę. Dłoń zwróconą wewnętrzną stroną ku górze. Burgundowoczerwona cienka sukienka. Boże, to człowiek. Najpierw przyszło jej do głowy, że przecież jest przeraźliwie zimno i kobieta na ziemi musiała przemarznąć na kość. Zamarła w bezruchu i wszystko, włącznie z jej myślami, zlodowaciało. Czekwała, aż jej nogi się obudzą i wykonają krok do przodu. Nagle poczuła, że tam nie ma życia. Że u jej stóp leży martwy człowiek. I zobaczyła, kto to jest, że ma siny język wysunięty w jej stronę i wytrzeszczone oczy. Dostrzegła sznur ciasno zaciśnięty wokół szyi i krew, a w środku tego wszystkiego siekiere.

8

Jakby została złamana jakaś pieczęć. Jakby wszystko, czego człowiek wolałby nie widzieć, nagle przetoczyło się przed jego oczami.

Tak w każdym razie czuła się Dicte, kiedy widziała na mokradłach samochody z migającymi kogutami i mężczyzn krążących jak rój much nad martwym zwierzęciem. Było już ciemno i teren oświetlały silne reflektory. Miejsce odgrodzono taśmą. Nagie drzewa stały z nogami wbitymi w lód, a rosnące przy mokradłach trawy wysokości człowieka sterczały jak odwrócone sopele. Tu i ówdzie w poprzek leżały pojedyncze przewrócone konary z ramionami w zamrzniętym błocie, a gdzieś w górze, w koronach rozbrzmiewało głucho pohukiwanie sowy.

Dicte skuliła się i otuliła ciaśniej płaszczem, a na głowę nasunęła kaptur, bo od strony pól wokół mokradeł zaciął lodowaty wiatr.

– Przyjemne miejsce.

Obok niej zatrzymał się Wagner. Był lekko zgarbiony. Kiedy tak stał na skraju światła reflektora, wyglądał na dziesięć lat starszego.

– Romantyczna kolacja we dwoje zapewne byłaby przyjemniejsza – zgodziła się Dicte. – Dwie świece na stole i takie tam.

Wiedziała, że swoim telefonem zakłóciła mu piątkowy wieczór z Idą Marie.

Mężczyzna wzruszył tylko ramionami.

– Praca ponad wszystko. A zresztą okazało się, że miałaś rację.

Powiedział to z lekką rezygnacją w głosie. Jakby sytuacja, w jakiej się znaleźli, była jej zwycięstwem, a tym samym jego porażką. Pomyślała jednak, że to nie małostkowość przez niego przemawiała, a raczej czysta

frustracja. Była o tym przekonana, bo sama ją czuła.

– Nie powinnaś być w domu przy córce?

Teraz to ona wzruszyła ramionami.

– Rose nic nie jest. Jest z nią jej chłopak.

– Nic jej nie jest? Poważnie? Czyżby psycholog kryzysowy stał się zawodem wymarłym?

Spojrzała na niego z boku, spod kaptura.

– No, dobra. Czuje się dobrze. I nie chce rozmawiać z psychologiem.

A kiedy milczał, dodała:

– Nie jest już dzieckiem, do ciężkiej cholery.

Wagner burknął coś pod nosem. Na miejsce podjechał kolejny samochód – najprawdopodobniej medyka sądowego – więc ruszył w jego stronę. Dicte pomyślała, że to jest ta chwila, kiedy należałoby zapalić papierosa. Właśnie teraz w ciemności powinien zaświecić pomarańczowy żar. Sięgnęła do kieszeni i wyjęła paczkę gum. Bez cukru. Rose byłaby z niej dumna.

Rose.

Ile razy musiała wybierać między nią a pracą? Ile razy zaniedbała swoje dziecko? Nie umiała tego zliczyć.

– Idź. Nic mi nie będzie, obiecuję. Zadzwońłam po Jana.

Słowa córki wciąż brzmiały jej w uszach. Ale w jej twarzy nie widziała już ani śladu dorosłości. To była twarz dziecka. Stojąc w ciemności na zamarzniętej ziemi, Dicte właśnie taką ją miała przed oczami. Szeroko otwarte oczy pozwalające zajrzeć wprost w jej serce, gdy siedziała na kanapie otulona kocem i trzymała oburącz kubek z ciepłą zupą. Bulion Knorra znaleziony na dnie najniższej szuflady przez troskliwą matkę. Jedyne, co przyszło jej do głowy. Oczywiście poza tym, aby przytulić swoje dziecko i trzymać je w ramionach, aż przestanie płakać. Szybko jednak zużyła swój przydział czułości i Rose delikatnie wyzwoliła się z jej objęć, jakby to ją, Dicte, trzeba było pocieszyć i otoczyć opieką.

– To twoja praca. No, idź już. Policja przecież już jest na miejscu –

nalegało jej dziecko, szcękając zębami.

Przyjechał Jan i Dicte poczuła się zbędna we własnym domu. Komornik, jak konsekwentnie nazywał go Bo, kiedy młodzi nie mogli ich słyszeć – a czasem również wtedy, kiedy mogli. Chłopak usiadł przy Rose na kanapie i dziewczyna się uspokoiła, ale pogłębiła się zmarszczka, która ze zmartwienia pojawiła się na jej czole.

– To było takie dziwne – Dicte usłyszała, wychodząc. – Taka niesamowita cisza.

Jan mruknął coś na znak, że rozumie.

– Śmierć – mówiła dalej Rose. – Taka bezgłośna. Głuchy dźwięk pustki po tak niepojętej erupcji przemocy.

Rose spojrzała przed siebie. Nawet ze swojego miejsca Dicte widziała, że jej córka ma nienaturalnie powiększone źrenice.

– Po tak wielkiej erupcji nienawiści.

Nienawiść – pomyślała Dicte i ruszyła na przełaj w stronę ogrodzonego terenu. Zdążyła obejrzeć miejsce zdarzenia. Zanim przyjechał zespół szybkiego reagowania i rozwinął taśmę, by zabezpieczyć ślady, zerknęła na zwłoki jak zwykły podglądacz. Zobaczyła cienką sukienkę, dopasowaną tak, że widać było krągłości sylwetki. Stopy w pończochach. Włosy sztywne od krwi i mrozu. Nim całkiem się ściemniło, udało jej się zobaczyć to, co miała zobaczyć. Siekiere. Pętlę na szyi. Wściekłość.

Pytanie brzmiało, co było jej źródłem. Może bezgraniczna nienawiść. Ale równie dobrze, pomyślała Dicte, jej kompletne przeciwieństwo.

– Znaleźliście ślady opon? – Zapytała Wagnera, kiedy znów stał samotnie i wodził skupionym wzrokiem po miejscu zdarzenia, gdzie pracowali już technicy i medyk sądowy.

Pokiwał głową.

– Zdjęli gipsowy odcisk.

– Czyli podjechał tu jakiś samochód? Niedawno?

Wagner wzruszył ramionami.

– To mogły być wodociągi miejskie – odparła. – Jak pewnie wiesz, normalnie obowiązuje tu zakaz wjazdu. To teren chroniony. Rezerwat przyrody.

– Sprawdzamy to – uciął Wagner.

Zapanowała krępująca cisza. Dicte pomyślała, że policję i prasę łączył niechciany sojusz, który przywodził na myśl pojęcia grzechu i zdrady. Zachowanie równowagi było w tym układzie koniecznością, ponieważ bardzo cienka granica oddzielała wyzyskiwanie od bycia wyzyskiwanym. U policjantów zawsze wyczuwała organiczny lęk przed odkryciem się, przed ujawnieniem opinii publicznej czegoś, o czym dla dobra sprawy lepiej byłoby nie wspominać. Obawę przed nadużyciem zaufania przez krwiożerczych dziennikarzy mających na uwadze wyłącznie jutrzejsze tytuły w witrynach kiosków. I czuła złość, bo wiedziała, że ta nieufność bywa uzasadniona. Po wszystkim, co napisano na temat policji, ponowne zyskanie zaufania stróżów prawa będzie procesem w równym stopniu żmudnym, co koniecznym.

Wagner naturalnie wolałby, żeby jej tu nie było. Poza Dicte nikt z prasy jeszcze nie dotarł na miejsce, choć wszyscy słuchali policyjnych częstotliwości. Ale też miejsce jest odludne, pomyślała. Daleko na mokradłach, gdzie dziennikarze przeważnie się nie zapuszczają. W takich okolicach spotyka się tylko ludzi z psami i ornitologów oraz mężczyzn ze sznurami i siekierami.

– Czyżbyśmy mieli się ustawić do zdjęcia grupowego? – zapytał Wagner i wskazał głową na postać wychodzącą z ciemności wprost w światło reflektora.

Bo jak zawsze miał przewieszzone przez plecy dwa aparaty, a jego kurtka o wojskowym kroju przywodziła na myśl świst kul i wojnę domową. Para z jego oddechu spowijała go jak chmura.

– Nie musisz się uśmiechać – uspokoiła go Dicte i skierowała wzrok ku Bo zbliżającemu się do nich długimi kowbojskimi krokami.

Gdzie się podziewał przez cały dzień? Nie wiedziała, jak go o to zapytać, bo przecież zasadniczo nie należał do niej i pewnie nigdy nie będzie. Wolny jak ptak, własna przestrzeń i te rzeczy, nie wspominając o tym, że był osiem lat od niej młodszy.

Pomyślała o tym, kiedy stanął tuż przed nią i wyraźnie było widać, jak bardzo jest ożywiony. Wodził czujnym wzrokiem po drzewach wokół i skupiał go na miejscu znalezienia zwłok, rozpierała go energia. Zatem choć Bo zasadniczo nie musiał się nikomu meldować, to praca rzecz święta i Dicte zadzwoniła do niego na komórkę.

– Dobry wieczór w lesie.

Wagner milcząco pokiwał głową.

– Ale ludzi – ciągnął Bo niezrażony.

Musnęła ustami policzek Dicte. Poczowała zapach piwa wymieszany ze swądem dymu z porannego pożaru. Uświadomiła sobie, że ona pewnie też nie pachnie fiołkami. I że zapewne, podobnie jak Bo i Wagner, wygląda jak z krzyża zdjęta.

– Leży tam.

Głową wskazała potok i miejsce, gdzie kręcili się technicy wyglądający jak zjawy w białych kombinezonach ochronnych i lateksowych rękawiczkach. W tej samej chwili nadjechał samochód do transportu zwłok – wynajęta karetka z wyłączonym kogutem i sygnałem. Nie było tu żadnego życia do uratowania. Kiedy z samochodu wysiedli dwaj mężczyźni z noszami, Bo odsunął się od Dicte i zaczął automatycznie pstrykać, co chwila błyskając fleszem.

– Dowiedziałeś się czegoś o przyczynie śmierci? – zwróciła się do Wagnera.

Pokręcił głową.

– Czasem mam wrażenie, że medycy sądowi są zbyt tacy.

Doskonale go rozumiała. Na pozór przyczyna była oczywista. Sznur albo siekiera. Ale po co ktoś miałby zabijać dwukrotnie? Co było najpierw? I kiedy nastąpił zgon? Na te pytania mógł odpowiedzieć tylko patolog.

– Liczę, że tego nie zacytujesz – dorzucił.

– Słowo w słowo. Podpiszemy tym zdjęcie.

Spojrzała na niego.

– Myślisz, że istnieje związek?

– Pomiędzy?

– Obama pożarami i zabójstwem.

– Pomiędzy pożarami na pewno. I to już oficjalne, więc możesz o tym napisać pod swoim zdjęciem.

Gonitwa myśli w jej głowie. Jak daleka jest droga od wandalizmu do morderstwa? Jak ją zmierzyć i kto potrafiłby ją pokonać w ciągu jednej nocy?

– Czyli coś znaleźliście?

W jego westchnieniu usłyszała rozdrażnienie. Oczywiście, pomyślała. Nie sądzili, że dom Graugaardów jest potencjalnym miejscem zbrodni. Policjanci oczywiście przeszukali pomieszczenia pod kątem odcisków palców i widocznych śladów przestępstwa, ale Dicte wiedziała z całą pewnością, że nie przeczesali ich gruntownie. A teraz Karen Graugaard przeszła przez cały dom z odkurzaczem i zmiotką.

– W szkole zabezpieczono odciski butów – odparł w końcu Wagner. – Roztrzaskano gaśnicę proszkową i ktoś wdepnął w rozsypany pył.

– Widać, że to profesjonalista.

Wagner pokiwał głową.

– Tak, raczej nie mamy tu do czynienia z Einsteinem.

– A ślady w domu? Podobnie?

Znów skinął głową i Dicte mimo wszystko ucieszyła się, że jego zespół zrobił krok naprzód. Niespodziewanie ogarnęło ją poczucie winy, że niemal przewidziała morderstwo.

– To samo. W rozlanym czerwonym winie.

Ekipa pogotowia na noszach przeniosła zakryte zwłoki Inger Graugaard na drugą stronę strumienia. Trochę się szamotali, żeby nosze stały równo. Pstrykanie aparatu Bo brzmiało jak stłumiona seria z broni maszynowej, a on sam skakał pomiędzy drzewami, szukając najlepszej perspektywy.

– Kretyn – mruknęła Dicte.

– Każdy ma jakiegoś bzika – zaoferował uprzejmie Wagner.

Dicte odwróciła się do niego całym ciałem, żeby mu spojrzeć w oczy.

– Chodzi mi o tego z butami.

Wagner z powagą pokiwał głową, ale po raz pierwszy dostrzegła na jego twarzy cień uśmiechu i poczuła dziwną wdzięczność.

– No tak, to prawda – powiedział i powlókł się do pozostałych.

9

– Dlaczego ktoś robi coś takiego? Co popycha ludzi do takich czynów?

Zmniejszyła prędkość przed progiem zwalniającym przy hotelu Marselis, zanim wjechali do lasu. Najwyraźniej niewielu było chętnych na spacer po lesie w ten lutowy dzień, mimo że świeciło słońce. Poza nimi na drodze nie było prawie nikogo.

Bo uważnie wpatrywał się w przestrzeń między drzewami, jakby gdzieś tam znajdowała się odpowiedź.

– Pomyślałem, że powinniśmy się trochę odprężyć – powiedział. – Pojechać do lasu, pobawić się w berka i lizać lody w słońcu.

Dicte się nie odzywała. Ale jego słowa sprawiały jej ból, bo w jego głosie słyszała, że jest nieszczęśliwy. Jasne, że nie z jej powodu, ale dawniej umiała sprawić mu radość nawet pomimo problemów.

– Może to były mąż – rzucił Bo, kiedy dojechali do zoo, gdzie dostrzegli oznaki życia. Na parkingu w sporym rozproszeniu stało pięć, może sześć samochodów, a za czerwonymi bramkami zobaczyli dwie rodziny z dziećmi przechadzające się pomimo zimna. Maluchy w jednoczęściowych kombinezonach wyglądały jak kolorowe wańki-wstańki.

– Dlaczego akurat on?

Wiedziała, co teraz nastąpi. Nie powinna była zadawać tego pytania.

– Może odmawiała mu kontaktów z jego własnymi dziećmi – powiedział, tłumiąc złość. – Może minęły lata, a jemu nie udało się odnowić z nimi relacji. Po rozwodzie.

Pięknie. Doskonale to wyszło. Oto romantyczna wycieczka, która miała choć na chwilę skierować jego myśli na inne tory. Mieli oddychać głęboko zapachem lasu i plaży, przywrzeć do jakiegoś drzewa i całować się

namiętnie, żeby daniela patrzyły na nich zazdrośnie. Jasne.

Zaparkowała obok czerwonego opla kadetta, wyłączyła silnik i odwróciła się do niego.

– Mąż Inger nie żyje od trzech lat – poinformowała go uprzejmie, a po chwili dodała: – Naprawdę myślisz, że byłbyś zdolny do czegoś takiego?

Posłał jej wyzywające spojrzenie. W końcu jednak zmiękł.

Widziała to w jego oczach i przez ułamek sekundy zobaczyła w nich coś jeszcze, co sprawiło, że miała ochotę go dotknąć, ale mimo wszystko się nie odważyła.

– Do tego ze sznurem tak. Ale nie do tego drugiego.

– Tego z siekierą?

Przytaknął.

– Tego z siekierą nie.

– Nie wiemy przecież, co było najpierw.

Szarość w tęczęwkach jego oczu skurczyła się i zmieniła w czerń.

– Najpierw był strach.

Otworzyła drzwi i wysiadła. Pod płaszczem poczuła mrowienie i wiedziała, że to niepokój. Wiedziała również, że powinna już zostawić tę sprawę, ale nie umiała się powstrzymać.

– Czy to możliwe, by uczeń aż tak nienawidził nauczycielki? Bo to chyba najbardziej prawdopodobna wersja, jeśli wziąć pod uwagę pożar w szkole.

Bo nie odpowiedział. Ruszył przodem, żeby otworzyć czerwoną drewnianą furtkę. Długo zastanawiała się nad wersją z uczniem. Nieszczęśliwa miłość? Raczej nie. Próbowwała przywołać w pamięci obraz Inger Graugaard, kiedy ją spotykała podczas spacerów z psem. Szara, anonimowa postać w wygodnych, praktycznych butach, starym płaszczu i fryzurze na pazia, jak jej siostra. Trochę zbyt zmęczone oczy i cera nieco ziemista z widocznymi porami. Niezupełnie pasowała do wizerunku kobiety zdolnej wzbudzić szaloną namiętność, choć oczywiście nigdy nie wiadomo. Uczyła jednak w szkole Møllevang, choć była na zwolnieniu lekarskim.

Požary powiązano ze sobą po zabezpieczeniu w obu miejscach identycznych śladów butów – w proszku z gaśnicy w jednym miejscu i w rozlanym winie w drugim. Logika podpowiada więc, że Inger Graugaard została zamordowana przez podpalaczy. Policja musi rozumować podobnie. Wagner jednak od ich spotkania na mokradłach w piątkowy wieczór milczy jak zakłęty. Sprawcy najprawdopodobniej należy szukać wśród osób związanych ze szkołą. Na szczycie listy są zapewne obecni i dawni uczniowie.

Poszła za Bo, który mimo wszystko był dżentelmenem i przytrzymał jej furtkę. Mimo wszystko, bo jak dotąd w ten weekend jego naturalna troskliwość niespecjalnie dawała o sobie znać. Nie był nieuprzejmy, lecz zamknięty, taki, jakim widywała go nader rzadko. W ogóle ten weekend na razie był wyjątkowo miłusi. Dwa pożary, morderstwo na tyłach domu, córka, która chce zamieszkać w szeregowcu, i chłopak szalejący z tęsknoty za dwójką małych dzieci. Czego jeszcze można sobie życzyć?

Zrównała się z nim i jakiś czas szli w milczeniu. Po chwili poczuła, że bierze ją za rękę. Znow zrobiło się ciepło. Niepewny uśmiech. I gdzieś w środku zobaczyła wszystko to, co przecież nadal między nimi było, choć ukryte.

Ale tylko przez moment. Potem znow zgasło światło, jakby nagle coś mu przyszło do głowy.

– Co?

Pokręcił tylko głową i dalej szli, trzymając się za ręce. Wiedziała, że to coś kryje się tuż pod powierzchnią. Coś jej to przypominało. Może czyjeś spojrzenie. Coś, o czym nie rozmawiali.

– Słyszałaś o smoczkowym drzewie? – zapytał.

– Nieee...?

– To chodź, pokażę ci.

Pociągnął ją za sobą. Na skraju lasu beztrąsko przechadzały się daniela. Rodzina z dwójką ubranych w kombinezony dzieci miała ze sobą jabłka i właśnie karmiła nimi dwójkę zwierząt. Rosnące w równych rzędach buki wyciągały ku niebu nagie gałęzie, a na dole pod cienką warstwą śniegu stopy liści wyglądały jak miedziany dywan. Dicte przypomniały się mokradła.

Połamane drzewa i sterczące korzenie. Ciało leżące na mokrej ziemi, chaotycznie jak wszystko wokół.

Smoczkowe drzewo rosło na pagórku i wyglądało jak barwna karnawałowa różga. Z każdej gałęzi zwisały smoczki najprzeróżniejszych kształtów i kolorów. Małe karteczki owinięto w folię, żeby wiatr i deszcz ich nie zniszczyły.

– Kilka lat temu byliśmy tu z dziećmi – wyjaśnił Bo. – Tobias darł się wniebogłosy i nie chciał oddać swojego smoczka. Ninka była dzielna i godnie pożegnała się z własnym.

Ostatni smoczek. Spojrzała na jego twarz i poczuła, jak nóż wbija się w jej serce. Wspomnienia. Dzieciństwo. Pomyślała o Kamilli i misiu, który ocalał z pożaru. O tym, jak wrażliwy staje się człowiek, kiedy zostaje rodzicem, i jak niewiele potrzeba, aby tęsknota i owa nieskończona miłość w najmniej oczekiwanym momencie dały o sobie znać, czyniąc nas zdolnymi do wszystkiego. Wystarczy na przykład wspomnienie o smoczkach.

– Bo?

Przez chwilę stał w milczeniu.

– Co się stało?

Westchnął. Sięgnął po jeden z listów i przeczytał na głos:

– Mam na imię Mie. Mam 4 lata. Zaopiekuj się moim smoczkiem.

Następnie odwrócił się do niej.

– W piątek odebrałem dzieci ze szkoły. Nauczycielce powiedziałem, że ich babcia zachorowała. Mieliśmy pół dnia dla siebie.

Dicte poczuła, że ma otwarte usta. Tyle chciałaby mu powiedzieć. Zapytać go, czy do reszty zwariował, ostrzec, że może przez to stracić prawo do kontaktów z nimi. Ale słowa uwięzły jej w gardle.

– Ogromnie się ucieszyły – ciągnął. – Pojechaliśmy do McDonalda.

Przyglądała mu się. Jego sylwetce, która zrobiła się jeszcze bardziej żylasta i wydawała się napięta jak cięciwa łuku. Jego jasnym, potarganym włosom i brodzie, mimo wszystko bardziej zadbanej, niż kiedy go poznała.

Ogółem jednak wyglądał jak istota, którą ktoś powinien podnieść z ziemi, zabrać do domu i nakarmić czymś ciepłym i pożywnym. Napięcie jak niewidzialna błona otaczało go i wycierało z jego spojrzenia, bezustannie wędrującego w poszukiwaniu punktów oparcia. Gniew i rozpacz przetaczały się tuż pod powierzchnią.

Dicte próbowała zachować spokój i możliwie neutralnym głosem zapytała: – A co na to Eva?

Skulił się lekko i nawet uśmiechnął, aż zaczęła się zastanawiać, czy naprawdę nie postradał zmysłów.

– Nie powiedzieliśmy jej.

– Jak to?

– Odwiozłem dzieci z powrotem do szkoły i ona je odebrała.

– A dzieci?

Odwrócił od niej wzrok i wolno ruszył przed siebie, ale zdążyła dostrzec w jego oczach błysk wyrzutów sumienia, nim ruszyła za nim.

– Umówiliśmy się, że to będzie tajemnica.

– Bo, do cholery.

Złapała go za ramię i zmusiła, by na nią spojrział.

– Nie tędy droga. Sam doskonale o tym wiesz. To może tylko pogorszyć sprawę.

Staął i spojrział na nią obcym wzrokiem, a wspomnienie koszmaru z ostatnich miesięcy popłynęło jej zimnym strumieniem po plecach. Jego bezsilności za każdym razem, gdy Eva nie wypuszczała dzieci z domu, zwykle tłumacząc, że dolega im to albo tamto. Frustrację, co Dicte zauważyła bardzo szybko, odreagowywał na niej samej. Te wszystkie przeciągające się do nocy wieczory ze zbyt dużą ilością wina. A potem noce, kiedy wreszcie się odnajdywali albo przeciwnie, jeszcze bardziej od siebie oddalali. Cholera jasna.

Wszystko to widziała teraz w jego oczach, a jednak była wdzięczna. Mimo wszystko zdecydował się jej o wszystkim powiedzieć.

– Nie może być gorzej, niż jest – odparł zmęczonym głosem.

Aby uratować ten dzień, poszli na przystań i zjedli w Navigatorze pulpeciki rybne, podziwiając widok na skute lodem żaglówki z nagimi masztami i zatokę Århus wyczekującą wiosny.

– Może powinieneś dokądś wyjechać – podsunęła. – Tyle mówiłeś o Bliskim Wschodzie.

Przyjrzał jej się badawczo.

– Chcesz się mnie pozbyć.

To było ostatnim, czego chciała.

– Może potrzebujesz się w coś zaangażować. W pracę – wyjaśniła.

Bardzo go potrzebowała, a on najwyraźniej nie zrozumiał, że chce jedynie mu pomóc, popychając go do działania. Odwróciła wzrok od niego i zaczęła się rozglądać po lokalu i jego zakamarkach. W wystroju dominowała tematyka morska. Na ścianie nad ich głowami wisiała plansza, na której na kawałkach sznura pokazano, jak wiązać różne węzły i pętle. W tyle jej głowy zapaliła się jakaś lampka, ale po chwili zgasła.

Bo westchnął i przez stół wziął ją za rękę. Jej wybawca. Pojawił się tak nagle i poskładał w całość jej rozwalone życie – i to wewnętrzne, i zewnętrzne. Czy nie była mu coś winna? Chyba nie może w nieskończoność odsuwać go od siebie, zamykając oczy i uszy na jego rozpacz?

– Postaraj się zrozumieć.

Pokiwała głową i pomyślała, że przynajmniej nie ma już tego straszego spojrzenia. Rozkojarzonego. Tajemniczego.

– Postaram się.

Dotarło to do niej w chwili, gdy powiedziała te słowa. Spojrzenie Bo, które wcześniej ją przeraziło, było identyczne jak to, które zapamiętała u Karen Graugaard. Skrywające prawdę inną niż ta, którą wypowiadały usta.

Popatrzyła na tablicę z wzorami węzłów, próbując sobie przypomnieć, jak wyglądała pętla na szyi Inger. Profesjonalnie – na tyle, na ile potrafiła to ocenić. Sznur został zawiązany w starodawny węzeł stryczkowy. Czy tego

uczają teraz w szkole?

10

Nikt tego od niej nie wymagał. I nikt nie robiłby jej problemów, gdyby poprosiła o zastępstwo. Tak naprawdę zarówno ksiądz, jak i zakrystian, kościelny i parafianie spodziewali się, że tak właśnie zrobi.

Ona jednak miała nadzieję, że to przyniesie jej ulgę. Że ze swego miejsca na ławce przy organach, powyżej zebranych wiernych, a nawet powyżej księdza i kazalnicy, znów poczuje grunt pod nogami. Miała nadzieję, że gdy podejmie ten trud, uda jej się odnowić kontakt z Bogiem. Muzyka przecież zwykle w tym pomaga. Muzyka i słowa.

Palce Karen bezbłędnie trafiały w klawisze, wygrywając kolejne nuty preludium F-dur Maxa Regera. Stopy płynnie przesuwały się po pedałach. Piszczalki otwierały się i zamykały, wypełniając dźwiękami przestrzeń kościoła Skjoldhøj. Jego bryła autorstwa architektów Friisa i Moltkego była prawdziwym arcydziełem nowoczesnej architektury sakralnej.

Przyszło sporo osób. Choć nie tyle, ile na msze święte. Ludzie muszą przywyknąć. Ofiarowanie Pańskie stało się pojęciem obcym, odkąd to dawne święto kościelne razem z innymi połączono w Wielki Dzień Modlitwy. Ksiądz zapalił się jednak do jej pomysłu, by w ich parafii uczcić nadejście światłości i poprosić wybranych wiernych o wygłoszenie siedmiu czytań. Będzie pięknie, kiedy każde z nich po zakończeniu swojego podejście do ołtarza i uroczyście zapali kolejną białą świecę na świeczniku. Musieli to wcześniej przećwiczyć. Chór miał szczególnie trudną rolę do odegrania. Zwłaszcza część *Kyrie*. Przed wyjazdem do Norwegii zorganizowali cztery próby i Karen walczyła zawzięcie o ten najwłaściwszy dźwięk, jasne brzmienie, które przyspieszy nadejście końca zimy.

A teraz siedziała na swoim miejscu, słuchając, jak na dole zakrystian Henny Dahl odmawia modlitwę wstępną. I muzyka ani trochę jej nie

poruszyła. Nie udało jej się do Niego zbliżyć. Najwyraźniej nie umiała już z Nim rozmawiać. Jedyne słowa, jakie dudniły jej w głowie, były słowami psalmu, którego nienawidziła, o ile dopuszczalne jest powiedzieć coś takiego o jakimkolwiek psalmie. Albo o czymkolwiek innym. Bo przecież ze wszystkich sił walczyła właśnie o to, by nie nienawidzić. Był to jej życiowy plan i bezpośredni powód, dla którego zdecydowała się pójść właśnie w tym kierunku – muzyki sakralnej.

Mimo to słowa przebijały się do jej podświadomości, a gniew trząsał coraz głośniejszymi dźwiękami, kiedy się go podpali.

Autorem słów był Kingo. Nie należała do jego miłośniczek ani w ogóle baroku i być może dlatego tak ją to drażniło. Był tak żałośnie melodramatyczny. Jego poezja wydawała jej się banalna. Zresztą te słowa naprawdę nie były niczym innym jak pełnym patosu zagranem pod publiczność. A jednak działały.

Bezwolnie ułożyła usta w pierwszy wers pieśni. Nie tego typu słów powinno się używać w takim dniu jak ten, bo psalm mówił o ciemności. Z drugiej strony ciemna noc w istocie nie zbliżała się ku końcowi, choć później mieli śpiewać właśnie o tym. Ciemna noc była dokładnie tu i teraz, wypełniała wnętrze kościoła i jej myśli. Karen nie potrafiła jej z siebie strząsnąć bez względu na to, jak bardzo się starała.

*Bogactwa ziemi ciemność okrywa,
Powiekom ciężkim opadać każe,
Pod jej woalem słońce dogorywa,
A ciało Jezusa spowity bandażem.
Nocy takowej nigdy nie było,
Ażeby niebo swe wrota zakryło.
Jezus, ta gloria nasza i światłość
Wziął na się wszelką ciemności nieprawość.*

Powtórzyła dwie strofy, a w tym czasie jedna z zebranych kobiet podeszła do kazalnicy i zaczęła czytać fragment Ewangelii według św. Łukasza. *Kantyk Symeona.*

W głowie Karen wciąż brzmiały słowa: „Nocy takowej nigdy nie było, ażeby niebo swe wrota zakryło”. Poczowała w środku ucisk, silny, niemal brutalny, i chłód spowijający jej stopy w butach do gry. Odniosła wrażenie, że serce przestało jej bić. Jakby go nie miała – jakby zostało wyrwane z jej piersi w chwili, w której dowiedziała się, że Inger nie żyje. I nie tylko nie żyje – że ktoś ją zamordował.

Bo wiedziała przecież, że to jej wina. Koniec końców to ona zawiniła, choć tak bardzo starała się robić to, co do niej należało. Poniosła porażkę. Nie podołała zadaniu, nie ochroniła własnej siostry. Nic dziwnego, że Pan na Wysokościach nigdy nie powierzył jej dziecka.

Po pierwszym czytaniu i zapaleniu świecy wszedł chór. „Kroczę przed siebie ze spokojem i radością”, śpiewał. Karen dyrygowała automatycznie, co chór oczywiście zauważył, ale rozumiał. Wszyscy wiedzieli, co się stało, i sądzili, że to dlatego z trudem nad sobą panuje.

Gdy tylko odwracała się plecami, docierały do niej ich poszeptywania. Jej własna siostra. Znaleziona na mokradłach. Powieszona na sznurze i z głową rozplataną siekierą. Nieszczęsna kobieta, nigdy się po tym nie pozbiera.

Kolejna osoba z grona wiernych wstała i odczytała fragment Ewangelii według św. Mateusza, 5, 13–16: „Wy jesteście solą dla ziemi”¹. Potem wszyscy odśpiewali psalm 314 z psalterza: „Bądźcie gotowi, chrześcijanie”.

Czy Inger była gotowa na spotkanie ze Stwórcą? Wątpliwe.

Inger, stale poszukująca i wciąż tak bardzo zagubiona. Ostatnimi czasy zdarzało im się czytać wspólnie Biblię. To ona, Karen, wpadła na ten pomysł. Chciała dać siostrze jakąś podstawę, coś trwałego, coś, co powstrzyma ją przed ciągłymi wędrówkami ku innym kierunkom wiary. Jak ta ostatnia. Ta, po której Inger całkiem się załamała. Oczywiście, gdy pytali ją o siostrę, opowiedziała o tym policji, ale nie zdradziła wszystkiego. Bo chodziło również o Lise, a ją Inger chciałyby ochronić. Córka sąsiadki przypominała trochę Lise. Nastolatka chuda jak patyk. Długie włosy przywodzące na myśl fryzury z lat sześćdziesiątych, hipisów i pacyfy. Nawet oczy miała podobne. Duże i niebieskie. Policji powiedziała, że nie wie, gdzie jest Lise, i w zasadzie nie skłamała. Ale oni oczywiście chcieliby z nią pomówić. Naturalnie. A Karen aż bała się pomyśleć, do jakich mogliby dojść

wniosków.

Nie można powiedzieć, że była pod wrażeniem pracy policji. Zwłaszcza tych dwóch młodych funkcjonariuszy, którzy rozmawiali z nią i Sørenem, kiedy spłonęła stajnia. Sprawiali wrażenie, jakby było im wszystko jedno. Chociaż zjawił się jeszcze ten ostatni, już po tym, jak znaleźli Inger. Przedstawił się jako komisarz John Wagner. Z nim można było się dogadać. Powiedział, że sam również śpiewa w chórze, i podał jego nazwę. Pokiwała głową z uznaniem. To był dobry chór, a dyrygenta znała ze szkoły muzyki sakralnej.

Wagnerowi mogłaby powiedzieć całą prawdę. Miał dobre, spokojne oczy, a kiedy z nimi rozmawiał, siedział na skraju kanapy i pochylał się ku nim. Był uważny i przyjaźnie do nich nastawiony.

– Musimy dowiedzieć się czegoś więcej o Inger. Im więcej, tym lepiej – wyjaśnił.

Pokiwała głową ze zrozumieniem.

Przez chwilę siedział i rozglądał się po pokoju, gdzie wciąż panował bałagan, choć z grubsza udało jej się posprzątać. Z powrotem powiesiła zdjęcia i poustawiała je na komodzie. Meble wróciły na swoje miejsce, a z podłogi zmiotła potrzaskaną porcelanę.

– Od jak dawna tu mieszkała?

– Od trzech tygodni.

Wiedziała, co powie, zanim jeszcze się odezwał. Było oczywiste, że o to spyta.

– Dlaczego się do was wprowadziła? Gdzie mieszkała wcześniej?

Karen poczuła się niepewnie. Rozważała wszystkie za i przeciw. Pomyślała, że musiał to zauważyć, ale nic nie mogła na to poradzić.

– Przeszła załamaniem. Można to chyba nazwać czymś w rodzaju nieszcześliwej miłości.

– To znaczy?

Od niej na pewno się tego nie dowie. W każdym razie nie wszystkiego.

Znów pomyślała o Lise.

– W tamtym domu była przemoc – powiedziała wreszcie.

Wagner podniósł brwi niemal niezauważalnie. Karen domyśliła się dlaczego i była z siebie zadowolona.

– Zna pani nazwisko tego człowieka?

– Anders Langballe.

– A gdzie go mogę znaleźć?

Karen przełknęła ślinę i spojrzała na Søren, który siedział obok i wyglądał na strapionego. Dopiero teraz zauważyła, że ma krzywo zapiętą koszulę i potargane włosy. Zawsze musiała trochę go pilnować. Przesunęła wzrok z powrotem na Wagnera. Można mu było powiedzieć naprawdę sporo, ale nie wolno jej zapominać, że to jednak policjant.

– W zakładzie karnym w Horsens. Odsiaduje tam wyrok, chyba że został zwolniony, ale wówczas pewnie by nas powiadomiono.

Widziała, że komisarz próbuje zachować zimną krew. Wziął głęboki wdech i powoli, kontrolowanie wypuścił powietrze z płuc. Odrobinę poluzował węzeł krawata, poza tym był ubrany nienagannie. Po cywilnemu, jak detektywi z filmów.

– Anders Langballe – mruknął do siebie i sięgnął po filiżankę z kawą, ale ostatecznie się rozmyślił i ostrożnie odłożył ją z powrotem na stolik. – Wydaje mi się, że znam to nazwisko, ale nie pamiętam skąd. Za co siedzi?

Karen po raz pierwszy popatrzyła mu w oczy.

– Za morderstwo z elementami sadomasochizmu.

Dotarli do szóstego czytania. Fragment Listu do Efezjan. „Światłość w Panu”².

Kobieta, która go czytała, bardzo się denerwowała i potykała na co drugim słowie. Świeca nie chciała się zapalić od zapalniczki, a gdy już się zapaliła, to od razu gasła. W końcu kobieta odpaliła swoją świecę od innej.

Chór zaśpiewał „Każdemu światłość na noc życia”, a Karen nagle poczuła tęsknotę za Inger jako silny fizyczny ból w dole brzucha. Wiedziała,

że tak będzie. Że czasem pustka da o sobie znać. A czasem będzie się wydawała całkiem nierzeczywista. Lecz nie opuści jej nigdy, będzie chodzić za nią jak cień.

Siódme czytanie pochodziło z jednego z psalmów. „W Twej światłości oglądamy światłość”³. Następnie wszyscy zebrani odśpiewali psalm: „Po niebiosa sięga miłosierdzie Boże”. Potem było wyznanie wiary, błogosławieństwo, modlitwa na rozejście się i na koniec ponownie zaśpiewał chór. Karen spakowała nuty i buty do gry na organach. Najchętniej zostałaaby tu, gdzie panuje taka cisza i spokój. Potem jednak przypomniała sobie o ojcu, i choć bardzo by chciała odłożyć to na później, wiedziała, że już pora.

Znów zastała go siedzącego w słońcu. Widziała, że się poci, i zdjęła mu koc z kolan.

– Masz ciastka?

Pokiwała głową.

– Jasne. Jak zawsze.

Wypakowała ptysie. Przyniosła kawę. Ojciec siedział skulony, ubranie miał całe w okruszkach i pobrudził się kremem. Karen wytarła plamę serwetką i zaczęła niepewnie.

– Tato.

Zamglone niebieskie oczy nie reagowały. Musiała usiąść, żeby na nią spojrzeć. Starła się dotrzeć do jego umysłu, a jednocześnie miała nadzieję, że nigdy już nie odzyska przytomności.

– Inger nie żyje.

Z początku nie widziała żadnej reakcji. A potem ojciec wyglądał tak, jakby nagle coś się w nim poruszyło. Usta zaczęły się układać w jakieś słowa. Oczy powędrowały w górę ściany na kolorowe obrazki, które miały rozweselać mieszkających tu staruszków.

– Nie żyje. – Jego słowa zabrzmiały głucho. Nie jak pytanie, raczej konstatacja.

– Znalaziono ją na mokradłach. Zabitą – dodała, świadomie unikając słowa „zamordowana”.

– Zabita – powtórzył.

W jego głosie usłyszała tak wielkie zdziwienie, że nabrała wątpliwości, czy ojciec rozumie, co to znaczy.

– Nie żyje – wyjaśniła raz jeszcze, bo przecież tak czy inaczej się o tym dowie. – Tato, Inger nie żyje.

Mijały sekundy. Słyszała nawet tykanie, kiedy wskazówka jego zegarka siekała czas na drobniutkie kawałki sekund. W końcu na nią spojrział i zobaczyła, że tam, w środku znikł wszelki ślad po wszystkich przeżytych latach. Dla niego istniała tylko chwila obecna. Cała reszta mu się wymknęła. Karen zastanawiała się, czy kiedykolwiek do niego wróci.

– Kto to jest Inger? – zapytał.

11

– Zajmiesz się nim przez chwilę?

Głos Idy Marie dobiegł go z łazienki. Wagner szybko zalał ziarna i podszedł do siedzącego w wysokim foteliku i głośno płaczącego Martina. Przez ułamek sekundy pomyślał, że powinien był zostawić tę kawę w spokoju. Wtedy być może zdążyłby zareagować, zanim Martin w złości nie wbił piąstki w rozgniecionej banan, a potem tą umazaną rączką z trudem, ale jednak zdołał dosięgnąć kartonu z mlekiem, który on zapomniał odstawić dalej. Chaotyczny koktajl mleka i bananowej papki wraz z talerzem zalał ceratowy obrus i pacnął na podłogę.

Gdyby tylko poczekał z tą cholerną kawą. Gdyby tylko Ida Marie nie zostawiła go samego z małym. Gdyby wyszedł do pracy dziesięć minut temu. Tego typu bezcelowe wyrzuty wypełniały mu myśli, kiedy usuwał zniszczenia. Podniósł karton po mleku, pomimo głośnych protestów wytarł Martinowi palce i sięgnął po papierowe ręczniki. Rwał nerwowo wielkie kawały papieru i kładł je na stole, gdzie natychmiast przesiąkały mokrą papką i wyglądały jak cienki kozuch na gotowanym mleku.

Czuł, że pod koszulą cały jest mokry od potu. Być może nigdy się nie przyzwyczai, że Ida Marie tak bardzo mu ufa. Z Niną tak nie było. Ona zawsze była obok, przynajmniej na tyle, na ile pamiętał. Nigdy nie zostawiła go samego z wrzeszczącym, głodnym i rozdrażnionym po przebudzeniu rocznym szkrabem. A jeśli nawet jej się to zdarzało, na szczęście zdołał o tym zapomnieć. Może w tym rzecz. Może najzwyczajniej w świecie jest już na to za stary.

Martin zawył ze wznowioną siłą i Wagner łamał sobie głowę, jak by go czymś zabawić. Niespecjalnie miał ochotę brać go na ręce. Skończy się tylko smarkami na jego czystej koszuli, może nawet małymi wymiotami z bananowej papki. A najprawdopodobniej i tak nie uspokoi chłopca. Zerknął

na swoją kawę. Kiedy ziarna nasiąkną? Czy zdąży wypić choć filiżankę?

W tym hałasie z trudem słyszał własne myśli. Walczył ze sobą, by nie zasłonić uszu dłońmi. W końcu jednak płacz ustał, równie niespodziewanie, jak się zaczął. Jeszcze jeden krótki szloch, ciche smarknięcie i małe rączki wyciągnięte błagalnie ku niemu. Wagner poczuł, jak serce mu topnieje i rozlewa się ciepłem po całym ciele. Przecież to tylko koszula, pomyślał, przytulając małego do piersi. Poczuł przy ciele ciepły ciężar i pokołysał chłopca, podchodząc jednocześnie do dzbanka z kawą, żeby docisnąć tłok. Mała rączka natychmiast wyciągnęła się w stronę dzbanka i Wagner ponownie tego dnia zdumiał się, jak cudownie szybko zdołał zapomnieć niedawny kłopot ze sprząaniem.

– Chcesz spróbować?

Nakrył rączkę chłopca swoją dłonią i razem wcisnęli czarny tłok dzbanka. Martin wydał okrzyk, który Wagner zinterpretował jako wyraz zachwyty.

– Wyrośniesz pewnie na wielkiego kawosza.

Chciał dodać coś jeszcze, ale się powstrzymał. „Jak twój tato” przecież niezupełnie tu pasowało. „Jak twój ojczym” brzmiało wrogo i starodawnie. Określenia „przyszywany tato” nie trawił – na to był chyba mimo wszystko zbyt konserwatywny. Nie powiedział więc nic, tylko wziął filiżankę i napełnił ją aromatycznym napojem, a chłopiec w jego ramionach, nagle w znakomitym nastroju, coś gaworzył.

– No proszę, znakomicie sobie radzicie. W ogóle wam nie jestem potrzebna.

Pocałunek na policzku był jak muśnięcie skrzydeł anioła. Wagner wdychał jej liczne zapachy. Naturalny aromat jej skóry i mydła pomieszany z nutą ulubionych perfum. Chyba coś z imbirem, kiedyś mu wspomniała, jak się nazywają.

Ida Marie pozwoliła, by Martin został na rękach Wagnera, i sama nalała sobie kawy. Nieśpiesznie posmarowała kromkę białego chleba cienką warstwą masła. Przypominała dokładnie tę osobę, którą była: zabiegana, pracującą mamę, dla której oczywistość stanowiło dzielenie się zadaniami z partnerem. A on nigdy nie protestował. Rozumiał, że musi się z tym oswoić,

jeśli chce zatrzymać ją przy sobie. Jasne, bywało, że czuł się przytłoczony, ale wtedy przypominał sobie, o jaką stawkę toczy się gra. Myśl, że miałby żyć bez niej, przerażała go. Dlatego bez szemrania wypełniał swoje obowiązki.

– Jak Alexandrowi podoba się w szkole?

Bo przecież to działało w obie strony. Ona też zajmowała się najmłodszym dzieckiem jego i Niny. Tyle że nie dziś. Dziś miała spotkanie z kierownictwem lotniska i dla dobra sprawy spędziła w łazience czterdzieści pięć minut. To konieczność, jak stwierdziła. Ich biuro podróży przy Store Torv było jednym z największych klientów lotniska i właśnie nadarzała się okazja, by wynegocjować jeszcze lepsze warunki współpracy.

Pokiwał tylko głową.

– Sam sobie zrobił kanapki.

Ida Marie uśmiechnęła się, a on zatęsknił za jej ciałem. Za miękkimi ustami i namiętnością we dwoje.

– Biedny chłopak.

On też się uśmiechnął znad filiżanki, w końcu odstawił Martina na fotelik i przyjął od Idy Marie pełne uznania spojrzenie, kiedy oboje się bez protestów. Mimo wszystko przeszło mu przez myśl, że być może jej komentarz nie był wcale tak daleki od prawdy. Może dzieci naprawdę są biedne w tych okresach, gdy praca staje się ważniejsza niż wszystko inne? Jakie konsekwencje będzie to miało na przyszłość? Czy zbuntują się, gdy dorosną i zrozumieją, że oddawano je na przechowanie różnym instytucjom, pozbawiając poczucia bezpieczeństwa, jakie daje bliskość mamy i taty? A może stanie się coś jeszcze gorszego?

Pomyślał o swojej dorosłej córce, której prawie nie widywał. I o wnuczce. Mieszkały w Kopenhadze. Kiedy Rebekka była mała, on też nie miał dla niej czasu. Możliwe, że nigdy tak naprawdę jej nie poznał.

Ida Marie szybko wsunęła do ust reszkę kromki i dopiła kawę. Potem wstała i przeciągała się przez chwilę. Zauważył, że ma na sobie profesjonalny biznesowy strój – niebieską garsonkę ożywiła apaszką, założyła buty na nieco wyższym niż zwykle obcasie, a włosy upięła w kok w stylu Grace

Kelly – te długie do pasa włosy, które tak uwielbiał i które normalnie nosiła rozpuszczone, co nadawało jej dziewczęcy urok. Doszedł do wniosku, że jej dzisiejszy strój budzi w nim niepokój. Ida Marie wyglądała trochę zbyt dorośle i zbyt elegancko.

– Co o tym sądzisz?

Pokiwał głową.

– Doskonale.

Podeszła do niego, objęła go za szyję i przyciągnęła jego głowę ku sobie, wbijając w niego oczy niebieskie jak niezapominajki. Stali tak przez chwilę, a Martin jakimś cudem wciąż był cichutki jak myszka. Nagle jakby silny magnes przyciągnął ich ku sobie i docisnął z całej siły. Jej usta otwarły się, przyjmując jego usta. Prawdziwy wewnętrzny przyływ. Rozkosz.

– Kłamca – powiedziała łagodnie i odsunęła się.

– Szminka.

– Wiem.

Usiadła przy stole i wyjęła z torebki lusterko. Chwilę później spojrzała na niego z poprawionymi ustami.

– Ty też – powiedziała i Wagner poszedł do łazienki, żeby się obejrzeć. Ujrzał beznadziejnie zakochanego mężczyznę w wieku trochę powyżej średniego z bardzo czerwonymi ustami.

– Klaun – szepnął, ale mimo wszystko się uśmiechnął.

Kiedy wrócił do kuchni, mieli dodatkowe trzy minuty spokoju, by wypić jeszcze jedną kawę. Odczuł to jako wyjątkowy luksus.

– Jak idzie twoja sprawa? Dicte nadal się angażuje?

Trochę jej opowiedział. Widział po jej oczach, że bardzo to przeżywa i czuje się zraniona tak długim milczeniem przyjaciółki. Zdawał też sobie sprawę, że wcale nie o sprawę pyta, ale właśnie o Dicte.

– Mamy mnóstwo tropów.

Westchnął w duchu. Zbyt wiele śladów wcale nie ułatwiało im pracy.

Mąciło obraz i utrudniało poruszanie się.

– Wydaje się odrobinę zestresowana. Dicte. Może powinnaś do niej zadzwonić.

Ida Marie dopiła kawę i nalala sobie kolejną. Piła więcej kawy niż on.

– Znowu? Próbowалаm już tyle razy.

To prawda. I zawsze słyszała nowe wykryty. Wagner pokręcił tylko głową. Cóż on może o tym wiedzieć. Wstał, zdjął z krzesła marynarkę i pocałował Idę Marie na pożegnanie.

– Mogłabyś też po prostu do niej pojechać – zaproponował i zobaczył, że się waha.

Praca zawsze stanowiła dla niego schronienie, bez względu na to, jak bardzo kochał swoją rodzinę.

Nie inaczej było dziś. Uświadomił to sobie, kiedy mijał szklane drzwi czerwonego budynku komendy, a wewnątrz czekał na niego zwykły tłum, ludzie przychodzili zapytać o to czy tamto. Dziś jakiś człowiek przyniósł mapę Århus i pytał o drogę do filharmonii, a młoda dziewczyna z siniakiem pod okiem i niemowlęciem na rękach chciała zgłosić pobicie przez swojego chłopaka. Za przeszkloną ścianą na końcu pomieszczenia widać było ludzi obsługujących linię alarmową i tablicę, na której wisiały kluczyki do stojących w podziemiu radiowozów. W weekendy zawsze mieli mnóstwo pracy. Na pewno w użyciu były zarówno areszt, jak i większość samochodów. Wzywano też patrole z psami – to akurat wiedział z całą pewnością, bo sam poprosił, żeby dokładnie przeszukano teren wokół miejsca znalezienia zwłok na mokradłach. Niestety, bez rezultatu.

– Co mamy?

Rzucił pytanie ponad głowami zebranych na porannej odprawie. Byli wszyscy poza Arnem Petersenem. Utknął w korku na Viborgvej, gdzie przewróciła się ciężarówka coca-coli i tysiące butelek wycoczyło się na jezdnię ku uciesze kierowców.

– Brak zgodności odcisków palców.

Zaczął Jan Hansen.

– Szkoda.

Mało powiedziane. Sprawcami ogromnej większości przestępstw okazują się ludzie, którzy mieli już kontakt z systemem. Młodzi chuligani, zarówno ci ze środowisk imigranckich, jak i z duńskich gangów, stanowili zamkniętą klikę. Wszędzie pojawiały się te same nazwiska, tylko w nieco różnych kontekstach i konstelacjach.

– Ale nadal trzymamy się teorii, że chodzi o młodych ludzi mających powiązania z tą szkołą?

Pytanie zadał Ivar K, lecz niewątpliwie wszyscy przez cały weekend wałkowali w głowie to samo – dział techniczny pracował non stop.

Wagner pokiwał głową, podał dalej termos z kawą z policyjnej stołówki i z wdzięcznością wspominał dwie filiżanki wypite z Idą Marie. Twarde ziarna Kenya Blue Mountain sam palił w piekarniku i grubo mielił.

– Są jeszcze odciski butów.

– I mamy Inger Graugaard – przypomniał jak zawsze swoim ciężkim zachodniojutlandzkim dialektem Eriksen, kończący wkrótce pięćdziesiąt lat.

To była kwestia kluczowa – czy podpalenia mają związek z zabójstwem. Na pierwszy rzut oka wydawało się to logiczne.

– To nasza najmocniejsza karta – powiedział Wagner. – Ofiara uczyła w tej szkole. Można niemal powiedzieć, że związek jest oczywisty.

Ivar K pokiwał głową, po czym odchylił ją i wypił kawę jednym haustem, jakby to była woda. Wagner niemal poczuł ucisk w żołądku.

– Miałem kiedyś nauczyciela od matematyki – zaczął Ivar K – był zwykłym sadystą. Raz zamknął mnie w szafie, a po lekcjach chciał, żebym mu obciągnął. Groził, że mnie obleje.

Hansen przesunął dłonią po łysej głowie.

– Ale mimo wszystko jakimś sposobem udało ci się skończyć szkołę. Inaczej byś tu nie siedział.

Ivar K przygwoździł go wzrokiem. Jego oczy płonęły.

– Razem z paroma chłopakami daliśmy mu nauczkę.

Wagner zdecydował się przerwać ich wymianę zdań, by nie dopuścić do werbalnej bójki. Doskonale umiał sobie wyobrazić, że Ivar K nie był aniołkiem, ale niekoniecznie miał ochotę słuchać o tej nauczce.

– A ślady opon? Przydadzą się do czegoś? Technicy mówią, że wóz należy do wodociągów.

Eriksen odkaszlnął i rozłożył kartkę, którą wyjął z kieszeni spodni.

– Nie żebym rozmawiał o sprawie z ludźmi spoza naszego zespołu, ale mam tego kuzyna w dziale ekspedycji, no i w sobotę mieliśmy rodzinną kolację.

Wagner uśmiechnął się w myślach. Rodzina Eriksena była tak liczna, że można by sądzić, że wszyscy są katolikami i wielu z nich pracuje w policji. Miał też jednego kuzyna w Wydziale Kryminalnym w Ringkøbing.

– Powiedziałem mu o śladach opon i że prawdopodobnie zostawiły je jedyne pojazdy, jakimi wolno poruszać się po okolicy, mianowicie wozy należące do Zakładów Komunalnych w Århus, bo wioska ma własny wodociąg, a wodę czerpie właśnie z tego bagna.

Eriksen odchylił się na krześle, oparłszy oba łokcie na stole. Niezawodny znak, że teraz powie coś, co jego zdaniem jest istotne.

– Jens odparł na to, że jeden z pracowników zakładów w zeszłą środę zgłosił kradzież swojego samochodu. Mój kuzyn zapamiętał to, bo osobiście rozmawiał z tym człowiekiem przez telefon i wydało mu się, że jest roztrzęsiony.

Opowiedział to z taką powagą, jakby przedstawiał rozstrzygający dowód w sprawie serii zabójstw. Oczywiście coś w tym mogło być. Morderca mógł ukraść samochód i wywieźć nim ofiarę na bagno. To czyniłoby sprawę jeszcze trudniejszą do wyjaśnienia, ale czy rzeczywiście zabójca aż tak dokładnie wszystko zaplanował? W tym kraju byłoby to bardzo niezwykle, pomyślał Wagner. Takie rzeczy zdarzają się głównie w filmach. Poza tym Inger Graugaard mogła dotrzeć na mokradła na wiele innych sposobów.

– Na pewno trzeba będzie to sprawdzić – powiedział mimo wszystko. – Musimy dostać informację, kiedy tylko wóz się odnajdzie. O ile nie został już przemaalowany na czarno i nie jedzie właśnie do Polski – dodał, właściwie

głównie do siebie.

Eriksen pokiwał znacząco głową. Wagner przez moment zastanawiał się, czy Eriksen napisze piosenkę na własne urodziny. W wolnym czasie zajmował się pisaniem piosenek okolicznościowych.

– Zajmę się tym.

Rozdzielono kolejne zadania i omówiono możliwe motywy. Trzeba było oczywiście sprawdzić również informacje udzielone przez Karen Graugaard. Andersa Langballego już wykluczono jako możliwego sprawcę. Jako przywódca sadomasochistycznej grupy w dwutysięcznym roku został skazany na karę więzienia za zabójstwo jednej z członkiń sekty i wciąż przebywał odizolowany od społeczeństwa w zakładzie karnym w Horsens. Na razie wydawało się, że nie ma związku pomiędzy tamtym zabójstwem a śmiercią Inger Graugaard, ale Ivar K dostał polecenie bliższego przyjrzenia się owej sprawie i przesłuchania Langballego w więzieniu. Wagner pobieżnie przypomniawszy sobie przebieg swojej rozmowy z Karen Graugaard. Ani słowem nie wspomniała o sekcji. Czy były jakieś inne szczegóły, których im nie zdradziła? Postanowił jak najszybciej przesłuchać ją ponownie. Mimo wszystko priorytetem jest znalezienie sprawców podpaień, a przy odrobinie szczęścia jeden z nich okaże się mordercą.

Narada trwała już od czterdziestu pięciu minut, gdy dołączył do nich Arne Petersen, niosąc w objęciach półtoralitrowe butelki coli.

– Podano do stołu.

Ivar K uniósł brew.

– Petersen, co z tobą, do cholery, zostałeś paserem?

Arne wyglądał na urażonego.

– Rozdawali je mieszkańcom stojącym w korku. Co niby mieliśmy z nimi zrobić?

Wagner się uśmiechnął.

– A ci mieszkańcy to niby my, tak?

Petersen przez chwilę stał zakłopotany, ale w końcu uznał, że ma ich w nosie, i odkręcił jedną z butelek. Gazowany płyn trysnął na stół. Wagnerowi

przypomniało się mleko rozlane przez Martina.

– Uważam, że powinniśmy uczcić fakt, iż dyżurny otrzymał telefon od dwóch świadków w sprawie szkoły.

Wagner czekał cierpliwie, aż Arne Petersen rozleje musującą colę do filiżanek, jakby to był szampan.

– Dziewczynka z siódmej klasy – powiedział przez ramię, napełniając po brzegi filiżankę Ivara K. – Mam nazwisko i numer telefonu. Widziała czterech chłopaków, jak wieczorem stali i palili papierosy na przyszkolnym placu zabaw. Jednego z nich rozpoznała jako byłego ucznia, a innego jako jego brata chodzącego do dziewiątej klasy. Zdrówko!

Wagner podniósł filiżankę i poczuł, jak jej zawartość przyjemnie zmienia się w jego ustach w wybornego Veuve Cliquot.

12

– Niech to szlag, dzieciak nie próżnuje – mruknął Bo.

Tego poniedziałku był w znakomitym nastroju. Może dlatego, że udało mu się spędzić więcej czasu z dziećmi – nie chciała się nawet domyślać, w jaki sposób tego dokonał. Może zabrał je do McDonalda na długiej przerwie lub po prostu stanął przed bramą szkoły i je zawołał. Może rzucił śnieżką i dostał w odpowiedzi uśmiech albo dwa.

Dicte rozmyślała o tym wszystkim, siedząc obok niego na kanapie w jego studiu. W swoim życiu Bo nieraz już musiał nadstawiać karku. A może – każdemu przecież wolno marzyć – jest w dobrym humorze, bo w nocy się kochali. Odnaleźli się – tak to się chyba nazywa. W natłoku zdarzeń, w chaosie ostatnich wypadków, pożarów i zniszczeń, pomimo zabójstwa, rozwodu i groźby Rose o wyprowadzce udało im się w niedzielę wieczorem puścić płytę Robbiego Williamsa i potańczyć. Po prostu tańczyć, czuć, wdychać i smakować. Fakt, dopiero po dwóch butelkach czerwonego wina, ale na wojnie, w miłości i kryzysie małżeńskim podobno wszystkie chwytysą dozwolone.

– Kto? – Siedzieli blisko siebie i Dicte mruknęła pytanie z nosem przy jego szyi.

Czuła jego tętno, widziała skórę z całkiem bliska, drobne pory i szare plamy w jego oczach niczym blizny po tragediach zarówno przeżytych osobiście, jak i tych, które uwiecznił swoim nikonem, jeżdżąc po całym świecie. Znów go pożądała, choć właściwie zajrzała do jego studia tylko po to, żeby skorzystać z kserokopiarki.

– Jak to kto? Holger Danske.

Bo pochylił się nad gazetą na swoich kolanach i pokazał palcem:

– Tu. I tu. Samotna matka znikła wraz ze swoim dzieckiem – przeczytał z

odrazą w głosie. – Jest podejrzana o zmuszanie syna do połykania pinezek.

– Przeniesiony zespół Münchhausena – wyjaśniła Dicte, która pisała kiedyś o podobnej sprawie. – To fakt, nie próżnuje.

Bo przekartkował gazetę.

– I tu. Cholerny pracuś. Podwójna relacja o pożarze szkoły. Mnóstwo słów. A wydawało mi się, że mówiłaś, że on nie umie pisać.

Dicte się wyprostowała. Zdjęcie z podpisem Holgera Søborge nagle było wszędzie. Rzeczywiście miał dyżur w weekend, ale mimo wszystko. Przejrzała teksty i poczuła, jak gniew podchodzi jej do gardła.

– Bo nie umie. Zazwyczaj potrzebuje pięciu godzin, żeby wypełnić dwie szpalty.

Ona nie miała nic własnego w dzisiejszym numerze. Jej artykuł o zabójstwie napisany w piątkowy wieczór ukazał się w niedzielnym wydaniu. Dicte czytała dalej i nagle zrozumiała. Cięcia. Zwolnienia. Co czwarty pracownik na bruk. Gazeta zaszeleściła na kolanach Bo.

„Policja intensywnie poszukuje młodych podpalaczy”, krzyczał nagłówek. Na pierwszej stronie było odwołanie do tego artykułu, również z jego nazwiskiem, które teraz Dicte migąło przed oczami jak neon. „Policja z Århus rozpoczęła intensywne poszukiwania sprawców odpowiedzialnych nie tylko za podpalenie i zdewastowanie szkoły Møllevang, ale również podejrzewanych o dokonanie rozległych zniszczeń w szkole przy Samsøgade oraz w prywatnej szkole Elise Smith. Policja sprawdza obecnie możliwe powiązania pomiędzy aktami wandalizmu i piątkowym zabójstwem z Kasted Mose”.

Dalej Dicte mogła przeczytać, że sprawę wyjaśnia zespół złożony z co najmniej dwudziestu policjantów i że przewodniczący rady szkoły oświadczył, że wszystkie trzy placówki muszą teraz skoordynować swoje działania i znaleźć w budżecie środki na możliwie najlepszą ochronę swoich budynków. Krew ją zalała, gdy na dokładkę w tej samej gazecie znalazła jego artykuł o tym, że dzisiejsi rodzice wyrządzają dzieciom krzywdę, zostawiając je samopas albo oddając ich umysły i emocje na pastwę gier komputerowych. Oczywiście w roli eksperta w tekście wypowiedział się jakiś psycholog.

– Nie wierzę. – Dicte usłyszała w swoim głosie panikę, że oto ktoś zapędził się na jej teren, nawet jeśli był tylko praktykantem. A potem sama siebie zdyscyplinowała, bo w swojej karierze wielokrotnie ścierała się z kolegami na tym tle i zawsze opowiadała się za większą swobodą działania i za tym, by na pierwszym miejscu stawiać dobro gazety, a nie gwiazdorskie zapędy reporterów. Ale jednak. To, z czym mieli tu do czynienia, było czymś innym. – Za kogo on się uważa, do cholery?

– Może kokietuje publiczność, licząc na nagrodę Cavlinga – podsunął Bo.

Dicte raz jeszcze przeczytała artykuł. Coś jej tu nie grało, ale nie umiała ocenić co.

– Cięcia! – zawyrokowała w końcu.

Bo wyglądał jak znak zapytania. Jako wolny strzelec był dla wydawcy współpracownikiem idealnym – nie musieli za niego płacić składek ani chorobowego.

– Chce się załapać na etat, kiedy skończy szkołę – spróbowała wyjaśnić sytuację Bo, który odczuwał awersję do wszystkiego, co stało.

– Cecilie chętnie by go zatrudniła – doprecyzowała. – Wtedy miałyby go w garści.

– Nieszczęsny frajer – mruknął Bo.

Wstał, ziewnął i przeciągnął się. Był długi i szczupły, i potargany jak te koty, które można spotkać w Grecji albo Hiszpanii. Freelancerzy świata zwierząt, pomyślała Dicte. Nie całkiem dzicy, ale i niezupełnie oswojeni. Nawet po przewiezieniu do Danii i zaczipowaniu.

Bo poderwał się z kanapy, pocałował ją w czubek nosa, a potem w usta.

– Uważaj – szepnął. – Gość chowa nóż w rękawie i celuje nim w twoje plecy.

Zanim Dicte w końcu zrobiła te kopie i opuściła studio fotograficzne, jeszcze trochę w duchu zżymała się na sytuację w redakcji coraz bardziej przypominającą spisek. Oczywiście niczego nie mogła Holgerowi udowodnić, a poza tym bycie prymusem nie było zabronione. Coś tu jednak śmierdziało. Coś było cholernie nie tak. To uczucie nie opuściło Dicte

również po tym, jak przez dwie sekundy przyglądała się gościowi stojącemu przy recepcji. Młoda kobieta zerkała niepewnie w dół korytarza. Miała staroświeckie ubranie. Chustkę na głowie jak u wiejskiej staruszki. Mało twarzowy brązowy wełniany płaszcz, szarobrązową garsonkę i wygodne buty.

– Benedicte?

Zamarła. Wydało jej się, że ją zna, a jednak nie umiała sobie przypomnieć skąd. Jej myśli zalały wspomnienia z dzieciństwa. Sofie? Jej usta ułożyły się w imię, ale głos uwiązł w gardle.

– Benedicte, czy to ty?

Kobieta zrobiła krok w przód i stanęła w pełnym świetle. Dicte spojrzała w jasne niebieskie oczy, które wtedy potrafiły patrzeć z taką surowością. Pomyślała, że kiedy była dzieckiem, nie było dnia, by jej nie strofowały. Teraz widziała w nich jedynie strach.

– Sofie – udało jej się w końcu z siebie wydusić. – Co tu robisz?

Gdy tylko wypowiedziała te słowa, usłyszała, jak wrogo zabrzmiały. Było jednak za późno, aby je cofnąć. Dicte nie miała zresztą pomysłu, jak inaczej mogłaby się zachować.

– Mogę usiąść?

Żadnego całowania czy ściskania na powitanie, nawet nie podały sobie rąk. Sofie znajdowała się na obszarze zakazanym. Powietrze skrzyło od napięcia między nimi, aż Dicte zdała sobie sprawę, że to ona powinna przejąć kontrolę nad sytuacją.

– Oczywiście. Jeśli chcesz, możemy usiąść w stołówce i napić się kawy.

O ile pamiętała, świadkom Jehowy nie wolno pić kawy, a Dicte była pewna, że Sofie bezwzględnie przestrzega wszystkich zasad tej grupy wyznaniowej. Albo większości, poprawiła się od razu. Bo jedna z nich zabraniała kontaktów z członkami rodziny wydalonymi ze zboru.

– Wystarczy szklanka wody – powiedziała. Dicte usłyszała teraz w głosie swojej siostry delikatne drżenie. – Przyszłam tylko na chwilę.

Dicte nalała wody do szklanki. Tylko na chwilę. Nie widziały się ponad

dziesięć lat i przyszła tylko na chwilę. Przed jej oczami pojawiły się obrazy, których nie chciała oglądać. Jak ten, kiedy miała jakieś sześć lat, a Sofie osiem i były na wakacjach u dziadków od strony mamy w ich mieszkaniu w Århus. Dziadkowie włączyli się z nimi po Starym Mieście i pozwolili im się ganiać na brukowanych uliczkach. Albo jak w parku Tivoli Friheden na trawie śpiewał Bjørn Tidman, a one biegały z innymi dziećmi, które też spędzały tam wakacje. Babcia usmażyła polędwiczki z cebulką i całe mieszkanie wypełnił smakowity zapach przytulnego schronienia, spokoju i czystego, szczerego szczęścia oraz wolności.

Odwróciła się ze szklanką w ręce i przez chwilę stała tak, czując, jak chłodne szkło studzi galopujące tętno na nadgarstku. Wszystko to przepadło. Gdy ich matka z zachwytem i absolutną żarliwością pokochała Jehowę i w krótkim czasie tą miłością zaraziła również ojca, skończyły się wakacje u dziadków. Wolno im było co najwyżej zjeść z nimi kolację, i to pod nadzorem, na wypadek gdyby dziadkom przyszło do głowy namówić dziewczynki na grę w karty albo zabawę.

Podawała Sofie szklankę, zastanawiając się, czy i ona nie tęskni za tamtym czasem. Czy nigdy nie ogarnia jej zwątpienie. Lecz kiedy ponownie spotkała stalowe spojrzenie siostry, wiedziała, że nie. Sofie zawsze była wzorową członkinią zboru.

– Dziękuję.

Sofie upiła odrobinę, ostrożnie, jakby się bała, że woda jest zatruta.

– Jak mnie znalazłaś?

Sofie wzruszyła ramionami.

– Wiedziałam, gdzie jesteś. To znaczy, gdzie pracujesz – poprawiła się.

Dicte nalała sobie dużą czarną kawę. Czy Sofie wiedziała również, gdzie mieszka? Czy mimo wszystko śledzili jej losy? Wzdrygnęła się na tę myśl, choć w głębi serca miała nadzieję, że nie jest im całkiem obojętna.

– Chodzi o ojca.

Coś w jej głosie sprawiło, że Dicte skuliła się na swoim miejscu. Przed oczami znów przesunęły się sceny z dzieciństwa. Zobaczyła ojca i poczuła

zapach tytoniu z czasów przed nawróceniem. Przypomniała sobie jego szeroki uśmiech, który rozjaśniał ciemnoniebieskie oczy. Nigdy u nikogo nie widziała oczu w takim kolorze. Potrafiła wręcz usłyszeć ten jego śmiech dudniący w całym domu i tęsknota przeszła ją na wskroś. Niemiłosiernie ostro. Przez krótką chwilę próbowała zgadnąć, po co Sofie ją odnalazła, i poczuła suchość w ustach, gdy uświadomiła sobie jedną z możliwych odpowiedzi.

– Jest chory?

Sofie uciekła wzrokiem w stronę okna, powyżej zlewu, a potem wbiła go we własne dłonie złożone na kolanach na grubej tkaninie spódnicy.

– Miał wypadek. Szedł chodnikiem i został potrącony przez pijanego kierowcę.

Głos Sofie opisywał szczegóły zdarzenia. Że policja złapała kierowcę. Że wszedł w zakręt w prawo na pełnym gazie i wjechał na krawężnik. Ale Dicte wyłączyła się na te wszystkie słowa. Coś się w niej poruszyło i do świadomości przedzierał się jeden dźwięk. Nie wiedziała, czy to płacz, czy krzyk, czy wołanie, i wcale nie potrzebowała tego wiedzieć.

– Gdzie on jest?

Jej oczy znów napotkały twarde wzrok Sofie.

– Wiesz, jaka jest mama. Wolałaby, żebyś go nie odwiedzała. Ona nie wie, że tu przyszłam.

Ręka Dicte wystrzeliła w przód, zanim zdążyła pomyśleć racjonalnie. Złapała Sofie za ramię i mocno ścisnęła. Materiał był surowy i nieprzyjemny w dotyku.

– Gdzie?

Słyszała, że mówiąc, dyszy, i zdziwiło ją to. Sądziła chyba, że ten temat ma już przerobiony i pogrzebany na zawsze.

– Nie dotykaj mnie – powiedziała spokojnie Sofie i Dicte automatycznie rozluźniła uścisk.

Jej siostra wstała i pośpiesznie wzięła swoją torbę przypominającą starodawną szkolną teczkę. Postawiła ją na stole. Otworzyła. Obok filizanki

Dicte położyła po egzemplarzu „Strażnicy” i „Przebudźcie się!”.

– W szpitalu komunalnym. Na neurologii. Leży pod respiratorem.

Dicte poczuła ucisk w żołądku. Miała ochotę pobiec za Sofie, kiedy ta niczym burza wypadła z redakcji. Chciała jej podziękować i powiedzieć, że zdaje sobie sprawę, jak wiele ryzykowała, przychodząc tu, i obiecać, że będzie uważać, żeby nikogo nie było u ojca, kiedy pójdzie go odwiedzić. Że zakradnie się do niego jak cień. Jak to, czym była w ich oczach – czymś, co nie istnieje. Chciała zrobić to wszystko, ale zamiast tego siedziała jak przymurowana do krzesła. Jej wzrok padł na czasopisma i zrozumiała, że one stanowiły alibi, którego Sofie potrzebowała dla samej siebie. Przyszła nauczać.

– Zobaczyłaś ducha?

Nie wiedziała, ile czasu minęło. W drzwiach stała Cecilie w stroju dziennikarki z notesem w jednej ręce i długopisem w drugiej.

– Coś w tym stylu – mruknęła Dicte.

Chciała sięgnąć po kubek z kawą, ale ręka bezwiednie trafiła na szklanke z wodą. Przed oczami stanął jej potok z wartką, czystą, chłodną wodą. Piła łąpczywie, a myśli chwilowo zwyciężyły nad uczuciami.

– Moją siostrę – powiedziała niewyraźnie. – Mój ojciec jest w szpitalu.

– Rety, przykro mi.

Cecilie ewidentnie czuła się niezręcznie. Jakoś nie udawało im się zaprzyjaźnić. Nigdy o tym nie rozmawiały, ale Dicte wiedziała, że to Bo kładł się cieniem na ich relacji. Nie żeby Cecilie dalej za nim szalała, ale mimo wszystko jej próżność ciężko zniosła, że wybrał inną, w dodatku starszą kobietę. Cecilie tymczasem otworzyła lodówkę i wyjęła z niej torebkę z piekarni.

– Ciasteczko? – zaproponowała przymilnie.

Dicte pokręciła głową.

– Muszę lecieć. Do szpitala komunalnego. Przekażesz Davidsenowi?

Cecilie przez chwilę przyglądała jej się krytycznie.

– Zostawiłam ci na biurku faks. Ale może lepiej, jeśli zadzwonimy po Holgera, skoro masz teraz ważniejsze sprawy na głowie?

Cięcia. Straty. Słowa brzęczały jej w głowie. Czy może sobie pozwolić na urywanie się z pracy? Czy może sobie pozwolić na to, aby się nie urwać?

– Jaki faks?

Cecilie wskazała głową przeszkloną ścianę biura.

– Lepiej sama przeczytaj.

Dicte wstała. Dopięła wodę i zabrała ze sobą kubek z kawą, ale ostatecznie odstawiła go na parapet. Wzięła do ręki kartkę leżącą na klawiaturze. Nadawcą była komenda miejska z Århus, a wiadomość była krótka: zaproszenie na konferencję prasową dziś o szesnastej. Zatrzymali czterech młodych mężczyzn – szesnastolatka, dwóch siedemnastolatków i dziesiętnastolatka w związku ze zdemolowaniem trzech szkół i podłożeniem w nich ognia oraz za trzykrotne dokonanie rozległych zniszczeń na cmentarzu Nordre Kirkegård i akt wandalizmu na cmentarzu w Hornslet.

O szesnastej. Za pół godziny. Wagner i spółka będą tam, gotowi odpowiadać na pytania, i ona też powinna tam być, aby im je zadać. To jej temat i jej działka. A jednak w tej chwili było jej wszystko jedno. Albo prawie.

Cichy głos w jej głowie nucił piosenkę o cięciach i co czwartym dziennikarzu, kiedy przez telefon poprosiła Holgera Søborga, by ją zastąpił.

13

Rose nie miała najmniejszej ochoty zbliżyć się do bagien. Ale pies ciągnął ją w tamtym kierunku, no i był z nią Jan, który przywiózł ją samochodem, żeby zabrać trochę ubrań i inne niezbędne drobiazgi.

Dicte jeszcze nie wróciła z pracy i kiedy Rose nie zastała jej w domu, w jakimś sensie jej ulżyło. Niespecjalnie była gotowa na konfrontację i cień rozczarowania w oczach matki. Chciała po prostu jak najszybciej się stąd oddalić, przynajmniej na kilka dni, przeczekać gdzieś, nim tamten widok w jej głowie wyblaknie i rozmyje się w codzienności szkolnych obowiązków i snuciu marzeń o życiu w małym domku.

O nowym życiu nie myślała zresztą zbyt dużo od tamtego zdarzenia. Jej myśli nawiedzała głównie martwa kobieta. Dniem i nocą.

Nocami śniła jej się stopa w pończosze na leśnej ściółce i czerwony materiał sukienki, poszarpany, brudny i płynny jak krwawa fala. Widziała też ciemną plamę pozbawionych koloru włosów i siekierę ze sterczącym trzonkiem. Ale najbardziej przerażały ją oczy, bo one opowiadały o ostatnich sekundach, a jednocześnie skrywały straszliwą tajemnicę. Wtedy Rose na poły się budziła i próbowała znaleźć spokój w bliskości Jana, wsłuchiwała się w jego oddech i zastanawiała się nad tym, jak niewiele tak naprawdę dzieli żywych od umarłych. Klatka piersiowa, która się unosi i pompuje tlen oraz krew w całym ciele. Lekkie westchnienie przez sen. Drganie powieki, nieznaczny ruch płatka nosa. W istocie niewiele.

Zastanawiała się nad tym również teraz, kiedy szli obok siebie. Svendsen na automatycznej smyczy wystrzelił jak z procy, a Jan przeczesywał teren wokół jak jakiś ochroniarz. Jego ramię opierało się na jej ramieniu, aż miała wrażenie, że oboje zapadają się coraz niżej. Ale wołała to, niż być sama. W tej chwili nie wyobrażała sobie, że kiedykolwiek znowu zostanie sama.

– Przyjechali ci z wodociągów.

W jego głosie Rose usłyszała dumę z poczynionej obserwacji. Faktycznie ona ledwie widziała pomarańczowy wóz dostawczy przy ścieżce spory kawałek przed nimi. Tam, gdzie była największa pompa wodociągów.

– Jest ich dwóch – powiedział, teraz już wyraźnie skoncentrowany, i jeszcze mocniej docisnął jej ramię. Uwolniła się z jego objęcia i wzięła go za rękę.

– Muszą przecież wykonywać swoją pracę. Wszystko nie może po prostu nagle się zatrzymać.

Zamierzała dodać: „bo ktoś znalazł zwłoki w bagnie”, ale nadal nie potrafiła swobodnie o tym mówić. Tylko myśleć. Pamiętać. Pozwalała, by przeszywał ją strach, który jej nie opuszczał od tamtej chwili i który próbowała sobie przecież zracjonalizować. Tłumaczyła sobie, że to naturalne. Przeżyła szok. To z czasem minie. Ale wtedy pojawiało się to obezwładniające pragnienie, by znaleźć się zupełnie gdzie indziej. Nie musieć więcej oglądać zgliszczy stajni sąsiadów ani wdychać słodkiego zapachu spalonego mięsa. Nie chciała już być świadkiem wiecznej pogoni swojej matki za potwornością i brzydotą świata. Za nieszczęściami i śmiercią.

Tyle że gdy przyjechali do domu, Svendsen domagał się spaceru, i Jan swoim głosem psychoterapeuty uznał, że to pewnie nie najgorszy pomysł pozwolić zwierzęciu zadecydować i przejść się na mokradła. „Inaczej nigdy nie będziesz potrafiła tam wrócić”, podsumował. A to byłoby głupie, sama doskonale o tym wiedziała. Bagna świetnie się nadawały na wędrowki z psem. Nie powinna pozwolić, aby tamto miejsce prześladowało ją aż do śmierci.

– Latem słychać tu słowiki – powiedział, kiedy szli ścieżką.

Spojrzała na niego zdziwiona.

– Skąd wiesz?

Miał głowę pełną najbardziej niezwykłych ciekawostek. Mnóstwo informacji o przyrodzie i kompletnie nieprzydatnych danych statystycznych.

– Z Internetu.

Zachnęła się.

– Naprawdę wyszukiwałeś w sieci informacje o Kasted Mosse?

Wzruszył tylko ramionami. Internet był jego hobby. Godzinami potrafił siedzieć z nosem przy monitorze, a jej mama pewnie uważała go za nerda.

– Dawniej kopano tu torf i każde gospodarstwo miało własny kawałek torfowiska – wyjaśnił. – Z całą pewnością nie pierwszy raz znaleziono tu zwłoki.

– Masz na myśli zmumifikowane szczątki? Takie z dawnych czasów? – zapytała.

Jan nagle mocno się ożywił.

– Dawniej składano bogom ofiary z ludzi w zamian za udane żniwa albo obfite łowy. Ale oczywiście również wtedy istnieli mordercy.

Rose wyobraziła sobie, że bagna są pełne niespokojnych dusz brutalnie pomordowanych ludzi i trąciła Jana łokciem w bok.

– Ej, wydaje mi się, że powiedziałeś, że ten spacer pomoże mi poczuć się pewniej.

Zbliżyli się do końca ścieżki, gdzie stała mała budka wodociągów, a obok przepływała rzeka. Jakiś mężczyzna z psem przystanął, żeby porozmawiać z pracownikami Zakładów Komunalnych. Rose rozpoznała jego psa. Wabił się Kris i był rasowym pudlem, z którego to powodu Svendsen ze swym rodowodem kundla darzył go najczystsza pogardą. Rzeczywiście, kiedy tylko zwierzęta usłyszały się nawzajem, zaczęły wściekle ujadać.

– Proszę, a oto i szczęśliwa znalazczyni – powiedział właściciel Krisa. Rose nie miała pojęcia, jak mu na imię. Kiedy spotykała ludzi na spacerach z psem, poznawała tylko imiona zwierząt. – Powraca pani na miejsce zbrodni?

Próbował żartować, więc Rose zmusiła się do uśmiechu, trzymając krótko Svendsena i czując ramię Jana ponownie na swoim.

– Nie ma sensu wiecznie się bać – powiedziała hardym tonem.

Pracownicy wodociągów stali obok swojego samochodu. Jeden trzymał krótkofalówkę, z której wśród trzasków dobiegał czyjś głos. Rose domyśliła

się, że komunikuje się z kimś z budynku na skraju lasu, skąd właśnie przyszli.

– To pani ją znalazła? – zapytał drugi mężczyzna, nie kryjąc ciekawości.

Na głowie miał burzę ciemnych loków, a na nosie okulary z grubymi szklami i w czarnej metalowej oprawce, które wyglądały, jakby ciągnęły w dół całą twarz.

Rose pokiwała głową, ale nie odpowiedziała. Najchętniej odwróciłaby się i poszła do domu, ale psy właśnie zaczęły się obwąchiwać i merdać ogonami.

Mężczyzna z krótkofalówką opowiadał coś ściszym głosem o pompie numer dziewięć. Jego przyjazne spojrzenie niebieskich oczu spotkało się na krótko z jej wzrokiem. Rose poczuła, jak niby przypadkiem przesunął oczy po jej ciele, i lekko się zaczerwieniła.

– To musiało być potworne – powiedział ten w okularach i potrząsnął czarnymi lokami. – Ktoś mówił, że pierwszy na miejscu zjawił się pies.

Mężczyzna z pudlem pokiwał głową, jakby o tym, co się stało, wiedział absolutnie wszystko. Rose pomyślała nagle o krążących plotkach i o tym, jak bardzo musi się w nich zmieniać wersja wydarzeń.

– Dokładnie dwa psy – uściślił. – Jednym z nich był jej własny pies, prawda?

Ponownie przytaknęła. Chciała pociągnąć Jana za rękę i powiedzieć, że muszą już wracać, ale on wydawał się poważnie zaintrygowany pompą – szarym metalowym kłosem z zieloną kopułą z włókna szklanego, na której ktoś wyrył serce i jakieś inicjały.

– Czy to znaczy, że latem, kiedy my wszyscy musieliśmy gotować wodę, wy nie mieliście żadnych problemów?

Chodziło mu o aferę, jaka wybuchła tego lata, gdy w wodzie pitnej w Århus wykryto bakterie coli. Zamknięto wtedy wieżę ciśnień przy Ringgaden, bo uznano, że bakterie przedostały się do sieci przez otwory wywiercone pod maszt stacji przekaźnikowej sieci komórkowej. Według tej teorii źródłem skażenia miały być gołębie, które zanieczyszczały odchodami dach wieży.

Niebieskooki mężczyzna wyłączył krótkofalówkę.

– U nas nie było żadnych gołębi, które mogłyby obsrać wieżę – odparł wesoło.

Wywiązała się dłuższa dyskusja o tym, na ile prawdopodobna była wina gołębi. A może bakterie przedostały się do wody pitnej z któregoś ze szpitali.

– Albo był to bioterroryzm – podsunął właściciel pudła konspiratorskim tonem.

Rose w duszy odetchnęła z ulgą. Jan miał może dziwaczne zainteresowania, ale przynajmniej udało mu się skierować rozmowę na inne tory.

Wydawało się, że jego sposób zadziałał. Bagno w magiczny sposób zmieniło się z miejsca mrocznego i groźnego w coś banalnie codziennego. A kiedy wracali do domu, Jan wypuścił jej rękę i szła swobodnie, nucąc pod nosem, a Svendsen węszył przy ziemi i jak zawsze znaczył teren swoim zapachem. Nagle niczym senna bańka w jej głowie pojawiła się myśl o ich wspólnym domu. Wyobraziła sobie sypialnię z narzutą w kwiaty i z kwiatami w wazonie, jasne, powiewające zasłony i gorący kwadrat słońca na drewnianej podłodze. Niemal fizycznie poczuła bezpieczeństwo emanujące z tego obrazu.

Gdy dotarli do domu, spakowała swoje rzeczy i zostawiła kartkę mamie, która jeszcze nie wróciła. Poczuła maleńkie ukłucie niepokoju, ale ten jeden raz postanowiła je zignorować. Nigdy wcześniej nie czuła, że w pierwszej kolejności powinna pomyśleć o sobie, ale w tej chwili innej drogi nie było. Musiała opuścić to miejsce, nawet jeśli na myśl o przyszłości spędzanej z dala od tego domu i matki ścisnęła ją w gardle.

Kiedy usiadła na miejscu pasażera w czarnej corolli Jana, zauważyła, że przy schodach do domu sąsiadów stoi skuter Puch Maxi. Mieli już włączony silnik i zapięte pasy, kiedy u sąsiadów otworzyły się drzwi i schodami zbiegła dziewczyna wyglądająca jak lustrzane odbicie Rose. Przez ramię miała przerzucony plecak, a pod pachą kask. Kiedy wsiadała okrakiem na skuter, zebrała dłonią długie włosy, nałożyła kask i zapięła go pod brodą. Ruszyła z głośnym terkotem, nieadekwatnym do skromnych rozmiarów pojazdu, z poślizgiem i całą paradą, po czym znikła na końcu drogi. Rose odprowadziła

ją wzrokiem.

– Znasz ją?

Pokręciła głową, ale wcale nie była tego pewna. Coś w tej dziewczynie wydało jej się znajome.

14

Dicte miała tyle pytań, że aż ustawiła je sobie w kolejce, by każdemu dać szansę zabrznieć, ale to wszystko na nic. Nie było nikogo gotowego udzielić na nie odpowiedzi.

Myślała o tym, kiedy się wydostała z labiryntu szpitalnych korytarzy i skręciła w lewo w Tordenskjoldsgade. Tak wiele się nagle nazbierało w jej głowie, że przez nieuwagę, wyjeżdżając tyłem z wąskiego miejsca parkingowego przy oddziale neurochirurgii, stuknęła inny samochód. Oczywiście sprawdziła szkody – białe volvo było nietknięte. Jedynym zderzakiem, który ucierpiał, był jej własny – poprzeczne pęknięcie tworzyło zgrabny zygzak. Będzie musiała pamiętać, aby sprawdzić kwotę ubezpieczenia. Roczna opłata za autocasco kosztowała ją fortunę, więc może pokryją koszt naprawy.

Miała też nadzieję, że Rose będzie w domu, kiedy wróci. Potrzebowała jej pogody ducha, przytulenia i przypomnienia, że niektóre rzeczy na tym świecie są jeszcze takie, jakie być powinny. I że udało jej się w życiu zrobić cokolwiek rozsądnego – na przykład odzyskać wolność, mimo że wówczas pomiędzy nią a rodziną rozwarła się owa nieprzebyta przepaść. Bo co, gdyby przy nich została? Gdyby wyszła za męża i wychowała Rose zgodnie z ich wiarą, jak wówczas potoczyłoby się ich życie?

Wzdrygnęła się i przerwała gdybanie. Podkręciła dźwięk w radiu, by zagłuszyć myśli. Znów wszechobecny Robbie Williams. Pomyślała o Bo, jego policzku tuż przy jej twarzy, o tym, jak wdychała zapach jego skóry, kiedy tańczyli. I zrobiło jej się smutno. Zadzwoił do niej na komórkę i powiedział krótko, że dziś będzie spał u siebie i że potrzebuje trochę побыć sam.

Znów poczuła, że się od siebie oddalają, ale nie miała siły protestować

ani opowiadać mu o ojcu. A może jak zwykle woli się męczyć w milczeniu, pomyślała i lekko się zawstydziała. No, ale skoro on nie wie, że ona też ma problemy, to właściwie nie powinna mieć pretensji, że zostaje z nimi sama.

Wzrok miała wbity w jezdnię i samochód jadący przed nią. Była godzina szczytu i ruch na Randersvej posuwał się opornie. Kiedy zredukowała bieg na skrzyżowaniu Ringgadekrydset, zadumała się nad tym, jak wielkie zniszczenia poczynił czas.

Ledwie poznała ojca leżącego w jakby za dużym dla niego szpitalnym łóżku. Jej skądinąd silny tato stał się wątłym ucieleśnieniem choroby i starości. Stał się tym wszystkim, z czym nigdy wcześniej go nie kojarzyła.

Dyskretnie zajrzała na oddział i w zaufaniu opowiedziała jednej z pielęgniarek, jak się sprawy mają. Że nikt nie może jej tu widzieć, ale ona musi go odwiedzić, wejść choć na chwilę. Potem siedziała przy nim, trzymała go za rękę i wspominała dawne czasy, próbując telepatycznie przekazać mu swoją siłę. Swoją krew.

Bo właśnie krew okazała się problemem. Murem niechęci i nieufności, o który rozbijały się możliwości lekarzy i szpitala. Pielęgniarka z troską w głosie zdradziła Dicte, że jej matka odmawia transfuzji. Najwyraźniej miała nadzieję, że Dicte mogłaby w jakikolwiek sposób wpłynąć na jej postawę. Oczywiście nadzieję próżną.

– Pani ojcu może być trudno wyjść z tego bez nowej krwi – wyjaśniła szeptem. – Sporo jej stracił.

Dicte poznała również szczegóły obrażeń. Jedna noga została do połowy przecięta, ale lekarzom udało się na razie ją uratować. Druga noga oraz obojczyk były złamane i ojciec miał krwotoki wewnętrzne. Na korytarzach szeptano, że czas pokaże, czy z tego wyjdzie. Dodatkowa krew bardzo by mu pomogła.

Dicte zamknęła oczy, wciąż trzymając go za rękę. Pod cienką skórą czuła kości. Jego dłonie były jak cienie dawnych potężnych pięści. Nagle przed oczami stanęły jej obrazy rzezi, które tak długo udawało jej się trzymać z dala od świadomości. Armagedon. Rzeź, w której wszyscy zginą, a potem tylko świadkowie Jehowy zostaną wpuszczeni do Królestwa Tysiąclecia. Makabryczna wizja prześladowała ją przez sporą część dzieciństwa i

młodości, bo przecież ona nigdy nie była tak doskonała jak Sofie. Kwestionowała prawdy przedstawiane w „Strażnicy”. Ukradkiem podwijała sobie w szkole spódniczkę, żeby była krótsza, a potem, w wieku szesnastu lat, zakochała się w nauczycielu, który przyszedł do ich szkoły na zastępstwo, bez wahania rzuciła w szalony wir uczuć i niemal w nim utonęła.

Zaszła w ciążę i została wykluczona ze wspólnoty. Chłopca, którego urodziła, oddała do adopcji, a sama musiała stopniowo, kawałek po kawałku zbudować sobie nowe życie.

Wszystko oczywiście zaczęło się układać. Z upływem czasu nawet bardzo. Ale nadal czasem ogarniało ją zwątpienie, a w snach dręczyły koszmarnie obrazy Armagedonu i krwawej łaźni. Budziła się z przekonaniem, że któregoś dnia czeka ją właśnie to. Że dla tych, którzy kiedyś ją kochali, dziś jest powietrzem.

Siedząc przy szpitalnym łóżku, ścisnęła dłoń, która kiedyś trzymała ją tak pewnie. Tak bardzo chciałaby móc powiedzieć: „Dla wszystkich, lecz nie dla ciebie, tato. Twojej miłości nie zdołali złamać”.

Lecz to nie byłaby prawda. On także ją odrzucił. I choć Dicte wiedziała, że został zmanipulowany, to przecież żadne usprawiedliwienie. A jednak nie potrafiła mieć mu tego za złe tak, jak miała za złe matce. Nawet pomimo wewnętrznego przekonania, że oboje z własnej woli podejmowali decyzje i ponosili konsekwencje swoich czynów. Jednym z nich było wyrzeczenie się młodszej córki.

Gdy minęła kościół, skręciła w prawo i wezbrała w niej złość tak silna, że musiała ze wszystkich sił się skupić, aby utrzymać samochód na właściwym pasie.

Tak bardzo walczyła, by gniew nie niszczył jej od środka. I przecież w miarę jej się to udawało – do teraz. Do teraz była w stanie tłumić w sobie złość z powodu tego, co jej zrobili, tłumaczyć sobie, że byli tylko ludźmi i po ludzku potrzebowali jakiegoś oparcia. Że w gruncie rzeczy działali w dobrej wierze i dlatego, że sądzili, że tak należy.

Tyle że sytuacja była znacznie bardziej złożona. Rodzice wyparli się jej tak radykalnie, że Dicte nigdy nie zdołała skłonić ich do ustąpienia choćby o milimetr. Jej matka okazała się fanatyczką. Ojciec zaś był słaby i bał się, co

powiedzą albo zrobią starsi zboru. Mimo to miała pewność, że przynajmniej on nosił w sobie niewypowiedziane, a może nawet nieświadomione przekonanie, że dokonali złego wyboru, że powinien być wziąć swoją córkę w obronę i znaleźć w sobie odwagę, by ją kochać.

Może powinna była wtedy go o to zapytać – kiedy jeszcze był w stanie jej odpowiedzieć. Zapytać go, jakie to uczucie być sterowanym przez innych. I czy za nią nie tęskni. Czy można tak po prostu zamknąć się na miłość, zwyczajnie odcinając się od bliskiej osoby?

Rose nie było, ale zostawiła kartkę. Dokładnie tak jak Bo potrzebowała samotności. Wyjechać na trochę. Podpisała się mnóstwem krzyżyków oznaczających całusy, ale Dicte i tak ciężko opadła na krzesło i poczuła, że za moment się rozplacze. Miała wrażenie, że to jest w niej. Że stale przyciąga do siebie śmierć i nieszczęście. Jakby to ona sama chciała, by wydarzało się to, co się wydarzało, a nie była tylko obserwatorem stojącym z boku i opisującym wszystko.

Spojrzała na zegarek. Dochodziła czwarta. Czas na kawę. Z dna zamrażarki wyłowiła worek z bułkami. Włożyła kurtkę, zignorowała pełne wyrzutu spojrzenie Svendsena i poszła do sąsiadów.

– Słyszała pani?

Pomachała workiem z bułkami przed nosem sąsiadki, kiedy ta otwierała drzwi.

– O czym? – zapytała Karen.

– Zatrzymali czterech nastolatków w związku z pożarem stajni. I szkoły.

Szukała w twarzy kobiety oznak ulgi, ale ta rozkojarzona pokiwała tylko głową i gestem zaprosiła Dicte do środka.

– Dzwonił ten człowiek. Z policji.

Wykonała dłonią ruch, jakby próbowała sobie przypomnieć nazwisko.

– Wagner?

– Właśnie. Wagner. Wydaje się życzliwy.

To dobre określenie: życzliwy, pomyślała Dicte, idąc za sąsiadką do

kuchni. Dość obszerne. Nie wykluczało pewnej szorstkości i przenikliwości.

– Tak. Jest w porządku.

Karen zabrała leżącą na krześle gazetę i gestem zaprosiła Dicte, żeby usiadła.

– Zna go pani?

Możliwe, że znała go lepiej, niż on zdawał sobie z tego sprawę, pomyślała. Bardzo się od siebie różnili, a jednak łączyło ich coś niewyjaśnionego. Może to, że łatwo nie odpuszczali. Jakaś systematyczność. Albo w ostateczności – zawziętość.

– Trochę – przyznała Dicte. – Mieszka z moją przyjaciółką i jej małym dzieckiem. No i czasem wpadamy na siebie w związku z pracą.

Karen nastawiła czajnik, rozcięła worek z bułkami i włożyła je do opiekacza.

– W takim razie może powinnam mu była powiedzieć.

– O czym?

Kobieta otwarła szafkę i wyjęła z niej słoik miodu. Maselniczka stała już na stole.

– O Lise.

Odwróciła się do Dicte i postawiła miód na rozkładanym stole kuchennym.

– Kim jest Lise?

Sąsiadka miała usiąść, ale w tym momencie woda się zagotowała i nagle jej dłonie stały się bardzo zajęte nalewaniem wody do czajnika i ustawianiem filiżanek.

– Córką Inger – powiedziała odwrócona plecami.

Dicte nie reagowała. Oddychała tylko bezdźwięcznie. Ustami.

Karen w końcu usiadła spokojnie na krześle – nie miała już czym zająć dłoni. Herbata, filiżanki i serwetki, wszystko było na stole.

– Może powinnam była opowiedzieć o sekcie. I o Inger – powiedziała wreszcie.

Przez chwilę siedziała nieruchomo. Dicte widziała, że szuka odpowiednich słów i smakuje je w ustach, zanim pozwoli im się wydostać. Wyczuwała, że tłumila je w sobie, być może również podczas przesłuchania z Wagnerem. Może mimo wszystko zabrakło między nimi tej poufności, jaką Karen poczuła w rozmowie z nią. Bo to nie on zauważył ogień i uratował konie. Albo zwyczajnie dlatego, że on był na służbie, a Dicte tylko wpadła z sąsiedzką wizytą, przynosząc zamrożone bułki, bo akurat potrzebowała towarzystwa.

– Inger należała do osób, które nazywa się poszukującymi – zaczęła Karen. – Nigdy nie była w pełni szczęśliwa ani zadowolona. Zawsze szukała jakiegoś sensu.

Przygotowała im obu herbaty, po czym położyła zaparzaczkę na spodeczku.

– Mama była organistką tutaj, w wiosce. Zmarła w wieku czterdziestu pięciu lat, kiedy obie z Inger byłyśmy nastolatkami i nadal mieszkaliśmy w rodzinnym domu. Tato dostał niewielkiego wylewu i przez ponad rok cierpiał na afazję.

Spojrzała na Dicte, jakby sprawdzała, czy dalej słucha.

– Mój brat, wówczas sześćioletni, został wysłany do naszych krewnych, żeby z nimi zamieszkać. To miało być tymczasowe rozwiązanie, ale ostatecznie go adoptowali.

Karen przepaszająco rozłożyła ręce.

– Potem Inger się wyprowadziła i zaczęła naukę w seminarium nauczycielskim. Już wtedy było jasne, że ma skłonność do zakochiwania się w nieodpowiednich mężczyznach. Z reguły w brutalnych macho. Jej mąż, Henry, taki właśnie był – ciągnęła. – Ale kiedy w końcu umarł, przed trzema laty, w Inger zaszła jakaś zmiana. Zaczęła szukać sensu istnienia i fascynowały ją rozmaite ruchy alternatywne. Ostatecznie została wciągnięta do sekty, której członkowie nazywają siebie Bożymi Kwiatami, i zindoktrynowana.

Karen wzięła zaparzaczkę ze spodka i kilkakrotnie zanurzyła go w swojej

filizance, aż herbata nabrała intensywniejszego koloru.

– Zindoktrynowana? Chce pani powiedzieć, że była tam wbrew swojej woli? – spytała Dicte.

W spojrzeniu Karen zobaczyła zniechęcenie, a w jej głosie usłyszała gniewny ton.

– Oczywiście, że była tam z własnej woli, na początku. Ale kiedy kończy się owa własna wola? W którym momencie władzę przejmuje ktoś drugi?

Kobieta z powrotem odłożyła zaparzaczkę. Dicte poczuła ukłucie gdzieś w środku i przypomniała sobie ojca. Karen mówiła dalej.

– Sekcie przewodził pewien mężczyzna. Niezwykle charyzmatyczny – dodała i spojrzała na Dicte. – Inger zakochała się w nim bez opamiętania. Mieszkali we wspólnocie w Åbyhøj, głównie samotne kobiety. Niektóre z dziećmi.

– Jak on się nazywał?

– Anders Langballe.

To nazwisko coś jej mówiło. Dicte przetrząsnęła szufladki pamięci i znalazła je. Davidsen opisywał tę historię pół roku temu. Przywódca sekty pobił kobietę na śmierć, oddając się czemuś, co nazywano kultem sadomasochistycznym. Rzekomo był to nieszczęśliwy wypadek. Takie rzeczy niestety się zdarzają, kiedy ktoś pozwala się związać i batożyć. Przysięgli nie uwierzyli jednak w niewinność tego człowieka i o ile Dicte się orientowała, nadal siedział w więzieniu.

Pokiwała głową.

– Tak, pamiętam tę historię. Ale co z Lise? Co ona ma wspólnego z sektą?

Karen wydeła usta. Dicte wyraźnie widziała nieufność w twarzy sąsiadki. Ale dostrzegła coś jeszcze. Miłość? Tak trudno było to rozszyfrować.

– Lise miała trzynaście lat, kiedy razem z Inger zamieszkała we wspólnocie. Langballe wziął ją sobie za partnerkę seksualną. Trzynastoletnią dziewczynkę.

– A gdy doszło do tamtej zbrodni?

Karen westchnęła.

– Dziewczyna się zakochała. Wyprano jej mózg. A może zadziałały oba te czynniki naraz. Dość, że zeznawała na jego korzyść.

– A Inger?

Karen wzruszyła ramionami. Dicte pomyślała, że być może czuje ulgę z powodu ujawnienia całej prawdy.

– Inger wprowadziła się tutaj. Lise jej odebrano. A potem Lise uciekła od wychowawców, którzy mieli jej pilnować. Znikła miesiąc temu.

Dicte znowu poczuła ucisk w żołądku. Tęsknota za Rose sprawiała jej fizyczny ból.

– Wie pani, gdzie jest?

Karen spojrzała na nią.

– Była tu. Dzisiaj.

15

Pocałunek był jak jedwab. Albo jak wers pięknej piosenki – nie wiedział, które porównanie jest trafniejsze. W każdym razie otrzymał go całkiem niespodziewanie. Miękkie wargi musnęły jego plecy i przesunęły się w górę, zatrzymały na karku i tam powoli wypuściły westchnienie. Nie mógł go oczywiście usłyszeć, ale poczuł je jako nieznaczne drżenie pod kołdrą.

– Śpisz?

Szept Idy Marie dotarł do jego ucha razem z wilgocią jej ust. Mógł spojrzeć na budzik i stwierdzić, że potrzebuje jeszcze pół godziny snu. Mógł też szeptem przypomnieć jej, że Martin pewnie obudzi się za jakieś dziesięć minut z żądaniem niepodzielnej uwagi swojej matki. Ale takich rzeczy się nie mówi, kiedy ktoś podaje człowiekowi szczęście na srebrnej tacy, nawet jeśli to robi o szóstej rano. Tylko niewdzięcznik nie przyjąłby takiego daru.

– Tak.

Mruknął, wiedząc doskonale, że w tej jednej sylabie usłyszała, że jej pragnie. I rzeczywiście przysunęła się do niego bliżej i poczuł jej całe ciało przyklejone do swojego przez cienką warstwę koszulki. Jej nogi owinięły się wokół jego nóg i ramiona jak u ośmiornicy przyciągnęły go do siebie. Pożądanie niebezpiecznie i gwałtownie się w nim nasilało.

– Uważaj, co robisz, dziewczyno.

Uśmiechnęła się. To również poczuł, na wysokości swojej łopatki. A po chwili język, sam czubek, bardzo powoli okrążający obszar wielkości małej monety. Skóra i zakończenia nerwowe właśnie tyle warte, pomyślał, nim znów skupił się na pożądaniu.

I w końcu musiał to zrobić. Odwrócił się, odszukał w ciemności jej twarz i zatracił się w niebieskim spojrzeniu, w refleksach jasnych syrenich loków

rozrzuconych na poduszce i prześcieradle. Przyjął ją w swoich ramionach – z jej bezbronnym oddaniem i bezwstydnym pożądaniem, które tak go rozczulały.

– Zrób coś – błagała, a w jej głosie słychać było, że się uśmiecha. – Zrób coś ze mną.

W jego głowie kołatało się angielskie zdanie. *Your wish is my command*. Nie wymówił go jednak, bo nie miał czasu. Poza tym było to również jego życzenie.

Kiedy Martin się obudził, była już wykąpana. Wagner przyglądał się, jak naga wchodzi do sypialni ze swoim synem na rękach. Położyła go w zagłębieniu ich podwójnego łóżka, całowała małe stópki i zabawnie prychała mu w szyję, aż mały głośno się zaśmiewał. Po chwili on również wstał, poszedł do łazienki, a potem zszedł na dół i włączył piekarnik, w którym rozsypał ziarna kawy do prażenia. Pięć minut, nie więcej. Po tym czasie zapach wlewał się w głąb jego duszy, łącząc się uprzednio z aromatem porannej miłości i niemowlęcej słodyczy. Wagner pomyślał – nie po raz pierwszy – że jest najszczęśliwszym gliną na świecie. Wiedział, że powinien dobrze to uczucie zapamiętać i gdzieś je bezpiecznie przechować, bo nim się obejrzy, może mu się ono przydać.

I faktycznie przydało się, kiedy tylko otworzył gazetę, gdzie mógł przeczytać, że czterej młodzi chłopcy przyznali się nie tylko do podłożenia ognia w trzech szkołach, ale również do dewastacji na cmentarzach i wielu innych przestępstw.

Nie było to dla niego zaskoczeniem, przecież osobiście ich przesłuchiwał, razem z Janem Hansenem. Ale mimo wszystko co innego zobaczyć to czarno na białym, ubrane w słowa i podane do porannej kawy, kiedy siedzi się spokojnie i jeszcze nie jest policjantem, tylko zwykłym mieszkańcem. Przy okazji dowiedział się również, że wszyscy czterej odpowiadali za znęcanie się nad czterema królikami i zabicie ich w Dziecięcej Zagrodzie w centralnej dzielnicy miasta Øgadekvarteret. Nocą, tuż przed Bożym Narodzeniem przeszli przez ogrodzenie i rzucali trzema bezbronnymi stworzeniami w rosnące w okolicy drzewa i klatki, znaleziono tam potem krew i fragmenty futra. Na koniec powiesili martwe zwierzęta na ogromnej choince ustawionej

na placu zabaw. W najbliższy weekend wrócili, żeby zabić czwartego królika. Zrobili to kamieniem. W ten sam weekend zdewastowali szkołę przy Samsøgade.

Wagnerowi mało rzeczy odbierało apetyt – na szczęście, zważywszy na charakter jego pracy. Dziś jednak poczuł, że nie jest w stanie nic przełknąć. Odsunął na bok połówkę kromki ciemnego chleba z serem i zdecydował się pozostać przy kawie, która z jakiegoś powodu również niespecjalnie mu smakowała.

Na próżno szukał pod artykułami nazwiska Dicte Svendsen. Przypomnił sobie, że nie było jej również ani na posiedzeniu wstępnym, ani na konferencji prasowej, co wydawało mu się bardzo dziwne. To do niej niepodobne porzucić sprawę, kiedy właśnie nabiera tempa.

Przekartkował gazetę i raz jeszcze przesunął wzrokiem po stronie z artykułami na ten temat. Wszystkie napisał jakiś Holger Søborg. Wagner nagle zatęsknił za wyważonym językiem Dicte. Zirykowało go, że w jednym z tekstów autor otwarcie brał nastolatków w obronę. Twierdził, że jesienią rodzice jednego z chłopców bezskutecznie zwracali się do rozmaitych instytucji po radę i pomoc psychologiczną, bo z ich synem „było bardzo źle”.

Wagner odsunął gazetę. Nagle zrobiło mu się niedobrze. Czy naprawdę był taki nieczuły i zawzięty, czy też coś tu nie gra? W artykule opisano tych chłopców jako „zagubionych”, a ich postępowanie nazwano „wołaniem o pomoc”. Pomyślał o tamtych królikach. O rysunkach dzieci i misiu Simonie. Czy tym młodym ludziom naprawdę należało współczuć? Czy naprawdę trzeba było ich żałować, bo być może ciężko znosili dorastanie i uzależnili się od haszu i grzybów? Nie potrafił znaleźć w sobie zrozumienia dla ich postępowania.

Dopił kawę i odreagował swój gniew na dziennikarzu – tym jakimś tam Holgerze. Uznał w duszy, że gość jest idiotą, po czym wstał i włożył marynarkę. Ida Marie z dziećmi już dawno wyszła.

Raz jeszcze omiół złym wzrokiem dziennik na kuchennym stole. Na pierwszej stronie królowało zdjęcie z cmentarza w Hornslet. Przedstawiało kamienny nagrobek w kształcie krzyża, przewrócony i roztrzaskany na trzy części. Nagłówek brzmiał: „Błagalna prośba matek: pomóżcie naszym

synom”.

Bez zastanowienia porwał gazetę, zgniótł ją i wrzucił do kosza. O ile pokoleń trzeba się cofnąć, by wskazać odpowiedzialnych za czyny popełniane obecnie? Czyżby sugerowali, że każdy powinien był się poważnie zastanowić, zanim sprowadził na ten świat dzieci? Przygotować się na ryzyko związane z reprodukcją własnych genów? Ryzyko, że te dzieci któregoś dnia będą się tłumaczyły nieszczęśliwym dzieciństwem albo brakiem czasu czy czułości, kiedy popełnią poważne przestępstwo? Oczywiście, że pewne czynniki występujące w czasie dorastania realnie i bezpośrednio kształtują dzieci na młodych przestępców, ale czy nie widać obecnie pewnej przykrej skłonności, by zawsze szukać usprawiedliwienia i w ten sposób przerzucać choć część odpowiedzialności ze sprawcy na jego otoczenie?

Wagner zamknął już drzwi swojego domu jednorodzinnego w Viby, kiedy sobie uświadomił, że zapomniał nakarmić kota. Także jego standard życia poprawił się, odkąd zamieszkała z nimi Ida Marie. Tanią karmę z Netto zastąpiła piekielnie droga sucha mieszanka zarekomendowana przez weterynarza.

A może całe zamieszanie wynika stąd, że wszyscy czterej chłopcy mają duńskie nazwiska i wychowali się w duńskich rodzinach, pomyślał, kiedy napełniał miskę małymi suchymi grudkami pod sceptycznym wzrokiem Robina. Strach pomyśleć, co by pisano, gdyby chodziło o Mustafę, Mehmeta, Hassana i Alego. Czy wówczas prasa nie potraktowałaby ich zgoła inaczej?

To ostatnie pytanie mruknął na głos do samego siebie. Usłyszał je tylko kot i oczywiście nie odpowiedział, a jedynie patrzył na niego oskarżycielsko. Zdecydowanie nie odpowiadało mu nowe menu, bo tak naprawdę lubił puszki z Netto, podobnie jak on sam wolał pulpety od sałatki z makaronem, maleńkimi kawałkami pozbawionego smaku kurczaka i rukoli, której nie dało się nawet porządnie nabić na widelec.

– Pomyśl, że to zdrowe. Smacznego – powiedział i podrapał kota za uchem, zanim wyszedł z domu po raz drugi.

I wtedy, w drodze na komendę, w jego rozmyślania zakradła się niepewność. Zaczął się bowiem zastanawiać, jak by się z tym czuł, gdyby to jego syn zrobił coś tak potwornego jak tamta czwórka. Znał samego siebie

wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że pewnie potępiłby dzieciaka i uważał, że powinien ponieść karę, ale najbardziej obwiniałby siebie.

Zaparkował na podziemnym parkingu pod aresztem i doszedł do wniosku, że chyba dotarł do momentu, w którym kończy się logika i ludzkie postawy ocenia się różną miarą w zależności od tego, czy jest się osobiście zaangażowanym w sprawę, czy nie. Zrozumiał wówczas, że bez względu na to, jaki wyrok zapadnie w sprawie tych chłopaków, najciężej ukarani zostaną ich rodzice.

– Zaczynamy?

Jan Hansen specjalnie na tę okazję ogolił sobie głowę. Czaszka lśniła mu jak posmarowana wazeliną. Mięśnie na karku układały się w fałdy. Wagnerowi się to spodobało. Nie zaszkodzi wzbudzić w młodych odrobinę szacunku.

W pokoju przesłuchań siedział szesnastoletni chłopak. Wyglądał na spokojnego. Nieco się garbił i sprawiał wrażenie trochę wycofanego. Na posiedzeniu wstępnym był hardy, ale Wagner dostrzegł jego krótki uścisk z matką, zanim go odprowadzono do aresztu.

Skinął chłopakowi na powitanie. Hansen z kolei uderzył w jowialną nutę i rzucił „witamy ponownie”. Chłopak posłał im spojrzenie tylko odrobinę zmiękczone w stosunku do tego z wczoraj, twardego i zimnego. Wagner uznał, że jest emocjonalnie odrętwiały, choć sam doskonale wiedział, że wyciąga pochopne wnioski.

– Chcemy z tobą porozmawiać o tym, co się wydarzyło w Kasted – zaczął bez ogródek Hansen.

Chłopak miał na imię Mikkel i pochodził z tak zwanego dobrego domu. Nigdy wcześniej nie miał kontaktu z policją. Siedział naburmuszony, przesunął wzrokiem po gołych ścianach i utkwiał go w blacie stołu. Wagner zdziwił się, że ma takie długie rzęsy. W sumie ładny dzieciak.

– Nie mamy nic wspólnego z zabójstwem nauczycielki.

– Inger Graugaard – przypomniał mu Hansen. – Ta kobieta ma imię.

– Tak. I co z tego?

Hansen westchnął. Wagner pozwolił jemu poprowadzić ten koncert. Hansen był w tym dobry i między innymi dlatego Wagner tak zabiegał, aby go przeniesiono do Wydziału Kryminalnego.

– Powtórz: Inger Graugaard. Tak nazywał się człowiek, którego zabiliście.

– Nikogo nie zabiliśmy.

– A króliki?

Wzrok chłopaka powędrował na sufit. To złudzenie, czy na jego twarzy pojawił się słaby uśmiech? Może tylko cień i światło załamały się na jego wargach? Wagner nie miał pewności.

– To przecież co innego. To były tylko zwierzęta.

– Niektórzy powiedzieliby, że to żywe istoty – mruknął Wagner.

Chłopak rzucił mu krótkie spojrzenie i znów wbił wzrok w ścianę.

– Uczyła cię, prawda? Co się stało? – dociekał Hansen, teraz głosem dobrego wujka. Takim, który przekonuje: „możesz mi zaufać”.

Lecz Mikkel nie dał się nabrać.

– Nic – odparł neutralnym tonem.

– Dlaczego więc trzeba było puścić z dymem jej mieszkanie? – wciąż kojącym głosem pytał Hansen. – A może to przypadek, że tamtej nocy, po spaleniu szkoły Møllevang, wskoczyliście na skutery i pojechaliście za miasto?

Wszystko to mówił tonem łagodnym i miłym. I spokojnym, zupełnie niepasującym do jego łysej czaszki i potężnego karku. Chłopak poruszył się nerwowo na krześle.

– Jasne, że to nie był przypadek – mruknął ledwie słyszalnie. – Nie jesteśmy debilami.

Wagner chrząknął.

– Napijesz się coli?

Chłopak spojrzał na niego podejrzliwie, ale w końcu pokiwał głową.

Wagner wstał więc, otworzył drzwi i dał znak stojącemu na korytarzu funkcjonariuszowi, a ten po chwili przyniósł butelkę i plastikowe kubki.

– Skoro mówisz, że to nie był przypadek, to znaczy, że to zaplanowaliście – podsumował Hansen chwilę później.

Mikkel pośpiesznie nalał coli do kubka, aż się zapieniła. Nie odpowiedział.

Wagner pochylił się nieco do przodu. Wydawało mu się, że widzi, jak w skroniach nastolatka pulsuje krew. Pomyślał o tamtych królikach. To dziwne, że nie o morderstwie ani o koniach, lecz o zakrwawionych królikach wiszących jak ozdoby na choince dla dzieci.

– To była nauczka, prawda? – posłużył się sformułowaniem Ivara K.

Chłopak długo milczał. W końcu jednak pokiwał głową ze wzrokiem wbitym w kubek coli.

– Ale ja sam to zrobiłem – rzucił zaczepnie. – Pozostali nie chcieli, więc sam tam pojechałem. Tylko że nie ja ją zabiłem – dodał niewyraźnie, a potem prawie bezgłośnie wyjaśnił: – Podłożyłem tylko ogień i narobiłem trochę bałaganu w domu.

„To nie byłem ja”. Wagner posłał Hansenowi krótkie spojrzenie i już wiedział, że obaj myślą to samo. Znali tę śpiewkę na pamięć i nie robiła na nich wrażenia.

– Dlaczego Inger Graugaard miała dostać nauczkę?

Chłopak przez chwilę obracał w dłoniach plastikowy kubek. Wagner zauważył, że paznokcie ma obgryzione do krwi.

Ich spojrzenia się spotkały. Oczy Mikkela zapłonęły nienawiścią.

– Bo była wredną suką.

16

– Najlepiej posłuż się mną jako wymówką.

– Tobą?

Dicte podniosła filiżankę do ust i wzięła łyk ciepłej kawy. Teraz, w lutym, w środowe przedpołudnie kafejka nad rzeką była prawie pusta.

Pijąc, przyglądała się Anne. Zawsze racjonalnie myślącej Anne, którą niewiele rzeczy było w stanie wyprowadzić z równowagi. Urodzonej w Korei, adoptowanej przez Duńczyków i wychowanej na plebanii we wschodniej Jutlandii. Kiedy dziecko Idy Marie rok temu zniknęło z oddziału położniczego szpitala Skejby, Anne jako tamtejsza położna obwiniła siebie. Taka właśnie była. Czuła się odpowiedzialna nawet wtedy, kiedy nie była.

– Powiedz, że mam znajomą ze szkoły pielęgniarzkiej, która pracuje na OIOM-ie, i przypadkiem powiedziała o kilka słów za wiele na temat jednego z pacjentów.

Może to jest jakiś sposób. Jakieś wyjście. Myśl była kusząca, ale Dicte ją odrzuciła.

– Wpadniesz przez to tylko w tarapaty.

Anne się roześmiała. Skośne szparki jej oczu podniosły się, a nos zmarszczył jak zawsze. Tak, jak marszczył się jeszcze w czasach, kiedy się poznały w szkole średniej – sto lat temu, gdy ona sama przyjechała do Århus, żeby zbudować sobie życie.

– Tarapaty – powtórzyła Anne. – Brzmi jak z *Kaczora Donalda*. Albo *Braci Be*, albo *Myszki Miki*.

Dicte również się uśmiechnęła. Matki chłopców w drugiej klasie podstawówki miewały najdziwaczniejsze skojarzenia. Jacob Anne był wielkim fanem *Kaczora Donalda*.

– Co do *Braci Be*, to chyba raczej narobić sobie pasztetu.

Anne wzruszyła tylko ramionami.

– Ale wiesz, o co mi chodzi, prawda? Trzeba chronić twoją siostrę. A jeśli ja dostanę po nosie, to co z tego.

Czubkiem wskazującego palca jeszcze bardziej rozplaszczyła sobie nos. Stara przyjaźń nie rdzewieje, pomyślała Dicte.

– Bo to, że musisz z nią porozmawiać, nie ulega wątpliwości. Obie o tym wiemy – przypomniała jej Anne.

Oczywiście, że o tym wiedziała. Tylko matka mogła wyrazić zgodę na transfuzję, bo rodzice oboje notarialnie potwierdzili, że odmawiają przetaczania krwi. Szpital mógł obalić ten dokument drogą sądową, ale to by trwało i możliwe, że nim zapadłby wyrok, dla jej ojca byłoby za późno.

Możliwe, że już jest za późno.

Na tę myśl Dicte przeszedł pod swetrem zimny dreszcz. Zaszło jej w ustach i wzięła kolejny łyk kawy.

– Tak. Wiem.

– Dlatego powołasz się na mnie – powtórzyła Anne. – Mnie nic nie grozi, nikt mnie znikąd nie wyrzuci.

Anne miała słuszość. Gdyby wyszło na jaw, że Sofie spotkała się z nią w redakcji, grono starszych miałoby podstawy, aby wykluczyć ją ze zboru.

– A co z tym zabójstwem na bagnach – Anne zmieniła temat. – Panujesz nad sytuacją?

Na krótką chwilę Dicte zapomniała o transfuzji. Opowiedziała przyjaciółce o Holgerze Søborgu i milionach, które muszą się znaleźć, by załatać dziury w budżecie gazety.

Anne pochyliła się ku niej i wbiła palec w jej ramię.

– Na tobie na pewno nie będą oszczędzali. Czy ten stażysta ma takie kontakty w komendzie jak ty?

Dicte dopiła kawę i odstawiła filiżankę na spodek.

– Jeśli masz na myśli Wagnera, to nie wydaje się szczególnie skory do współpracy. Poza tym gniewa się na mnie, bo nie kontaktowałam się z Idą Marie.

– A dlaczego właściwie do niej nie zadzwonisz? Ona często o ciebie pyta.

Znów to samo. Ją także nurtuje to pytanie, ale wciąż nie znajduje na nie zadowalającej odpowiedzi. Anne spojrzała na nią badawczo, szukając w torebce portfela.

– Może dlatego, że ona ma coś, czego ty nie masz – odpowiedziała uprzejmie, odpowiadając tym samym na własne pytanie.

– Co takiego?

Palce Dicte bezwiednie owinęły się wokół łyżeczki i zaczęły nią obracać. Brzegi sztućca wbijały się w skórę.

– No co niby? – powtórzyła. – Poza włosami jak syrena i biurem podróży. I oczywiście poza dzieckiem.

Anne wzrokiem odszukała kelnera i pomachała mu. Następnie z powrotem skupiła spojrzenie na przyjaciółce.

– Jego.

– Martina? Nie sądzisz, że wystarczy już dzieci w moim życiu? Mam Rose i gdzieś tam mam syna, którego imienia nawet nie znam?

Zrobiło jej się nieprzyjemnie i cała się spięła. Siedziała na krawędzi krzesła. Kanciasta łyżeczka jeszcze głębiej zanurzyła się w opuszek kciuka.

Anne pokręciła głową.

– Nie chodziło mi o dzieci.

– O Wagnera? – Dicte uśmiechnęła się z ulgą i napięcie z niej opadło, bo konkluzja Anne była tak ewidentnie błędna. – A na co by mi był policjant?

– Może nie konkretnie on – sprecyzowała Anne i wręczyła kelnerowi swoją kartę, zanim Dicte zdążyła zaprotestować – ale bezpieczna przystań – dokończyła. – W znaczeniu przenośnym, oczywiście.

Anne wstała i włożyła płaszcz, i zanim Dicte zdążyła się zastanowić nad

odpowiedzią, krótko ją uścisnęła i już jej nie było.

Dicte odsunęła Idę Marie na szary koniec listy swoich problemów i przeszła pośpiesznie na drugą stronę na parking domu towarowego Magasin, gdzie zostawiła samochód. Trzymając się Åboulevard, dojechała do szpitala komunalnego, a kiedy dotarła na miejsce i ruszyła w ślad za oznaczeniami na oddział intensywnej terapii, nadzieja wymieszana ze strachem ścisnęła ją za gardło.

Krew. Myśli kotłowały się w jej głowie, kiedy szła korytarzem. Przypomniała jej się leżąca na mokradłach Inger Graugaard. Po co ktoś użył jeszcze siekiery? Może sam sznur wydał się sprawcy zbyt trywialny, bo nie było krwi. Może to jakaś forma pragnienia. Pragnienia krwi, które teraz sama odczuwała, ale wyłącznie dlatego, że w tej chwili krew oznaczała życie. Czy można równie mocno pragnąć przeciwieństwa życia?

Może po prostu przetoczą mu tę cholerną krew, nie czekając na pozwolenie. Lekarze są przecież od ratowania życia. Od naprawiania ludzi, żeby mogli dalej funkcjonować. Żeby ona, Dicte, mogła snuć własną historię, zostawiając rodzinę w świecie przeszłości. Stracić Holgera Søborga ze świecznika i poukładać sobie w głowie – również to Anne mogła mieć na myśli, mówiąc o bezpiecznej przystani.

Krew.

Z każdym krokiem mocniej dudniła jej w skroniach. Nogi same ją niosły, coraz bardziej przyspieszając, a stukanie obcasów jej kozaków odbijało się głośnym echem w jej czaszce. Zmarnowała tyle czasu. Kręciła się w kółko, nie rozumiejąc, co jest teraz najważniejsze. Powinna była już wczoraj złapać tego lekarza. Porządnie nim potrząsnąć i rozkazać mu, aby podłączył ojcu osocze. Powinna była odszukać matkę i wykrzyczeć jej w twarz, że żarty się skończyły. Że ma wziąć się w garść. Zgodzić się i podziękować. Powinna również znaleźć Bo i zmusić go, by jej wysłuchał i pogodził się z faktem, że rozwód pociąga określone konsekwencje i jedną z nich jest to, że człowiekowi żywcem wyrywa się serce, bo nie może być stale blisko swoich dzieci. I idąc za ciosem, powinna była też dorwać Johna Wagnera i zwrócić mu uwagę, że nastoletni chłopcy nie potrafią wiązać węzłów stryczkowych. Przede wszystkim jednak powinna była powiedzieć swojemu ojcu, że go

kocha.

Zdecydowanym krokiem pokonała ostatnie metry i w drzwiach do pokoju ojca zderzyła się z pielęgniarką, na której twarzy malowała się powaga. Dicte przecisnęła się obok niej i przy łóżku zastała je obie – swoją matkę i siostrę. Wydały jej się postaciami z obrazu Rembrandta, uchwyconymi na granicy cienia i ostrego światła. W pokoju panowała absolutna cisza. Śmierć była tak blisko, że niemal można było jej dotknąć.

– Tato.

Wymówiła to słowo obcym, zduszonym głosem.

Twarze obu kobiet zwróciły się ku niej, jakby były zatknięte na lodygach. Matka, szara i zmęczona, ale nadal z żarem w oczach, gotowa poświęcić wszystko. Twarz siostry przesłonił cień, kiedy ich oczy się spotkały. W powietrzu zawisło niewypowiedziane pytanie. Usta matki poruszały się, ale żaden dźwięk się z nich nie dobywał. Potem odwróciła się plecami i skuliła, jakby chciała osłonić leżącego w łóżku mężczyznę, który już odszedł.

Dicte zbliżyła się do krawędzi łóżka. Nie wiedziała, czy najpierw o tym pomyślała, czy działała bez zastanowienia, gdy odepchnęła matkę z wściekłością, która ją niemal dusiła. Jesteś zadowolona? chciała zapytać. Będziesz teraz odgrywać męczennicę?

Lecz słowa utknęły jej w gardle. Ujęła bezwładną dłoń. Osunęła się na łóżko, pochylając się nad nim i nie zauważając zupełnie, że wszystkie urządzenia milczą, a rurki, które odłączono już od jego ciała, zwisają beużytecznie. Nie czuła nawet łez, które kapały na poduszkę i twarz ojca.

– Tato. Tato. Kocham cię.

Może minęła ledwie sekunda. A może kilka minut. Dicte wyprostowała się i rozejrzała po pomieszczeniu. Rozum mówił jej, że jest za późno, ale nie chciała go słuchać.

– No idźcie po lekarza. Zróbcie coś. Co tak siedzicie?

Ale one dalej milczały. W oczach Sofie dostrzegła niemą modlitwę. Wbite w nią niebieskie oczy matki były puste.

– Morderczyni – słowo padło, nim zdołała je powstrzymać. – Jesteś

zwykłą morderczynią.

Dziwnie to zabrzmiało w jej ustach. Miało ostry, metaliczny posmak. Krew, pomyślała znowu.

Matka zamrugwała. Zobaczyła coś, jakby oszołomienie sprawiło, że odsłoniła się kurtyna. Po chwili jednak wzrok znów miała pozbawiony wyrazu.

Dicte przeszły ciarki. Wiedziała, że musi stąd wyjść jak najszybciej, zanim spełni rzucane w myślach groźby i stanie się tym, co sama przed chwilą rzuciła w twarz matce. Morderczynią.

Słowa dudniły jej w uszach, gdy wybiegła z sali i gnała korytarzem. Morderczyni. Krew. Morderczyni. Krew.

W głowie huczało jej przez całą drogę do domu. Ale gdy otworzyła drzwi i ucieszony Svendsen wybiegł jej na spotkanie, poczuła, że wcale nie chce tam być. Nagle nie wiedziała już, co to w ogóle jest dom. Czy w domu nie powinien ktoś być? Na przykład prawie dorosła córka, albo przynajmniej partner, który się martwi? Czy może ona oczekuje zbyt wiele? Czy zawsze musi być tak cholernie samowystarczalna? Czy absolutnie niemożliwe jest, aby ludzie mogli na siebie liczyć, kiedy któreś z nich tonie? Czy nie można oczekiwać, że bliscy choć trochę się domyślą i przybędą z odsieczą?

Rzuciła torbę na krzesło i kręciła się niespokojnie, a zdezorientowany Svendsen schował się pod kredensem. Wyjęła z szuflady korkociąg, a z wmurowanej w ścianę półki zdjęła butelkę czerwonego wina. „Żeby się lepiej myślało”, powiedziała do siebie. Trochę spokoju. Trochę dystansu. Przytłumić. Może zasnąć.

Ale sen nie przychodził, zresztą była dopiero piąta. Obdzwoniła ludzi, ale na próżno. Anne miała dyżur, a Torsten był i pozostanie eksmężem – jego poczta głosowa włączyła się tekstem „dodzwoniłeś się do Torstena i Sandry”, bo nie odebrał. Relacja z Idą Marie była w tym momencie zbyt skomplikowana. Ostatecznie zostawiła wiadomość na komórce Rose. Potem naląła sobie drugi kieliszek, po czym usadowiła się w salonie na kanapie z kocem na kolanach i psem w nogach i wreszcie puściła myśli luzem.

To dziwne, zastanowiła się, jak człowiek sam siebie potrafi oszukiwać.

Sądziła przecież, że już nie nosi go w swoim sercu. Że czas zaleczył ranę, a dawną miłość pokrył kurz. Tymczasem było inaczej. Bez względu na to, jak wiele miała powodów, by go potępiać, a nawet nienawidzić, ojciec pozostał dla niej ważny przez te wszystkie lata. Przed oczami stanęły jej różne obrazy. Kiedy była mała, a tato był najlepszy na świecie. Wciąż czuła jego dłoń, która chwyciła ją za rękę, gdy Sofie sypnęła w nią piaskiem i przez chwilę nic nie widziała. Pamiętała, jak wziął ją wtedy na ręce i zaniósł do domu, i swoją bezgraniczną wiarę we wszystko, co powiedział.

Zawsze go kochała. I nigdy, odkąd skończyła szesnaście lat, nie straciła nadziei, że któregoś dnia wybierze ją zamiast życia, jakie wiódł. Zamiast zboru świadków Jehowy i miejsca w Królestwie Tysiąclecia. Zamiast jej matki i jej siostry.

Dopiero przy ostatnim kieliszku mięśnie w końcu zaczęły się rozluźniać, a w myśli zakradło się zmęczenie. Wiedziała, że powinna iść do łóżka. Wstać z kanapy, umyć zęby i poczerwione winem usta, zdjąć ubranie i we flanelowej koszuli i ciepłych skarpetach wsunąć się pod kołdrę.

Ale kanapa była miękka, a koc dawał ciepło. Svendsen błogo leżał na drugim końcu z głową opartą na jej stopach, rozkoszując się rzadką okazją do wspólnego wylegiwania. Poza tym szumiało jej w głowie. Możliwe, że gdyby wstała, zrobiłoby jej się słabo.

Przymknęła oczy tylko na chwilę. Widziała, że nadciągają czerwone chmury, ale zdawała sobie również sprawę, że skoro sen pociągnął ją ku sobie, jest już za późno. Zobaczyła ciało, skulone wśród bagien, z pętlą na szyi. I krew, która zmieniła się w rzekę meandrującą wokół drzew, i twarz, którą tak dobrze знаła. Włosy matki, rozrzucone jak pomalowany na czerwono wachlarz. Poczowała, jak miękkie bagniste podłoże ugina się pod jej stopami, poczuła także ciężar siekiery w swoich dłoniach, gdy zamachnęła się po raz ostatni.

Karen wyciągnęła rękę i odnalazła na prześcieradle potężną dłoń śpiącego Sørena odwróconą wierzchem do góry. Wsunęła w nią swoją dłoń i długo leżała, udając, że śpi. Pomyślała, że może dzięki temu sen łatwiej przyjdzie. Może uda się go nabrać, by nadłożył drogi i zahaczył też o nią.

Lecz wciąż ją omijał. Jakby przez cały czas unosił się tuż pod sufitem, ale miał trudności z opadnięciem. W dzieciństwie mama śpiewała jej *Dobranoc, Maryjo*. Wtedy była pełna wiary, która jej wystarczała. Może więc dlatego teraz nie potrafi zasnąć. Może całkiem straciła wiarę.

Ta myśl ubodła ją w samo serce, a ono natychmiast zaczęło walić jak oszalałe. Teraz nie zaśnie na pewno. Odrzuciła kołdrę na bok i wsunęła stopy w kaptcie. Budzik wskazywał wpół do drugiej. Søren jak zwykle spał za nich dwoje. Już dawno przestało jej przeszkadzać jego chrapanie, wręcz trudno było jej zasnąć bez niego, więc to z całą pewnością nie on jest winien. Na pewno nie. To pochodzi od niej, gdzieś ze środka.

Narzuciła szlafrok i zeszła do kuchni, gdzie Timbo tylko udawał, że śpi. Słyszała przecież, jak uderzał ogonem o krawędź kojca. Kucnęła obok, podrapała go i spojrzała w jego brązowe oczy.

– Mnie też jej brakuje – szepnęła, bo wiedziała, że pies tęskni za Inger.

Codziennie przesiadywał pod drzwiami jej pokoju i skowyczał jak mały udręczony wilczek.

Dała mu przekąskę, a sobie zaparzyła herbaty. Usiadła przy stole w kuchni i zauważyła, że również u Dicte Svendsen pali się światło. Przedzierało się przez mrok lutowej nocy i padało na martwe zimowe krzaki w ogrodzie, na plac przed domem i samochód, którego szyby pokrył lód. Wydawało jej się, że w oknie sąsiadki widzi postać idącą przez pokój i zarys czajnika w jej dłoni. Ona też?

Noc to czas wędrówek myśli. W młodości często tak siedziała. W czasie pomiędzy oboma poronieniami, kiedy cierpiała na bezsenność, ale również potem. Zaglądała wówczas w głąb siebie i daleko przed siebie. Najchętniej jak najdalej przed siebie.

Herbata rozgrzewała ją od środka. Karen pomyślała o Dicte. Jeszcze niedawno była obcą osobą. Nową mieszkanką domu naprzeciwko, przez który na przestrzeni lat przewinęło się tyle osób. Rodzina, która przeniosła się do miasta, bo przy czwórce dzieci dom okazał się dla nich za mały. Harleyowcy, którzy urządzili tam sobie metę, postawili wokół wysokie ogrodzenie, rozmieścili kamery i potwornie hałasowali na swoich motorach. I teraz Dicte, która z początku była postacią nieco zagadkową, i być może nadal nią jest. Dziennikarka z Kopenhagi, a w każdym razie stamtąd się tu sprowadziła. Oczywiście wszyscy w miasteczku o niej mówili. O tym, że znalazła w rzece Århus martwego noworodka, i o jej chłopaku, który wygląda jak zagłodzony, bezdomny pies, ale ma coś w sobie. Jej samej podobał się jego chłopięcy uśmiech i uważne spojrzenie, po którym widać było, że zwykł myśleć obrazami, tak jak ona myśli dźwiękami. Domyślała się, że był sporo młodszy od Dicte. Jej sąsiadka zresztą wyglądała na znacznie mniej niż na te czterdzieści lat, które musiała mieć. Jej zielone oczy zawsze były pobudzone, miała pięknie zaznaczone kości policzkowe, a gęste półdługie włosy mieniły się niezliczonymi odcieniami – od dojrzałych kłosów po jesienne liście, zależnie od tego, jak padało światło. Figurę miała jak młoda dziewczyna, zaokrągloną we właściwych miejscach, a nie jak jej własne ciało, które piętrzyło się niekontrolowanie i było w sam raz dla mężczyzny starej daty. Talia, tyłek i cycki, jak by powiedział dawniej jej ojciec. Babę trzeba mieć za co złapać. Nagle usłyszała jego głos tak wyraźnie, że się wzdrygnęła.

Teraz już nie mówił takich rzeczy.

Zrobiło jej się zimno. Przysunęła kubek do ust i wzięła łyk. Powinna była założyć skarpetki. Już miała wstać, kiedy usłyszała skrzypnięcie na piętze. Więc mimo wszystko się obudził. Teraz wstanie i będzie ją namawiał, żeby wróciła do łóżka. Wiedziała, że to siedzi w nim głęboko – niepokój jeszcze z tamtego okresu. Ale martwił się niepotrzebnie. Nie ma już żadnych tabletek, które mogłaby połknąć, i nie zamierza wybierać łatwiejszej drogi. Również

Inger była to winna, aby nie dać się zastraszyć na śmierć.

Dźwięki się nasiliły. Deski uginały się pod jego ciężarem, kiedy przemierzał podłogę w sypialni. Te na schodach również. Był potężnym mężczyzną – w każdym razie fizycznie. To się nie zmieniło przez cały ten czas, kiedy go znała. Od tamtej imprezy, na którą Inger zaprosiła go wraz z resztą swojej klasy z seminarium i chyba sama miała nadzieję go poderwać.

– Karen?

Miał taki dobry głos. Tak bardzo by chciała znowu móc się go uchwycić. Kiedyś mówili sobie wszystko. W którym momencie zaczęła się od niego odsuwać? Nie zasłużył na to.

– Nie możesz zasnąć?

Stał z zaspanymi oczami i włosami przyklejonymi do czaszki. Poklepała na kuchennej ławie miejsce obok siebie.

– Chcesz herbaty?

Zawahał się. W końcu poczłapał do niej, położył jej rękę na ramieniu i ścisnął lekko. Usiadł na ławie naprzeciwko i ziewnął.

– No więc? – zaczął.

Uśmiechnęła się. Owszem, był nauczycielem, ale przede wszystkim był rolnikiem pasjonatem i nie miał głowy do wygłaszania referatów i budowania długich zdań.

– Rozmyślałam właśnie o Dicte Svendsen.

Sięgnął na półkę po kubek, nalał sobie herbaty i dolał również jej.

– Ale chyba nie z jej powodu nie możesz spać. Chodzi o Inger?

Udała, że nie usłyszała ostatniego pytania.

– Nie sądziłam, że uda nam się zaprzyjaźnić. Jesteśmy przecież tak skrajnie różne.

Znowu ziewnął.

– A udało wam się? Zaprzyjaźniłyście się?

Rozumiał więcej, niż okazywał. Wiedziała to z doświadczenia. Wszyscy wokół mogli sądzić, że z nich dwojga to ona ma więcej do zaoferowania. Była w jakiś sposób utalentowana, interesowała się sztuką, pochłaniała powieści, do tego muzyka i kościół. Ale nie miała jego spokoju ani tak niezwykle trzeźwego osądu rzeczywistości.

Wyciągnął rękę przez stół i chwycił jej dłoń, tak jak ona niedawno w łóżku wzięła jego. Właściwie niewiele ponad to się między nimi działo. Cała reszta być może już się zużyła. Została uśpiona? Któż to może wiedzieć. Lecz zachowało się to – czułość, którą Karen uwielbiała.

– Ona nie jest taka, jak sądziłam.

Wymierzył w nią nieznaczny uśmiech. Jeśli Søren czegoś nie miał, to były to uprzedzenia. Kolejna różnica między nimi.

– Tak? A myślałaś, że jaka jest?

Zastanowiła się. Co sobie myślała o Dicte Svendsen? Że jest płytka, bo pochodzi z Kopenhagi? Zarozumiała? Czy rzeczywiście dała się nabrać na to wszystko?

– Może nie sądziłam, że jest zainteresowana – powiedziała niezbyt mądrze.

– Czym?

– Nami. Swoimi sąsiadami. Tym miejscem.

– A jest zainteresowana?

Gdy zapytał, nagle się zawahała. Czy zainteresowanie, jakie jej okazywała Dicte Svendsen, było szczere, czy stanowiło jedynie element dziennikarskiej taktyki? Przypomniała sobie jednak jej skupiony wzrok. Odrobinę niechlujny wygląd. Z daleka Dicte mogła sprawiać wrażenie zimnej i opanowanej, jak się to często określa, ale z bliska jej wizerunek był zupełnie inny. Mała plamka rozmazanego tuszu pod jednym okiem. Szminka lekko wyjechana poza kontur, jakby nakładała ją w pośpiechu. Karen uważała to za dobry znak. Za dowód, że dla Dicte są na tym świecie sprawy ważniejsze, niż być doskonałą. Kiedy tylko o tym pomyślała, zorientowała się, że jest beznadziejnie staroświecka. Dziś większość ludzi dąży do doskonałości, nie

tak jak dawniej, kiedy wszyscy się buntowali. Kiedy byli hipisami i tak dalej.

– Wydaje mi się, że czuje się samotna – powiedziała wreszcie. – Że chciałaby mieć wokół siebie ludzi, ale coś się nie ułożyło. Myślę, że coś w życiu straciła.

Søren wstał. Przeciągnął się, podszedł do lodówki i wyjął chleb i ser. W milczeniu zaczął kroić i smarować kanapki.

– Co jej powiedziałaś? – rzucił po chwili przez ramię. – Powiedziałaś jej o Lise?

Czasem przejawiał pewną zdolność. I bywała ona przerażająca.

– Trochę.

Patrzyła na niego, kiedy stał i kroił chleb, a potem podszedł do niej z talerzem. Pomyślała, że nie zasługuje na tego mężczyznę. Że powinna przynajmniej dzielić się z nim swoimi myślami, tak jak dawniej dzielili się wszystkim. Ale w jej życiu było obecnie tak niewiele miłości, że nie mogła sobie pozwolić na oddanie ani skrawka. Søren być może kiedyś zrozumie, że bała się utracić także ją, Lise. Choć wówczas pewnie powiedziałby, że dziewczyna nigdy do niej nie należała, do niego zresztą też nie. Była jednak mimo wszystko ich rodziną i należała przecież do Inger, a Inger już nie ma.

Wyciągnęła rękę i z namysłem ugryzła kęs kanapki. Jak zwykle ukroił porządną pajdę i Karen zalała nowa fala czułości.

O rodzinę również należało się troszczyć, dlatego nie powiedziała mu, że Lise u nich była. Ani o tym, że dziewczyna sama otworzyła sobie drzwi i zabrała biżuterię swojej matki z emaliowanej szkatułki na dnie szafy. Bo tak naprawdę wzięła przecież tylko to, co teraz należało do niej.

18

– Svendsen!

W słuchawce zatrzeszczał czyjś głos. Stary aparat przeprowadzał się razem z nią przez ponad dwadzieścia lat i był spadkiem po dawno zapomnianym chłopaku, który próbował ją kontrolować. Dicte powiedziałaaby coś, ale mocno jej to utrudniała suchość w ustach i ciężka głowa ciągnąca z powrotem ku poduszce.

– Svendsen! Jesteś tam?

– Kaiser? – w końcu wydobyła z siebie suchy skrzek.

– Co ci jest? Jesteś chora?

W jego głosie nie było śladu troski. Jedynie lekka irytacja pomieszana z pewną dozą ciekawości. Próbowła uporządkować słowa w swojej głowie, ale wczorajsze wino tłoczyło krew tak mocno, że dudniło jej w skroniach, a język mógł spokojnie służyć za szlifierkę.

– Chora jak chora.

Z najwyższym trudem usiadła. Światło słoneczne było tak ostre, że musiała zacisnąć powieki.

– No wiesz, skoro pozwalasz stażycie przejąć interes... – powiedział beznamiętnym głosem. – To do ciebie niepodobne – doprecyzował.

Błyskawicznie wytrzeźwiała. O nie. Teraz ją zwolni. Może miał już tak bardzo dość jej nieobecności – nie było jej całe dwa dni, do tego znikła w samym środku toczącego się śledztwa – że zamierza wbić jej ten nóż od razu, przez telefon. Sięgnęła po szklanekę z wodą. Ciało chłonęło płyn jak gąbka, z ust lał się wprost do gardła.

– Ojciec mi umarł.

Gdy to powiedziała, wróciło tamto uczucie. Jakby ktoś odciął tlen i nagle

z trudem udawało jej się łąpać powietrze. W słuchawce zapadła cisza. W końcu odkaslnęła:

– Rozumiem, przykro mi – powiedział i wydawał się skruszony.

Pomyślała, że dla niego te słowa mogły być najdalej posuniętą formą okazania uczuć. Prawie się wzruszyła.

– To może powinniśmy pozwolić stażycie kontynuować krucjatę – zaproponował. – Bo czeka cię jeszcze pogrzeb?

– Krucjatę? O czym ty mówisz?

Nie czytała gazet. Zamknęła się na świat zewnętrzny. Tylko raz zadzwoniła do niej Rose, poza tym nie miała z nikim żadnego kontaktu. Chociaż nie, Karen zajrzała do niej i zostawiła na schodach garnek z zupą, kiedy nie otwarła. Bo przysłał esemesa, że jedzie do Givskud fotografować zimowe życie zwierząt dla jakiegoś miesięcznika.

– Zrób coś dla mnie – poprosił Kaiser zmęczonym głosem. – Przeczytaj gazetę, a potem do mnie oddzwoni. Może to pomoże ci wyzdrowieć – dorzucił.

Rozłączył się, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, została więc ze słuchawką w dłoni. Potem wstała z łóżka i otulona kołdrą dowlokła się do okna w dachu sypialni. Była jedenasta i nastąpiła odwilż. Brązowe pola pokrywały małe płachty śniegu i kałuże porozrzucane w malowniczym nieładzie. Zasy na podjeździe zmieniły się w szare kopce, twarde jak z cementu. Krople spadały z drzew i krzewów, a z dachu domu Karen i Sorena na jej oczach odpadł soplek i roztrzaskał się na podwórku.

Rzuciła kołdrę z powrotem na łóżko i przez chwilę stała i marzła. Nie tak jak wtedy, gdy panował mróz i wszystko pakowało w sztywne, suche formy. Teraz zimno było wilgotne jak woda i przenikało jeszcze głębiej, do samych kości.

Wykąpała się po raz pierwszy od dwóch dni, kiedy zamknęła się w domu. Gdy ubrana w dzinsy i sweter nakładała tusz do rzęs przed lustrem oświetlonym tak słabo, że się rozmazała, nagle za swoją własną twarzą ujrzała inną: wysokie kości policzkowe, gęste brwi i uparte zielone oczy. Nigdy wcześniej nie uświadamiała sobie, jak bardzo jest podobna do matki.

Z ciężkim sercem zeszła na dół, założyła buty i kurtkę i wyszła odebrać pocztę. Zrobiła sobie kawę i usiadła z gazetą. Pięć minut Holgera Søborga trwało w najlepsze. Albo kruczata, jak to nazwał Kaiser, i było to określenie bardziej adekwatne. Kontynuował narrację o dramacie młodych ludzi, którzy z bezsilności wobec obojętnego na ich problemy społeczeństwa spalili szkołę, zabili niewinne zwierzęta i dopuścili się co najmniej dziesięciu aktów wandalizmu. „Nie jesteśmy piromanami, jesteśmy po prostu nieprzystosowani. To taki nasz bunt przeciwko społeczeństwu”, miał powiedzieć jeden z nich.

Zaprzeczyli oskarżeniom o satanizm, mimo że zniszczyli sto trzydzieści nagrobków na cmentarzu Nordre i w Hornslet i rysowali satanistyczne symbole.

Dicte wzięła łyk kawy. Chłód powoli rozluźniał swój uścisk wokół jej kości, a jego miejsce zastąpił ciepły, dygoczący gniew. Co ten gnojek sobie wyobraża? I gdzie, do cholery, jest wydawca? A Kaiser? Jak mogli wypuścić taki szajs? Co z dziećmi, które chodziły do tej szkoły? Co z końmi i królikami? Co z Karen i jej mężem? Czy ktoś się zainteresował, co oni czują?

Przewróciła stronę i znalazła wyjaśnienie, dlaczego tekst Søborga nie został wyłapany przez redakcję. Nagłówek głosił: „Pożar okazał się dobrym interesem”.

Musiała przyznać, że dzieciak solidnie pozbierał informacje. Ale poza tym artykuł był tendencyjny na granicy oszczerstwa. Opowiadał o Karen Graugaard i jej mężu Sørenie. Holger dotarł do informacji, że konie, których właścicielem był Søren Graugaard, należały do znakomitej rasy zwierząt hodowlanych i były ubezpieczone na bająnską kwotę, a prócz tego ich właściciel „zarabiał krocie”, wynajmując je do pokrywania klaczy, w których żyłach także płynęła błękitna krew. W tekście pojawiła się insynuacja, że gdyby Karen i Søren chcieli wynająć kogoś do podpalenia swojej stajni, podczas gdy sami zapewniliby sobie alibi, wyjeżdżając na narty, to nie mieliby z tym większego problemu. Według obliczeń Holgera Søborga pożar może przynieść małżeństwu co najmniej dwa i pół miliona koron odszkodowania.

„Ludzie podpalają własny dobytek za znacznie mniejsze pieniądze”, jak

całkiem słusznie stwierdził. Nie poruszył jednak zupełnie sprawy zabójstwa na bagnie i nie zastanowił się, czy Karen i Søren wynajęli również mordercę siostry Karen, a jeśli tak, do dlaczego. Nie przedstawił także stanowiska policji w całej sprawie ani nie przyjrzał się, czy któryś z zatrzymanych nastolatków mógł mieć motyw, by prócz podpalenia dopuścić się także zbrodni.

Podniosła słuchawkę i wybrała numer do redakcji w Kopenhadze, a potem wewnętrzny Kaisera.

– I jak się czujesz teraz?

– Lepiej, dziękuję.

– Chcesz powiedzieć, że jesteś zdrowa?

– Czy w takim razie przywołasz go do porządku?

Kaiser roześmiał się mimowolnie.

– To nie pies.

– Manipuluje faktami. Poza tym jego artykuły to jakaś paplanina. Zadaje w nich więcej pytań, niż podsuwa odpowiedzi.

Nie zapytała wprost, jak to możliwe, że poszły do druku, ale nie musiała. W słuchawce usłyszała ciężkie westchnięcie:

– Nie było mnie. A Davidsen jest, jakkolwiek by patrzeć, wydawcą regionalnym.

Dicte nigdy wcześniej nie słyszała, by Kaiser skrytykował któregoś z jej kolegów. Nie wiedziała, czy powinna to uznać za oznakę siły, czy słabości. Może po prostu odczuwał zmęczenie. A może jedną nogą był już w innej pracy. Nigdy nie wiadomo.

– I co teraz? – spytała ostrożnie jak kot stąpający po rozbitym szkle.

– Temat jest twój, jeśli nadal go chcesz. Ale musisz dotrzeć do sedna.

– A co z Holgerem?

– Ty się zajmiesz policją i śledztwem. On może sobie czasem napisać jakiś portret, ale pod twoim kierownictwem.

Wyobraziła sobie to starcie. Davidsen ze swoim pachnącym świeżością tytułem wydawcy regionalnego nagle gotów jest się bić o Holgera, którego niedostateczną liczbę szarych komórek sam jeszcze niedawno bezlitośnie wyśmiewał. Tak wygląda dziennikarstwo – identycznie jak polityka. W każdej branży istnieją pożyteczni idioci, a ona właśnie po raz kolejny będzie musiała stanąć niczym klin pomiędzy dwoma z nich. Szybko rozważyła za i przeciw. Alternatywą było pozostawienie tematu pożaru i morderstwa Holgerowi.

– Przekażesz to Davidsenowi? Z jasnymi wytycznymi co do zadań moich i jego?

Zaśmiał się krótko i jednocześnie zakaszłał. Sieć telefoniczna przekazała jej świst jego oddechu aż z Kopenhagi.

– Powinnaś zostać biznesmenką. Kiedy pogrzeb twojego ojca?

Przed oczami stanęła jej trumna opuszczana do dziury w ziemi. Śnieg z deszczem bębniące w wieko i kwiaty rzucane przez żałobników. Kiedy tak naprawdę żegnamy umarłych?

– Nie zostałam zaproszona – odparła. I od razu dodała, zanim zdążył zapytać o cokolwiek: – Będę w redakcji za pół godziny.

19

Wąż wbił wzrok w białą mysz skuloną w rogu terrarium. Rozdwojonym językiem oblizywał się łakomie.

Rose poczuła, jak niepokój wpełza jej na kark i od tyłu sięga mackami w dół, przygniatając jej piersi i nie pozwalając swobodnie oddychać. Najchętniej zmieniłaby kanał, ale Jan uwielbiał National Geographic, więc nie miała serca mu przerywać. Odwróciła więc tylko głowę, ale i tak nie zdążyła. Atak był błyskawiczny. Rozwarte szczęki węża, błyskawiczny cios i sztuczka ze znikającą myszą, która przesuwa się w głąb gadziego ciała. Widziała wszystko i ze zdumieniem stwierdziła, że zaczęła się trząść, a dłonie pocierała o nowe džinsy. Musiała poprosić Jana, żeby przełączył. Chciała to zrobić uprzejmie, ale dźwięk, jaki się z niej wydobył, był na wpół krzykiem, aż chłopak spojrział na nią zaskoczony.

– Co się dzieje?

Zdawała sobie sprawę, że to głupie. Naprawdę wolałaby się nie odzywać, ale musiała się wytłumaczyć.

– Boję się węży – odparła, wiedząc jednocześnie, że to nieprawda. W każdym razie niecała prawda. Rzeczywiście nie przepadała za gadami, ale nigdy wcześniej nie czuła czegoś takiego. Jakby świat chciał się wokół niej zamknąć, wchłonąć ją jak ten wąż mysz.

Wytarła spocone dłonie w papierową chusteczkę. No, może rzeczywiście stwierdzenie, że nigdy jej się to nie zdarzyło, też nie było do końca prawdziwe. Bo ostatnimi czasy zdarzało jej się czuć właśnie taki niepokój. Odkąd znalazła ciało na bagnie. Wiedziała również, że pewnie w ten sposób odreagowuje tamto zdarzenie, aż tak głupia nie była. Dziwiła się tylko, że jej rozum nie potrafi tego lęku powstrzymać.

Jan przysunął się na kanapie. Objął ją ramieniem, ale Rose nie od razu

poczuła radość, która zawsze ją ogarniała, kiedy był blisko. Jej serce wciąż waliło jak młotem.

– Przecież tutaj nigdy nie będzie żadnych węży – zauważył trzeźwo. – Co najwyżej jakiś mały pajaczek.

Rose usłyszała własny nerwowy śmiech.

– Wiem, jasne, że nie – pokiwała głową na znak, że rozumie, i nabrała nieodpartej ochoty, by wybiec z tego pokoju. Puścić się pędem w jakieś bezpieczne miejsce.

Wzrokiem omiotła salon rodziców Jana. Wydał jej się nagle tak przerażająco duży i otwarty, jakby coś złego mogło ją zaatakować dosłownie z każdej strony. Dreszcze się nasiliły – takie w każdym razie miała wrażenie, bo kiedy podniosła dłoń, nie dostrzegła żadnego drżenia.

Jan taktownie zmienił kanał. Wiadomości. Tu powinno być bezpiecznie, pomyślała i próbowała wewnętrznie się wyciszyć. Oddychać głęboko. Rzeczywiście trochę się uspokoiła, przytuliła mocniej do Jana i poczuła nawet odrobinę dawnego szczęścia z powodu fizycznej bliskości. Ale jak długo zdoła je utrzymać? Wierzyła, że nic jej nie grozi, ale przecież tak naprawdę to wszystko może się rozpaść nawet teraz, tu, w tym pokoju. W tej bańce bezpieczeństwa, którą sobie stworzyła.

– To na Bliskim Wschodzie skończy się źle – Jan rzucił komentarz, który często od niego słyszała. – Tam nigdy nie będzie pokoju, dopóki żyją Arafat i Szaron.

– Dlaczego tak myślisz?

Zapytała, żeby dać mu możliwość wygłoszenia jednego z tych miniwykładów, w których był taki dobry. Oparła głowę na jego ramieniu i słuchała – nie tyle słów, ile głosu. Wciągała go w siebie jak pasożyt żerujący na ciele innego zwierzęcia.

– Pierwszy jest terrorystą, a drugi zbrodniarzem wojennym. Żaden z nich nie jest tak naprawdę zainteresowany pokojem. Każdy realizuje wyłącznie własne cele.

Słyszała, jak przemawia przez niego jego ojciec. Jego rodzice pojechali

do miasta i oni mieli dom dla siebie. Taki przedsmak, jak to ujęła matka Jana. Zanim na poważnie zamieszkają razem, zanim będą mogli zamknąć przed światem drzwi i żyć własnym życiem w domu w Lystrup. National Geographic i wykład o stosunkach politycznych. „Czy istnieją jakieś granice drobnomieszczczeństwa?” Teraz usłyszała w głowie głos własnego ojca, wiecznego hipisa, jak o nim mawiała mama. Jemu na pewno jeszcze trudniej będzie przełknąć wiadomość o szeregowym domku. Gdy to sobie uświadomiła, zaniepokoiła się na myśl o późnym lunchu, na który ją zaprosił następnego dnia. Znowu czeka ją solidna porcja ostrej krytyki.

Głos Jana przepędził strach. Na ekranie pojawiło się teraz zdjęcie Tony’ego Blaira zestawione z jakimś materiałem z CNN. Może powinien był pójść na socjologię albo ekonomię, pomyślała znużona, ciesząc się, że ogarnia ją zmęczenie, a ręce robią się ciężkie.

– Oto jest człowiek wierny swoim przekonaniom – oświadczył Jan z podziwem i opowiedział jej, ile trudu zadał sobie Blair, aby przekonać Brytyjczyków o swojej szczerości.

Rose zupełnie się rozluźniła, słuchając jego głosu. Nie było już węży. Nie było zwłok na bagnach. Nie miała nawet ochoty myśleć o swoim dziadku. O tym, że umarł, mama powiedziała jej przez telefon. I miała taki smutny głos. Chciałaby jej pomóc, pocieszyć ją jakoś. Ale przecież nigdy nie poznała dziadka i zupełnie nic do niego nie czuła.

– Odważny mąż stanu – ciągnął Jan.

„I love it when you talk dirty” – cytat, chyba z jakiegoś filmu, właśnie wpadł jej do głowy. Odpływała w siną dal na ciepłej chmurze, a Jan bezwiednie głaskał jej dłoń. Jego głos stawał się coraz bardziej delikatny i Rose zaczęła się zastanawiać, jak mogłaby odwrócić jego uwagę od wiadomości. Musiała jakoś oddalić od siebie strach. Miała na to pewien sposób – zmniejszała się, gdy otulała się bezpiecznymi wnętrzami, spokojnymi głosami, pocałunkami i uściskami. A szczególnie słabo wyczuwalny się stawał, gdy uprawiali tę nową dyscyplinę, jaką był dla niej seks.

Podkuliła stopy pod siebie, przysunęła twarz bliżej jego twarzy i zaczęła językiem wędrować po jego uchu.

Było za późno na brunch, a za wcześnie na obiad, kiedy następnego dnia w końcu dotarła autobusem ze szkoły do dzielnicy Tilst i dalej do ich ulubionej kawiarni Globen Flakket w centrum miasta.

Szybko dostrzegła ojca przy stoliku w rogu. Przydługie włosy opadające czarnosiwymi lokami. Broda, którą jego obecna żona na szczęście okiełznała. I nieśmiertelny sweter w poziome pasy z małymi tańczącymi ludzikami w feerii kolorów.

– Wyglądasz jak z żurnala – powiedziała na powitanie i pocałowała go w policzek. – Twój sweterek znów stał się modny.

– Nie wiedziałem, że kiedykolwiek był niemodny.

– Teraz się mówi passé.

– Passé srase – przedrzeźnił ją, a potem zrobił dzióbek i puścił do niej oko.

To pewnie tym oczom kobiety nie potrafiły się oprzeć. Tyle razy to słyszała, ale osobiście nie umiała tego pojąć. Absolutnie nie rozumiała, co w nim widziały poza tym, że oczywiście był miły, życzliwy, no i był jej ojcem. Ale był również kobieciarzem i nie można było na nim polegać.

– Jak leci, skarbie?

Próbowała go wybadać, zerkając na niego i czytając menu jednocześnie. Oczywiście, że wiedział. Matka musiała mu wygadać.

– Znalazłam zwłoki na bagnie. I oglądaliśmy jeden dom, szeregowiec.

Pokiwał głową i uśmiechnął się lekko – być może zdziwiło go zestawienie obu informacji. Po chwili jednak zrobił się poważny.

– Obiecuj mi, że zatroszczysz się o siebie, dobrze?

Czyżby właśnie nałożył służbową czapkę? Był w końcu psychologiem z wieloletnim doświadczeniem, choć miał do czynienia głównie z przestępcami i często się udzielał w telewizji, gdzie przedstawiał profile psychologiczne morderców.

– Jak się z tym czujesz? – ciągnął.

– Z ciałem? Czy domem?

Spojrzał w sufit.

– Z tym na bagnie, oczywiście. Z tym doświadczeniem, czy jak to sobie nazywasz. Czy czujesz się dobrze? Albo źle? Dużo o tym myślisz?

Przesunęła wzrokiem w dół strony menu.

– Co zamawiamy? – mruknęła. – Piwo? Kanapkę? Tartę?

– Rose.

Rzucił doskonale jej znane ostrzeżenie, jak wtedy, gdy była mała i nie chciała zjeść obiadu albo ściszyć dobranocki. Spojrzała na niego.

– Czuję się w porządku. Nie musisz się martwić.

Sięgnął przez stół i wziął ją za rękę, zanim zdążyła ją cofnąć.

– Wciąż jestem twoim ojcem.

– Wciąż? – Nagle poczuła złość. – Wciąż, mimo że wszystko się rozpadło przez wasze kłótnie i rozwód? Mimo że nigdy nie umieliście z mamą być rodziną?

Wyglądał na przerażonego.

– Przepraszam – mruknęła, zaskoczona własnym wybuchem. Co ją, u licha, napadło?

– Przeżyłaś szok – powiedział spokojnie. – To normalne, że tamto zdarzenie wywołuje w tobie silne reakcje. Powinnaś być ich świadoma i zwrócić się po pomoc, jeśli zajdzie taka konieczność.

Jak ma mu powiedzieć, że potrzebuje jedynie, aby ją zostawić w spokoju, a wszystko się ułoży. Że trzeba jej tylko pozwolić w ciszy siedzieć na kanapie i słuchać politycznych dywagacji Jana, a potem jak jego oddech przyśpiesza, zwalnia i na koniec, już po, jego zadowolonego chrapania. Ojciec na bank wyśmiałby ją bezlitośnie, aż uciekłaby z płaczem, i powiedziała, że jest najbardziej drobnomieszczańską córką, jaką kiedykolwiek miał, i żeby w końcu zaczęła dostrzegać również inne strony rzeczywistości.

– Może *croque monsieur*? Brzmi jak coś w sam raz dla ciebie. I piwo?

Dał sobie spokój. Westchnął tylko i podrapał się po brodzie.

– Jak uważasz.

Kiedy dostali napoje i czekali na jedzenie, mimo wszystko zaczęła się zastanawiać, co ojciec mógłby mieć do powiedzenia o zwłokach na bagnie. O mordercy. Zrobiło jej się wstyd, bo poczuła coś na kształt makabrycznej ciekawości. Na szczęście on sam podjął temat.

– Skoro mówisz, że nie masz z tym problemu, to może mi opowiesz trochę o swoim znalezisku. Zanim przyniosą nam jedzenie, oczywiście – dodał.

Opowiedziała mu wszystko po kolei i trochę jej ulżyło.

– Co o tym myślisz? – zapytała ostrożnie. – Dlaczego ktoś zabił ją w ten sposób? To znaczy dwukrotnie. Dużo się nad tym zastanawiam – przyznała.

Ojciec wziął łyk piwa i piana osiadła mu na wąsach. Mimowolnie się uśmiechnęła. Odruchowo wytarł wargi wierzchem dłoni i pochylił się lekko w jej stronę.

– To może być jego podpis – powiedział. – Rodzaj rytuału. Albo zachowanie obsesyjne.

– Czemu tak myślisz?

– Bo to nielogiczne zabijać podwójnie. A tam, gdzie nie ma logiki, pozostają tylko emocje i instynkt. Pragnienie, by opowiedzieć jakąś historię.

Przeszły ją ciarki.

– Morderca, który opowiada historię?

Ojciec uśmiechnął się uspokajająco.

– To normalne. W każdym razie względnie normalne. Wszyscy mamy przynajmniej jedną historię, którą chcielibyśmy opowiedzieć.

– Jaką?

Kelnerka przyniosła ich zamówienie. Ojciec rozwinął serwetkę, w której były nóż i widelec, i spojrzał na Rose.

– Pomyśl. Czyją historię chciałabyś opowiedzieć, gdybyś mogła wybrać?

Dłubiąc widelcem w swoim daniu, myślała o zwłokach i o strachu. O domu w Lystrup. Wróciła pamięcią do pierwszego spotkania z Janem. Przypomniała sobie rozwód rodziców i tęsknotę za rodziną. I nagle zamarła w miejscu ze strachu przed utratą tego, co ma. Ludzi, których kocha.

– Moją własną – odparła. – Opowiedziałabym moją własną historię.

Ojciec pokiwał z zadowoleniem głową.

– Głupia nie była nigdy. Drobnomieszczańska? Być może – dorzucił z czułością w oku. – Miała niebezpieczny pociąg do domków jednorodzinnych i stałych związków. Ale nigdy nie była głupia.

20

– Czyli Mikkel Andersen zrobił to w pojedynkę – stwierdziła Dicte. – Dlaczego?

Wagner usiadł naprzeciwko niej w kantine na komendzie. Na tacy przed nim stał talerz z trzema kanapkami, woda gazowana i zaparowana szklanka.

– Twierdzi, że zmuszała go do seksu.

Wagner zeszkrobał remuladę z rostbefu. Dicte pomyślała, że trudno mu się dziwić. Prażona cebulka zmiękła i jej brązowy kolor zlał się z żółtą barwą sosu. Odkrawając pierwszy kawałek, zaczął wyjaśniać szczegóły. Machał jej przy tym groźnie widelcem przed oczami.

– Gdy Mikkel był w dziewiątej klasie, Inger Graugaard przyłapała go w szkolnej toalecie razem z jedną z uczennic. To nie był gwałt, ale współzycie. Dziewczyna chodziła do siódmej klasy i była poniżej wieku przyzwolenia. Mikkel zeznał, że został przez nauczycielkę wezwany na rozmowę w cztery oczy po lekcjach i wówczas postawiła go przed wyborem.

– Seks albo?

Widelec działał na nią hipnotyzująco i musiała się skupić, by patrzeć na Wagnera. Miał cienie pod oczami, a oliwkowa skóra była bardziej szara niż kiedykolwiek. Tak to niestety wyglądało, kiedy trwało wyjaśnianie okoliczności zabójstwa. Uruchamiano wszystkie zasoby. Z tego samego powodu dwa dni zajęło jej odnalezienie go i umówienie się na spotkanie.

– Wydalenie ze szkoły. Upublicznienie sprawy – mruknął i wbił wzrok w to, co miał na talerzu. – Pochodzi z tak zwanej porządnej rodziny, a ojciec jest surowy. Oboje rodzice mieli wobec syna określone oczekiwania.

Dicte ucieszyła się, gdy wreszcie zbliżył widelec do ust, ale w ostatniej chwili znów go odsunął.

– Mikkel zresztą chyba też miał ambitne plany na przyszłość – dodał. – To nie jest głupi chłopak, mimo że wdepnął w prawdziwe bagno. Nie żebym go bronił – dodał szybko i spojrzał na nią pytająco.

Stołówkowy hałas nasilał się i słabł. Skrobanie sztućców po porcelanie mieszało się z rozmowami o różnym natężeniu decybeli. Grupa czterech umundurowanych funkcjonariuszy pomaszrowała do przeszklonej lady i wyjęła z niej kanapki. W rogu siedzieli dwaj mężczyźni po cywilnemu i rozmawiali ściszym głosem. A na drugim końcu sali cały stół mundurowych czekał w napięciu na pointę jakiegoś dowcipu. Tak w każdym razie wywnioskowała po tym, jak chwilę później z tamtego miejsca dobiegł gromki śmiech.

– Jeśli zaczniesz go bronić, będziesz brzmiał jedynie jak odtwarzany z taśmy głos Holgera Søborga – przyznała mu rację i dodała gwoli wyjaśnienia: – Przez dwa dni pozwoliliśmy naszemu stażycie potrzymać ster.

Wagner skrzywił się z niesmakiem. W oczach miał obrzydzenie, gdy ponownie wbił widelec w pieczeń.

– Mam nadzieję, że to nie jest jakaś nowa linia, którą obraliście. Oskarżać ludzi bez cienia dowodów. Przypisywać im wymyślone motywy, bo się komuś zrobiło żal prawdziwych sprawców i uznał, że mieli ciężkie dzieciństwo.

Powiedział to tak ostro, jakby to ona osobiście powierzyła sprawę Søborgowi i przekazała mu informacje o kwocie ubezpieczenia i wartości zabitych zwierząt. Mogłaby oczywiście odbić piłeczkę i przypomnieć mu, że policja chyba również nie ma ostatecznych dowodów na to, kto popełnił zbrodnię, ale mimo wszystko mieli jednak wiarygodną teorię.

– Nie było mnie w pracy.

W wyobraźni zobaczyła, jak Kaiser kręci głową z dezaprobatą, i sama poczuła się jak zdrajca, choć to nie ona napisała te artykuły. Bo prawda była taka, że mogła go trochę przypilnować. Mogła sprawdzać kolejną artykułów i poskarżyć się Davidsenowi, a potem dostać szau, jak to miała w zwyczaju. Wiedziała doskonale, że właśnie z takich scen jest w redakcji znana.

– Nie było cię. Rozumiem – powtórzył i spojrzał na nią pytająco.

Najłatwiej byłoby wyjawić mu przyczynę nieobecności. Większość ludzi rozumie, czym jest śmierć ojca. Z jakiegoś powodu jednak mu nie powiedziała – może dlatego, że nie musiała się przed nim tłumaczyć. A może z zupełnie innego powodu, którego nie miała ochoty analizować.

– Co z dowodami rzeczowymi? – zapytała, zmieniając temat. – Narzędzie zbrodni? Przyczyna śmierci?

Na moment dostrzegła podejrzliwość w jego spojrzeniu. Jakby się zastanawiał, co nią kieruje. Dlaczego próbuje z niego wycisnąć informacje, których reszta prasy jeszcze nie dostała? Postanowiła być z nim szczerą.

– Muszę być o krok przed wszystkimi – przyznała. – Wisi nam nad głowami topór redukcji etatów.

Gdy tylko to powiedziała, zrozumiała, jak niestosowne było użycie do metafory topora, więc szybko przeszła do dalszego ciągu.

– Układ jest taki, że mój wydawca będzie trzymał Holgera krótko, jeśli ja będę śledziła ten temat do samego finału.

Wagner mimo wszystko wyglądał, jakby mu ulżyło. W końcu zjadł kęs, który wciąż miał na widelcu, i odkroił kolejny kawałek. Mięso wyglądało na twarde, a włókna zostały raczej przerwane niż pokrojone.

– Najpierw została powieszona – powiedział pragmatycznym tonem. – To było zresztą również najpraktyczniejsze. Możliwe, że stało się to w zupełnie innym miejscu.

– Na terenie gospodarstwa? Zanim podłożyli ogień?

Przypomniała sobie bałagan w domu. Próbowwała sobie wyobrazić, jak to się mogło odbyć. Belki pod sufitem, oczywiście.

Wzruszył ramionami.

– Na razie nic na to nie wskazuje. Nie znaleźliśmy żadnych końcówek sznura. Żadnych znaków. Wciąż jednak czekamy na wyniki z Wydziału Technicznego w Kopenhadze – dodał. – Ubranie jest u nich w laboratorium. Instytut Genetyki Sądowej sprawdza DNA, a to zwykle zajmuje ze dwa tygodnie.

Powiedział to z pewną irytacją w głosie, jednocześnie przełykając kolejny kęs. Dicte wiedziała, że policjanci z Århus zawsze zżymali się na czas oczekiwania, gdy trzeba było zaangażować Kopenhagę. Czy rzeczywiście sprawy spoza okręgu stołecznego spychano na sam koniec kolejki? A może mamy tu do czynienia z lekką paranoją?

– A co z przeniesieniem ciała na bagno? W jaki sposób mordercy udało się je tam przetransportować, jeśli w tym momencie była już martwa?

Wagner odłożył na bok sztucce i podniósł szklankę, żeby się napić, lecz zatrzymał dłoń w połowie ruchu i spojrzał pod światło. Pokręcił głową z dezaprobatą.

– To wina zmywarki. Za mało soli – powiedział z miną eksperta.

Mimo to zdecydował się napić, po czym odstawił szklankę na stół.

– Nie ma śladów kół pojazdów innych niż te, które zwykle tam jeżdżą...

– Należących do wodociągów – dokończyła i wyjaśniła: – Zakłady Komunalne Århus. Pomarańczowe z niebieskim napisem z boku i żółtym kogutem na dachu. – Znała oczywiście te samochody. Często je widywała.

– To jednak niekoniecznie oznacza, że przewieziono ją którymś z nich – dodał. – Musimy wziąć pod uwagę porę roku i pogodę. Trochę pośnieżyło. Możliwe, że nie znaleźliśmy śladów kół pojazdu sprawcy, bo samochody wodociągów po nich przejechały. Ich wozy były w każdym razie w tamtym rejonie tego dnia, gdy Rose znalazła zwłoki późnym popołudniem.

Dicte pokiwała głową. Jeśli padał śnieg, istotne ślady mogły zostać utracone.

Gdy Wagner kończył jeść, Dicte zadowoliła się kawą smakującą zwietrzalymi ziarnami. Sama zaproponowała, by się tu spotkali, ale nie była w stanie nic przełknąć. I nie miało to nic wspólnego z jakością jedzenia. W redakcji wiało chłodem, odkąd Kaiser podstępem zwrócił jej temat. Davidsen poczuł się obrażony, bo odebrał całą sytuację jako zlekceważenie jego autorytetu, a Holger chodził ze zboląłą miną i mruzczał coś o starych wygach, które nie dopuszczają nikogo do swojej działki. I choć wiedziała, że narzeka jak lis na kwaśne winogrona, to mimo wszystko miała wrażenie, że wykorzystuje się przeciwko niej jej wcześniejsze argumenty. Wiedziała, że

racja jest po jej stronie. Ale ta racja miała swoją cenę – taką, że teraz wszyscy uważali ją za twardogłową przeciwniczkę zmian, przestraszoną, że młode, świeże spojrzenie usunie ją w cień. Czy taka była prawda? Dicte chciała wierzyć, że nie.

Przyjrzała się Wagnerowi, kiedy poszedł po kawę dla siebie. Musiała przyznać, że sugerowany przez niego motyw brzmiał przekonująco. Upokorzony nastolatek, będąc pod wpływem haszu i grzybów, naturalnie, i być może dodatkowo nabuzowany dopingiem kolegów, którzy są razem z nim przy pożarze szkoły, bierze odwet na nauczycielce, która nadużyła władzy. Podpalenie stajni i to, że się do niego przyznał, łączyło go ponadto z miejscem zdarzenia, albo przynajmniej z jego najbliższą okolicą. Niemal trudno sobie wyobrazić, że to mógł być ktoś inny.

– Jak bardzo jesteście pewni? – zapytała, kiedy wrócił. – Przyznał się? Macie dowody rzeczowe? Świadków?

Przyniósł jeszcze jedną kawę i ciastko dla niej o nazwie „Noc i dzień”, do połowy pokryte polewą czekoladową, a od połowy lukrem. Ugryzła kawałek nocy i pomyślała, że piekarz, który to ciastko wymyślił i podzielił lukier na ciemny i jasny, naprawdę musiał kochać swoją pracę.

– Wciąż jesteśmy we wczesnej fazie śledztwa – zastrzegł. – Możliwe, że się znajdują. Na razie nie ma się czym emocjonować.

Dawał jej w ten sposób do zrozumienia, że szczegółów dochodzenia nie wolno upubliczniać. Ani tego, że chłopakowi proponowano seks za milczenie, ani tego, że były ślady kół albo ich nie było. Ani faktu, że Inger Graugaard została powieszona. Dziennikarzom powiedziano jedynie, że została zabita za pomocą sznura i siekiery, ale nie zdradzono, w jaki sposób. Nie było w tym nic dziwnego. Ze względu na dobro sprawy i nieuniknione zgłoszenia od fałszywych sprawców zawsze pewne szczegóły ukrywano przed opinią publiczną. Dicte była Wagnerowi wdzięczna, że się z nią nimi podzielił, bo pozostali dziennikarze zgotowaliby mu piekło, gdyby się dowiedzieli, że traktuje ją w sposób wyjątkowy.

– Narzędzie zbrodni to całkiem nowa siekiera, możliwe, że zakupiona specjalnie w tym celu – powiedział po chwili.

Otworzyła usta, by o coś zapytać, ale ją uprzedził.

– Sprawdziliśmy, oczywiście, gdzie ostatnio sprzedano jakieś siekiery, i wypytaliśmy sprzedawców, czy kogoś nie zapamiętali. Na razie bez rezultatów. O tym być może mogłabyś napisać. Możliwe, że wówczas komuś coś się przypomniało.

Pokiwała głową i sporządziła sobie notatkę. Był to przynajmniej jakiś punkt zaczepienia.

– A sznur? Nie daje mi to spokoju – przyznała. – Gdzie go kupili? Skąd wiedzieli, jak zawiązać taki węzeł?

Spojrzał na nią i przez moment wyglądał tak, jakby śmiertelnie go zmęczyła ta rozmowa. Ale możliwe, że to przez ciężkie powieki wydawało się, że ma dość.

– Podobnie jak siekiera. Całkiem nowa konopna lina pleciona z nylonowym rdzeniem. Kontaktowaliśmy się ze sklepami żeglarskimi i ze sprzętem dla skautów, ale bez powodzenia.

Dokończył swoje ciastko i wytarł palce w serwetkę.

– Mikkel Andersen był skautem – dodał.

Po powrocie do redakcji starała się zapomnieć o wszystkim, co na razie musiała przemilczeć, i tylko krótko i rzeczowo opisała narzędzia zbrodni oraz zaapelowała do czytelników, by skontaktowali się z policją, jeśli mają jakiegokolwiek informacje w tej sprawie. Dla pewności obdzwoniła jeszcze sklepy budowlane i sklepy z narzędziami, ale niczego nowego się nie dowiedziała. Zadzwoiła też do kilku sklepów ze sprzętem dla skautów i ze sprzętem żeglarskim z pytaniem, czy nie sprzedawali ostatnio komuś liny, i jeśli tak, to czy pamiętają komu, ale również na próżno. Może więc przez to, że trafiła na mur, jej myśli powędrowały w nowym kierunku. Postanowiła, głównie dla siebie samej, odszukać w archiwum artykuły, jakie Davidsen napisał o sekcje Boże Kwiaty. Znalazła cały cykl i skopiowała je na dyskietkę, czując jednocześnie chłód bijący od pleców Cecilie i słysząc zgryźliwe komentarze rzucane co jakiś czas przez Davidsena do jego nowego pupila, Holgera. Nie przejmowała się tym. Miała pełną świadomość, że zrobiła to, co konieczne. Niczym chirurg skalpelem odcięła wszystko, co niepotrzebne, by dotrzeć do tego, co autentyczne. Nowotworu w postaci morderstwa. To przekonanie jej nie opuszczało. Jakiś głos podpowiadał jej,

że wyjaśnienie zabójstwa pozwoli wyjaśnić całą resztę.

W trakcie kopiowania plików przewinęła w pamięci ostatnie dziesięć minut spotkania w policyjnej stołówce. Zastanawiała się, jak najlepiej przekazać Wagnerowi informację o Lise. I czy w ogóle powinna mu o niej wspominać. Kiedy Wagner wyjawiał jej motyw chłopca, w zasadzie postanowiła to przemilczeć. Przekonywała samą siebie, że to obecnie nieistotne dla sprawy, choć sumienie nie dawało jej spokoju. Potem jednak on sam zaczął ten temat:

– Jak dobrze znasz swoich sąsiadów?

– Pytasz o Karen czy Søreną?

– Karen.

– Niezbyt dobrze – przyznała zgodnie z prawdą. – W każdym razie przed pożarem prawie z nią nie rozmawiałam – dodała niepewnie.

– A teraz?

– Teraz znam ją niewiele lepiej – odparła.

– Wiesz, że Inger miała córkę? Znasz jej przeszłość? – spytał.

Dicte nawet się nie zdziwiła. Oczywiście, że Wagner wiedział. Poczuli ulgę, że o nią zapytał. Każde śledztwo zaczyna się od sprawdzenia przeszłości ofiary.

– Powiedziała mi tylko trochę – odparła. – I muszę przyznać, że przemknęło mi przez myśl, że to również mogło mieć związek z motywem.

Pokiwał głową i znowu wyglądał na zmęczonego, jakby cienie pod jego oczami nagle poczerniały, a powieki za moment miały opaść. Dicte zastanowiła się, jak też może obecnie wyglądać jego życie prywatne. Z Idą Marie i małym. Może jednak nie jest tak różowo, jak sobie wyobrażała.

– Chcielibyśmy oczywiście porozmawiać z tą dziewczyną – dodał. – Ale z różnych niezwiązanych ze sprawą przyczyn zapadła się pod ziemię. Poza tym nie sądzę, aby była w to zamieszana.

Wstał i zaczął układać filiżanki i talerzyki na tacy. Potem się wyprostował i spojrzał na nią. W tej sekundzie Dicte kompletnie nie

wiedziała, co naprawdę dzieje się w jego głowie. Czy traktuje ją jak mniejsze zło – bo woli ją od Holgera, czy naprawdę ceni jej wkład w śledztwo.

– W prawdziwym świecie sprawy nie przedstawiają się tak prosto jak w filmach – powiedział wreszcie, przez co zaczęła się skłaniać do pierwszej opcji. – Ktoś może mieć motyw, ale ktoś inny może dokonać zbrodni.

21

Wagner nie mógł zasnąć. Leżał w łóżku i przewracał się z boku na bok, a pościel pod nim zwinęła się w przepocony kłębek. Ida Marie mruknęła coś przez sen i odnalazła jego rękę. Chwyciła ją mocno. Długo pozostał nieruchomo, aż w lewej nodze złapał go skurcz. Dopiero wtedy delikatnie uwolnił się z jej uścisku i postawił nogi na podłodze. Bezgłośnie zaklął z bólu, włożył spodnie z dresu i koszulkę i pokuśtykał z sypialni, zamykając za sobą drzwi.

Wyjął piwo z lodówki i zrobił sobie kanapkę z salami. Zaniósł to wszystko do salonu, włożył słuchawki, a na półce z płytami znalazł swoje ulubione nagranie *Wariacji Goldbergowskich* Bacha. To, do którego nieustannie wracał.

Usiadł wygodnie w fotelu – jednym z niewielu mebli, które uparł się zachować po tym, jak pół roku temu do jego domu wprowadziła się Ida Marie z Martinem. Wszystkie pozostałe, ciemne i ciężkie, zastąpiły lekkie i jasne konstrukcje przestrzenne, a zamiast kwiecistych zasłon w oknach zawisła biała gaza. Najdziwniejsze było to, że podobała mu się ta zmiana. Odchylił głowę i oparł ją o szorstki, swojski materiał. Słuchał czarodziejskiej gry Glenna Goulda, próbując oczyścić głowę z myśli. Była to sprawdzona, zwykle skuteczna terapia. Z reguły siedział tak i medytował, pozwalając, by poszczególne głosy unosiły go ze sobą niczym rwąca rzeka. Oddzielał je od siebie i z rozkoszą dawał im się prowadzić, z przyjemnością śledząc kontrapunkty, frazowanie i krystaliczne brzmienie. Wsłuchiwał się w oddech muzyki, który z wolna stawał się jego własnym.

A jednak tym razem to nie działało. Owszem, słyszał głosy, ale nie Bachowskie. Nadal się nie otrząsnął po rozmowie, jaką dwie godziny temu odbyli z Idą Marie, kiedy już się położyli i zgasili światło.

– Śpisz? – zapytała.

Zwykle tak zaczynała grę wstępną. Słodycz w jej głosie zatrzymała go gdzieś w połowie drogi pomiędzy Viiby a krainą snu.

– Mmm.

Przysunęła się bliżej, wtuliła głowę w jego szyję, jej włosy go łaskotały. Potem położyła dłoń na jego piersi i wiedział już, bo znał ten gest, że jest coś, co nie może zaczekać.

– A co?

– Coś mi przyszło do głowy.

– Aha.

– Coś ważnego.

Powaga w jej głosie spowodowała, że natychmiast się obudził. Myśli zakotłowały się w jego głowie i zdążyły urosnąć ze sto razy, zanim powiedziała, o co jej chodzi.

– Chodzi o Martina. Pomyślałam, że być może on...

– Że być może on co?

Westchnęła i znów mocniej się do niego przytuliła. Czegoś od niego chciała. O coś zamierzała go poprosić i nie był to seks. W każdym razie nie tu i teraz.

– Bo wiesz, mam już czterdzieści lat – szepnęła.

Chciał jej czułym szeptem przypomnieć, że on ma lat pięćdziesiąt dwa, ale nie przyszłoby mu do głowy budzić jej w środku nocy z tego powodu. Nie zrobił tego jednak, bo przeczuwał, co zaraz nastąpi.

Czekał więc. Wiedział, że zbiera się na odwagę, szuka słów i zastanawia się, jak to powiedzieć i jak on zareaguje, kiedy te słowa padną i staną się realne. A mimo wszystko okazał się kompletnie nieprzygotowany na ciepło, jakie przeszło jego ciało na dźwięk jej głosu, niczym buchający ogień, i na to, jak krew zadudniła szybciej i jak pożądanie, niepewność, nadzieja i strach połączyły się w gorzko-słodki koktajl.

– Chciałabym, żeby Martin miał siostrę albo brata.

Co jej odpowiedział? Bach plątał się z głosem Idy Marie, pnąc się wyżej, osiągając kulminację i opadając, by po chwili ponownie się wznieść. I tak przecież było. Coraz wyżej i wyżej, a potem w dół i zwątpienie. Bolesne ukłucie samoświadomości.

Mruknął coś, pogłaskał ją i powiedział, że powinni o tym porozmawiać, kiedy będą w stanie trzeźwo myśleć. Jakby w tej chwili nie był. Dał się ponieść fali, gorączkowo i bez powodzenia szukał głosu własnego rozsądku, próbował się dowiedzieć, czego on sam chce, ale wydawało się, że jego wola traci moc, kiedy Ida Marie jest blisko. Dziecko. Ich własne. Dobry Boże. Nie potrafił nawet o tym myśleć. Miał pięćdziesiąt dwa lata, dorosłą córkę i dziesięcioletniego Alexandra. Dzieci, które kochał, ale czasem zaniedbywał, i doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Dzieci, które schodziły na dalszy plan, kiedy wymagała tego praca. Bolesnie odczuwał swoją nieobecność podczas meczów piłki, szkolnych przedstawień i balów, ale śledztwo wymagało jego niepodzielnej uwagi. Czy ktoś taki może sobie w ogóle pozwolić na myślenie o kolejnych dzieciach?

A jednak coś go w tej myśli pociągało. Czyżby mimo wszystko schlebiało mu to? Że ta nieziemsko piękna młoda kobieta wybrała akurat jego na ojca swojego dziecka? Że okazała mu tak wielkie zaufanie?

Wziął łyk piwa i odsunął od siebie migoczące w tyle głowy podejrzenie, że kobiety, które nagle pragną mieć dziecko, bywają mało wybredne, jeśli chodzi o wybór ojca. Że on jest akurat w tym momencie najbardziej dostępny. Mimo wszystko nie potrafił uwierzyć, by o to chodziło. Nie w przypadku Idy Marie.

Sam nie wiedział dlaczego, ale dał się ponieść myślom i nim się zorientował, na horyzoncie znów pojawiło się śledztwo. Miał niejasne przeczucie, że kluczem jest słowo zawód. Wspólny mianownik. Ludzie bezustannie sprawiali sobie nawzajem zawód i czasem wynikały z tego nieszczęścia. Inger Graugaard. Jeśli Mikkel mówił prawdę, ona również zawiodła i zapłaciła za to życiem. Zawiodła jako nauczycielka, wystawiła na szwank swoje poczucie przyzwoitości i nie wywiązała się z powierzonego jej zadania, jakim była opieka nad młodym człowiekiem. Jeśli mówił prawdę.

To małe słowo „jeśli” przykleiło się do głosu wiodącego w fudze. I to tu przeplotło się z innymi słowami, choć z tego samego wątku – miłość, zawód, nienawiść, śmierć.

Westchnął i dokończył piwo.

Trzy godziny snu. Mniej więcej.

To właśnie pomyślał, kiedy w końcu usiadł w swoim biurze następnego ranka i nie wyobrażał sobie, jak dotrwa do końca dnia. Będzie musiał się ratować stołówkową kawą, nawet jeśli była to płynna śmierć. Nie ma innego sposobu.

Kiedy poszedł na stołówkę po termos, przypomniała mu się Dicte Svendsen. Przed oczami stanęła mu jej skupiona twarz, kiedy wczoraj spotkali się właśnie tutaj. Nigdy nie pozostawiała go obojętnym. Nic nie mogło się ukryć przed badawczym spojrzeniem jej zielonych oczu, szczególnie gdy pytały o przyznanie się, dowody i motyw. A jednocześnie stwarzała dystans, który przestrzegał przed zbytnim zbliżaniem się do niej, a już na pewno nie pozwalał pytać o sprawy osobiste.

Ale przecież i tak nie o tym mieli rozmawiać. Zresztą co on wiedział o poczynaniach tej kobiety? On, który nie był w stanie nakłonić Karen Graugaard do zwierzeń tak, jak najwyraźniej udało się to Dicte. Bo oczywiście spodziewał się, że będzie wiedziała o córce, Lise. Może nawet wie więcej, niż mu powiedziała.

Nikt nie widział Lise od dwóch miesięcy. Już dawno wszczęto poszukiwania, ale dziewczyna jakby zapadła się pod ziemię. Teoretycznie ona również miała motyw. I nie, nikt jeszcze nie przyznał się do zabójstwa Inger Graugaard. Zarówno Mikkel, jak i jego kompani konsekwentnie obstawali przy swojej niewinności.

Czyżby wszyscy byli ślepi na to, co oczywiste? Czy on sam czegoś nie dostrzegał?

Niosąc ostrożnie pełny termos i brzęczącą filiżankę na spodku, zauważył Jana Hansena, który zrobił sobie przerwę i siedział w kącie z Arnem Petersenem. Dicte pytała o siekierę i sznur. Zwłaszcza o sznur.

Postanowił. Odstawił termos i filiżankę i szybkim krokiem podszedł do

dwójki kolegów. Spojrzał na Hansena, który właśnie wbił zęby w cynamonowego ślimaka i wydawał się czymś bardzo pochłonięty.

– Masz chwilę?

Hansen przełknął, aż zakołysało mu się jabłko Adama, i zakrztusił się, plując okruszkami.

– Napij się wody – poradził mu Arne i z braku wody podsunął kawę. Wagner walnął go w plecy.

– Przyjdź do mnie za kwadrans. Znajdź jakąś linę i przynieś ją ze sobą.

Hansen pokiwał głową, cały czerwony od kaszlu, ale o nic nie pytał. Wagner odwrócił się, zabrał swoją kawę i poszedł na górę do siebie. Trochę się zawstydził i zastanowił, czy przypadkiem nie dlatego tak dobrze mu się pracuje z Hansenem, bo on potrafi słuchać poleceń. Znowu pomyślał, że przydałaby im się w zespole kobieta. Taka, która by zadawała pytania.

Czekając na Hansena, zadzwonił do Kopenhagi do Instytutu Genetyki Sądowej. W słuchawce odezwała się młoda kobieta. Miała głos jak nastolatka w dresie z któregoś z kopenhaskich osiedli.

– Czy zastałem Kaia Jørgensena?

– Ma urlop.

Mówiła, jakby jednocześnie żuła gumę. Wagner czekał tylko, aż usłyszy pękający balon.

– To proszę mnie połączyć z Kimem Flyvstrupem.

– Jest na chorobowym.

Wagner powoli tracił rezon. Niemal wyczerpał już listę osób, które potencjalnie mogłyby w ramach przyjacielskiej przysługi przyśpieszyć nieco analizę ubrania Inger Graugaard.

– A Henrik Wilhelmsen? – strzelił bliski rozpaczy.

– Urlop rodzicielski – powiedziała krótko dziewczyna i Wagner miał ochotę osobiście rozewrzeć jej usta łomem i wyrwać z nich tę cholerną gumę.

– To niech mnie pani po prostu połączy z Wydziałem Analiz –

powiedział zrezygnowany. – Z kimkolwiek.

– Robi się.

Wcisnęła guzik i telefon zamilkł. Czekał już dłuższą chwilę, kiedy zdał sobie sprawę, że się rozłączyła. Wściekły zadzwonił ponownie. Odebrała ta sama dziewczyna.

– Zakładam, że chciałaby pani utrzymać swoją pracę – powiedział głosem podstępnie uprzejmym.

Tamta jakby połknęła swoją gumę.

– W czym mogę pomóc? – zapytała, wyraźnie zdenerwowana.

– Chcę rozmawiać z kimś z genetyki sądowej. *Pronto*.

– *Pronto?* – zapytała ponownie. – Co to znaczy?

– Natychmiast – odparł spokojnie. – W ciągu najbliższych pięciu sekund. A jeśli znowu się rozłączysz, złożę skargę u twojego szefa.

W końcu go połączyła. Telefon odebrał ktoś mocno zagoniony i lekko zdyszany.

– Wagner, Wydział Kryminalny w Århus. Chodzi o zabójstwo na bagnie. Chciałem zapytać, jak daleko jesteście.

W słuchawce zapadła cisza, jakby tamten się zastanawiał. Można było pomyśleć, że w ogóle nie słyszał o żadnym zabójstwie na żadnym bagnie.

– Århus. Bagno. Zaraz, zaraz. Proszę chwilę poczekać, sprawdzę.

Dźwięk, jakby ktoś pukał ołówkiem w blok. Wagnerowi skoczyło ciśnienie.

– Drugiego lutego – wycodził przez zęby. – Dwa tygodnie temu. Do ciężkiej cholery, weźcie się w końcu do roboty!

– Mamy braki personalne – powiedział technik urażonym tonem. – Przecież panu nie wyczaruję tych wyników.

Jeśli o mnie chodzi, to nie ma problemu, pomyślał Wagner, kiedy mężczyzna najwyraźniej sprawdzał coś w komputerze. Jeśli czary mogłyby tu pomóc, to jak najbardziej, on był za.

– Chwileczkę. A... mam! – technik powiedział radośnie. – Widzę w systemie, że Wilhelmsen się tym zajmował, ale potem zrezygnował.

– Urlop rodzicielski – powiedział Wagner i udzielił mu się zrezygnowany ton recepcjonistki. – Więc kto się tym zajmuje teraz?

– Nikt.

– A raport jest gotowy?

– Nie... O ile wiem, to nie. Brakuje analizy dwóch białych włosów znalezionych na sukience ofiary.

– Ona ma białego psa – westchnął Wagner. – Tylko tego brakuje?

Słyszał, że mężczyzna w słuchawce klika myszą.

– To nie jest sierść psa – powiedział wreszcie.

– Więc co?

– Nie mam pojęcia. Morfolog będzie wiedział. Mogę do pana oddzwonić?

Wagner poczuł, że w końcu trafił na anioła, prawdziwego wybawcę. Od razu pożałował gorzkich słów i podał mu swój bezpośredni numer.

Mikkel najwyraźniej miał zły dzień.

Siedział zgarbiony na krześle na wprost nich. Wagner zauważył, że chłopak potrafi jednocześnie zaglądać w głąb siebie i skanować wzrokiem otoczenie. Odnosił wrażenie, że patrzy na niego, a potem na Hansena, ale kompletnie niczego nie rejestruje. Usta miał ściągnięte w milczący owal, w każdej chwili mogący się zmienić w niecierpliwy grymas.

– Witaj ponownie – przywitał się przyjacielsko Hansen. – Jak leci?

– A jak ci się zdaje?

Usta od razu wróciły do owalu. Spojrzenie powędrowało w górę do sufitu i dookoła pokoju.

– Potrzebujesz czegoś? – zatroszczył się Hansen.

– A jak ci się zdaje?

– Po prostu powiedz – zachęcił go Hansen.

Chłopak oblizał usta i wyszczerzył zęby.

– Jebanej wolności, człowieku. A czego innego mogę w tej chwili potrzebować, co?

Dla porządku kopnął w nogę stołu i walnął pięściami w blat.

Wagner chrząknął.

– Tego niestety na razie nie możemy ci zapewnić. Ale jeśli przyjdzie ci do głowy coś innego, to mów śmiało.

Chłopak odchylił się z krzesłem do tyłu i Wagner dostrzegł prowokację w jego oczach.

– Zasłużyła na śmierć. Nie będę tu siedział i mówił, że jest mi jej żal, bo nie jest. – Zahuścił się raz jeszcze. – Ale nie ja ją zabiłem.

Krzesło wróciło na miejsce z głośnym stuknięciem. Chłopak gwałtownie pochylił się w przód. Wagner czuł jego oddech. Ryba na kolację, pomyślał mimochodem.

– Ale wam oczywiście łatwiej jest uwierzyć, że to ja. Tak jest najwygodniej. To wam pasuje do waszych mądrych teorii.

Mikkel popukał się w czoło kłykiem wskazującego palca.

– Frajerzy.

Hansen przeszedł do obłaskawiania.

– Być może masz rację. Tak czy inaczej, mamy jeden zasadniczy problem.

Mikkel patrzył nieufnie spod ściągniętych brwi.

– Macie mnóstwo problemów.

– Ale być może z jednym będziesz mógł nam pomóc – wtrącił Wagner. – Chodzi o inną sprawę.

Chłopak znów spojrzał w sufit.

– A co to ma ze mną wspólnego?

– Za dużo nie możemy ci powiedzieć – wyjaśnił Wagner. – Sprawa jest utajniona.

Mikkel posłał mu pytające spojrzenie.

– Ściśle tajna – doprecyzował Wagner. – Chodzi o bezpieczeństwo narodowe.

Na twarzy chłopca pojawiło się zaciekawienie. Bingo. Każdy łepiek uwielbia opowieści o szpiegach, pomyślał Wagner.

– O agentów?

Mikkel ze wszystkich sił starał się sprawiać wrażenie obojętnego.

– Coś w tym guście. Na tym etapie nie możemy ujawniać zbyt wielu szczegółów – Wagner improwizował i spojrzał na Hansena, który pokiwał głową przyzwalająco. – Ale utknęliśmy w martwym punkcie, tyle chyba możemy zdradzić – ciągnął. – I jeśli nam pomożesz, to być może zaoferujemy ci jakieś dodatkowe przywileje albo coś innego, na co miałbyś ochotę. Może jakąś muzykę i słuchawki.

Na twarzy chłopaka malowało się teraz absolutne zagubienie.

– Słuchasz heavy metalu, prawda? – zagadnął po kumpłowsku Hansen. – Marilyną Mansona? Iron Maiden? Te rzeczy?

Mikkel pokiwał głową.

– No. Są spoko.

Hansen się schylił i wyjął z worka linę. Wagner z zadowoleniem pomyślał, że wyglądała bardzo niewinnie. Niebieski nylon. Czysta i elegancka. Schludna, jakby powiedziała jego matka.

Mikkel również patrzył na nią z zaciekawieniem.

– Chodzi o pewien konkretny węzeł – wyjaśnił Hansen. – Nie możemy zdradzić dlaczego, ale w tej drugiej sprawie kluczowe okazało się dla nas ustalenie, jak wygląda najzwyczajniejsza ósemka.

– A ponieważ trochę nam się śpieszy, nie mamy czasu szukać eksperta – podpowiedział Wagner. – I właśnie pomyśleliśmy o tobie.

– O mnie?

Chłopak zamrugał oczami z niedowierzaniem.

– Jaja sobie ze mnie robicie?

Hansen pokręcił głową.

– Nie przyszłoby nam to do głowy. Pomyśleliśmy natomiast, że być może zechcesz nam pokazać, jak taki węzeł wygląda. To nam naprawdę bardzo pomoże.

– Odwdzięczymy się – dodał Wagner. – Czymś, co ci umili pobyt tutaj.

– Co to miało być? Że niby ósemka, tak?

Chłopak wziął linę i nerwowo nią manipulował. Próbował intuicyjnie ułożyć końce w cyfrę osiem, ale bez powodzenia.

Wagner się zaniepokoił.

– To może umiesz zawiązać taki zwykły węzeł ratowniczy – zasugerował. – To nie powinien być problem dla takiego starego skauta jak ty.

Mikkel wyglądał teraz na prawdziwie zdesperowanego. Przed oczami miał wieżę i słuchawki, i mnóstwo płyt, lecz ta wizja bladła z każdą sekundą.

– Jasne, skauci – mruknął. – Myślałem, że jebnę z nudów.

Zerkał na nich spomiędzy kosmyków grzywki. Próbował jeszcze coś wykombinować z tą liną, ale w końcu rzucił ją na stół.

– Najczęściej się zrywałem z tych zbiórek – przyznał wreszcie i spojrzał na nich urażony. – No weź. To nie dla mnie ganiać po lesie albo budować tratwę, albo piec głupie placki z mąki.

Wagner sięgnął po linę i przesunął ją między palcami. Przez chwilę milczał, przetwarzając w głowie to, co się właśnie stało.

Potem wstał i skinął do Hansena.

– Załatwisz ten magnetofon?

22

Kierowniczka domu opieki, Irene Husum, spojrzała na Karen zza biurka.

– Jeśli mam być szczerą, to nie jesteśmy całkiem pewni.

Personel ośrodka zorientował się, że z ojcem Karen jest bardzo źle, i poprosili ją o spotkanie.

Karen wiedziała, że kierowniczka czeka na jej reakcję.

– Czasami odnosimy wrażenie, że on rozumie więcej, niż daje po sobie poznać – dodała na zachętę jedna z pielęgniarek.

Miała na imię Anja. Tak było napisane na wizytówce przyklejonej do błękitnego kitla, bo Karen oczywiście jej nie znała. Od czasu do czasu robiła coś w rodzaju rozeznania w sytuacji i zaczepiała na korytarzu Irene Husum albo szły na małą kawę. Nigdy jednak nie siedziała tak jak teraz w biurze kierowniczki z dwójką pracowników.

– Z nim jest inaczej niż z pozostałymi – uzupełniła Katrine, asystentka opieki społeczno-medycznej. – Czasem wydaje się, że on po prostu nie chce się odzywać. Trochę jak okresy milczenia u dzieci. Wtedy pojawiają się wątpliwości.

Karen chciała powiedzieć, że nie ma pojęcia o dzieciach i ich okresach milczenia. Chciała wyjaśnić, że nie ma dzieci, ale przecież one doskonale to wiedziały. Podobnie jak to, że Inger nie żyje i że stajnia spłonęła. Dlatego nie odezwała się, tylko lekko skuliła w sobie. Nagle poczuła się odsłonięta i atakowana, jakby ona i tylko ona była odpowiedzialna za milczenie ojca.

– Niewątpliwie jest to reakcja na śmierć pani siostry – wyjaśniła Anja, która teraz występowała również w charakterze psychologa. – Zaczęło się zaraz po tym. Kiedy przysłała mu pani o tym powiedzieć.

Jakby sama tego nie zauważyła. Zamknięta twarz i oczy, w których życie nagle wydało się rozmyte. Rozcięnczone, jakby ktoś dolał wody do drinka. „Kim jest Inger?” – pytanie nadal dźwięczało jej w pamięci. Czy w ten wyszukany sposób próbował wymigać się od odpowiedzialności, czy naprawdę zapomniał imię młodszej córki?

Przez krótką chwilę zastanawiała się, ile może im powiedzieć. Czy powinna zdradzić, że według niej on doskonale wszystko pojmuje i wie, co się wokół niego dzieje? Że rozumie po prostu to, co chce rozumieć. Ale pewnie zabrzmiałoby to nazbyt gorzko. Bała się, że źle to odbiorą i pomyślą, że mimo wszystko nie jest taką troskliwą, ofiarną córką, za jaką ją miały. Z jakiegoś powodu to wywoływało w niej panikę.

– Ojciec już wcześniej miewał przecież okresy, kiedy wyłączał się na otoczenie – powiedziała zamiast tego. – Było tak również przez krótki czas po śmierci mojej matki. Wtedy wszyscy sądzili, że miał niewielki wylew.

One oczywiście o tym wiedziały. Te informacje były w jego kartotece.

Kierowniczką pokiwała głową i poklepała leżącą na biurku żółtą teczkę z dokumentacją ojca.

– Naturalnie, przebadaliśmy go. Nie jesteśmy również zwolennikami podawania leków, jeśli nie występują bóle. Poprosiliśmy jednak lekarza, aby zwrócił na pani ojca szczególną uwagę.

Irene Husum spojrzała na zegarek.

– Niestety, będziemy musiały kończyć. O jedenastej mam kolejne spotkanie. – Wstała i podała Karen rękę. – Jeśli będzie pani miała jakiegokolwiek pytania, proszę śmiało się do nas zwrócić. Bez względu na porę – dorzuciła.

– Jak długo...? – słowa wyrwały się Karen, zanim zdążyła je powstrzymać.

Wszystkie trzy musiały dostrzec w jej oczach błysk zniecierpliwienia. Może nawet domyśliły się uczuć, jakie od lat przetrzymuje szczelnie zamknięte z dala od wzroku innych. Starannie zamiecione w najciemniejsze zakamarki świadomości.

Kierowniczką posłała Karen uspokajający uśmiech, od którego ścisnęło ją w żołądku.

– Ojciec pani fizycznie jest w doskonałej formie – poinformowała. – Może żyć jeszcze wiele lat, jeśli tylko zechce.

Siedział na korytarzu otulony kocem i ze wzrokiem wbitym w pustkę. A może patrzył na wiszący na ścianie obraz? Plakat Pera Arnoldiego z laseczką i melonikiem. Na zewnątrz drzewa i mury parowały wilgocią. Z brzozy zwisały kolbki prosa dla ptaków i kapały żałością. Odwilż wcale nie przyniosła ocieplenia, a jedynie wzmogła poczucie bliskości otwartego lodowatego morza.

– Tato, nie jest ci zimno? – Tymi słowami się z nim dziś przywitała, głównie dlatego, że sama była zziębnięta.

Spojrzał na nią niewidzącym wzrokiem i zamiast odpowiedzi wyciągnął ku niej szponiastą dłoń i zacisnął ją na jej ręce, aż zabolęło. Nie umiała rozszyfrować jego spojrzenia.

– Masz ochotę na coś słodkiego?

Szybko wywinęła się z jego uścisku i otworzyła torebkę, by odwrócić jego uwagę. Zauważyła, że bacznie się przygląda jej ruchom. Teraz na przykład obserwował zamek błyskawiczny torebki i jej dłoń wyjmującą papierową torbę z piekarni. Z bezwładnego kącika ust zwisała długa nitka śliny.

– Przyniosę nam kawy.

Poczuła ulgę, kiedy tylko odwróciła się do niego plecami i ruszyła korytarzem w poszukiwaniu kawy i filiżanek. Poza zasięgiem jego ręki. Wolna na tę krótką chwilę, którą zajęło jej zlokalizowanie wózka z termosem i filiżankami. Myśli szalały, jakby przez długi czas trzymała je pod kluczem. Kiedy wreszcie odzyska wolność? Jak długo jeszcze ma czekać? A zaraz potem przyszły wyrzuty. To przecież człowiek. Dziecko Boże. Jezus wypędziłby z jego myśli demony i wybaczył mu, namaścił go olejem i wysłał w świat, by nauczał. Mamrotała do siebie, kiedy wracała, niosąc ostrożnie filiżanki i termos. Usłyszała w głowie muzykę i własny, kojący głos: „Baranku Boży, Ty pod krzyża sromotą zgładziłeś grzechy świata”.

Gdy postawiła kawę na małym stoliku, jedno z ciastek już zjadł. Na

wózku podjechał do niego jeden z sąsiadów i patrzył łakomie na drugie, wciąż leżące w torbie.

Karen uprzejmie skinęła do niego głową.

– Dzień dobry, Haraldzie. Jak się miewasz?

Nie pytała, czy go ktoś odwiedził, bo prawie nigdy nikt do niego nie przychodził. Raz tylko go o to zapytała i wówczas po jego policzkach popłynęły łzy. Później Anja powiedziała, że Harald od trzech miesięcy czeka na odwiedzinę swojej mieszkającej w Århus córki.

– Masz ochotę na ciastko?

– Pewnie, co mi szkodzi – odparł staruszek jowialnie. Dawniej prowadził sklep garmazeryjny i z każdym potrafił swobodnie rozmawiać.

– Możecie się z ojcem podzielić – postanowiła i łyżeczką przekroiła marcepanową drożdżówkę na pół. Porcję Haraldą położyła na swoim spodku i podała mu.

– Proszę.

Ramię pojawiło się znikąd. Pojedyncze machnięcie i ciastko oraz talerz poszybowały wysokim łukiem i wylądowały daleko od siebie i od Haraldą.

– Tato!

Przez moment jej własna ręka bezwiednie podniosła się, by uderzyć. Jak szybowiec na ułamek sekundy zawisała w powietrzu, czekając na informację, w którą stronę ma się skierować. Potem Karen odzyskała kontrolę, przysunęła rękę do siebie i dla pewności docisnęła ją na swoich kolanach drugą dłonią.

– Bardzo cię przepraszam, Haraldzie. Tato nie jest dziś całkiem sobą.

Grzecznie wstała i nałożyła Haraldowi ostatni kawałek ciasta. Potem podniosła talerz i ciastko z podłogi i poszukała kosza na śmieci. Gdy wróciła, Haraldą nie było, a jej ojciec znowu sprawiał wrażenie, jakby się zapadł w sobie. Chciała go upomnieć, że w ten sposób nie zdobędzie przyjaciół, ale wiedziała, że to na nic, że nie ma sensu zachęcać go do przyjaźni z innymi mieszkańcami. Ojciec nawet w chorobie był jak stary kocur. Nie potrzebował nikogo. Tylko jej.

– Nie ma więcej ciasta – w swoim głosie usłyszała irytację. – Musimy się zadowolić kawą.

Gdy podawała mu filiżankę, popatrzył na nią i poruszył wargami. Wykrzywionymi palcami ujął filiżankę i podniósł sobie do ust. Napił się, siorbiąc głośno.

– Klątwa młynarza – powiedział wreszcie, kiedy z brzękiem odstawił filiżankę. Były to jego pierwsze słowa od wielu dni. – To klątwa młynarza.

Karen struchlała. Znów zaczniesz zmyślać? To niemal gorsze niż milczenie.

– Tato, jakiego młynarza?

Puste oczy przytrzymały jej wzrok. Poczwała w brzuchu lodowate zimno i starała się skupić na pieśni. Zgładziłeś grzechy świata.

– Młynarza z Nowego Młyna – wyjaśnił.

Nagle z mroków pamięci zaczęły się wyłaniać jakieś skrawki. Milczała i próbowała dojść do siebie, patrząc, jak ojciec wlewa w siebie resztę kawy. Jak mogła zapomnieć tamtą starą historię?

23

– Kiedy to się stało?

Dicte w końcu się zmobilizowała i zadzwoniła do miejscowego mechanika, Kurta. Kiedy otworzyła drzwi, wyszedł do niej z warsztatu i spojrzał badawczo na zderzak. Wsiadła i zauważyła, że od ostatniego razu zapuścił brodę. Razem ze smugami smaru na twarzy nadawała mu wygląd komandosa w samym środku niebezpiecznej misji.

– Tydzień temu. Wiem, powinnam była przyjechać trochę wcześniej.

Na małym parkingu przed warsztatem stało mnóstwo pojazdów. Młody praktykant nurkował pod maską jaskrawozielonej toyoty corolli, a w czasie ich rozmowy podjechał kolejny samochód i wcisnął się między wóz dostawczy a fiata Dicte. Kurt wyjął z kieszeni kawałek czyściwa i wytarł nim dłonie, jeszcze czarniejsze niż twarz. Pochylił się i przesunął palcem po krawędzi pękniętego zderzaka. Potem kucnął i przyjrzał mu się z bliska.

– Chyba nie uda się go uratować. To mi wygląda na wymianę.

Spojrzał na nią.

– Masz ubezpieczenie?

Pokiwała głową.

– Z jakim udziałem własnym?

Zbyt wysokim, pomyślała.

– Cztery tysiące.

Kurt wstał i wyprostował swoje niemal dwumetrowe ciało w przykrótkim kombinezonie roboczym.

– To mogą ci nie zwrócić. A temu drugiemu coś się stało?

– Ani draśnięcia. Volvo.

Pokiwał głową, jakby to wszystko tłumaczyło.

– Dowiem się, ile to będzie kosztowało, i oddzwonię do ciebie.

Dicte siedziała już w samochodzie i miała właśnie zamykać drzwi, kiedy mechanik pochylił się i poklepał lekko drzwi.

– Tak przy okazji, moim zdaniem jesteście trochę zbyt surowi dla Karen i Sørena. To o ubezpieczeniu za konie było poniżej pasa.

Cholera. Znowu zbiera cięgi za jego partactwa. Przed oczami przemknęły jej sceny ostracyzmu w wiosce i ociekającej nienawiścią korespondencji, która już ku niej zmierza.

– Masz całkowitą rację – powiedziała, błyskawicznie obierając taktykę Judasza. – To się stało bez mojej wiedzy. Byłam wtedy chora.

Poczuła lekkie ukłucie wyrzutów sumienia, ale szybko je zignorowała. Holger i spółka niech radzą sobie sami.

– Dobrze znasz Graugaardów? Znałeś Inger?

Uśmiechnął się i wówczas jego twarz nabrała żalostnego, nieco komicznego wyrazu.

– Jasne. Wszyscy w mieście ich znają. Mieszkają tu od pokoleń. Ojciec Karen mieszkał w tym domu jeszcze siedem lat temu. Potem przeniósł się do domu opieki w Tilst.

Miała ochotę zapytać, co o zabójstwie mówią wioskowe plotkary, ale nie bardzo wiedziała, jak sformułować pytanie, aby nie było zbyt bezpośrednie. Kurt na szczęście był rozmowny. Kucnął i poskrobał chwilę przy mikroskopijnej plamie rdzy na drzwiach.

– Z Jørgena Graugaarda był zresztą kawał drania.

Machnął głową w kierunku domu Karen i Sørena, widocznego stąd na szczycie wzgórza, zaraz nad jej domem.

– Mój pradziadek przed wieloma laty był parobkiem w Vestergården. Opowiadał straszne historie, jak ich wyzyskiwano i zmuszano do nadludzkiego wysiłku. Któregoś razu podczas żniw jeden z robotników zemdłał z wycieńczenia, a Jørgen stwierdził, że tamten udaje, i kazał

pozostałym zostawić go leżącego na ziemi.

Kurt popatrzył na nią brązowymi sarnimi oczami znad zarostu i czerni smaru.

– Dostał udaru słonecznego. Podobno nigdy w pełni nie doszedł do siebie.

Dicte próbowała to sobie wyobrazić. Warsztat Kurta znajdował się na krańcu wioski i przez otwarte drzwi samochodu widać było pola – grzaskie i chłodne po zimie, ciągnące się w górę wzgórze, o którym mówiono, że jest kurhanem. Wyobraziła sobie upalne lato. Żniwa. Wiele lat temu, kiedy robotników rolnych traktowano jak niewolników albo bardzo podobnie.

– A reszta rodziny? Żona i dzieci?

Kurt się wyprostował. Rękę wsparł na lędźwiach, jakby chciał sobie w tym pomóc.

– Aż tak dobrze ich nie znam. Wiem tylko, że jego żona zmarła. A Inger była moją nauczycielką w szkole Lisbjerg. – Roześmiał się i białe zęby zaślniły w czarnej twarzy. – Ale to było oczywiście sto lat temu – wyjaśnił.

– Na pewno nie aż tak dawno. Jaka była?

Wzruszył ramionami.

– Całkiem miła. Ale się z nią droczyliśmy. Dziś wiem, że na to nie zasłużyła.

– Dlaczego się z nią droczyliście?

Podrapał się lekko w brodę.

– Ona jak gdyby sama do tego zachęcała. Jakby ciągle chodziła z głową w obłokach. – Machnął ręką, w której wciąż trzymał szmatę. – Czy coś w tym stylu. Wiesz, minęło ponad dziesięć lat.

Wychyliła się nieznacznie na zewnątrz i podniosła na niego wzrok. Mógł mieć z dwadzieścia kilka lat i Dicte wiedziała, że przejął interes po ojcu, gdy ten poszedł na emeryturę. Najwyraźniej w tej wiosce ludzie zapuszczają korzenie na zawsze. Na relacje pomiędzy mieszkańcami zapewne kładą się cieniem rozliczne opowieści o starej nienawiści i może równie starej miłości.

Kto wie, czy nie urazy i zadry są najpotężniejszym spadkiem przekazywanym z pokolenia na pokolenie.

– A co mówią twoi rodzice? O zbrodni? Dalej mieszkają na Revelhøjvej?

Pokiwał głową.

– Oczywiście, to wszystko im się nie podoba. Tam, na bagnach, zawsze wiało grozą.

Dicte wiedziała, że stąpa po bardzo cienkim lodzie, ale nie umiała się powstrzymać.

– A czy mają jakiegokolwiek przemyślenia o tym, kto mógł to zrobić? Wierzą w wersję o czwórce nastolatków, którą podają gazety?

Kurt znowu pobieżnie wytarł sobie palce. Przez chwilę czubkiem buta rysował kółka i słychać było tylko szuranie żwiru.

– Mój ojciec w to nie wierzy. Jego zdaniem to zrobił ktoś stąd, a w każdym razie ktoś, kto znał tę rodzinę bliżej niż tylko przez to, że Inger go uczyła.

– Dlaczego tak sądzi?

W jednej chwili w jego postawie dało się dostrzec nerwowość. Znow wyjął szmatkę i zaczął ją przesuwać pomiędzy czarnymi palcami.

– A co to ma być? Wywiad? – zapytał niespodziewanie.

Szybko zaprzeczyła ruchem głowy. Zapomniała, że ludzie często uważają dziennikarzy za nienasycone bestie pożerające zachłannie wszelkie informacje wyszarpięte od swoich ofiar, a potem plujące ognistymi nagłówkami na pierwszej stronie.

– Absolutnie nie. Jestem po prostu ciekawa.

Jej zapewnienie tylko trochę go uspokoiło.

– Kurt, dlaczego ktoś stąd?

Wzruszył ramionami.

– Pewnie przez tego starego – mruknął niewyraźnie. – Ojca Inger i Karen. Kiedy tu mieszkał, miał sporo wrogów.

– Ale dlaczego Inger? Dlaczego nie on sam?

Znów wzruszenie ramion. Lekko rozbiegane oczy szukały punktu zaczepienia daleko na polach, gdzie przysiadło stadko zziębniętych mew.

– Wszyscy wiedzą, że Inger była jego ulubienicą.

Warsztat samochodowy i kościół – to w zasadzie jedyne miejsca spotkań lokalnej społeczności, bo we wsi nie działał sklep ani kiosk. Po zakupy jeździło się do Tilst, gdzie był Brugsen i stacja benzynowa OK. Poza tym większość mieszkańców chyba lubiła kupować w Bilce.

Pokonując krótki kawałek drogi do domu, pomyślała, że nic w tym dziwnego, że nie poznała ludzi ze swojej wioski. Tylko podczas spacerów z psem miała wrażenie, jakby otwierał się przed nią jakiś inny świat. Wiedziała, jak się wabi większość wioskowych psów. Że Bulder ma problemy z biodrem, a Assi miewa urojone ciężce. Svendsen nie lubi jedyne go we wsi czarnego labradora i jest to niechęć odwzajemniona. Psy poznała bardzo szybko. Z ludźmi to całkiem inna historia, i teraz zastanawiała się, kim byli i czy ktoś z nich mógł coś wiedzieć.

Kiedy dotarła na podjazd do siebie, zobaczyła, że od strony Skejby zbliża się samochód Bo. Na tylnym siedzeniu podskakiwały dwie małe głowy.

– Przywieźliśmy pizzę! – zawołał Tobias, gdy tylko zamasyście otworzył drzwi i rzucił się pędem, aż żwir sypał mu się spod butów. Ninka biegła tuż za nim.

– Możemy się pobawić z psem?

Bo szedł ku niej z czterema białymi kartonami z pizzą.

– Od Mackiego. Może być?

Dicte obejrzała się za dziećmi, a potem spojrzała na niego. Czy może być? No właśnie: czy może tak być? Nie umiała się zdecydować, czuła się jak na emocjonalnej huśtawce. Żadnego telefonu. Żadnego sygnału od kilku dni. I nagle śmiech dzieci, tupot małych stópek i widok jego twarzy. Oczy, które igrają z jej ciałem i płoną występłą radością, jakby właśnie zrobił skok na bank i zamierzał zdradzić jej szczegóły.

– Dicte? – Odłożył kartony z pizzą na mokre kafelki i wyciągnął do niej

ręce. – Wybacz mi.

Przyciągnął ją do siebie, mruknął coś w jej włosy, pocałował ją w policzek, nos i oczy – wszędzie, aż dłużej nie mogła się powstrzymać.

– Drań z ciebie – wydyszała przez łyzy i przyłgnęła do niego. – Cholerny drań.

– Ale cię kocham – powiedział przymilnie. – Jestem draniem, ale cię kocham. Miałem masę problemów z Evą i kuratorem. Takich, które nie mają nic wspólnego z tobą. Nie potrzebujesz zamartwiać się jeszcze tym.

Podniosła na niego wzrok i kciukami otarł łyzy z jej policzków.

– To znaczy?

– No wiesz. Ta sprawa z Inger. I twój ojciec.

Weszli do domu. Dicte pomyślała, że gdy przechodziła przez to wszystko z ojcem, swoją nieobecnością Bo rozczarował ją chyba najbardziej. Tak bardzo go wtedy potrzebowała, że tęsknota sprawiała jej wręcz fizyczny ból.

Ninka i Tobias jak zwykle bawili się już w najlepsze. Ganiali po domu, a pies z nimi. Svendsen sam był tylko wyrośniętym szczeniakiem, dlatego uwielbiał, kiedy odwiedzały ich dzieci. Cała trójka padła wykończona na podgrzewanej podłodze w salonie. Pizze zostały zjedzone, kawa wypita, a czerwone wino i cola jakby niepostrzeżenie wyparowały od gorąca, jakie wytworzyli podczas zabawy.

– Zostajecie?

Spojrzał na nią pytająco.

– A możemy? Nie będzie ci to przeszkadzać?

Dicte wstała.

– Mogę ich położyć w łóżku Rose. Pójdę tylko po pościel.

Razem położyli dzieci do łóżka. Potem Bo wziął ją za rękę i pociągnął za sobą.

– Chodź.

Tylko przez chwilę zastanawiała się, gdzie się podziała jej silna wola. Jej

praktyczny umysł, który zawsze, gdy brakowało jej energii, by się przeciwstawić, reagował jako pierwszy i tłumił dążenie do przyjemności. Ale tak właśnie działał na nią Bo – i może dlatego nie potrafiła mu odmówić. Umiał ją skłonić do rzeczy, o których normalnie nawet by nie pomyślała. Przy nim rozsądek całkiem się wyłączał.

W każdym razie na pewno nie wynikało to z faktu, że był Tarzanem czy Terminatorem. Przyszło jej to do głowy, kiedy pchnął ją na łóżko i przygniótł swoim ciałem – długim, twardym i chudym. Mogła niemal policzyć jego żebra, a mimo wszystko była w tym ciele również siła, a ona brała się zarówno z niego, jak i z niej. Spadła na nich oboje, obezwładniając ich i spowijając swoją mocą. Jak zawsze siła wzajemnego przyciągania ich ciał kompletnie ją oszołomiła. Czy on czuje to samo? Czy i jego za każdym razem zaskakuje, jak gorączkowo jej ciało domaga się więcej, kiedy przesuwając dłoń w dół jej nagich pleców? Czy ma ochotę zanurzyć się w ciepłym, spokojnym oceanie, gdy spotykają się ich usta? Czy kiedykolwiek ogarnia go pragnienie, aby należała do niego zawsze, cała i bez reszty, jakby cały świat skurczył się właśnie do tej jednej chwili?

Nie miała pojęcia. Próbowwała tego nie roztrząsać. A mimo wszystko znów o tym pomyślała, jak tyle razy wcześniej, kiedy wyczerpani i spełnieni leżeli wtuleni w siebie. Ona z ustami przy jego plecach, wdychając całą słodycz – odrobinę świeżego potu zmieszanego z wodą Calvina Kleina i lekkim aromatem pizzy. Poczwała bardziej, niż usłyszała, jak wzdycha głęboko z zadowoleniem.

– To jest życie – mruknął i odwrócił się na plecy. – Moja kochana, najlepsza na świecie Dicte.

Przesunął dłoń po jej twarzy, odgarniając kosmyk włosów. Potem delikatnie, jakby muskał ją jedwabiem, przesunął palcem po jej policzku, podbródku i wargach i wpatrywał się w nią tak intensywnie, że nie pamiętała, by kiedykolwiek wcześniej tak wnikliwie się jej przyglądał. Musiał teraz widzieć to wszystko, co kryło się tuż pod skórą. Rozdzierający ból dawnej i świeżej żałoby połączonych w jedno. Samotność jak głębokie dźgnięcie niebezpiecznym narzędziem. Głód więzi. Głód jego.

– Staram się najlepiej, jak potrafię – zapewnił ją, choć o nic nie pytała, i

jednocześnie ją pocałował. Dicte pomyślała, że przynajmniej trafnie odczytuje jej emocje, a to nie zdarza się często.

– Co z dziećmi? – zapytała wreszcie. – Eva wie, że tu są?

Wyraz jego twarzy nagle stał się neutralny.

– Wie, że są ze mną.

– Ale to, że zabrałeś je tutaj, to tajemnica? Twoja i ich?

Westchnął i ziewnął, ale zdawała sobie sprawę, że robi to celowo – aby pomyślała, że jest mu to obojętne.

– Dla nich to przygoda. A wiesz przecież, że gdybym jej powiedział, dostałaby szału.

Owszem, wiedziała. Eva była chorobliwie zazdrosna. Tylko czy to wystarczający powód, by obarczać dwójkę małych dzieci tak dużą odpowiedzialnością?

– A co z tamtymi innymi razami? Dowiedziała się? Wie, że czasem zabierasz je ze szkoły?

Jego wargi zmarszczył minimalny uśmiech, ale jej nie zmiękczył. Nagle zapragnęła skonfrontować go z realiami – otworzyć mu oczy i powiedzieć, że kopie własny grób. Kto wiatr sieje, ten burzę zbiera. Może to właśnie robi Bo w stosunku do swoich dzieci.

Popatrzyła na niego i wyryła sobie w pamięci jego twarz. Robiła to już wielokrotnie, lecz chyba nigdy jej się to nie znudzi. Łagodne szare tęczęwki. Ruchliwe usta. Chłopiec, który na jej oczach zawsze zmieniał się w mężczyznę. On oczywiście o tym wiedział. Znał konsekwencje. Dokonał jedynie wyboru, przed którym prawdopodobnie wszyscy prędzej czy później stają. Wyboru pomiędzy dżumą a cholera.

Dicte przypomniała sobie, jak ciężko zniosła ich rozwód piętnastoletnia wówczas Rose. Pomyślała też o dziecku, które oddała i które jej ciało wciąż pamiętało, tylko umysł jakby upchnął je w najciemniejszym zakamarku pamięci. Ponieważ wybrała życie i przyszłość zamiast bólu płynącego ze świadomości, że to, co powinno się jej przydarzyć, nigdy nie stanie się jej udziałem.

Być może Bo nie był jedyny. Może i ona posiadała wiatr i któregoś dnia przyjdzie jej zebrać burzę.

24

Rose i matematyka się lubiły. Oraz geometria. Walce i prostokąty, prostopadłościanny i sześciiany. Nigdy nie miała dość ich kształtów, mierzenia, obliczania i uzyskiwania wyników, które można zanotować na papierze, czarno na białym. Bezsporne i tak bardzo inne od całej masy występujących w życiu relacji, tak niepewnych i nieuchwytnych.

Lubiła ostatnią lekcję w poniedziałki. Lubiła słuchać głosu nauczycielki mówiącej językiem logiki i dźwięku szurania kredą po tablicy, a potem gąbki, która wszystko zmazywała. W ogóle lubiła lekcje. Lekcje też były jak czworoboki albo prostokąty, albo sześciiany – miały określone granice. Niosły szereg możliwości, ale zawierały również ograniczenie, które trzymało człowieka w miejscu i dzieliło dzień na kawałki, przez co dało się przez niego przebrnąć. Dzieliło go na godziny i minuty, które z kolei można było policzyć i poskładać w całość.

Czasem, kiedy na moment się rozpraszała, myślała o nieskończoności. O tym, co niepojęte. Miała wówczas wrażenie, jakby jakaś dziwna ciekawość kusiła ją i ciągnęła za sobą na skraj przepaści, gdzie do świadomości zaczął pukać strach.

Ale wtedy na powrót chwytała się głosu nauczycielki. Logiki. Przywoływała samą siebie na miejsce, rozsądek budził się z drzemki i wszystko znów było w porządku. Wewnątrz i na zewnątrz.

Rozglądała się po klasie, gdy głos przy tablicy uspokajał ją czule. Była szczęśliwa. Dużo jej kolegów i koleżanek siedziało ze strapiionymi minami, jakby nie rozumiało ani słowa. Niektórzy starali się wyglądać, jakby nadążali, ale Rose przez te wszystkie lata zdążyła ich poznać aż nazbyt dobrze. Niels kiedyś poprosił ją o pomoc, a ona oczywiście chętnie się zgodziła. Ida nie rozumie ni w ząb i już chyba nigdy nie pojmie. Widać

wyraźnie, że zupełnie nie czuje liczb i logiki, i Rose zastanawiała się, jak sobie poradzi na egzaminie na wiosnę.

Choć siedziała skupiona, jedna myśl mimo wszystko oderwała się od lekcji i zaczęła żyć własnym życiem. Zastanawiała się nad pewnym sposobem opowiadania, o którym kiedyś wspomniał jej ojciec. Nad mówieniem symbolami, dawaniem ludziom do rozwiązania rebusów, tak jak nauczyciel daje do rozwiązania uczniom równanie z wieloma niewiadomymi. Lekko się wzdrygnęła, bo czuła, że ona tak właśnie komunikuje się z otoczeniem. A także, oczywiście, morderca albo zabójca, jak go nazwali policjanci, kiedy ją przesłuchiwali w sprawie znaleziska na bagnach. Z tego zresztą wywiązała się tamta rozmowa z ojcem. Najbardziej jednak była to charakterystyka jej samej. Rebus. Ze znakami, których nie umiała odczytać, mimo że rozpaczliwie próbowała to zrobić. Jak to, że trzyma mamę na dystans, choć zawsze były sobie bliskie. Że prócz miłości do niej czuje również delikatne zwątpienie. Coś, co ją od matki odpycha, jakiś mechanizm obronny. I tego właśnie nie rozumiała. Jak to możliwe, że intuicja każe jej szukać schronienia z dala od osoby, przy której wcześniej czuła się tak bezpieczna.

Przygryzła ołówek. Chciałaby, żeby było inaczej, ale wiedziała, że to niemożliwe. Może na tym właśnie polega dorastanie. Może to właśnie inni mają na myśli, mówiąc o wyzwoleniu. Może przez to, że między nią a rodzicami nigdy nie dochodziło do gwałtownych kłótni czy konfrontacji, spotkało ją wyzwolenie innego rodzaju. Spokojniejsze i tylko trochę bardziej bolesne.

Większość kolegów zaczynała się pakować na długo przed dzwonkiem. Mniej lub bardziej dyskretnie zamykali książki. Z szelestem chowali kartki. Ktoś ugryzł jabłko z głośnym młaśnięciem. Wydawało się, jakby to była druga klasa podstawówki, a nie liceum. Ale nauczycielka przywykła do pracy w ciężkich warunkach, ignorowała odgłosy, nerwowe wiercenie się i szuranie krzesel po podłodze. I tylko odrobinę głośniejszym tłumaczyła im, co mają przygotować na następny raz.

Wszyscy pośpiesznie wpisywali zadaną pracę w kalendarze, zeszyty albo na wnętrzu dłoni. Zarzucali torby na ramiona, plecy krzywe od garbów formowanych przez lata taszczenia książek, drugich śniadań i toreb

sportowych. Na korytarzu ciągnął się rząd haków na ubrania, a z nich zwisały kurtki i szaliki, wydzielające zapach mokrych owiec. Uczniowie człapali w dół korytarza jak stado słońi brnące przez dżunglę, a poziom decybeli rósł, w miarę jak coraz więcej osób wylewało się z pomieszczeń klasowych na wolność.

Rose się nie śpieszyło. Powoli zdjęła z haczyka swój płaszcz i poczuła zimowy chłód, który się w nim zatrzymał. Deszcz ze śniegiem, który ją zmoczył rano, zmienił się w skorupę, a sztuczne futro kołnierza zbiło się w długie strąki. Rękawiczki zeszywniały i trudno je było założyć.

Opuściła budynek jako jedna z ostatnich. To nic, autobus kursował często. Powietrze było rześkie i szczypało w policzki. Rose pomyślała o wieczorze. Rozmawiali z Janem o wyjściu do kina na *Władcę Pierścieni: Dwie wieże*. To by jej odpowiadało. Baśń. Przenieść się do świata, gdzie walka dobra ze złem jest przejrzysta i zrozumiała. Gdzie nie ma zwątpienia.

Dostrzegła jej postać w chwili, gdy nadjechał autobus. Dziewczyna podbiegła i zdążyła wsiąść za nią. Rose miała ochotę odwrócić się i śledzić ją wzrokiem, kiedy szczupła sylwetka wyminęła ją i poszła na przód autobusu. Coś w niej drgnęło, lecz nie potrafiła tego umiejscowić, więc wyłączyła myśli o nieznanym. Zamiast na niej skupiła się na podróży i pasażerach wsiadających na kolejnych przystankach. Pojazd stopniowo zapełniał się uczniami, którzy właśnie skończyli lekcje.

Postanowiła wsiąść w centrum. Może przejdzie się deptakiem. Słońce słabo świeciło. Nieco się ociepliło po długim okresie przenikliwego chłodu, a w H&M widziała bluzkę, która byłaby świetna na wyjście do kina.

Lecz kiedy siedziała w trzęsącym się autobusie, poczuła coś na karku. Spojrzenie. Czyjaś uwagę. Nie potrafiła jednak rozstrzygnąć, czy znów sobie czegoś nie wmawia. Nieskończoność. Tylko nie myśl o nieskończoności.

Wreszcie zatrzymali się przy placu Ratuszowym. Sporo osób wysiadało. Rose czekała, i choć bardzo chciała się odwrócić i spojrzeć na dziewczynę z przystanku, nie miała odwagi. W końcu przyszła kolej na nią, żeby wstać, wsiąść i dać się ponieść tłumowi.

Odwróciła się dopiero na ulicy. W tej samej chwili dziewczyna wysiadła. Ich spojrzenia spotkały się na krótką chwilę, nim Rose ruszyła przez ulicę

przy akompaniamencie klaksonów. W połowie drogi odwróciła się ponownie. Dziewczyna stała dalej i czekała na zielone światło. Rose nie miała cienia wątpliwości. To ją widziała na zielonym skuterze pod domem Karen i Søren. Rozpoznała szczupłą sylwetkę niemal identyczną jak jej własna i długie, rozwiane na wietrze włosy.

25

To nie mogło przecież trwać wiecznie. Przez cały weekend to sobie powtarzała, słuchając śmiechu dzieci i radosnego poszczekiwania Svendsena. Mówiła to sobie również, kiedy w łóżku, w ciemności wyciągała rękę i czubkami palców dotykała ciepłej skóry, aż przeszywał ją dreszcz i przeganiał złe sny. Albo gdy leżała, słuchając spokojnego oddechu Bo, i pozwalała, by nadał rytm jej oddechowi. Pomyślała, że tak mogłoby być. Że tak powinno być. Że może nawet to jedno z podstawowych praw człowieka.

Ale nie było żadnego trybunału, do którego mogłaby wnieść skargę, kiedy przyszedł poniedziałek. Bo stracił humor, a wesołe buźki dzieci zniknęły na końcu podjazdu w drodze do szkoły. Nawet Svendsen wyglądał na przygnębionego i swoim zwyczajem zwinął się w kojcu, by przespać chandrę. Pewnie miał nadzieję, że obudzi się dopiero przy następnej wizycie.

Tyle że nie było pewności, czy w najbliższej przyszłości w ogóle dojdzie do następnej wizyty. Humorów Evy nie dało się przewidzieć. Być może nie wypuści dzieci przez wiele następnych tygodni. Wynajdzie bardziej lub mniej wiarygodne wymówki, aby Bo nie mógł ich zabrać w te skrupulatnie mu wyliczone dni w miesiącu. Pies nie mógł wiedzieć, że słusznie obrał taktykę podobną do tej, którą ona sama stosuje, kiedy zbiera dobre chwile i przechowuje je w małym flanelowym woreczku zawiązanym na kokardkę, żeby za nic w świecie się nie rozsypały i nie pogubiły.

Poniedziałkowy wieczór spędziła na kanapie przed telewizorem. Radosny weekend mimo wszystko ją zmęczył i czuła się jak dmuchana zabawka, z której ktoś wypuścił powietrze.

W pracy panował zastój. Śledztwo jakby nie mogło ruszyć z miejsca, a Wagner był dziwnie milczący, kiedy wcześniej tego dnia zadzwoniła zapytać, czy jest coś nowego.

Przypomniała sobie o pogrzebie. Być może nie powinna była się kontaktować z Sofie i pytać ją o godzinę. Może należało po prostu to zostawić. Zapomnieć.

Zamknęła oczy i skuliła się na kanapie z kolanami podciągniętymi pod brodę. Gdyby ktoś miał spełnić jedno jej życzenie, poprosiłaby właśnie o to – żeby zapomnieć.

Pomyślała tak, a jednocześnie wiedziała, że w głębi duszy jakaś jej część by się temu sprzeciwiała. Gdyby zapomniała o swoim ojcu, swojej miłości do niego, to tak, jakby tej miłości nigdy nie było. Już lepiej nosić w sobie ten kamień młyński, który stale się obraca i miażdży ją od środka. Już lepiej żyć ze wspomnieniem tego, co było. Odległym błyskiem czegoś ciepłego i przyjemnego. Pamiętać jego śmiech i głos. I poczucie, że gdzieś przynależy.

Zasnęła. Wiedziała, że to zły pomysł drzemać przy dźwiękach kryminału puszczanego późnym wieczorem na DR2, ale nie potrafiła się oprzeć sennieści wciskającej ją w kanapę. Zdążyła tylko pomyśleć, że chciałaby, aby Bo był tu z nią teraz. Żeby mogła dotknąć choć jednego jego palca. Poczucie jego bliskość, która stłumiłaby żal i uciszyła gniew – to natrętne warczenie rozlegające się w jej wnętrzu i gotowe przemienić się w coś, czego nie miała nawet odwagi sobie wyobrazić, bo możliwe, że to właśnie byłby koniec wszystkiego.

Ale Bo przy niej nie było i znów przyśnił jej się ten koszmar, którego się bała. Kobieta na bagnach będąca jej matką. Siekiera opadająca z góry i jej ciężar, kiedy oburącz trzyma trzonek. Na wpół obudzona ręką szukała go po omacku i czuła, jak to w niej narasta coraz szybciej i szybciej, i jak za chwilę utonie w przerażeniu. Usłyszała własny głuchy szloch, poczuła łzy, które parzyły ją w powieki, lecz nie potrafiły wydostać się na zewnątrz. I wtedy się zjawiał – mały, wilgotny sejsmograf psiego pyska prychającego we wnętrze jej dłoni. Szczere, wyrażające zatroskanie skomlenie. Dicte otworzyła oczy. Svendsen wyglądał na dobrodusznie zaskoczonego, kiedy mu zarzuciła rękę na szyję.

– Oj, ty. Mój maleńki.

W kółko powtarzała te słowa, a pies skomlał i lizał ją po twarzy jak niespokojny szczeniak. Choć jednocześnie w jego zachowaniu dało się

wyczuć nerwowość.

Dicte usiadła.

– Chcesz wyjść?

Svendsen skierował uszy do przodu. Uśmiechał się całym pyskiem, miała wrażenie, że lekko przeprasza ją. Wstała, a scena ze snu tkwiła w niej wciąż jak cierń wbity w ciało. Wyszła do przedpokoju, włożyła kurtkę i zimowe buty i wpięła smycz w obrozę psa. Gdy otworzyła drzwi, okazało się, że zaczął padać śnieg, a księżyc wisiał w połowie drogi między ziemią a niebem jak blada wersja słońca rozświetlająca biel wokół. Cienka warstwa białego puchu już trzeszczała jej pod nogami, kiedy stanęła na ziemi, czekając, aż osiem metrów smyczy się rozwinie i Svendsen wyciągnie ją na podjazd.

Poszli na krótki spacer, całkiem sami w środku nocy. Kiedy wrócili, Dicte w świetle księżycy spojrzała na zegarek. Było za piętnaście dwunasta. Przez moment stała na zewnątrz i chłonęła ciszę. Patrzyła na wirujące płatki śniegu i chmury przesuwające się po czarnym niebie. A potem zobaczyła światło u Karen i Sorena i usłyszała odległy dźwięk fortepianu. To pewnie Karen. Widać jeszcze się nie położyła.

Wpuściła psa do środka, a sama została jeszcze, by posłuchać, jak dźwięki pną się coraz wyżej, jak po drabinie. Nie знаła się na muzyce klasycznej. Nie tak jak Wagner i Ida Marie, którzy śpiewali w chórze. Umiała jednak dać się porwać atmosferze i przenieść w miejsca, do których inaczej nie zaglądała. Może pozwolić się zaczarować, pomyślała, kiedy poczuła, jak muzyka ją kusi, jak poszczególne linie niczym fabuła filmu sensacyjnego zbiegają się i zbiegają do momentu kulminacyjnego.

Od kilku dni nie rozmawiała z Karen. Chciała, ale nigdy nie udało jej się trafić na moment, kiedy widziałaby, że ktoś jest w domu. Do tego było jej wstyd z powodu artykułów Holgera. Ale może lepiej przeprosić i mieć to za sobą?

Przeszła przez ulicę niesiona muzyką, coraz głośniejszą, w miarę jak zbliżała się do domu. Teraz przez szprosowe okno dostrzegła sylwetkę Karen pochyloną nad klawiaturą. W świecznikach przykręconych do pudła instrumentu paliły się dwie świece. Dicte pomyślała, że fortepian musi być stary. Jego brzmienie nie było nowe, lecz kruche i nieskończenie głębokie.

Bez zastanowienia podeszła do samego okna. Zapukała lekko w szybę i od razu pożałowała, bo osoba przy instrumencie poderwała się i podniosła dłonie do twarzy i szyi. Już miała powiedzieć, że to tylko ona, ale w tej samej sekundzie postać wewnątrz najwyraźniej doszła do siebie i uchyliła okno. Dicte usłyszała łagodny głos Karen:

– Czy to ty, Lise?

– Przepraszam cię za tamten artykuł. Powinnam była oczywiście już wcześniej z tobą o tym pomówić.

Siedziały w kuchni, popijając herbatę i zjadając kanapki z domowego chleba z serem. Timbo siedział u stóp Karen i łakomym wzrokiem śledził każdy kęs.

Kobieta popatrzyła na nią przyjaźnie, choć Dicte wyczuwała w tym spojrzeniu ostrożność.

– Przecież to nie ty napisałaś.

– Mimo wszystko. To moja gazeta. Pracuję tam. A mój kolega zachował się nieprofesjonalnie.

Karen wzruszyła ramionami.

– Oczywiście, zrobiło nam się przykro. Nie żeby ktoś to skomentował, ludzie przecież nie mówią takich rzeczy.

Dicte wiedziała, że to się czuje. Sama tego doświadczyła, gdy kiedyś dziennikarz jednej z przedpołudniówek postanowił publicznie ją upokorzyć. Było to po tamtej sprawie z dzieckiem w rzece, którą relacjonowała, mając niemal wyłączny dostęp do informacji. Któregoś dnia w porannej gazecie znalazła artykuł opisujący jej przeszłość wśród świadków Jehowy, ciężę w wieku szesnastu lat i oddanie dziecka do adopcji. Nie wiadomo, skąd się tego wszystkiego dowiedział. „Zawiodła własne dziecko”, głosił nagłówek.

Opowiedziała Karen tamtą historię.

– Ja nigdy nie miałam dzieci – powiedziała Karen, kiedy skończyła, i Dicte wiedziała, że chce ją w ten sposób pocieszyć. – Dwa razy poroniłam, a potem już nic. Ty przynajmniej teoretycznie możesz jeszcze spotkać swojego syna. Myślałaś o tym?

Oczywiście, że o tym myślała. Były w jej życiu okresy, gdy nie myślała o niczym innym. Kiedy potajemnie odczuwała wstyd wobec Rose, że jej córka musi konkurować z tym niewidzialnym bratem, pierworodnym. W nieskończoność zastanawiała się, gdzie może teraz przebywać. Jakie życie otrzymał w zamian za to, które ona mogła mu dać. W końcu musiała włączyć w siebie blokadę. Wymazać go ze świadomości i odprawić do najgłębszej piwnicy swojego umysłu. W przeciwnym razie by oszalała.

Pokiwała głową i napiła się łyżeczką. Segregowała słowa, by nie wylały się z niej z taką samą prędkością jak skłębione w niej uczucia.

– Zawsze dochodzę do wniosku, że lepiej tego nie robić. To mogłoby się okazać zbyt bolesne.

– A może niewiedza boli jeszcze bardziej?

Dicte słyszała ból w słowach Karen. Tęsknotę za tym, by wiedzieć, co się stało, i jednocześnie strach przed prawdą.

– Myślałaś, że to Lise wróciła do domu?

Karen pokiwała głową. Oczy miała jak zwierciadło – gładkie i szczere.

– Søren zawsze mnie ostrzegał. W kółko powtarzał, że Lise nigdy nie będzie moja. Również teraz, kiedy Inger nie żyje.

– A ty byś tego chciała? Chciałabyś, żeby była twoja?

Karen długo się zastanawiała. Tak jakby nikt wcześniej nie zadał jej tego pytania.

– Oczywiście nigdy nie mogłabym być jej mamą. Ale owszem, były takie momenty, kiedy wydawało mi się, że spisałam się lepiej. Jak wszyscy, którzy nie mają dzieci – dodała z lekkim uśmiechem. – Zawsze łatwiej jest dawać dobre rady.

Dicte doskonale pamiętała, ilu rad udzielanych w dobrej bądź mniej dobrej wierze po urodzeniu Rose musiała wysłuchać od kobiet, które wiedzą lepiej.

– Bycie ciotką mimo wszystko chyba nie jest najgorsze.

Karen znów zrobiła się poważna. Wzdrygnęła się i napiła ciepłej herbaty.

– Kochałam Lise jak własne dziecko – przyznała, a Dicte znów usłyszała tę tęsknotę. – Czasem, choć Inger ogromnie się na to złościła, zdarzało mi się wtrącać i udzielać słynnych dobrych rad. Ale bliskość, taka między matką a córką... – pokręciła powoli głową. – Lise była przekochanym dzieckiem. Może wtedy było inaczej. Nie miała tej złości, która jest w niej teraz.

– Złości? Chyba nie na ciebie?

Karen patrzyła na Dicte, lecz wzrok miała nieobecny.

– Ona nie chciała iść z matką do tej sekty. Miała dwanaście lat, kiedy zmarł jej ojciec, a trzynaście, gdy Inger zamieszkała we wspólnocie, sądząc, że tam uda jej się na nowo ułożyć sobie życie. Lise się przeciwko temu buntowała. Często nawet stamtąd uciekała. Lecz z czasem się zmieniła.

– Uległa?

Karen dołała im obu herbaty. Zamyślona odstawiła imbryk na korkową podkładkę.

– Jak ci już mówiłam, przeszła indoktrynację. Została uwiedziona. Rozkochana. Można to określić na tysiąc sposobów, a prawda jest pewnie taka, że po prostu ktoś ją przygarnął.

Dicte pomyślała o własnym ojcu. O pragnieniu, by gdzieś przynależeć.

– Znalazła mentora. Kogoś na miejsce ojca, którego straciła. To nawet logiczne – dodała Karen.

Dicte przypomniała sobie artykuły, które skopiowała i przyniosła do domu. Przejrzała je w czasie weekendu. Z pozoru Boże Kwiaty zdawały się organizacją, gdzie nieszczęśliwe kobiety mogły ponownie znaleźć sens życia. Opoką, dzięki której mogły zaznać spokoju i połączyć się z Bogiem. Lecz działająca pod tą przykrywką sekta bezwzględnie wykorzystywała ich słabość. Jej guru Anders Langballe zabierał do siebie kolejne mieszkanki, by zaspokajały jego sadomasochistyczne popędy. Do jego mieszczącej się na piętrze siedziby nikt nieproszony nie mógł wejść. Przez to, że drzwi do jego apartamentów pozostawały dla większości ludzi zamknięte, mało kto wiedział, co się działo na poddaszu ogromnej willi, w której momentami mieszkało nawet dwanaście kobiet i ich dzieci. Trudno sobie jednak wyobrazić, że Inger nie wiedziała, w jakim celu jej córka została zaproszona

do Langballego wraz z kilkoma innymi wybranymi przez niego kobietami. A z drugiej strony może faktycznie nie zdawała sobie sprawy. Może Inger w swej naiwności nie była w stanie sobie wyobrazić sali tortur, gdzie później, po niebezpiecznej zabawie erotycznej, jedna z kobiet została znaleziona martwa w klatce i kajdankach. Może nie miała pojęcia, że Lise jest partnerką seksualną przywódcy sekty.

Dicte zastanowiła się, jak wielką władzę taki mężczyzna mógł mieć nad zakochaną w nim, zaślepioną młodą dziewczyną.

– Taki ojcowski autorytet potrafi sprawić, że człowiek jest w stanie zrobić bardzo wiele – powiedziała cicho Karen i spuściła wzrok na swoje dłonie. Na długie, szczupłe palce splatające się ze sobą i zaciskające.

– Może najgorsza jest ta niewiedza – podsumowała Dicte, powtarzając wcześniejsze słowa Karen.

Karen pokiwała głową.

– To wszystko jest bardzo trudne – powiedziała.

– A jak wyglądały relacje Lise z matką?

W oczach Karen błysnęła udręka. Palce zagięły się na krawędzi stołu, marszcząc ceratę, ale jej głos zabrzmiał dziwnie trzeźwo.

– Kiedy wszystkie szczegóły zostały ujawnione, Inger chciała odejść z sekty i zabrać ze sobą Lise. Opieka społeczna zdecydowała jednak o odebraniu jej dziecka, co jeszcze pogorszyło sytuację. Lise zwróciła się przeciwko swojej matce. Uznała, że Inger była o nią zazdrosna.

– Sądziła, że Inger była zakochana w Langballem?

Karen pokiwała głową i spojrzała Dicte w oczy.

– Lise zaczęła nienawidzić swojej matki.

Głos brzmiał niemal błagalnie.

– Nie sądzę, żeby była to prawdziwa nienawiść... Chociaż nie mogę tego przecież wiedzieć na pewno. Myślę, że sobie to wmówiła. Tak jak to, że zakochała się w Langballem.

Dicte przez chwilę milczała. Przesuwała palcami po uchu swojego kubka.

– Policja podejrzewa tego chłopaka, który przyznał się do podpalenia stajni, o zamordowanie Inger. Ale mnie się wydaje, że on jest niewinny.

Karen odparła bezdźwięcznie:

– Mnie też się wydaje, że to nie on zrobił.

– Lise?

Karen chciała stanowczo potrząsnąć głową, lecz wyszedł z tego tylko nieokreślony gest rozpaczy. Długo nie mówiła nic. Mrugała jedynie, wypuszczając łzy spod powiek.

– Sama nie mogła przecież tego zrobić – szepnęła wreszcie, a Dicte poczuła, jak coś się w niej skręca. Tak bardzo chciałyby pocieszyć Karen, tak jak ona wcześniej pocieszała ją.

– Nie ma pewności, czy Lise ma z tym cokolwiek wspólnego – powiedziała. – Ale tak czy inaczej, musimy ją znaleźć – tłumaczyła cierpliwie. – Może będzie mogła pomóc i rzucić trochę światła na sprawę.

Karen zmrużyła oczy, słysząc słowo „światło”, jakby ktoś poświecił jej reflektorem w twarz. Dicte wyciągnęła do niej rękę, ujęła jej dłoń i ścisnęła lekko.

– Wiesz, gdzie ona jest?

Karen zwilżyła wargi.

– Wydaje mi się, że ją ukrywają.

Spojrzała Dicte w oczy. Były w nich wszystkie przeżyte lata. Wieża miłości budowana kamień po kamieniu. Teraz, gdy sięgała chmur, chyba nic nie było w stanie jej zburzyć.

26

– Biała mysz.

Ivar K spojrział na Wagnera zdumiony. Ręka Jana Hansena trzymająca termos zawisała w powietrzu. Arne Petersen podrapał się po głowie.

– Mysz? – powtórzył Hansen jako pierwszy. – A skąd ta się tam, u licha, wzięła?

– To właśnie musimy sprawdzić.

Zdał sobie sprawę, jak bardzo w ich planie dnia namieszał Instytut Genetyki Sądowej z Kopenhagi. Dopiero teraz, we wtorek, oddzwonił roztrzepany biolog z wynikami próbek DNA. Dwa białe włosy z sierści białej myszy były najciekawszym, co znaleźli na sukience Inger Graugaard.

– Nie ma DNA, z którym byłaby zgodność – powiedział zebrany na porannej odprawie. – Nie z tymi, które mamy w rejestrze.

– Ale jakieś DNA znaleziono? – zapytał Ivar K i spojrział na niego podkrążonymi oczami spod wiszących powiek – Sprawcy znaczy się?

Wagner mu się przyjrzał. Jeśli wszyscy tak wyglądają, to powinni od razu rozejść się do domów i wyłączyć telefony. Śledztwo w sprawie zabójstwa zawsze było wyniszczające dla zespołu i wywierało na ludzi ogromną presję. Wszyscy pracowali non stop, wyjaśniając tropy, które znaleźli do tej pory. I dopiero teraz, po niemal trzech tygodniach pracy, dostali raport z badania DNA, który mógł im oszczędzić mnóstwa trudu.

– Na sznurze znaleziono DNA domniemanego sprawcy. Komórki naskórka dłoni – dodał i przed oczami stanęły mu ręce zabójcy przesuwające się po linie przy nakładaniu pętli na szyję Inger Graugaard, gdziekolwiek i jakkolwiek to się odbyło. – DNA sprawcy znaleziono również pod paznokciami.

Zapadła cisza. Wagner wiedział, że wszyscy teraz wyobrażają sobie śmiertelną walkę Inger Graugaard, jej rozpaczliwy opór. Te wizje każdy z nich zachowywał jednak dla siebie. Przy omawianiu sprawy tak delikatnej jak zabójstwo konieczny jest obiektywizm i trzymanie się faktów.

Wagner z kolei wrócił pamięcią do chwili, w której znaleźli ciało, i tego, co było zaraz potem. Raport z obdukcji Instytut Medycyny Sądowej przesłał im już po czterdziestu ośmiu godzinach. Wynik potwierdził przypuszczenia Wagnera z oględzin, jakich dokonał na miejscu wspólnie z medykiem sądowym. Inger Graugaard zmarła w wyniku powieszenia. Lina w ułamek sekundy odcięła dopływ krwi. Bruzda na szyi była głęboka i nie wskazywała na zadzierzgnięcie ani zadławienie. Stwierdzono też pęknięcie kości gnykowej, typowe dla powieszenia. Ciosy siekierą zadano jej po śmierci. Po wbiciu ostrza krew nie trysnęła.

Ciszę przerwał Ivar K.

– Nadal uważasz, że to nie Mikkel Andersen albo któryś z jego kolegów? Co z ich DNA? Kiedy będziemy mogli je porównać?

Wagner czuł wyraźnie rozczarowanie kolegów tym, że ich śledztwo zaczęło zmierzać w nowym, niejasnym kierunku. Sam jednak po ostatnim przesłuchaniu Mikkela zwołał naradę i poinformował ich, że będą musieli jeszcze bardziej poszerzyć zakres poszukiwań sprawcy. Trzeba odnaleźć Lise, bez względu na wszystko. A także ponownie przesłuchać Andersa Langballego w więzieniu i Karen Graugaard. Muszą prześwietlić dokładnie całą przeszłość Inger i jej relacje rodzinne.

Trzy dni oswajał się z myślą, że się pomylił. Pomyłka była zrozumiała – większość policjantów doszłaby do takich samych wniosków jak on – ale jednak była pomyłką, w której wyniku stracili sporo cennego czasu.

– Naturalnie nasza wstępna teza teoretycznie wciąż może się potwierdzić – powiedział ostrożnie. – Ostateczne potwierdzenie bądź zaprzeczenie dostaniemy jutro rano, tak obiecali.

– Cholerne kopenhaskie snoby – mruknął Ivar K i ze złości rzucił ołówkiem, który przypadkiem wylądował między Hansenem a Wagnerem. – Mogliby choć raz ruszyć swoje tyłki.

Wagner zignorował komentarz Ivara K, ale doskonale rozumiał jego frustrację. Większość przedpołudnia spędził na wkurzaniu się z tego powodu, aż zrozumiał, że to nic nie da. Personel Instytutu Genetyki Sądowej był przeciążony, pensje słabe, a morale niskie. Odkąd w połowie lat osiemdziesiątych opracowano metodę badań DNA, nauka poczyniła ogromny postęp i laboratoria przestały się zajmować wyłącznie ustalaniem ojcostwa. Ich działalność polegała obecnie na ogólnej analizie DNA z wszelkiego rodzaju materiałów – od śliny na znaczkach pocztowych po naskórek pod paznokciem albo włos, o ile zachowała się cebulka. Wagner wiedział, że medycy sądowi z Århus marzyli o własnym instytucie genetyki, ale sprawa była polityczna, a on nie zamierzał wychodzić przed szereg. Zatem na razie będą musieli jeszcze trochę poczekać, nim DNA sprawcy zostanie porównane z materiałem pobranym od podpalaczy.

Podniósł rzucony przez Ivara K ołówek i obracał go między palcami.

– Tak czy inaczej, musimy sprawdzić, czy któryś z tych chłopaków hoduje białe myszki.

Mówiąc to, spojrzął na Hansena, a ten pokiwał głową na znak, że bierze to na siebie. Potem popatrzył na Ivara K.

– Ale nie. Nie sądzę, żeby oni to zrobili. Już nie. Poza tym żaden z nich nie umie zawiązać nawet wężła prostego.

Znów przez chwilę nikt się nie odzywał. Aż Eriksen odkaslnął i zaczął:

– Białe myszy chyba nie żyją dziko, a jeśli już, to rzadko. Zatem musi to być jakieś zwierzę domowe. Może sprawdzić sklepy zoologiczne?

– Albo laboratoria – zaproponował Petersen. – Te myszy są chyba też używane do testów.

Wszyscy potakująco pokiwali głowami, rozdzielili między sobą zadania i dobrali się w pary. Wagner zaś, gdy tak siedział i wodził wzrokiem po ich małym zgromadzeniu, poczuł dreszcz na plecach. Odnosił wrażenie, że traci grunt pod nogami. Lodowaty strach nasilał się i nie pozwolił mu myśleć o niczym innym. Sprawa szła w zupełnie innym kierunku, niż się spodziewał. Wciąż zaskakiwały go nowe okoliczności, a to budziło w nim niepokój i wystawiało go na próbę.

Wstał. Przez głowę przemknęła mu myśl o Idzie Marie i minionym weekendzie, kiedy podjęli nieudolną próbę rozstrzygnięcia sprawy dziecka. Jakby to było coś, co da się ustalić podczas obrad przy okrągłym stole. Albo chociażby na porannej odprawie.

Wsunął krzesło pod stół, zebrał swoje notatki i faks z raportem badania DNA. Nagle poczuł, jakby tamta rozmowa odbyła się wieki temu. W jakimś innym życiu.

Pochylił się jeszcze i odłożył ołówek pod nos Ivarowi K.

Wciąż czując w całym ciele nieprzyjemne napięcie, poszedł do stołówki. Nie zjadł w domu śniadania. Oboje zaspali – tak bardzo, że nawet kiedy Martin zaczął płakać, jemu wciąż trudno było się obudzić.

W kolejce do bufetu spotkał nadinspektora Christiana Hartvigsen, człowieka o rumianej twarzy i dłoniach stworzonych do machania widłami. Hartvigsen w wolnym czasie uprawiał ziemię i Wagner był pewien, że pełnię szczęścia czuje wyłącznie, siedząc na traktorze i mając wokół siebie otwartą przestrzeń pól.

– Dostaliśmy wyniki DNA z zabójstwa na bagnach – powiedział zamiast powitania.

– Tak szybko? – mruknął Hartvigsen z sarkazmem w głosie. – Przydadzą się na coś?

Wagner przedstawił mu sytuację, nakładając na swoją tackę suchą bułkę i masło. Hartvigsen wziął filiżankę czarnej kawy i spojrzał czule na grubego, lekko zgniecionego cynamonowego ślimaka, po czym wsunął go sobie na talerz.

– Małe co nieco dla sadelka – wyjaśnił wesoło, zerkając na Wagnera. – Też powinienes spróbować.

– Dzięki, może innym razem.

Usiedli przy stoliku trochę na uboczu.

– Słyszałem, że już nie obstawiasz podpalaczy.

Wagner znów przedstawił Hartvigsenowi bieżącą sytuację. Osobiście nie lubił się mieszać do polityki, również w miejscu pracy, ale teraz ważne było,

aby przekonać nadinspektora do swoich racji i podtrzymać jego poparcie.

– Skomplikowane – podsumował Hartvigsen i wgrzył się w ciastko – ale ciekawe, jeśli rzeczywiście tamtej nocy gospodarstwo nawiedziły dwie grupy sprawców.

Wagner uczeplił się owego „jeśli”. Być może Hartvigsen wcale nie chciał, aby to zabrzmiało sceptycznie, lecz mimo to głos Wagnera był odrobinę ostrzejszy, kiedy doprecyzował:

– Próbki DNA pobrane od tych młodych dadzą ostateczną odpowiedź – powiedział. – Gdybyśmy dostali wyniki nieco wcześniej, oszczędziłoby to nam sporo czasu.

– Ach wiesz, możemy tak sobie gdybać w nieskończoność – powiedział Hartvigsen, wzdychając z rezygnacją. – Gdyby Kopenhaga się pośpieszyła. Gdyby babcia miała wąsy. – Machnął ręką na znak, że wówczas dokonania policji z Århus w zakresie zatrzymań i zarzutów byłyby niezrównane. W ściganiu zbrodni byłiby niepoohamowani niczym lawina, mówiło ramie omiatające większą część stołówki.

– Może to i lepiej – przyznał Wagner ugodowo. – I tak nie mamy dość miejsca w więzieniach.

Chciał już iść. Trzeba było ponownie przesłuchać Karen Graugaard, a zamierzał zabrać ze sobą Hansena.

Dokładnie wtedy, gdy to pomyślał, Hansen szybkim krokiem wszedł na stołówkę. Twarz miał poważną i białą jak ściana. Wagner przyglądał mu się, jak przystanął i wzrokiem przeczesywał pomieszczenie, najwyraźniej kogoś szukając, aż jego wzrok padł na ich stół w rogu. Wagner znów poczuł ten lodowaty niepokój i wiedział, co zaraz usłyszy, jeszcze zanim Hansen podszedł do nich i zdyszonym głosem przekazał mu wiadomość:

– Dyspozytor dostał zgłoszenie o zabójstwie w Brabrand. Kobieta.

Przerwał na moment, żeby złapać oddech. Dalszy ciąg Wagner usłyszał w głowie, zanim Hansen wydobył z siebie odpowiednie słowa. Były echem jego własnych najgorszych przeczuć. W głowie zaczęły mu dudnić wizje piekła, jakie się rozpęta.

– Z pętlą na szyi i siekierą w głowie.

Lodowaty deszcz padał nieprzerwanie. Wielkie krople rozpryskiwały się na chodniku i dachu starej willi z czerwonej cegły osłoniętej dwumetrową palisadą. W jednym miejscu brakowało fragmentu rynny. Może oderwała się pod ciężarem śniegu po którejś ze styczniowych zamieci. Deszcz spadał tam małym wodospadem i spływał na ziemię z tego, co musiało chyba być progiem. Tak się domyślała, bo wyrwa w rynnie znajdowała się naprzeciw furtki w ogrodzeniu. Obok bramki był domofon.

– Nie mam ochoty stać pod tym lodowatym prysznicem – powiedziała Dicte i skuliła się na miejscu pasażera.

Deszcz bębnił w dach samochodu, a radio jak zawsze trzeszczało ustawione na częstotliwość policyjną.

– Nie będziesz musiała – odparł Bo z optymizmem w głosie. – To wygląda jak forteca. Boże Kwiaty, jasne, chyba w dupie – dorzucił z odrazą. – Czy takie miejsca nie powinny przypadkiem stać przed ludźmi otworem?

Nie odpowiedziała. Bo również czytał artykuły, które przyniosła, a zresztą pamiętał tamtą sprawę, choć jej nie relacjonował.

– Czy jest w ogóle jakiś sposób, żeby się do nich przyłączyć?

Podrapał się po głowie. Potem sięgnął ręką do tyłu i wyłowił aparat z malowniczego bałaganu, na który składały się zużyte rolki filmowe, sfatygowany atlas drogowy Kraka i puste butelki po coli. Ustawił byle jak funkcje i pstryknął parę zdjęć przez okno samochodu. Dicte wiedziała doskonale, że robi to głównie na pokaz. Możliwości wykorzystania zamglonych zdjęć ogrodzenia z zamkniętą furtką w czasie ulewy są jednak mocno ograniczone.

Mimo wszystko była szczęśliwa. Dawno nie pracowali razem i czuła, że

znowu stanowią zespół. Bo zaskoczył ją, dobrowolnie zgłaszając chęć udziału w wyprawie. Jakimś cudem nie miał akurat nic innego na głowie. Nie musiał odebrać dzieci ze szkoły ani fotografować meczu piłkarskiego dla Cecilie, ani pilnie wysłać zdjęć do Kopenhagi.

– Dobra. Spróbuję mimo wszystko.

Zanim wysiadła, włożyła kaptur. W uszach słyszała echo dudniącego deszczu, lodowate krople spływały jej z czoła na nos, stąd kapały w dół i płynęły dalej chodnikiem rwącymi potokami. Stanęła przed bramką i długo i nachalnie wciskała guzik domofonu. Minęła chwila, nim odezwał się bardzo niepewny kobiecy głos.

– Kto tam?

– Nazywam się Dicte Svendsen. Szukam Lise.

– Tu nie ma żadnej Lise – głos zabrzmiał nieco bardziej stanowczo.

– Lise Graugaard?

– Nie ma jej tutaj.

– To może była u państwa niedawno?

Zapadła cisza. Dicte wyraźnie słyszała oddech kobiety po drugiej stronie.

– Mam dla niej wiadomość od jej ciotki. Bardzo chce się z nią zobaczyć. Lise może sama wybrać miejsce.

Pośpiesznie wyrzucała z siebie słowa, bojąc się, że kobieta się rozłączy.

– Tutaj jej nie ma – powtórzył głos, który przeszedł teraz w wysoki dyszkant. – Proszę tu więcej nie przychodzić!

Przez parę sekund słychać było szum, a potem kobieta się rozłączyła. Niemal jednocześnie z ulicy dobiegł ją poganiający klakson Bo. Jezu, i co z tego, że stoją na zakazie, pomyślała poirytowana i zaczęła biec w deszczu. Zwykle niespecjalnie się tym przejmował. Dobiegła do samochodu, szarpnęła drzwi i nim powiedziała mu coś ostrego, Bo rzucił krótko: – Jest kolejne zabójstwo. W Brabrand.

Mówiąc to, już nawracał, nim zdążyła porządnie zamknąć drzwi. Na głowę spadła jej kaskada deszczu, ale nawet tego nie zauważyła.

– Kolejne? Co to znaczy?

– Ta sama metoda – wyjaśnił Bo.

Skręcił w Silkeborgvej i dodał gazu. Spojrzał na nią z ukosa.

– W radiu zabrzmiało to trochę enigmatycznie. Coś w stylu „powtórka z bagien”.

Dicte zaczęło szumieć w głowie, a krew tętniła w tempie ekspresowym.

– Boże – mruknęła i zapragnęła uchwycić się czegoś pewnego, ale znalazła tylko pas bezpieczeństwa.

Dom był z widokiem na jezioro Brabrand.

Wagner stał w deszczu w przemoczonym na wskroś tweedowym płaszczu i z włosami przyklejonymi do głowy jak ciasny czarny hełm. Szarość na jego twarzy widać było już z daleka, choć deszcz okrywał ją połyskującym filtrem wilgoci. Niepokój wyrył na niej dwie głębokie równoległe kreski tuż nad nasadą nosa. Dicte zobaczyła, jak Wagner mówi coś do stojącego obok mężczyzny, technika kryminalnego, który przyjechał na miejsce niebieskim służbowym wozem. Odgrodzili już teren taśmą, za którą zaczęli się zbierać gapie. Dicte rozpoznała w tłumie paru dziennikarzy i fotografów. Nie tylko Bo podsłuchiwał policyjne radio.

– Jeszcze ty tutaj?

Może miało to być powitanie, ale zabrzmiało tak, jakby z rezygnacją stwierdzał, że dopuściła się czegoś na kształt zdrady.

– Byliśmy w pobliżu.

Wagner spojrział na Bo, który założył pelerynę wyjętą z samochodu. Pod nią rysowały się wypukłe kontury dwóch przewieszonych aparatów.

– Jak zawsze.

Zinterpretowała jego słowa jako wyraz irytacji, ale postanowiła się tym nie przejmować. Domyślała się, że fakt, iż ludzie chcą być informowani o tym, co się dzieje, on może odbierać jako dodatkową presję, bez której spokojnie mógłby się obejść. Tym bardziej że sam wywiera na siebie wystarczający nacisk i ma wobec siebie aż nadto wysokie oczekiwania. Nie

mówiąc o nadinspektorze, bo przecież każdy gdzieś tam ma jakiegoś szefa, pomyślała i przesłała telepatycznie pozdrowienia Kaiserowi. Tego, który rządzi, albo przynajmniej próbuje rządzić. Tego, który zbiera honory, gdy sprawy idą dobrze, i pozwala, by inni zbierali cięgi, kiedy idą źle.

– Możesz coś o tym powiedzieć?

Pokręcił głową.

– Jeszcze nie weszliśmy do środka. Najpierw technicy.

– A sąsiedzi? Kto mieszka na parterze?

Odwrócił się i spojrzał na nią znużony.

– Cierpliwość jest cnotą – mruknął. Stanął bokiem do niej i postawił kołnierz płaszcz. – Pracujemy nad tym, więcej nie mogę powiedzieć.

Ale ona też miała oczy i doskonale widziała, że na parterze nikogo nie ma. Domyśliła się, że to stary dom podzielony na dwa mieszkania i sąsiedzi z dołu pewnie są w pracy. Spojrzała na stojące na drodze samochody – dwa nieoznakowane pojazdy Wydziału Kryminalnego i dwa radiowozy. Auto techników – niebieski transporter i na podjeździe czerwona corolla medyka sądowego, którą poznała po numerach. Do tego oczywiście fotograf ze „Stiften” i dwójka dziennikarzy z redakcji o zasięgu ogólnokrajowym, których wozy stały na chodniku kawałek dalej.

Spojrzała na dom. Trzykondygnacyjna willa stylizowana na dworek. Pierwsze piętro miało własne wejście. Widziała sylwetki krzątających się ludzi – niespokojne, ciemne cienie przecinały padające z okien światło. Przez chwilę widziała też coś jeszcze – na samej górze, w oknie dachowym. Wydawało jej się, że w ukośnej szybie mignęła mała twarz. Ale gdy mrugnęła, twarz znikła i Dicte nie była już pewna, co właściwie ujrzała. Znów odwróciła się do Wagnera.

– Kto ją znalazł?

Przez chwilę się wydawało, jakby Wagner chciał się do niej odwrócić plecami. Wiedział jednak równie dobrze jak ona, że tak czy inaczej, wszyscy wkrótce się dowiedzą.

– Chłopak, który przyszedł naprawić telewizor. Mówi, że jej nie znał.

Zdaje się, że przeżył silny wstrząs.

Dicte rozejrzała się wokół i rzeczywiście dostrzegła Jana Hansena siedzącego w jednym z samochodów i rozmawiającego z jakimś młodym mężczyzną. Pewnie tym chłopakiem.

– Jak wszedł do środka?

Wagner uniósł brew.

– Drzwi były otwarte. Na oścież – dodał.

To ostatnie rzucił przez ramię, zmierzając w stronę domu, skąd technik pomachał mu na znak, że śledczy mogą już wejść na miejsce zdarzenia. Pod dach, gdzie nie pada, pomyślała z zazdrością. A dziennikarze mogą sobie krążyć wokół jak sfera wygłodniałych wilków i zbierać ochłapy, które zechcą im rzucić. Położyła dłoń na ramieniu Bo. Odwrócił się, celując w nią obiektywem.

– Czekasz tu?

Pokiwał głową i deszcz skapnął mu na twarz. Wprawnym ruchem naciągnął pelerynę, by szczelniej osłonić aparaty. Technicy w tym czasie zaczęli wchodzić do środka z teczkami zawierającymi pewnie proszek daktyloskopijny, aparaty fotograficzne i uniwersalne gumowe rękawiczki, torebki i plastikowe próbówki do zabezpieczania śladów. Dicte wiedziała też, że na podłodze w całym mieszkaniu brązowym papierem wytyczono ścieżki, po których śledczy mogą się poruszać, nie niszcząc ewentualnych wskazówek.

Ona sama zaczęła się oddalać, brodząc w kałużach. Nie było sensu starać się cokolwiek wyciągnąć z mieszkańców domu ani od sąsiadów. Inni dziennikarze już zaczęli to robić – dzwonili do drzwi i zaczepiali przechodniów zaciekawionych zamieszaniem. Zamiast tego zdecydowała się zajrzeć do dwóch willi stojących nieco w tyle za dużymi, modnymi ogrodami. Wydawało się jednak, że w żadnej z nich nikogo nie ma. Najwyraźniej w tej okolicy w środku dnia wszyscy byli w pracy.

Za jedną z willi dostrzegła mały domek, do którego wiodła długa wąska droga dojazdowa. Ruszyła w jego stronę i zadzwoniła do drzwi, ale i tam nikt nie otworzył. Żadnych świadków, pomyślała z żalem. Ktokolwiek zabił tę

kobietę, mógł sobie wejść do jej mieszkania i nawet kot sąsiadów go nie zauważył.

Schyliła się, by przeczytać wizytówkę na drzwiach. „Ogrodnik Jens Albertsen”. Przy domu nie było jednak żadnych śladów ogrodnictwa. Musi pracować gdzieś w mieście.

Kiedy tak stała, patrząc na wizytówkę, przypomniała sobie, że po drugiej stronie drogi widziała pobielony, zadbane kościół. Nawet teraz, pod koniec lutego i w deszczowy dzień jak dziś, wydawało się, że rozświetla okolicę i zachęca do odwiedzin. To samo dało się powiedzieć o cmentarzu ciągnącym się na przedłużeniu działki świątyni. Piękne trawniki i elegancko rozplanowane nagrobki, plus widok na jezioro, choć w deszczu horyzont zlewał się z wodą w mglistą, stalowoszarą kurtynę. Miejsce miało szczególnie, chłodny urok. Jak pięknie musi tu być w ciepły wiosenny dzień, kiedy kwitną tulipany i żonkile. Otuliła się ciasniej płaszczem i pomyślała o ojcu, którego pogrzeb miał się odbyć jutro. Jeszcze nie zdecydowała, co zrobi, ale coś ją pchało, by tam pójść. Wiedziała, że to zły pomysł, nie umiała jednak odpędzić od siebie tej myśli. Ostatnie pożegnanie – czy nie tak się to nazywa?

Przeszła przez ulicę w poprzek, znalazła furtkę w ogrodzeniu i ruszyła w stronę kościoła. Przystanęła, gdy usłyszała za sobą jakiś hałas. Mężczyzna w płaszczu przeciwdeszczowym i kaloszach układał na taczce zwiędnięte wieńce i wiązanki. Zbierał je z trójkątnego trawnika, gdzie pewnie przez kilka ostatnich dni prażyły się w lutowym słońcu. Obstawiała, że to miejscowy odpowiednik zbiorowej mogiły.

– Ciężko pracować w taką pogodę – zagadnęła. – Trzeba się porządnie ubrać.

Mężczyzna zatrzymał się z naręczem wiązanek, które zamierzał ułożyć na taczce. Spojrzał jej w oczy, a woda skapywała z trzymanyh przez niego w objęciach pogrzebowych białych lilii i czerwonych róż na ziemię.

– Nigdy nie jest ciężko – mruknął niewyraźnie. – Wszystkie pory roku są piękne.

Przytaknęła skinieniem i zatoczyła dłonią łuk, obejmując kościół i cmentarz.

– Tutaj na pewno. Wszystko tak pięknie się komponuje.

Mężczyzna był barczysty i wysoki. Wyglądał tak, jakby całe życie spędził pod gołym niebem. Ostrożnie odłożył kwiaty na taczkę i się wyprostował.

– Tak, to nasza duma – potwierdził. – Ale przyroda nie jest przecież naszym dziełem.

Zamyślony spojrział w stronę jeziora. Deszcz jakby odrobinę osłabł. Dicte nagle wydało się, że z szarości przebija się promień słońca.

– Większość pewnie chciałaby miejsce z samego przodu – powiedziała. – Wyobrażam sobie, że ten cmentarz cieszy się sporą popularnością.

Pokiwał głową i schylił się, by podnieść z ziemi pojedynczy kwiatek i położyć go wśród pozostałych.

– No pewnie. – Spojrział na nią. – Ale są obostrzenia. Te miejsca są zarezerwowane dla ludzi związanych z kościołem.

Dicte się uśmiechnęła. Tak, za tymi chmurami z całą pewnością świeci słońce. I deszcz rzeczywiście trochę osłabł.

– Nie myślałam o sobie.

Głową wskazała szereg samochodów, ledwo widocznych zza białego muru kościoła.

– Słyszał pan o tym morderstwie?

Przytaknął.

– Zakrystian mieszka obok. Właśnie do mnie dzwonił. – Poklepał się po płaszczu w miejscu, gdzie pod spodem była kieszeń. – Szkoda dziewczyny. Często tu przychodziła. Jej mama tu leży, tam w rogu. Tam, gdzie pochowane są urny – dodał i głową wskazał rząd małych działek.

– Który to nagrobek? Ten czarny kamień? Z gołębiem? – zapytała.

Pokręcił głową.

– Ten czerwony, zaraz obok. Nie dalej jak w niedzielę była tu z chłopcem i położyli mały wieniec.

– Ona ma syna?

Mężczyzna się uśmiechnął.

– Mikrus taki. Mały jak na swój wiek. Jonathan. Pani jest dziennikarką?

Zaskoczył ją tym pytaniem. Zdecydowała się na szczerłość i skinęła głową.

– Staram się czegoś o niej dowiedzieć – przyznała. – Znał ją pan?

Pokręcił głową. Zrobił minę, jakby chciał już wrócić do pracy. Pochylił się i podniósł taczkę.

– Człowiek nigdy do końca nie poznaje tych, którzy tu przychodzą. – Pożegnał się skinieniem i ruszył szutrową ścieżką, pchając taczkę pełną martwych kwiatów.

Śledziła go wzrokiem, dopóki nie zniknął w składziku. Potem przez trawnik poszła do zakątka, w którym chowano urny. „Ida Rantzen 1940–2002 – kochamy i tęsknimy”, brzmiał napis. Stała przez chwilę, jej wzrok spoczął na wieńcu ozdobionym jarzębiną i ostrokrzewem. Potem się odwróciła i ścieżką ruszyła z powrotem.

Przechodziła akurat przez jezdnię, kiedy z domu wyszedł Wagner w towarzystwie medyka sądowego. Dziennikarze zarzucili go gradem pytań, ale uciszył ich uniesioną dłonią.

– W tej chwili nie komentujemy sprawy. Później zwołamy konferencję prasową.

Dicte precyzyjnie się przez tłum i udało jej się odciągnąć go na bok.

– Co znowu, Svendsen? Jeśli chcesz grać solo, to mogę ci zaśpiewać.

– Znaleźliście chłopca? – zapytała ściszym głosem. Wagner stanął w pół kroku.

– Jakiego chłopca? O czym ty mówisz?

– Nie rozmawialiście z sąsiadami?

Pokręcił głową.

– Nie ma ich w domu. Wysłałem ludzi, żeby ich znaleźli – przyznał. – O

co chodzi z tym chłopcem?

Skinęła w stronę domu.

– Wydaje mi się, że schował się na poddaszu. Ma na imię Jonathan – powiedziała łagodnym głosem. – W oknie mignęła mi jego twarz.

Wiedziała, że za chwilę pokręci zniecierpliwiony głową i zruga ją za wybujałą wyobraźnię, albo coś jeszcze gorszego, ale w tej samej chwili z wnętrza domu dobiegł ich krzyk i jeden z techników wyszedł, niosąc na rękach małego zapłakanego chłopca. Policjant wyglądał na zdruzgotanego.

– Leżał pod łóżkiem na samej górze – wyjaśnił, próbując uspokoić przerażonego chłopca, który zanosił się płaczem i wylewał strugi łez.

Dicte poczuła gwałtowny ucisk w żołądku i miała wrażenie, jakby ktoś rozcinał jej serce. Nie zastanawiając się, co robi, wyciągnęła ręce w stronę chłopca.

– Cześć, Jonathan – powiedziała czule.

Płacz ustał momentalnie. Chłopiec najpierw spojrzał na nią zdziwiony. A potem jego twarz rozjaśniła bezgraniczna ufność. Jakby tylko ona była w stanie przepędzić złe duchy. Wyciągnął rączki i nim się zorientowała, tuliła go w ramionach.

– Dicte.

Głos Bo przeciął otaczający ich szum szeptanych rozmów. Odwróciła się w stronę, z której dobiegał, i spojrzała w obiektyw w tej samej chwili, w której pstryknął spust migawki.

28

– Esther Rantzen – odczytał Jan Hansen. – Ładna była.

Przekazał paszport w foliowej torebce Wagnerowi, który również mu się przyjrzał. Z kartki buraczkowej książeczki uśmiechała się do niego młoda, niezupełnie naturalna blondynka – respekt, jakim darzył Hansena, odrobinę się zachwiał. Zależy, co kto lubi, pomyślał. Jemu Esther Rantzen kojarzyła się z amerykańską gwiazdą telewizyjną o plastikowym uśmiechu, niebieskich oczach i wielkiej fryzurze otaczającej twarz jak chmura. Choć oczywiście jej wygląd nie mógł usprawiedliwiać tego, co ją spotkało.

– Rantzen – powtórzył Wagner i pogładził się po podbródku. Przez głowę przemknęła mu niejasna myśl, że powinien się ogolić i odpocząć. Wiedział jednak, że to pobożne życzenia. Byli na miejscu zdarzenia od siedmiu godzin i od teraz żaden z nich się nie wyśpi.

– Nietypowe nazwisko.

Hansen trzymał paszport pod światło i wbił wzrok w zdjęcie.

– Wydaje mi się, że ją znam – mruknął.

Wagner rozważał, czy nie skomentować szalonej młodości kolegi i jego mało zaskakującej skłonności do blondynek, ale się powstrzymał.

– Ivar K i Petersen ją sprawdzają – powiedział tylko. – Z tak rzadkim nazwiskiem powinno im pójść w miarę gładko.

Bezwiednie przesunął wzrok na kobietę, która leżała wciąż tak, jak ją znaleziono. Na środku podłogi w salonie, ubrana w dzinsy i błękitną bluzę. Jeden z techników chodził wokół i fotografował ją z każdej strony, a inny ostrożnie i z najwyższym możliwym szacunkiem ujął jej lewą dłoń i kolejno dociskał jej palce do małej plastikowej płytki, by pobrać odciski.

Brak motywu seksualnego, po raz kolejny doszedł do wniosku Wagner.

Żadnych rozdarć na spodniach ani obnażonego korpusu. Zabójcy zależało tylko na jednym: ofiara miała zginąć tak, jak to zaplanował. Najpierw taśmą skrępował jej ręce z tyłu. Potem założył pętlę na szyję. Najprawdopodobniej podobnie jak w przypadku Inger Graugaard wcisnął kobiecie kawałek materiału w usta, a potem również zakleił je taśmą, by nie było słychać wrzasków. Lecz podobnie jak za pierwszym razem na koniec usunął knebel, zapewne dla większego dramatyzmu, bo po złamaniu kości gnykowej język wypadł na zewnątrz. Wagner był przekonany, że medyk znajdzie włókna w ustach Esther Rantzen.

On reżyseruje miejsca zbrodni, pomyślał Wagner. Po chwili się poprawił – może to nie mężczyzna. Silna kobieta również mogła coś takiego zrobić, zresztą sprawcami mogła być grupa kobiet albo mężczyzn. Ale dla uproszczenia – a może dlatego, że w tym względzie myślał stereotypami, do których był gotów się przyznać – wyobrażał sobie mimo wszystko, że sprawcą jest mężczyzna. Być może uważa się za kogoś w rodzaju reżysera filmowego. Kto wie, może to artysta? Na przestrzeni lat przeczytało się to i owo o seryjnych mordercach działających z najdziwniejszych pobudek.

Ciarki go przeszły, kiedy słowo, którego wcale tam nie chciał, wtargnęło do jego myśli. Seryjny morderca. Pasuje raczej do amerykańskiej telewizji. Czy to naprawdę mogło się zdarzyć? Tu, w przyjaznym dla wszystkich Århus? „Mieście uśmiechu”?

Znów spojrzał na ciało. Sprawca powiesił ją na haku żyrandola, skąd nadal zwisał kawałek sznura. Musiał więc ją odciąć i ułożyć na podłodze. Prawdopodobnie dopiero wtedy wbił siekierę w tył jej głowy. Krew trysnęła na kanapę i jasną owczą skórę podobną do tej, którą jego córka miała w swoim pokoju jako nastolatka. Lecz zważywszy na brutalność zbrodni, mogło się tu zdarzyć jeszcze znacznie więcej. Obstawiał więc, że i tym razem czaszka ofiary została rozłupana pośmiertnie.

– Gormsen, jak myślisz? Jaki czas zgonu?

Zwrócił się do medyka sądowego klęczącego przy ciele w białym kombinezonie ochronnym. Podobnie jak technicy mężczyzna miał gumowe rękawiczki, maskę na ustach i siatkę na włosach, by na ciele ofiary nie zostawiać własnych śladów. Wszyscy, włącznie ze śledczymi, dostali

niebieskie foliowe ochraniacze na buty.

– W tej chwili trudno to stwierdzić – powiedział Gormsen niewyraźnie. – Tak z marszu powiedziałbym, że minęła doba, ale musimy przewieźć ją do siebie i dokładniej obejrzeć.

Spojrzał na zegarek, a potem na jednego z dwóch techników.

– Panowie, dużo wam jeszcze zostało?

Jeden z mężczyzn pokręcił uspokajająco głową i pokazał Gormsenowi uniesiony kciuk.

– W porządku. Założymy jej tylko torby. – Ze swojej teczki wyjął papierowe torby i zaczął ostrożnie nakładać je na dłonie, stopy i głowę ofiary.

– Zadzwońcie po karawan?

– Już dzwoniliśmy – odparł technik. – Powinni być w drodze.

Oczywiście mógł wysłać kogoś innego. Spokojnie mógł o to poprosić Ivara K i nikt by się specjalnie nie zdziwił. Nikt poza nim samym.

Tak to sobie tłumaczył, kiedy godzinę później Jan Hansen wjechał na parking dla gości przed Instytutem Patologii Ogólnej Szpitala Miejskiego w Århus. Może chodziło o rodzaj solidarności z ofiarą. A może było mu wstyd, bo spojrzał na zdjęcie w paszporcie Esther Rantzen i nie znając jej, ocenił ją jako tandetną tylko dlatego, że farbowała i tapirowała sobie włosy.

Wagner westchnął, kiedy obaj wysiedli i trzasnęli drzwiami. Zmrok zapadł już dawno i komisarz nieopatrznie wdepnął w kałużę. Sam siebie skazał na uczestnictwo w obdukcji, a Hansena poprosił, żeby mu towarzyszył, bo kiedyś musi być ten pierwszy raz.

Czerwone mury starego budynku Instytutu Patologii pokrywały gałęzie ogromnego bluszczu, ledwie widocznego w słabym świetle ulicznych latarni i lampy nad drzwiami. Ruszyli drogą w stronę kaplicy i Instytutu Medycyny Sądowej mieszczącego się w przyległym budynku.

Hansen był wyraźnie zdenerwowany. Pośpiesznie wysupłał z paczki papierosa i łapczywie się zaciągnął.

– Jak długo to zwykle trwa?

Wagner wzruszył ramionami, nie zatrzymując się.

– Bo ja wiem, może zejść jakieś cztery, pięć godzin. Myślę, że około jedenastej wieczorem będziemy wolni. Potem oni sporządzą raport.

Zerknął na Hansena, który nieco pobladł. Powinien chyba mówić dalej, żeby choć trochę go uspokoić.

– Dopiero później dostaniemy informacje uzupełniające o obecności narkotyków i alkoholu we krwi, wyniki badań mikroskopowych i tak dalej – dodał. – Te badania wykonuje Instytut Chemii Sądowej w Risskov.

Hansen zakaszłał, ale mimo to zaciągnął się po raz kolejny.

– A my jak blisko stoimy? To znaczy, jak ją otworzą.

Wagner uśmiechnął się uspokajająco.

– Możesz stanąć kawałek dalej. Wszyscy za pierwszym razem się denerwują. Jak ci się robi niedobrze, to po prostu wyjdź na świeże powietrze.

Hansen pokiwał hardo głową, a Wagner poczuł nagłą potrzebę, by jak dobry pedagog wyjaśnić podopiecznemu, że nie ma się czego bać.

– Nie powinienem oczywiście porównywać tych dwóch sytuacji – zaczął – i na pewno nie mówię tego z braku szacunku. Ale wyobraź sobie, że to kurczak, którego trzeba poćwiartować.

Hansen odwrócił lekko głowę i posłał mu udręczone spojrzenie.

– U nas zawsze to żona robi takie rzeczy – przyznał. – Nigdy nawet nie patroszyłem ryby.

Portier instytutu wpuścił ich i zaprowadził do prosektorium, gdzie czekał już jeden z policyjnych techników, by zabezpieczyć odzież ofiary i przyglądać się sekcji. Gormsen przywitał ich krótkim skinieniem, a w tym czasie kobietę rozbierano na oczach Wagnera i Hansena. Sumienie Wagnera poruszyło się na ten widok. Bezbronność i niewinność Esther Rantzen wyglądała inaczej tu, na metalowym stole, gdy leżała naga jak ją Pan Bóg stworzył. Zauważył, że nie była wysoka. Taka pchełka z ramionami jak gałązki i bez grama zbędnego tłuszczu. Drobnej budowy ciała – tak nazywano ten typ sylwetki. Małe piersi, maleńki trójkąt ciemnych włosów na

wzgórkę łonowym zdradzający jej naturalny kolor włosów, wąska talia, którą bez trudu mogłyby objąć dłonie dużego mężczyzny. Łatwa ofiara.

Gormsen wyjął dyktafon z kieszeni kitla i powoli rozpoczął oględziny zewnętrzne zwłok. Swoje obserwacje nagrywał. Hansen już teraz odsunął się kawałek, jakby leżąca na stole kobieta mogła nagle obudzić się i krzyknąć „bu!”. Za chwilę będzie musiał się poddać, pomyślał Wagner, i ogarnęło go lekkie przygnębienie. Niby taki mięśniak z ogoloną głową, a kiedy włączy piłę, będzie po nim.

I faktycznie. Gdy Gormsen dogłębnie opisał wygląd zewnętrzny ciała ofiary i bruzdę na szyi znajdującą się zbyt wysoko, by mogła powstać wskutek zadzierzgnięcia, i rany na karku, które spowodowały słabe krwawienie, przyszła pora na otwarcie ciała cięciem od klatki piersiowej w dół do genitaliów.

Kiedy asystent przyszedł z piłą, Hansen z trudem utrzymywał się na nogach. A gdy wykonano cięcie, Wagner usłyszał z boku cichy jęk. Hansen zrobił dwa chwiejne kroki do tyłu i pozieleniał na twarzy, przyciskając dłoń do zasłoniętych maską ust, wybiegł na korytarz.

– Kto by pomyślał – skomentował cierpko Gormsen, nie przerywając pracy.

Wagner westchnął.

– Może powinienem był zamiast niego przyprowadzić jego żonę.

Gormsen uniósł brew, ale Wagner postanowił nie zgłębiać tematu.

Hansen wrócił dopiero po półgodzinie, i kiedy tylko otwarły się drzwi, Wagner wiedział, że jego kolega nie będzie uczestniczył w dalszym ciągu obdukcji. Całym ciałem wstrząsały niekontrolowane dreszcze jak u psa gończego, który złapał trop. Oczy nad białą maską świeciły nieprzytomnie i zdawało się, że nie dostrzegają leżącego na stole ciała.

– Wiedziałem – powiedział. – Wiedziałem, że ją znam.

Wagner zdążył pomyśleć, że to musiała być jakaś historia przedmałżeńska. Może jakiś flirt w lokalnej dyskotecie we wczesnej młodości Hansena.

– Właśnie dzwonił Ivar K – wyjaśnił Hansen głosem stłumionym przez białą gazę. – Pamiętasz sprawę zespołu Münchhausena? Kobieta zapadła się pod ziemię razem ze swoim dzieckiem, bo była poszukiwana za znęcanie się nad nim?

Wagnerowi zaczęło świtać. Jeśli nie myliła go pamięć, lekarze ze szpitala w Skejby powiadomili opiekę społeczną. Do sprawy włączyła się policja i ostatecznie wystawiono przeciwko niej akt oskarżenia.

– Sprawa z pinezkami?

Hansen przytaknął. Oczy nad maską teraz skupiły się na leżących na stole zwłokach. Wagner zauważył, że nie było w nich współczucia. Dostrzegł za to odrazę, lecz zupełnie innego rodzaju niż wcześniej.

– Zmuszała swojego syna do połykania pinezek – potwierdził Hansen.

Żaden z nich go nie wypowiedział, ale w milczeniu, jakie zapadło na sali, to zdanie zawisło w powietrzu i wprawiło ich w drżenie. Esther Rantzen dostała to, na co zasłużyła.

Wagner zaczerwienił się ze wstydu, kiedy to pomyślał, a z tego zrodziło się pytanie, jak długa jest tak naprawdę droga od myśli do czynu.

Właściwie to wołała koty.

Karen poklepała psa, który merdał ogonem i przymilał się, kiedy wyjęła z szafki karmę i zaszeleściło opakowanie. Odkąd w domu pojawił się Timbo, kotka przeniosła się na pierwsze piętro. Tam rozbiła sobie obóz w pokoju Inger w jej ulubionym fotelu, obecnie pełnym szarej kociej sierści. I niestety zadała się – być może ze zwykłej zgryzoty – z jakimś napalonym kocurem, czego efektem był mocno już powiększony brzuch. Karen obawiała się o ład domowy, a raczej o losy kruchego rozejmu pomiędzy psem i kotem, który zostanie wystawiony na ciężką próbę, gdy na świat przyjdą małe i któregoś dnia nauczą się schodzić do kuchni, gdzie tak łatwo rodzą się napięcia pomiędzy stronami.

Nad tym właśnie się zastanawiała, gdy nakładała psu jedzenie, bo pilnie potrzebowała przekierować myśli na inne tory. Rozmowa. A może to się nazywa przesłuchanie?

Właśnie wyszli – John Wagner i jego kolega Hansen, który wydawał się sympatyczny, choć wyglądał jak jeden z tych ochroniarzy w domu towarowym Magasin, których nie polubiła ani trochę. Policjant różnił się jednak od umięśnionych robotów z Magasinu. Być może chodziło o jego spojrzenie. Wrażliwe i głębokie jak u tego psa, który właśnie się jej przyglądał i prawdopodobnie tęsknił za Inger. Wołała już czujne oczy kotki. Ona myślała tylko o sobie i własnym przetrwaniu, a teraz żyła w otoczeniu rzeczy Inger, sypiała w jej fotelu i wdychała pozostawione przez nią powietrze.

– Oj, Inger, Inger – powiedziała szeptem, a dalej ciągnęła w myślach: „Nie zasłużyłaś sobie na to. Zawsze wszystko się przeciw tobie sprzysięgało. Powinnam była bardziej na ciebie uważać”.

Karen zostawiła psa i poszła do pokoju muzycznego. Próbowła przebrnąć przez wyjątkowo trudne preludium Bacha, które z powodzeniem mogła ćwiczyć na fortepianie i które później zamierzała zagrać w kościele.

Wyjęła nuty i usiłowała się skupić na zapisywaniu najdogodniejszego układu palców, ale szok, jaki dopiero co przeżyła, nie opuszczał jej i jak ciężki głaz nie pozwalał zbliżyć się do instrumentu.

Jeszcze jedna. Doszło do kolejnej zbrodni. Karen miała wrażenie, że jej umysł wciąż tego nie pojął, choć jej ciało natychmiast odebrało komunikat i zaczęło się silnie pocić, a potem trząść. Wagner poszedł do kuchni zaparzyć herbaty, a Hansen przepytывał ją dalej. Mielili i drażyli, aż zakreśliło jej się w głowie. Czy widziała się ostatnio z Lise? Czy domyśla się, gdzie może być? Jaki stosunek miała Lise do swojej matki? Czy określiłaby Lise jako normalną nastolatkę, czy też przynależność do sekty odbiła się w jakiś sposób na jej psychice?

Czy mogło się u niej rozwinąć przesadne, chorobliwe poczucie sprawiedliwości, kiedy znajdowała się pod wpływem tak dominującego mężczyzny jak Langballe? Czy bywała agresywna albo skłonna do przemocy?

Pytania padały jedno za drugim. Karen była w stanie je znieść tylko dlatego, że w przeciwieństwie do słów, głos, jaki je wypowiadał, był łagodny i wyrozumiały. Głosy Hansena i Wagnera mimo wszystko działały na nią uspokajająco. Miękki baryton młodszego mężczyzny i głęboki tembr starszego. I żaden z nich przecież nie powiedział wprost tego, co obu im chodziło po głowie. Nie zapytali, czy owo możliwe przesadne poczucie sprawiedliwości mogłoby się u Lise rozwinąć w obsesję, przekonanie, że wszystkie matki, które skrzywdziły swoje dzieci, powinny umrzeć.

W pewnym momencie się złamała. Pamiętała swój ból i łzy, których nie potrafiła powstrzymać. Dźwięk pociągania nosem i wdzięczność, gdy Hansen przyniósł jej długi kawałek papierowego ręcznika, po który szybko pobiegł. Pamiętała też własne słowa wypowiedane łamiącym się głosem, które wciąż w niej siedziały i powoli stawały się częścią jej samej.

– To nie może być ona. To niemożliwe. Lise nigdy, przenigdy nie zrobiłaby czegoś takiego.

W chwili, gdy to powiedziała, uświadomiła sobie, że to prawda. Wbrew temu, co wcześniej powiedziała Dicte. Wbrew temu, co wcześniej sama sądziła, choć już sama myśl była zdradą. Zwątpiła – nie wypiera się tego. Dała się zwieść i pozwoliła sobie myśleć to, co myśleli inni. Lecz w głębi duszy cały czas to wiedziała. Powinna była wiedzieć. Ona, która opiekowała się Lise od niemowlęcia. Która ją nosiła po pokoju, karmiła, wozila w wózku, gdy Inger nie miała czasu, trzymała jej małe ciało przy swoim, czuła jego ciepło i oddawała mu swoją miłość.

Jej oczy spotkały się z niezgłębionym spojrzeniem Wagnera. A potem on cicho, lecz z naciskiem potwierdził:

– My również nie wierzymy, że to zrobiła. Na pewno nie sama. Ale musimy się z nią zobaczyć.

Wtedy Karen wyjawiała im to, o czym wcześniej opowiedziała Dicte – że sekta mogła jej dać schronienie. Ale policja już tam była.

– Dostaliśmy nakaz i przeszukaliśmy już posesję w Åbyhøj. Bez powodzenia – wyjaśnił Wagner i dodał: – Czy przychodzą pani do głowy inne miejsca bądź osoby, do których Lise mogła się zwrócić? Przyjaciółki? Znajomi? Inni członkowie rodziny, przy których czuje się bezpieczna?

Karen podała mu listę członków dalszej rodziny. Do przyjaciółek łatwiej dotrą za pośrednictwem szkoły – ona nie pamiętała żadnych imion.

– A więzienie? – zapytała, nie podając nazwy.

Hansen pokręcił głową.

– Kierownictwo zakładu karnego twierdzi, że nie. Lise i Anders Langballe osobiście się ze sobą nie kontaktowali. Nie wykluczają natomiast kontaktów mailowych albo za pośrednictwem osób trzecich.

Oczywiście, pomyślała Karen. Nie mogła go odwiedzać. Więzienie natychmiast powiadomiłoby opiekę społeczną i Lise musiałyby wrócić do znienawidzonych opiekunów w ośrodku albo stałoby się coś jeszcze gorszego.

Wagner zadał jeszcze dwa pytania, po czym wstał i Hansen zrobił to samo. Wagner z kieszeni na piersi wyjął wizytówkę.

– Proszę dzwonić, jeśli coś pani przyjdzie do głowy.

Bez czytania wsunęła wizytówkę do kieszeni spodni. Dopiero kiedy sobie poszli, wątpliwości ogarnęły ją na dobre. Może powinna była to powiedzieć. Może to ważne. A może nie powiedziała tego właśnie dlatego, że w jakiś sposób mogło się to okazać ważne.

Preludium nie dawało Karen spokoju, więc postanowiła wybrać się do kościoła. Przejazdźka dobrze jej robi, a poza tym uwielbiała brzmienie organów w pustym pomieszczeniu, kiedy dźwięki odbijały się od ścian.

Coś jednak wciąż nie dawało jej spokoju i w połowie drogi zawróciła do biblioteki.

Dawno tu nie była i w pierwszej chwili uderzyło ją, jak bardzo atmosfera tego miejsca przypomina tę panującą w świątyni. Cisza, jakby wszyscy z jakiegoś powodu wstrzymywali oddech, i stłumione odgłosy, gdy ktoś dyskretnie zakaszłał, przechodził między rzędami książek albo podsuwał sobie krzesło, by coś przejrzeć czy też poszukać w sieci.

Podeszła do okienka, gdzie siedziała kobieta w podobnym wieku co Karen, w okularach bez oprawek i z włosami związanymi w koński ogon.

– Przepraszam bardzo, szukam działu historii regionu.

Kobieta uśmiechnęła się i wskazała korytarz:

– Schodami w dół i po prawej. Materiałów nie wypożyczamy, ale można je kserować.

Karen podziękowała skinieniem i ruszyła w dół korytarza. W małym zaułku jeden przy drugim stały regały z książkami i czasopismami z okolic Tilst-Kasted. Były wyjątki z ksiąg parafialnych, raporty i urzędowe publikacje z numerami katastralnymi na grzbietach, ale również historyczne pamflety o wiejskim życiu zarówno najemników, jak i wielkich posiadaczy ziemskich z tej okolicy.

To, po co przyszła, znalazła schowane w głębi, w dziale oznaczonym „Szkolnictwo w regionie Tilst-Kasted”. Dalej szukała według rocznika. 1959. Starannie oprawiony stos zeszytów wyglądał jak książka. Był to projekt, który realizowali kiedyś w szkole. Każdy miał napisać wypracowanie o

dowolnym wydarzeniu historycznym w ich okolicy. Powiedziano im, że ich opowiadania trafią do miejscowego archiwum i będą w nim przechowywane przez lata. Jedni pisali o tym, jak zbudowano kościół, drudzy o dziejach określonego gospodarstwa – często należącego do ich rodziny. Ona wybrała zupełnie inny temat.

Przeszukała plik zeszytów. Rozpoznawała pismo wielu swoich kolegów i koleżanek z klasy. Nagle trafiła na własny zeszyt. Starannym dziewczęcym pismem napisano na nim: „Karen Graugaard, 5A”. Serce zaczęło jej bić niespokojnie, ale zignorowała to i otworzyła na pierwszej stronie.

„Morderstwo na bagnach” – informowały czerwone, ociekające krwią litery. Bezwiednie chwyciła się za gardło. Pod palcami czuła, jak mocno bije jej puls.

30

– A oto i bohaterka dnia.

Daidsen podniósł wzrok znad komputera i uśmiechnął się przyjaźnie, lecz Dicte wyczuła w jego głosie szczyptę goryczy. Zdążyło jej przemknąć przez myśl pragnienie, by cofnąć się do czasów przed słowną biegunką Holgera, nim wydawca regionalny dodał:

– Może powinniśmy wymyślić specjalną nagrodę na twoją cześć?

Przechylił głowę na bok i rozejrzał się, by sprawdzić, czy ma widownię. Stanowili ją Cecilie i Holger przed swoimi monitorami, i Bo, który siedział z nogami na stoliku i wgryzał się w suchą bułkę.

– Może dyplom za humanitarną postawę przyznawany dziennikarzowi, który w sposób szczególny przyczynia się do skierowania uwagi czytelników na własną osobę?

Daidsen zebrał owację w postaci prychnięcia Cecilie i uśmiešku Holgera, który schował się za monitor. Bo skupił się na wyłuskiwaniu paru okruszków, które się zabłąkały w fałdach jego koszuli, ale udało jej się złapać jego podejrzenie niewinny wzrok.

– O czym ty, u licha, mówisz?

Nie była w nastroju. Zwłaszcza na zaszyfrowane komentarze Daidsena, a już najmniej na przeczucie, że Bo coś ukrywa.

– Może nie widziałaś jeszcze dzisiejszych gazet... – Holger przyszedł jej z pomocą.

Nie, nie widziała. Na wsi poczta przychodzi zawsze późno, a poza tym od rana głowę rozsadza jej przedmiesiączkowa migrena i musiała zająć do apteki po paracetamol, zanim była w stanie stawić czoła światu w ogóle i redakcji w szczególności. Dudnienie w głowie nie osłabło bynajmniej od rozważań o

wczorajszym zabójstwie i jeszcze bardziej nachalnej myśli o pogrzebie ojca, z którym wciąż nie wiedziała, co począć.

– Proszę.

Holger zwinął dziennik w rulon i rzucił nim przez całą długość pokoju redakcyjnego, a Bo z ociąganiem wstał z miejsca, dopił kawę i wymknął się do kuchni. Dicte podniosła gazetę, która przeleciała obok niej i wylądowała pod oknem, pierwszą stroną do góry.

– Jasna cholera!

Już z daleka zobaczyła własne zdjęcie z Jonathanem na rękach powiększone jako ilustracja tematu głównego – fotografia, która ma być chwytliwa i podkreślić sprzedaż w kioskach. Dicte skupiła wzrok na okładce. Stała z kapturem na głowie, na wpół odwrócona od aparatu. Chłopiec chował twarz w zagłębieniu jej szyi i nawet teraz potrafiła sobie przypomnieć jego chudziutkie ciało, które do niej przywarło, i jedno przytłaczające pragnienie: sprawić, by odstało się to, co się stało. Serce wpadło w dziki tan, gdy przeczytała nagłówek: „Dziennikarka w samym środku dramatycznej zbrodni”. Opis zdjęcia brzmiał: „Trzyletni chłopiec przez wiele godzin przebywał sam w mieszkaniu w Brabrand, w którym leżała jego matka brutalnie zamordowana przez nieznanego sprawcę. Gdy policja znalazła go i wyniosła z domu makabry, znalazł schronienie w ramionach naszej dziennikarki, Dicte Svendsen, która była na miejscu, aby relacjonować przebieg zdarzeń. Zdjęcie: Bo Skytte”. Mignęło jej odniesienie do jej własnego artykułu z wstępnym profilem zabójcy na stronie siódmej.

Odwróciła się i spotkała trzy pary oczu, wbite w nią i wyczekujące.

– Ładne zdjęcie – skomplementowała uprzejmie Cecilie. – Masz dobry profil.

Daidsen z impetem wcisnął „enter”. Była w tym ruchu optymistyczna sprężystość, która wydała jej się irytująca.

– Do tego warto sporą sumkę – powiedział i klikał dalej. – Dla wolnego strzelca to prawdziwa gratka.

Miała ochotę zaprotestować. Powiedzieć, że wcale tego nie chciała, a Bo pewnie zapomniał odhaczyć to zdjęcie, kiedy wysyłał film do redakcji. A

jeszcze lepiej byłoby, gdyby udało jej się zdobyć na pełen ironii dystans i zbagatelizować całą sprawę, dorzucając szeroki, przebojowy uśmiech. Niestety, w tej chwili jej myśli wypełniało jedynie to, że została zdradzona i pozbawiona osłony wbrew swojej woli. Niejasne poczucie, że znalazła się poza bezpieczną kryjówką.

Próbowała jednak zdobyć się na uśmiech – wyszedł z niego dziwny grymas – po czym na sztywnych nogach poszła do kuchni, gdzie Bo właśnie napełniał ekspres do kawy wodą i ziarnami, ostentacyjnie pogwizdując.

– Może jednak należało mnie zapytać – powiedziała.

Ku swej irytacji poczuła, że powieki zaczynają ją piec od wewnątrz. Nie teraz, pomyślała i zamknęła oczy, by powstrzymać łzy. Nie teraz i nie tutaj.

Bo odwrócił się do niej tylko częściowo, ale widziała, że jest mu głupio. Znała dobrze tę postawę – pochylony kark i ten niby-hardy ruch głową, od którego długie kosmyki omiotły mu twarz.

– Ale co w tym złego? Poza wszystkim, to przecież prawda – próbował się bronić. – To do ciebie chciał iść ten biedny dzieciak.

– Tylko dlatego, że jako jedyna znałam jego imię.

Bo wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że kompletnie nie rozumie, w czym problem. Tyle że ruch, jaki wykonał, był przesadzony, a protest nazbyt gwałtowny.

– Ile zgarnąłeś za to zdjęcie?

Słyszała drzenie w swoim głosie. Zdradzona – dudniło jej w głowie. Sprzedana temu, kto zaoferował najwięcej.

Nie od razu odpowiedział. Najpierw włączył ekspres i stał, jakby zamierzał bacznym wzrokiem śledzić cały cykl, jaki wykona urządzenie od pierwszego, suchego chrapnięcia maszyny do chwili, gdy szklany czajnik całkiem się napełni.

– No ile, Bo?

Odwrócił się, a w jego oczach widać było żal. Podrapał się lekko po brodzie. Dicte wiedziała, co zaraz będzie, i postanowiła być twarda.

– Wybacz, kochanie. Nie chciałem ci sprawić przykrości.

Nagle z jego głosu znikła cała pewność siebie, a postawa zupełnie się zmieniła. Pokręcił głową i było w tym ruchu przyznanie do błędu, do własnej mylnej oceny sytuacji.

– Tak całkiem szczerze, to nie wierzyłem, że tamci na górze zdecydują się je wykorzystać. Normalnie przecież nie pokazaliby takiego zdjęcia, zanim nie powiadomiliby rodziny. Sama przecież wiesz.

Zaczął szukać czegoś w lodówce, a Dicte odebrała to jako wybieg, aby nie musieć patrzeć jej w oczy.

– Ale twarzy chłopca nie widać, więc najwyraźniej uznali, że to w porządku – skierował te słowa do kartonu mleka, który właśnie wyjął.

Nie potrafiła rozstrzygnąć, czy był z nią szczery. Zwykle był. Nigdy nie przyłapała go na kłamstwie, ale dręczyła ją niepewność, a ból głowy dopingował do ataku. Ból głowy i płacz, który za nic w świecie nie mógł teraz wziąć góry.

– Jak, u licha, mogłeś pomyśleć, że Kaiser nie weźmie tego zdjęcia i nie wrzuci go na okładkę, co? Gdzie ty miałeś głowę, człowieku?! – Odwrócił się i patrzył na nią bezradnie. Spuściła oczy i zatrzymała wzrok na podłodze między jego butami. – Nie mówiąc o sercu – dodała, starając się opanować drżenie głosu. Jednocześnie przysunęła sobie krzesło, by usiąść, zanim nogi się pod nią załamią. – Jak mogłeś pomyśleć, że będzie mi wszystko jedno, kiedy zobaczę własne zdjęcie na całej pierwszej stronie?

Wiedziała, że gdyby chciał być naprawdę złośliwy, to mógłby odbić piłeczkę i zapytać, czy nie przeszkadzały jej twarze wszystkich innych ludzi, które przez jej artykuły trafiły na łamy prasy. Czy nie przeszkadzały jej inne zdjęcia, jakie on i w ogóle reporterzy robili ludziom, być może równie wzburzonym, kiedy potem widzieli się na pierwszej stronie.

Ale nie chciał być złośliwy. Może nawet pragnął wszystko naprawić, pocieszyć ją i przeprosić, co przecież zrobił. Tylko czy przeprosiny wystarczą?

– Nie wiedziałem, że tak to odbierzesz – powiedział przygnębionym głosem i stał dalej niepewnie, choć wiedziała, że najchętniej by do niej

podszedł. – Nie mogłaś mi po prostu powiedzieć?

No właśnie: czy nie mogła mu tego po prostu powiedzieć? Czy naprawdę człowiek nie ma prawa wymagać choć odrobiny wyczucia? Znał jej historię. Wiedział, co zdarzyło się już kiedyś, że ktoś ją odsłonił, obnażył przed całym światem i każdy mógł sobie poczytać o najbardziej bolesnych szczegółach jej biografii. I choć zrobił to jej konkurent, Bo wiedział jej reakcję. Wiedział, jak przetykając łyzy, skuliła się w sobie z gazetą w opuszczonych dłoniach. Podpisać artykuł własnym nazwiskiem i opatrzyć je mikroskopijnym zdjęciem i adresem mailowym to jedno. To tutaj to coś zupełnie innego. To współczesny pręgierz. I tak, ona sama zarabiała na życie, przeprowadzając do niego ofiary – miała tego oczywiście pełną świadomość.

Wstała zmęczona. Wiedziała, że postępuje nie fair, ale nie umiała się powstrzymać.

– Wszystko można kupić.

Wyszedł za nią do pokoju redakcyjnego, co było ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła, bo wszyscy tam byli i gapili się na nich.

– Nie zrobiłem tego dla pieniędzy i doskonale o tym wiesz.

Rzeczywiście wiedziała. Wiedziała, że zrobił to z powodu bezmyślności, i w jakiś sposób to było jeszcze gorsze. Wzięła swoją torebkę z biurka. Bo ruszył za nią długimi krokami i złapał ją przy drzwiach.

– Dokąd idziesz?

– Na pogrzeb mojego ojca.

– Idę z tobą. Nie powinnaś być tam sama.

Sięgnął po skórzaną kurtkę, którą przewiesił przez oparcie krzesła, a Dicte się odwróciła. Spojrzała na jego twarz, którą tak beznadziejnie kochała: na wiszące w strąkach włosy, na niechlujną brodę i szare, zmęczone oczy, które zdradzały jego przeszłość, co najmniej tak samo pogmatwaną jak jej własna. Dorastał jako najstarszy z rodzeństwa, odpowiedzialny za całą rodzinę. To on odrabiał lekcje z młodszymi i chował przed matką butelki i fiolki z lekami.

– Wolalabym, żeby nie było tam fotografów – powiedziała łagodnym

głosem i ruszyła schodami w dół.

Refleksjami nad pieniędzmi starała się odpędzić myśli o śmierci. Jej miesięczny budżet ledwie się dopinał, a kredyt na rachunku ciągle rósł. Będzie musiała się umówić na rozmowę z bankiem. Może dadzą jej pożyczkę pod zastaw domu. Teraz są akurat dość tanie. Zainwestowałyby w wymianę okien i może zostałyby coś na spłatę kredytu.

W dalszej perspektywie ta strategia okazała się jednak nieskuteczna. Kiedy wjechała w Silkeborgvej, wciąż myślała o ścięciu z Bo i coraz bardziej pograżała się w ponurych wizjach o samotności i umieraniu. Jakby nie mogła się od nich uwolnić. Jakby jej praca również stała się swego rodzaju katalizatorem śmierci, a ona sama narzędziem do budowania atmosfery grozy i makabry poprzez zapisywanie kolejnych szpałt opowieściami o ludzkim nieszczęściu. Nie pierwszy już raz zatęskniła za swoją dawną posadą w Kopenhadze, gdzie zajmowała się biznesem i ekonomią, a na przeprowadzenie wywiadu z prezesem koncernu dostawała nawet tydzień.

Próbując tym razem przekierować myśli na coś bardziej przyziemnego, stanęła przed kwaciarnią w Åbyhøj i kupiła ładną wiązaną pomarańczowych róż. Ale kiedy wróciła do samochodu i odłożyła kwiatki na tylne siedzenie, znów zaczęła wałkować wszystko w głowie.

Tęskniła za Rose. Zastanawiała się, czy nie zadzwonić do niej i nie zapytać, czy ma ochotę iść na pogrzeb, ale w ostatniej chwili odezwał się w niej głos zdrowego rozsądku i przypomniał, że dla córki nic dobrego z tego nie wyniknie, a jej obecność pomogłaby jedynie trochę jej samej. Co będzie czuła, widząc, że ciotka i babka traktują ją jak powietrze? Nic, poza rozczarowaniem i bolesną świadomością, że jest niemile widziana. To nikomu dobrze nie zrobi, poza tym Rose powinna mieć prawo być tym, kim chce być. Z tym również ciężko jej było się pogodzić, ale nie miała innego wyjścia. Musi się pogodzić i uszanować jej wybór.

Sam fakt, że ujęła to w słowa, sprawił, że poczuła się odrobinę lepiej i tak dojrzała, jak nie czuła się od dawna. Jeśli będzie umiała uszanować pragnienie Rose, by jej córka miała więcej przestrzeni, to będzie oznaczało, że jako matka potrafi zrozumieć potrzeby swojego dziecka, pozwala mu być sobą i dorastać we własnym tempie.

– Psychologiczny bełkot – rzuciła przed siebie i samej sobie pokazała język w lusterku, kiedy przez chwilę oswajała się z decyzją córki. W sumie chyba powinna była to wiedzieć. W końcu studiowała tę psychologię, choć tylko dwa i pół roku. Studia rzuciła zresztą z niezwiązanego z psychologią powodu.

Chciała się z powrotem skupić na drodze, ale nagle z tyłu zamajaczył jej cień samochodu, który wydawał jej się znajomy. Kiedy mrugnęła, samochód zniknął, wyprzedził go niebieski ford ka i Dicte o nim zapomniała. Nie zrobiłby tego. Nie po tym, co mu powiedziała.

Do Bording dotarła piętnaście po pierwszej. Wiedziała, że wkrótce skończy się nabożeństwo w kościele. Nie miała ochoty słuchać psalmów, a może starsi zboru będą jeszcze wygłaszać z mównicy osobiste pożegnania, wylewać puste potoki słów, które tylko pogłębią jej poczucie bezsilności. Tak naprawdę sama nie wiedziała, czego chce, więc przez chwilę siedziała za kierownicą i czekała. Znow wzebrał w niej gniew na matkę. Nie była pewna, czy będzie w stanie trzymać się od nich z dala i zachowywać w sposób, jakiego od niej oczekują. Czy będzie umiała stanąć z tyłu, potem położyć swoją wiązaną i w milczeniu odjechać w swoją stronę. Na myśl o tym ręce jej zwilgotniały, a serce zaczęło walić jak szalone. To przecież ludzka rzecz szukać winnego, prawda? Kiedy człowiek traci coś, co kochał, próbuje znaleźć wyjaśnienie. Kogoś odpowiedzialnego.

Po chwili szerokie drzwi kościoła się otwały i przy dźwiękach organów wyniesiono trumnę.

Wiele twarzy rozpoznawała, a jednocześnie wydawały się obce. Postarzeni się. Większości osób nie widziała od dwudziestu pięciu lat. Orszak sunął po cmentarzu jak długi wijący się wąż. Jej matka i Sofie szły za trumną ubrane w brzydkie czarne płaszcze. Za nimi kroczył mąż Sofie, Peter, i dwójka ich dzieci – jej siostrzenica i siostrzeniec Anne Marie i Hans. Nie była nawet pewna, ile mają lat. Nie znała dat ich urodzin, bo nie wolno było ich świętować.

Zmusiła się, by zaczekać. Siedziała niespokojnie i wciskała guzik radia, przeskakując kolejne stacje. Nic nie pasowało do jej nastroju. W końcu je wyłączyła i w ciszy przyglądała się plecom tworzącym zwarty mur wokół

trumny. Potem ludzie zaczęli się rozchodzić i małymi grupkami ruszyli do swoich samochodów.

Wtedy wysiadła. Zabrała wiązanę i trzymała ją przed sobą jak oręż. Nie odwracając się, zaczęła iść. Spotykała ich wzrok, a za plecami słyszała, jak poszeptują między sobą. Szła wyprostowana, z uniesioną głową, krokiem pewnym i dziarskim. Ich spojrzenia parzyły ją w kark, ale miała to gdzieś.

Matka i Sofie zostały przy grobie. Jak dwa milczące filary stały po przeciwnych jego stronach z pochylonymi głowami i prawdopodobnie pogrążone w modlitwie. Zupełnie obce, pomyślała Dicte. Wszystko wydawało jej się jasne, dopóki nie podeszła bliżej i nie zobaczyła ich twarzy. Łagodne rysy Sofie, jej okrągłe policzki i mały niesforny lok, uwolniony przez podmuch wiatru. I bezradność matki, która wzrok miała wbity we własne, odziane w rękawiczki i kurczowo zaciśnięte dłonie. Dicte trudno było odnaleźć w tej twarzy znajomą serdeczność, piękno i bez troskę, którą dawniej emanowała, to wszystko, co niesie ze sobą młodość. Jak mogła pomyśleć o tym, by się na niej mścić?

– Mamo.

W jej ustach zabrzmiało to jak łagodne westchnienie.

Matka gwałtownie podniosła głowę. W sekundę miejsce rozpacz zajęło coś całkiem innego. Przez tę krótką chwilę Dicte poczuła cień nadziei. Lecz to był tylko moment, bo zaraz twarz matki skamieniała i malowała się na niej już tylko zawziętość. Dicte ścisnęło w żołądku.

– Nie jesteś moją córką.

Głos był twardy. Dicte docisnęła do siebie wiązanę i mimowolnie kawałek się cofnęła. Wpatrywała się w tę obcą kobietę, która sprawiała wrażenie, jakby zaraz miała przeskoczyć nad otwartym grobem i dać fizyczny upust temu, co być może było nienawiścią i co przebijało z jej głosu i całej sztywnej postawy.

– Urodziłaś mnie – przypomniała jej Dicte, która odzyskała właśnie mowę. W jej chropawym głosie również było słyhać napięcie. – Nie pamiętasz? A może tak jesteś przekonana o swojej nieomyślności, że o tym zapomniałaś?

Matka zrobiła krok do przodu i Dicte jasno odczytała w tym ruchu groźbę. Sofie szybko położyła dłoń na ramieniu matki.

– Ty mi mówisz o rodzeniu dzieci? – wycedziła matka. – Ty, która przyniosłaś wyłącznie rozczarowanie. Wydałaś na świat bękarta i oddałaś go obcym. Ale spotka cię kara za twoje grzechy. Nie waż się tu przychodzić i mieszać do naszego życia.

Dicte się zachwiała, jakby słowa były kulami i każda trafiała w cel. W głowie jej się zakotłowało i chwilę trwało, nim w myślach ułożyła jej się odpowiedź. Nie skierowała jej zresztą do nikogo konkretnego, mówiła bardziej do siebie:

– Jeśli cię to ucieszy, to wiedz, że każdego dnia ponoszę tę karę – powiedziała i nagle uświadomiła sobie, że to prawda. – Każdego dnia myślę o nim i żałuję, że nie byłam dość silna, żeby go zatrzymać.

Podeszła krok bliżej, na miejsce, z którego przed chwilą ustąpiła. Jakby walczyły o terytorium. Stała na skraju ciemnego dołu i spod luźno rzuconej ziemi widziała białe wieko trumny. W oczach stanęły jej łzy i poczuła potworny ból głowy. Nie wstydziła się już płakać.

– Tak. Oddałam własne dziecko. Ale miałam tylko szesnaście lat, a moja rodzina, moja matka odwróciła się ode mnie, wybierając to, co nazwała wiarą, ale co nie ma nic wspólnego z miłością. Ty, mamó, kochasz wyłącznie siebie. Nikogo innego. Zawsze tak było i w głębi serca doskonale o tym wiesz.

Matka się skrzywiła, a jej oczy wyglądały jak małe matowe perły.

– Dostaniesz to, na co zasłużyłaś – powiedziała.

Sofie stała obok i ją obejmowała.

– Benedicte, zostaw nas w spokoju – poprosiła Sofie. – Idź już. Połóż swoje kwiaty i odejź.

Kolejne sekundy rozpływały się w wieczności. Dicte zdążyła jeszcze pomyśleć, że każdy płaci za swoje wybory. Każdy dzień to kolejna rata. Zapłaty za wszystko, w czym zawiedliśmy. Ja płacę. Oni płacą.

– Zniszczyłaś ojca.

– To ty go zniszczyłaś, kiedy odeszłaś – powiedziała matka. – Przeciwstawiałaś nam się raz za razem. Potem nigdy już nie był sobą.

Dłużej tego nie zniesie. Miała wrażenie, że nogi się pod nią uginają. Czuła, jak się zapada, jak uderza w mokrą ziemię i płacze z głębi serca, płacze całym ciałem. Wypuściła wiązankę z dłoni, a ta wydała głuchy odgłos, uderzając w trumnę. Dicte chciała się podnieść, ale coś ją dociskało. Klęczała więc, wbijając palce w ciemne błoto. Miała wrażenie, że trwa tak już bardzo długo. A dwie czarne postacie jakby skamieniały w oczekiwaniu, aż upadnie. Aż wpadnie do tej czarnej dziury przed sobą.

A potem poczuła wokół siebie czyjeś ramiona. Ktoś ją podniósł i przycisnął jej twarz do czegoś przyjemnego i znajomego.

– Chodź.

Wdychała zapach jego kurtki i smakowała jego usta, które dotykały jej ust i scałowywały łyzy z jej policzków.

– Już po wszystkim, kochanie.

– Nigdy nie będzie po wszystkim – wyszlochała, dociskając czoło do jego czoła. – Widziałam cię. Widziałam twój samochód.

– No. Kiepski ze mnie detektyw – przyznał. – Proszę.

Wyjął z kieszeni paczkę chusteczek i otworzył ją.

– Ale dobrze się przygotowałeś – powiedziała, wciąż pociągając nosem.

Bo podał jej dwie chusteczki, objął ją ramieniem i zaczął prowadzić z dala od tego miejsca.

– Ona mnie nienawidzi – powiedziała Dicte zdumiona, kiedy wsiadła na chwilę do jego samochodu.

– Możliwe, że najbardziej nienawidzi samej siebie – zauważył Bo.

Miał rację. Już po wszystkim.

Pomyślała o tym, jadąc tuż za nim z powrotem. Nie ma co dalej tego drażnić. Wiedziała jednocześnie, że zapamięta tamten błysk nadziei. Że już zawsze będzie ją prześladował.

Kiedy wjechali na parking przed redakcją, wciąż była roztrzęsiona zajściem przy grobie ojca, ale udało jej się odsunąć je nieco w cień. Wcisnęła je do tego kąta w świadomości, w którym przechowywała wszystko, z czym sobie nie radziła, aby życie mogło toczyć się dalej. Bo w jej życiu mimo wszystko była miłość – była Rose i gdzieś tam w środku były również radość i szczęście, tylko należało je odrobinę odkurzyć. Powinna dać szansę załsnąć wszystkiemu, co w jej życiu dobre.

Tak sobie rozmyślała, kiedy trzymając się za ręce, wchodzili po schodach do redakcji. To, co się wydarzyło, już tylko omiatała pamięcią z oddali. Teraz starała się skupić na tym, co ją czeka. Praca. Niezliczone ilości tekstów do napisania, ten kamień, który każdego dnia trzeba wtaczać na górę w beznadziejnej próbie znalezienia sensu.

Wciąż z tym samym nastawieniem włączyła komputer i przejrzała pocztę – usuwała spam i otwierała nowe wiadomości. I ciągle pogodzona z życiem i sobą otwarła tę wiadomość. Od nieznanego nadawcy, ale adresowaną do niej osobiście. List od czytelnika.

Otworzyła go. Słowa zaświeciły jej prosto w oczy, a w uszach usłyszała echo słów matki:

„Wspaniała wybawicielka i hipokrytka, która nie potrafiła uratować własnego dziecka, tylko je porzuciła, bo chciała być niezależna. Zostaniesz ukarana sznurem i siekierą”.

31

Żółta reklama Netto z czarnym pieskiem Scottiem przywitała Rose na przystanku w Lystrup. Przeszło jej przez myśl, żeby od razu zrobić zakupy, ale szybko uznała, że najpierw raz jeszcze obejrzy dom. W Netto zwykle mieli dobre i tanie pierś z indyka, a obiecała, że wieczorem zrobi coś ekstra dla Jana i całej rodziny.

Idąc w kaloszach po lśniącym od deszczu chodniku, układała menu. Indyka na pieczeń wstawi do piekarnika i obłoży czerwoną papryką i ziemniakami, żeby nabrał aromatu. Może uda jej się kupić mrożone maliny, wtedy zrobi babeczki z nimi i śmietaną. I oczywiście wino – jeśli ktoś będzie chciał. Jedna butelka pewnie wystarczy.

Przechodząc przez ulicę, mimochodem się obejrzała. Wiedziała, że ten odruch jest u niej nowy. Być może to paranoja, tak prawdopodobnie nazwano by to w psychologicznym języku jej ojca, ale ona wolała się upewnić. Od tamtego dnia na placu Ratuszowym już trzykrotnie widziała tę dziewczynę. Dwa razy pod szkołą, a raz w drodze do Tilst, gdzie mieszkali rodzice Jana. Zastanawiała się nawet, czy komuś o tym nie powiedzieć – Janowi albo mamie. Ale kiedy wciągnęła głęboko powietrze, czyste i rześkie po niedawnym deszczu, przyznała przed sobą, że trochę się obawia ich reakcji. Że pomyślała, że coś sobie uroiła.

Tylko czy to mógł być przypadek? Czy to możliwe, że widzi zjawę, a w rzeczywistości to cztery różne dziewczyny, tylko bardzo do siebie podobne? Dziwne, że za każdym razem, kiedy się pojawiała, z długimi włosami i głębokim spojrzeniem ciemnych oczu na bladej twarzy, Rose miała coraz silniejsze wrażenie, że widzi siebie samą. Jakby była między nimi jakaś dziwna zażyłość zdolna zagłuszyć nawet strach. Zażyłość, której wcale nie chciała, lecz która mimo wszystko powoli coraz bardziej utrwalała się w jej sercu.

W kieszeni płaszcza znalazła klucze do domu. Pośrednik chętnie im je dał, żeby mogli jeszcze jeden, ostatni raz obejrzeć dom, zanim się zdecydują. Metalowe ząbki wbijały jej się w dłoń, aż musiała poluznić ucisk – lecz tylko na tyle, by samą siebie przekonać, że wcale się nie denerwuje.

Bo prawdę mówiąc, co jakiś czas jej zmysły wariowały i nagle bez wyraźnego powodu tętno jej przyśpieszało, a serce waliło jak młotem. Przypadkowy cień w krzakach mógł sprawić, że przyśpieszała kroku albo ciarki szły jej po plecach, kiedy wokół było ciemno, a jej się wydawało, że tuż obok słyszy czyjś oddech.

Nie wiedziała, dlaczego tak się dzieje. Przychodziło jej jedynie do głowy, że ma to związek z ciałem na bagnach. To było uczucie, jakby ktoś nagle i z niejasnych powodów chciał jej zrobić krzywdę.

Bezwiednie kolejny raz prześledziła w pamięci cały przebieg tamtego zdarzenia: szczekanie psów i nieprzyjemny klimat nadciągającego nad bagna zmroku. Mały strumyk i drzewo, u którego stóp zobaczyła postać. Panika, która narastała bez końca, gdy stała, nie mogąc się ruszyć. Wydawało jej się, że trwało to kilkanaście minut. Svendsen biegał wokół zaciekawiony, nie wiedząc, co się dzieje, a Timbo położył się obok Inger i skamlał z rozpaczy. A potem w końcu wróciły jej siły i nogi ruszyły z miejsca, jakby były maszyną, nad którą ona sama nie ma żadnej kontroli.

Musiała zmobilizować cały swój hart ducha, by odpędzić od siebie to wspomnienie i po raz nie wiadomo który przekonać samą siebie, że czas przyniesie ukojenie.

Odruchowo zerknęła na zegarek i wróciła jakieś sto metrów na przystanek. Zaczęła liczyć w myślach i stopniowo odzyskała spokój. Głowę wypełniły jej mijające minuty, dzięki czemu odsunęła na bok całą resztę. Stwierdziła, że od przystanku do domu idzie się dokładnie siedem minut. A później wsunęła klucz do zamka. Doskonale – pomyślała z satysfakcją. Otworzyła drzwi i weszła do środka.

Ucieszyła się, że właściciele zostawili część mebli. Ojciec Jana zgadywał, że zrobili to za namową pośrednika. „Łatwiej sprzedać dom, który wygląda na zamieszkały”.

Janowi niespodziewanie przybyło pracy w biurze rachunkowym, więc

zadzwoił do niej i zapytał, czy nie mogłaby pojechać sama. „W końcu to i tak ty będziesz się zajmować urządzaniem i tak dalej. Może powinnaś zabrać miarkę?”, zasugerował. W pierwszej chwili na myśl, że miałyby się znaleźć sama w pustym domu, przeszły ją ciarki. Ale ostatecznie przekonała siebie, że to głupie, i przywołała w wyobraźni swoje własne marzenia o domu z jasnymi pokojami. Miarkę zostawiła jednak w szufladzie, bo w zasadzie czuła się trochę pod presją. Jakby wszystko było wyłącznie na jej głowie, i kiedy trzeba cokolwiek zrobić, on wolał się wymigać, usprawiedliwiając się pracą.

Zamknęła za sobą drzwi i dokładnie wytarła buty w wycieraczkę. Powoli ruszyła na obchód. Pamiętała, że pomieszczenia wydały jej się duże i jasne. Sto trzydzieści metrów kwadratowych. „Dobry rozkład”, zauważyła z uznaniem matka Jana i sprawdziła, czy jest wystarczająco dużo miejsca na szafy i czy kuchnię urządzono ergonomicznie. Była całkiem inna niż jej własna matka, którą interesował wyłącznie widok z okien i to, czy dom ma duszę. Z tego też powodu wylądowały w dawnej twierdzy Hell’s Angels, a nie w miejscu takim jak to. Kiedy to pomyślała, niespodziewanie ogarnęło ją uczucie, które z początku brała za silny głód, ale szybko zorientowała się, że to tęsknota. Pustka głęboko w sercu niepozwalająca o sobie zapomnieć i domagająca się wypełnienia.

Często rozmawiała z mamą przez telefon, ale nie widziała jej od wielu dni. Ani razu nie odwiedziła jej w domu, gdzie wiecznie panował bałagan, piekarnik nigdy nie był do końca czysty, a butelek po winie nie wywożono do skupu, dopóki nie zebrały się ich co najmniej cztery pełne reklamówki z Føtexa. Nie spodziewała się, że tak szybko za tym zatęskni – za zapachem nieśmiertelnej pizzy i koni ze stajni obok, i nawet za wonią Svendsena, który się wytarzał w gnojowniku sąsiadów. Ich szeregowiec wydał jej się nagle pusty, nie tylko w sensie fizycznym. Wiedziała doskonale, co by powiedziała jej matka. Że owszem, dom jest schludny, praktycznie zaprojektowany i w ogóle, ale wygląda jak każdy szeregowiec w dowolnym miejscu na ziemi, i że to wszystko skończy się tak, że ludzie będą żyli jak klony. Małe mechaniczne bioistoty, bez własnego zdania i nieodczuwające najmniejszej nawet potrzeby przełamywania norm.

Ostrożnie przesunęła dłonią po parapecie i otarła ją z kurzu. Spojrzała na

ogród i kolejny rząd domów i przyszło jej do głowy, że przecież wcale nie ma ochoty łamać żadnych norm. Mimo to tęskniła za mamą i sama była gotowa przyznać, że Jan bywa irytujący. Tęskniła za matką tak, jak czasem potrafiła zatęsknić za rześkim chłodem zimy w ciepły letni dzień.

By nie skupiać się dłużej na poczuciu pustki, wyjęła z torebki kartkę i długopis i zabrała się za sporządzanie notatek. Trzeba będzie pomierzyć korytarz, a schody wycyklinować, czy jak się nazywa to, co się robi, żeby ładnie wyglądały. Nie podobały jej się klamki w drzwiach – może je również warto zmienić, żeby nie wydawały się tak staroświeckie. No i światło nad lustrem w łazience było do niczego.

Kiedy przeszła cały dom, trochę się zniechęciła, bo pierwszy zachwyt zdecydowanie minął. Wcześniej widziała tu swoje marzenie – sunęła przez kolejne pomieszczenia, rozprawiając, jak je urządzi, czym wzbudzi jeszcze większy entuzjazm u Jana, a potem również u jego rodziców. Teraz to wszystko wydało jej się błahe i nieważne. Oczywiście poza Janem, poprawiła się i poczuła lekkie wyrzuty sumienia. Ale ten dom. Jego kupno. O wielu innych sprawach także nie chciała myśleć. Może powinna o tym powiedzieć, może powinna się zdobyć na odwagę i przyznać, że to dla niej trochę za wcześnie. Tyle że to będzie trudne. Z początku bardzo zapaliła się do tego pomysłu, a cała rodzina Jana tak mocno się zaangażowała, że aż się nie może doczekać, by pomóc im urządzić się w tym domu.

Przed wyjściem usiadła na chwilę na kanapie. Rozprostowała nogi i zaczęła się zastanawiać, gdzie postawi telewizor. Nagle znów zawładnęła nią tęsknota. Może rzeczywiście człowiek powinien popробować w życiu różnych rzeczy, zanim kupi dom i weźmie na siebie takie zobowiązanie finansowe. Dziewczyny w jej klasie zbierały najróżniejsze doświadczenia z chłopakami, a niektóre spotykały się nawet z kilkoma jednocześnie. Inne snuły plany o podróżach po świecie, po maturze zamierzały trochę się rozejrzeć. Chciały robić w życiu zupełnie inne rzeczy niż ona.

Pomyślała o swoim strachu i przyszło jej do głowy, że być może on jest w jakimś sensie jej przyjacielem. Próbuje ją zachęcić do doświadczania rzeczy nieznanych i otwierania drzwi do podświadomości innych niż te, za którymi doskonale wiedziała, co znajdzie.

Może właśnie paradoksalnie strach był dla niej sposobem na uwolnienie się od tego koszmaru.

Wstała. Schowała długopis i kartkę. Z oparcia krzesła zabrała swój płaszcz, wciągnęła go i zarzuciła torebkę na ramię. Ostatni raz przeszła się po mieszkaniu, po czym wyszła i zamknęła za sobą drzwi. Schowała właśnie klucz do kieszeni, kiedy usłyszała głos. Wysoki i bardzo niepewny.

– Cześć.

Odwróciła się na pięcie. Dziewczyna stała w niezdecydowanej pozie z rękoma w kieszeniach cienkiego płaszcza.

– Nie bój się – powiedziała.

Rose patrzyła w ciemne, głęboko osadzone oczy. Ich spojrzenie wciągało ją, jakby spoglądała w lustro.

– Kim jesteś?

Ale oczywiście w chwili, kiedy zapytała, wiedziała już, kim jest. Córką Inger. Tą, która zaginęła. Może tak naprawdę wiedziała to od samego początku.

– Znalazłaś moją mamę – odparła dziewczyna, a Rose usłyszała w jej głosie bezgraniczny smutek. – Na mokradłach.

Dziewczyna przez chwilę szamotała się z przypominającą plecak torbą trzymaną w obu rękach. Rose przemknęło przez myśl, co może zawierać. Czy to prawdopodobne, że ona żyje w ten sposób – że wszystkie jej rzeczy mieszczą się w tej torbie? Szczoteczka, piżama, majtki? Jak skompresować własne życie?

– Pomyślałam, że może powinniśmy porozmawiać. Że mogłabyś mi opowiedzieć...

Dziewczyna się zająknęła. Bezradnie pomachała ręką. Rose zauważyła brak rękawiczek. I szalika.

Chciałaby wpaść w złość i stanowczym tonem powiedzieć, że nie podoba jej się, że jest śledzona. Chciałaby zapytać, dlaczego dziewczyna po prostu nie zadzwoniła do drzwi, skoro wiedziała, że ona jest w środku, albo dlaczego nie poszła na policję. Lecz coś ją powstrzymywało.

– Gdzie? – zapytała głupio.

Dziewczyna milcząco wskazała głową drzwi.

– Może tam?

Nie wiedziała, dlaczego to zrobiła. Nie umiała sobie tego wytłumaczyć inaczej niż tym, że chciała wypróbować swoją świeżą teorię w praktyce. Wyzbyć się strachu, traktując go jak coś jej bliskiego i przyjaznego. Oraz oczywiście była ciekawa. Nie wolno nie doceniać ciekawości.

Wyjęła z kieszeni klucz i zaprosiła dziewczynę do środka.

To wytwór chorego umysłu. A mimo wszystko była to prawda, bo przecież od zawsze wiedziała, że to do niej wróci. Przychodzi moment, gdy trzeba zapłacić – proste.

Dicte pootwierała okna, a Bo je pozamykał. Otworzyła też na oścież drzwi na balkon, żeby zimowe powietrze przetoczyło się przez mieszkanie, pochłonęło ciepło, rozpełzło się po podłodze, wniknęło w jej ubrania i je schłodziło. Żeby ogień, który trawił ją od środka, zmienił się w niegroźny żar.

– Uspokój się – przekonywał Bo i założył haczyk, żeby pohamować inwazję zimna. – Tylko się przeziębisz.

Poszła do jadalni i otworzyła szprosowe okna.

– Potrzebuję powietrza.

Bo szedł za nią krok w krok. Wiedziała, że gryzie go sumienie. Niemal czuła zapach i smak jego winy w panującej w domu duchocie.

– To nie jest dobry pomysł.

Odwróciła się na pięcie.

– A dlaczego nie? Może mi wyjaśnisz? Dlaczego to nie jest dobry pomysł?

– Bo od tego zimna się rozchorujesz – powiedział zrezygnowany i usiadł, zwieszając ręce jak dwa wahadła.

– I?

Patrzyła na niego natarczywie. Chciała, żeby to powiedział, ale odwrócił tylko wzrok.

– Nie ma powodu zachowywać się nierozważnie – mruknął.

We własnym głosie usłyszała triumf.

– Pamiętam, jak mówiłeś, że nie ma się czego bać. Że to jakiś świr, tak powiedziałeś. Stuknięty geek komputerowy.

Również okna przymknął na haczyk. Wyglądał na strapionego, ale Dicte nie potrafiła nad sobą zapanować i uchwyciła się wściekłości, jaką w tej chwili do niego czuła. Przez cały czas wiedząc, że najbardziej wściekła jest na siebie.

– Równie dobrze możesz sobie iść – odezwała się.

– Nie ruszę się stąd.

– W takim razie będziesz spał w pokoju Rose.

– Będę spał u ciebie.

Stali na środku pokoju, intensywnie się w siebie wpatrując. Bo wydawał się inny niż zwykle, bardziej pewny siebie, ale Dicte wiedziała, że jest dokładnie odwrotnie.

Ona pierwsza odwróciła wzrok. Nagle poczuła się tak cholernie zmęczona. Całe ciało ją bolało, jakby ktoś porządnie walnął ją prosto w klatkę piersiową. Opadła na kanapę, pozwoliła, by to wszystko po prostu się z niej wylało, i skuliła się na boku.

– Zawsze to czułam. W głębi – powiedziała ciężko.

– Co?

W jego głosie słyszała jednak, że wie, o czym mówi.

– Gdzieś z tyłu głowy bez przerwy o tym myślę. O dziecku. Rozmyślam o tym, że gdzieś tam żyje, a ja mogłabym być częścią jego życia.

Bo usiadł na krawędzi kanapy. Jak się uwolnić od mężczyzny, który nie chce sobie iść?

– Myślałaś kiedyś o tym, żeby go odnaleźć?

Uśmiechnęła się lekko i poczuła senność. Ten dzień był niekończącym się koszmarem. Najpierw zdjęcie w gazecie, potem pogrzeb, a później

przyszli Wagner i Ivar K zabrać komputer i zrobili z tego wielką sprawę.

– Karen też o to zapytała – powiedziała Dicte.

– No więc? Myślałaś?

Pokręciła głową na tyle, na ile to możliwe, kiedy się leży na boku.

– Oczywiście, że myślałam. Ale jest za późno. Co by to dało?

Mógłby jej opowiedzieć całkiem sporo o tym, co by to dało. I że wiele adoptowanych dzieci w późniejszym wieku nawiązuje kontakt z biologicznymi rodzicami. Wiedział jednak, że jej nie chodzi o bycie w kontakcie. Że to by jej nie wystarczyło. Dicte była wdzięczna, że nie wygłosił tej litanii i że mimo wszystko z nią został, choć była na niego zła.

– Zrobię makaron – powiedział rzeczowym tonem i atmosfera od razu się zmieniła.

– Carbonarę, dobrze?

I znów poczuła wdzięczność pomimo złości, która nieustannie celowała w różne strony – w Bo, w nią samą, w Wagnera, bo nic nie mógł zrobić, i w jej matkę, bo potrafiła kochać tylko swoją religię. I jeszcze w tę nieznaną osobę za stojącym gdzieś komputerem, bo chlusnęła kwasem na jej życie.

Bo poszedł do kuchni. Dicte usłyszała, że otwiera wino. Zdumiała się, bo najwyraźniej wiedział, że tego chce, nim ona sama poczuła to pragnienie. Może jednak zżyli się ze sobą jak stare małżeństwo, choć wszystko między nimi było stosunkowo nowe.

Zamknęła oczy i przypomniała sobie spokojny głos Wagnera i własną narastającą panikę, bo po jego oczach widziała, że kłamie. Ponieważ był tak samo roztrzęsiony jak ona.

– I nikogo nie podejrzewasz? Żadnych pomysłów, kto to może być?

Pochyliła się nad swoim biurkiem w redakcji i ukryła twarz w dłoniach. Chciała, żeby to wszystko znikło.

Jan Hansen zajął się pakowaniem jej komputera, a Wagner przysiadł na krawędzi stolika i przyglądał się jej, kiedy Bo kręcił się bez celu, trzymając oburącz kubek kawy.

– Żadnych.

Potarła oczy. Była śmiertelnie zmęczona, ale krążąca w jej ciele adrenalina kazała zachować przytomność. Powietrze w redakcji drżało jak fatamorgana.

– Najwyraźniej jakiś idiota próbuje mnie nastraszyć, prawda? Chyba nie powinniśmy tego brać na poważnie?

Słyszała nadzieję w swoim głosie. Pamiętała również łagodną twarz Wagnera i to, jak ostrożnie dobierał słowa.

– Takie rzeczy zawsze należy brać na poważnie – wymigał się ogólnikiem.

– Ale to chyba nie może być on? – nalegała błagalnie. – Dlaczego miałyby napisać akurat do mnie?

Nie odpowiedział wprost.

– Sprawdźmy to i zobaczymy, czego nam się uda dowiedzieć.

– Niczego nie znajdziecie – wtrącił się Bo. Wyjął z kieszeni paczkę gum i wsunął kawałek do ust. – To przecież jakiś świr. Siedzi gdzieś w kafejce i ma niezły ubaw. Może są jeszcze inni, którzy dostali podobne maile.

Popatrzyła na Wagnera w nadziei, że jakoś zareaguje – że pokiwa głową i potwierdzi, że to wszystko to tylko tak, na wszelki wypadek. Że na wszelki wypadek co godzinę radiowóz robi rundkę po Kasted. Na wszelki wypadek nie powinna być sama ani na moment.

Ale Wagner nic nie powiedział.

Dicte skuliła się jeszcze bardziej. Kolanami dotykała podbródka, a poduszkę ścisnęła jak deskę do pływania. Teraz było jej zimno, choć Bo pozamykał wszystkie drzwi i okna.

Myślała o tym, czego nie powiedziano. O tym, o czym Bo nie pomyślał, kiedy zbagatelizował całą sprawę, mówiąc, że to wygłup, i czego ona sama do tej pory nie chciała widzieć. Zrozumiała, że nie chcieli jej przestraszyć. Nie powiedzieli tego, ale liczyli, że sama się domyśli. Informacji o pętli i siekierze nie upubliczniono. W gazetach pisano jedynie, że Inger Graugaard i Esther Rantzen zostały zabite za pomocą liny i siekiery. Wiadomo było

jednak, że większość ludzi wydedukuje, że doszło do uduszenia. Tak najczęściej wyglądały zbrodnie, do których używano sznura. Powieszenie z reguły oznaczało samobójstwo.

Wrócił Bo z winem i dwoma kieliszkami. Opadł ciężko na końcu kanapy i zaczął jej masować stopy. Obserwowała jego profil i zauważyła, że jego usta nabrały nowego, surowszego wyrazu.

– Sprawdź mnie – powiedziała.

Bo westchnął i ścisnął jej stopę.

– Tu nie chodziło tylko o to zdjęcie z Jonathanem – ciągnęła niezrażona.
– Czytał na mój temat i znalazł ten stary artykuł. Naprawdę się postarał. Tylko po co?

– Ponieważ ma nasrane w głowie – powiedział Bo, który nie studiował psychologii. – Należałoby go powiesić na najbliższym drzewie.

W każdym jego słowie słyszała bezsilność. Obracała je w głowie i rozkładała na cząstki.

– Przecież on tak właśnie myśli. O mnie. Twoim zdaniem należałoby go powiesić, bo mi zagraża. Ale skąd u niego tyle złości wobec mnie?

Bo demonstracyjnie uniósł ramiona, niemal wylewając wino z kieliszka. Nie podoba mu się ta zabawa, pomyślała Dicte. Nie ma ochoty wczuwać się w sposób myślenia tego człowieka, bo to byłoby przyznanie, że za jego działaniem kryje się jednak jakaś logika.

– Inger Graugaard zawiodła jako matka i pozwoliła, by jej córka stała się seksualną niewolnicą. Esther Rantzen zmuszała Jonathana do połykania pinezek. Ja oddałam mojego syna obcym ludziom.

Bo siedział ze wzrokiem wbitym w kieliszek i spojrzał na nią dopiero wtedy, gdy go trąciła stopą.

– On wymierza sprawiedliwość – podsumowała. – Mści się na rodzicach krzywdzących dzieci. Według siebie staje po stronie dzieci. Taki Święty Mikołaj.

Bo wydał z siebie dźwięk będący mieszanką prychnięcia i śmiechu.

– Chyba się zagalopowałaś.

Pomyślała o swojej matce i o śnie, w którym to ona trzyma uniesioną siekiere. Przypomniał jej się pogrzeb i nadzieja, która nigdy w niej nie umrze.

– Nieodwzajemniona miłość może się w człowieku zmienić w bezkresną złość – powiedziała i dorzuciła myśl, która właśnie przyszła jej do głowy: – Wydaje mi się, że on jest dzieckiem. Dużym, dorosłym dzieckiem, które kiedyś zawiodło się na swoich rodzicach.

Bo westchnął i oparł się na niej. Widać było, że czuje się niezręcznie, kiedy go wypytuje, jakby był psychologiem.

– Albo ona – powiedział w końcu. – Nie ma przecież pewności, że to mężczyzna.

33

Wagnerowi brakowało muzyki. Choćby jednej fugi albo sonaty Beethovena, żeby uruchomić ciąg myśli. Brakowało mu też miękkiego fotela, piwa i kanapki z salami na czarnym chlebie. Albo przynajmniej filiżanki porządnej kawy.

Niestety, przeniesienie sprzętu grającego do biura nie wchodziło w grę, a w budżecie nie było miejsca na nowe fotele. Na piwo czy nowy ekspres do kawy zresztą też nie. Dlatego musiało mu wystarczyć poluzowanie krawata i odchylenie się w sztywnym biurowym krześle, tym samym od lat. Słuchał panującej tu jak zwykle ciszy. Była dziewiąta wieczorem i większość kolegów już poszła do domu. Tylko Ivar K i Jan Hansen kręcili się gdzieś po budynku. Ivar K pisał raport z przesłuchania Andersa Langballego w Zakładzie Karnym w Horsens, a Hansen wyskoczył po pizzę, odbywszy mnóstwo rozmów z rodziną i przyjaciółmi Esther Rantzen i dogłębnie zapoznawszy się z raportem z sekcji zwłok, podczas której był zmuszony udawać się do toalety częściej niż zwykle.

Wszyscy mieli ręce pełne roboty, a on już wystarczająco długo siedział beczynnie, nie dotykając telefonu, komputera ani nawet kartki czy ołówka. Przed sobą miał tylko na wpół wypitą kawę, a w ustach jej paskudny smak.

To kwestia wyboru, pomyślał. Można spojrzeć na to wszystko jak na serię straszliwych zdarzeń, pomyśleć o rodzinach ofiar, wczuć się w ich położenie i ulec uczuciu bezradności.

Obracał filiżankę w dłoniach i zauważył, że kawa od dawna jest zimna. Poprawił się w myślach. Może jednak nie ma wyboru. Może to ta presja go obezwładniała. Myśl, że życie innych ludzi zależy od jego przenikliwości, wydawała mu się nie do zniesienia. Można też było obrać taktykę odwrotną i zawzięcie drążyć każde pozostawione bez odpowiedzi pytanie, a także

roztrząsać: dlaczego, kiedy, kto i co, aż w końcu pojawi się jakaś wizja prawdy.

Był już bliski podążenia tą pierwszą drogą. Akurat dziś czuł się zepchnięty na sam skraj przepaści, skąd widział czarną otchłań. Kiedy Dicte zadzwoniła, by powoli i opanowanym głosem przeczytać mu treść maila, ziemia usunęła mu się spod nóg. Zmusił się, by usiąść i spowolnić oddech. Mój Boże, jeszcze to, pomyślał, pocąc się obficie pod koszulą. Na domiar złego groźenie śmiercią.

Dopiero teraz, kiedy na komendzie zapanował spokój, był w stanie dokonać wyboru – możliwe, że to jednak wcale nie był żaden wybór.

Najpierw człowiek robi się sztywny, a potem każdy ruch wydaje się beznadziejny. Albo przeciwnie, idzie się na wojnę – przegrupowuje się i rozpoczyna miażdżącą ofensywę. Trzeba znaleźć słabe punkty w obronie wroga, otwartą flankę, i tam uderzyć.

Z bólem musiał przyznać, że dotarcie do tego ostatniego punktu zajęło mu całe popołudnie. Ale w końcu ruszył z miejsca. Jego umysł rozpoczął żmudny trening w dyscyplinie zwanej analizą krzyżową. Mają trzy ofiary, z których jedna żyje. Trzy motywy, które brzmią podobnie i są czymś na kształt zemsty. Najwyraźniej brak motywu seksualnego, choć wszystkie trzy ofiary to kobiety. To oczywiste, że w oczach sprawcy są złymi matkami, ale czy łączy je coś jeszcze?

Odstawił filiżankę i potarł powieki ciężkie od zmęczenia. Poczł, że z tyłu czaszki zaczyna mu kielkować porządny ból głowy. Upublicznienie, pomyślał. Zarówno historia Esther Rantzen, jak i Dicte zostały opisane w gazetach. Boże Kwiaty i sadomasochistyczna zbrodnia w ich domu wraz z nazwiskiem Andersa Langballego również. Ale o Inger Graugaard i Lise nie pisano. Sprawdzili to już dawno – Petersen i Eriksen przeszukali archiwa prasowe i nazwiska żadnej z nich wcześniej nie zostały ujawnione.

Usłyszał ciężkie kroki Hansena na schodach i uroił sobie, że czuje zapach pizzy. Wciąż nie umiał się wyzbyć przeczucia, że klucza należy szukać w pierwszym popełnionym zabójstwie. Miejsce, w którym sprawca postanawia rozpocząć swoją wendetę, nie może być przypadkowe. Dlaczego właśnie ona? Co popchnęło go do zbrodni, skoro to nie prasa naprowadziła go na ślad

ofiary?

Nim zdążył cokolwiek wydedukować, do biura wszedł Hansen z wieżą kartonów pizzy. To coś osobistego, pierwsze zabójstwo miało charakter osobisty i dopiero potem działanie sprawcy nabrało bardziej pryncypialnego charakteru. Tak to musiało wyglądać. Chyba że znajdą coś, co połączy Inger Graugaard z Esther Rantzen, ale na razie nic na to nie wskazuje.

– Lise – powiedział do siebie.

– Pizza – poprawił go Hansen, który miewał problemy ze słuchem.

– Musimy znaleźć Lise Graugaard – orzekł Wagner, nie po raz pierwszy. Uprzątnął biurko, żeby Hansen miał gdzie położyć kartony. A jednocześnie wiedział, że tu właśnie pojawia się dysonans. Młoda, drobna dziewczyna i dwie bestialskie zbrodnie. Taką mieszankę policyjny mózg przyswajał z najwyższą trudnością.

Ivar K przyszedł za zapachem, wlokąc ze sobą krzesło.

– Gość jest stuknięty.

Hansen otwierał kartony i rozdzielał zamówienia.

– Marinara. – Podsunął pudełko Ivarowi K. – Wołowina z gorgonzolą. – Wagner wyciągnął rękę.

– W jakim sensie stuknięty? Chcesz powiedzieć, że do niczego nam się nie może przydać?

– W moim przekonaniu absolutnie do niczego. Ale możliwe, że wodzi nas za nos.

– A co mówią psychologowie? – zapytał Hansen, jak zawsze humanista.

Ivar K pokręcił głową i wziął kęs.

– Kurde, ci to są dopiero odjechani. Wszyscy są równo jebnięci, jeśli chcecie znać moje zdanie.

– Nie chcemy – rozstrzygnął Wagner. – Czy temu człowiekowi postawiono diagnozę?

Ivar K niespecjalnie interesował się diagnozami. Pokręcił głową i wciąż

nie było wiadomo, czy postawiono, czy też jego zdaniem jest ona bezużyteczna.

– Posługuje się fatalnym językiem. Rzuca bluzgami jak czarnuch.

– Ivar, do cholery – jęknął Wagner, który wciąż na próżno starał się zaszczepić podstawy politycznej poprawności w swoim zespole.

Ivar K wzruszył ramionami.

– Tak się przecież utarło – mruknął. – I do tego niekończący się bełkot o Bogu, niebie, wybaczeniu, grzechach i innych pierdach.

– Ktoś go odwiedzał? Ma dostęp do komputera? Wysyłał albo dostawał listy? Rozmawiał z kimś przez komórkę albo stacjonarny?

Ivar K potwierdził skinieniem.

– Wszystko. Jak większość więźniów w naszym kraju ma obsługę niczym w hotelu Royal.

– Jedwabna pościel? – Zainteresował się Hansen i oderwał kawałek capricciosy.

– Na bank – mruknął Ivar K. – Zbrodnia popłaca, to wiemy przecież wszyscy.

Wagner machnął ręką.

– Zatem na co czekasz, do dzieła.

Hansen uśmiechnął się zachęcająco.

– Możesz zacząć od obrabowania mojego banku. Niech się przekonają, jak to smakuje. Kupiliśmy dom, a i tak musimy im płacić dwanaście procent odsetek od kredytu.

Ivar K posłał mu szeroki uśmiech.

– To najwyraźniej jesteś głupszy, niż przewidują policyjne normy.

Wagner odchrząknął. Uznał, że interwencja będzie tu na miejscu.

– Chłopcy są oczyszczeni z podejrzeń. Dziś dostaliśmy wyniki DNA. Nie ma zgodności, więc sprawców zabójstw musimy poszukać gdzie indziej.

– I żaden z nich nie trzyma w domu białych myszek – dorzucił Hansen. – Tak dla porządku.

– Okej – powiedział Wagner. – Przyjmijmy, że to był tylko jeden z nich, Mikkel Andersen. Wszystko wskazuje na to, że to przypadek sprawił, że on i zabójca byli tamtego wieczora w Kasted.

– I tak, i nie – zauważył Ivar K. – Mogli obaj wiedzieć, że małżeństwo jest na urlopie i Inger będzie w domu sama.

Wagner pokiwał głową.

– Jest taka możliwość.

– Mikkel Andersen przyjechał na skuterze około drugiej. Było to już po wizycie zabójcy – próbował zebrać fakty Hansen. – To by się zgadzało z jego stwierdzeniem, że drzwi do domu były otwarte i mógł spokojnie wejść do środka, przewracać meble i wdepnąć w rozbitą butelkę wina. Przez to na pewno istotne ślady zostawione przez mordercę zostały zatarte.

Wagner znów pokiwał głową. Pożar zamazał im obraz sytuacji. A także nakierował ich na fałszywy trop – każdego śledczego by to zmyliło. Nawet nie chciał się zastanawiać, ile czasu przez to zmarnowali.

– Czy istnieje jakikolwiek potencjalny związek pomiędzy ofiarami? Trafiliście na coś?

– Na razie nic nie znaleźliśmy – odparł Hansen. – Esther Rantzen nigdy nie była uczennicą Inger i według jej najbliższych nigdy też nie interesowała się religią, więc powiązanie poprzez Boże Kwiaty również raczej odpada.

– A co z mieszkaniem?

Ivar K zręcznie chwycił językiem spory kawałek sera zwisający z jego kawałka i wziął kolejny kęs.

– Żadnych książek, które by na to wskazywały – odparł. – Głównie pisma kobiece, komiksy i romanse o lekarzach i pielęgniarkach. Żadnego wykształcenia. Była bezrobotną samotną matką i do tego się ukrywała.

– Skąd miała pieniądze na życie? – zastanawiał się Wagner.

– Dostała spadek po matce. I alimenty na dziecko od byłego męża, który

mieszka w Hiszpanii.

– Wiemy, jak się nazywa? Został powiadomiony?

Hansen skinął głową:

– Sylvester Jensen. On nie ma z tym żadnego związku. Ma piekarnię na Costa del Sol i alibi potwierdzone przez szereg niezależnych od siebie źródeł.

Wagner westchnął i spojrzął na zegarek. Dochodziła dziesiąta i nie było już pizzy. Zresztą i tak sprawdzili wszystkie możliwe teorie, a zmęczenie i zniechęcenie pozostałych czuł równie wyraźnie jak własne. Położył na stole obie dłonie.

– Myślę, że na dziś wystarczy. Chodźmy do domu i prześpijmy się trochę.

Hansen zaczął zbierać kartony. Ivar K przeciągnął się na krześle. Zadzwonił telefon. Wagner odebrał, czując jednocześnie, jak serce mu przyśpiesza. Proszę, niech to nie będzie to samo. Tylko nie kolejna ofiara.

– Słucham.

– John Wagner?

– Przy telefonie.

– Berg. Oficer dyżurny w okręgu Vejle.

– Tak?

– Chodzi o samochód, który znaleźliśmy na parkingu na obrzeżach miasta.

– Samochód? – w głosie Wagnera słychać było zmęczenie. – Jaki samochód?

Głos w słuchawce uśmiechnął się lekko.

– My w każdym razie się do niego nie przyznajemy. To pomarańczowy wóz dostawczy marki Toyota z napisem Zakłady Komunalne Århus na boku.

Wagner poczuł, jak w jednej chwili jego mózg budzi się niczym komputer ze stanu hibernacji. Wyprostował się w fotelu.

– Za nic w świecie nie zbliżajcie się do niego, nie dotykajcie go nawet latarkami. Wysyłamy techników.

Bo położył się późno.

Przez sen poczuła obok jego ciepłą obecność, ale było coś jeszcze, co wypełniło puste miejsce pomiędzy nimi: z wszystkiego, co się wydarzyło tego dnia, uformował się sporych rozmiarów stos, który zaległ dokładnie tam, gdzie ich ciała powinny złąć się w jedno, gdzie strach powinien się rozpuścić i ustąpić miejsca poczuciu bezpieczeństwa. Sprzedał ją. Ale również pojechał za nią na pogrzeb i podniósł, gdy upadła na kolana. Najpierw jednak ją sprzedał, i choć nie przewidział takiego finału, mail z groźbą okazał się bezpośrednim efektem publikacji zdjęcia, za które dostał pieniądze. Tak to już z nim było. Przy Bo nie było szans na spokój i bezpieczną przystań. Był istotą nieprzewidywalną i niespokojną, czasem bezmyślną. Dicte czuła się tak, jakby nieustannie szukała po omacku czegoś trwałego, czego mogłaby się uchwycić, lecz raz za razem zapadała się z powrotem w przytłaczającą samotność.

W koszmarach strach przejmował nad nią kontrolę, i choć z wszystkich sił chciała się obudzić, to nie mogła. Leżała bezradnie i czekała na nieuniknione – na sznur i siekiere, które stapiały się ze sobą i przybierały straszliwe kształty.

Mimo wszystko miała wrażenie, że noc kruszyła przeszkody, jakie ich dzieliły. Ale może to siła przyzwyczajenia kazała ich ciałom przywierać do siebie, wypełniać lukę między nimi, szczelnie dopasowywać wypukłości i wklęsłości – jej głowa na jego ramieniu, jego ramię wokół jej talii i splecione ze sobą nogi, jego, jej, jego i jej. I nie stała za tym żadna jej decyzja.

– Śpij – mruknął, kiedy otwarła oczy i napotkała jego wzrok. – Jest dopiero wpół do szóstej.

Dicte jednak wyswobodziła się z jego objęć, dziwnie zawstydzona

zdradzieckim zachowaniem swojego ciała. Nie miał ochoty jej wypuszczać, ale też nie przyciągnął jej z powrotem, jak zrobiłby to dawniej. On wie, pomyślała, i żał za tym, czego nagle między nimi zabrakło, niemal przesłonił strach, jaki obecnie wykręcał jej wnętrzności jak mokrą szmatę. Człowiek zawsze ma tylko siebie. Gdy przychodzi co do czego, każdy jest sam, absolutnie sam.

Chwiejnym krokiem poszła do łazienki i myjąc zęby, zobaczyła w lustrze obcą osobę. Oczy miała jak głębokie, przerażone dziury. Włosy w strąkach, a skórę, jakby ktoś pociągnął ją czymś niemal zupełnie pozbawionym koloru.

W kuchni przyszedł do niej Svendsen i zaczął się łąsić. Szedł za nią krok w krok. Dicte kucnęła i przytuliła go. W żyłastym ciele myśliwskiego psa czuła napięte mięśnie i pragnęła go chronić.

– Ty wiesz, prawda? – mruknęła. Podrapała go za uchem i pozwoliła mu się polizać. – Czujesz to.

Gdy tak siedziała, w jednej chwili ogarnęła ją panika na myśl, że śmierć i zagrożenie, które ona stale ze sobą nosi, mogłyby się przenieść na nich wszystkich. Pies może się osunąć na ziemię z siekierą w głowie i zgaśnie siła w spojrzeniu jego pięknych brązowych oczu. I Bo, i Rose. Boże, Rose.

Poderwała się gwałtownie. Chciała złapać za telefon i natychmiast ją ostrzec. Ale co miałyby powiedzieć córce, żeby nie przybiegła tu w popłochu? Nie może tego zrobić. Rose nie może tu przyjść. Nie może się dowiedzieć, że coś jest nie tak, bo wówczas w sekundę by się tu zjawiała.

– Udawać, że nic się nie dzieje – powiedziała do siebie. Dla Rose wszystko musi wyglądać tak jak zawsze, o ile to możliwe.

– Z kim rozmawiasz?

Bo wyszedł z łazienki. Miał mokre włosy. Dla niego również, pomyślała, patrząc na cienie pod jego oczami i zmarszczkę, która ze zmartwienia pojawiła mu się na czole.

– Pojadę z tobą – powiedziała, zamiast odpowiedzieć. – Przecież nie mogę siedzieć tak tutaj.

– Chyba jednak powinnaś zostać – odparł, wkładając tosty do opiekacza.

– Tu mimo wszystko łatwiej im będzie cię upilnować. – Głową wskazał okno i Dicte zobaczyła radiowóz, który akurat w tej chwili powoli przejechał przed ich domem. Tak jak obiecał Wagner, przejeżdżał tak co godzinę. Tylko taką ochronę był w stanie jej zapewnić ze środków, jakimi dysponowali.

– Można by pomyśleć, że jesteśmy ambasadą Izraela – mruknęła i zdała sobie sprawę, że choć taka ochrona robi wrażenie, na niewiele się przyda, jeśli ktoś rzeczywiście postanowił ją zabić. Miała ochotę zapytać o to Bo, ale nie zrobiła tego, tylko postawiła wodę na kawę. Znalazła słoik z rozpuszczalną Nescafé, nasypała do kubków po dwie łyżeczki i prawie się potknęła o Svendsena, idąc do lodówki po mleko.

– Ej, pies, uważaj, jak chodzisz.

Jej rozdrażnienie zawisło w powietrzu, pies był kompletnie zdezorientowany i patrzył na nią złkniętymi oczami. Z niewyjaśnionych przyczyn karton wyslizgnął jej się z rąk i mleko chlusnęło na kafelki. Biała plama szybko zajmowała brązowe połacie podłogi.

– Cholera jasna!

– Czekaj. Ja to zrobię.

Bo podniósł karton. Przyniósł szmatę i na kolanach powycierał podłogę. Svendsen pomagał, zlizując mleko.

– Svendsen, nie wolno! Idź stąd!

Kuchennym ręcznikiem przegoniła psa, a ten zapiszczał jak przerażone szczenię i pobiegł się schować pod komodą w korytarzu, zostawiając białe od mleka ślady. Chciała przeprosić, ale panika przerodziła się u niej w złość, więc i Bo dostał szmatę w kark.

– Ty też. Idź już – powiedziała, z trudem łapiąc powietrze. Nagle przestała panować nad swoim głosem, który wznosił się w tempie wystrzeliwanej w przestrzeń rakiety. – To nie ty masz zginąć. I tak nie możesz mi pomóc. Idź już, idź, no idź! – krzyczała, rytmicznie wymachując ręcznikiem, a Bo wciąż kucał ze szmatą pełną mleka w ręce i czekał.

W końcu się podniósł, odłożył szmatę i przyciągnął Dicte do siebie. Teraz zwyciężył płacz. Niekończący się szloch wstrząsał jej ciałem, a łzy wsiąkały

w jego koszulę i mokre włosy.

– Już dobrze, skarbie – mrucał jej do ucha. – Już dobrze.

– Gówno, a nie dobrze – powiedziała, pociągając nosem, i wiedziała, że tak nie może być. Nie może pozwolić, żeby działo się to, co właśnie się dzieje, bo wtedy on wygra – kimkolwiek jest. Nie może pozwolić, by zdobył przewagę, ponieważ w przeciwnym razie będzie tak, jakby już nie żyła.

Pomyślała o tym ponownie, jadąc z Bo do redakcji. Wcześniej powiadomiła policjantów z radiowozu. Jej strach stanowi część tej gry, dlatego nie może mu ulec. Musi żyć jakby nigdy nic. Nie wolno jej po prostu stać nieruchomo jak cel na strzelnicy. Musi działać, musi przystąpić do kontrataku. Musi uprzedzić zło, które chce jej wyrządzić, przewidzieć jego kolejny krok, nim on sam go zaplanuje, wejść w umysł człowieka, który ją wybrał.

– Muszę porozmawiać z Kaiserem – powiedziała, gdy mijali Storcenter Nord.

Bo uniósł pytająco brew.

– On nie może mi odebrać tego tematu.

– Przecież w tej sytuacji nie możesz dalej się nim zajmować. – Bo był przerażony. – Wszystko, co napiszesz, będzie analizowane i interpretowane przez tego, kto ci groził. Jeśli usuniesz się w cień, jest szansa, że o tym zapomni.

– Nie zapomni.

Bo nic nie powiedział. Było wpół do dziewiątej, gdy dotarli do budynku redakcji przy Frederiksgade i wedle praw rządzących w przyrodzie żaden dziennikarz nie powinien być w pracy o tak wczesnej godzinie. A jednak dostrzegła małego forda ka Cecilie starannie zaparkowanego na swoim miejscu i rower Holgera oparty o ścianę budynku.

– Co oni tu robią? – mruknęła Dicte.

– Pewnie zaraz się dowiemy.

Kiedy wchodzili po schodach, zapanowało między nimi milczenie. Dicte ostrożnie otworzyła drzwi, przytrzymała je dla Bo i bezdźwięcznie zamknęła.

Drzwi do głównego pomieszczenia redakcji były otwarte. Chwilę stali, nasłuchując. Doszedł ich odgłos szybkiego stukania w klawiaturę i drugi, podobny, choć wolniejszy. Tempo karabinu maszynowego Cecilie i dwupalcowy system Holgera, pomyślała Dicte i nie wiedząc dlaczego, położyła dłoń na ramieniu Bo, żeby zatrzymać go w miejscu, a sama po cichu weszła do pokoju i stanęła za plecami Cecilie.

Na ekranie dostrzegła powstający artykuł i przeczytała: „Nastoletni chłopcy niewinni zabójstwa na bagnach”. Poniżej Cecilie wstukała nazwisko i dane kontaktowe autora. Czarnymi literami na zielonym tle widniało „Holger Søborg”.

– Co ty, u licha, wyprawiasz?

Cecilie aż się zapowietrzyła z przerażenia, oderwała ręce od klawiatury i pośpiesznie klikając myszką, ukryła tekst.

Dicte spojrzała na Bo i wskazując komputer, powiedziała:

– Zgadnij, czyj artykuł właśnie pisze.

Bo przypominał znak zapytania. Dicte przeniosła wzrok na Holgera wyglądającego jak zbity pies.

– To jakiś cholerny spiszek?

Cecilie do tego czasu ochłonęła i uznała, że najlepszą obroną jest atak.

– A ty co sobie wyobrażasz? Zakradasz się tu i szpiegujesz nas. Pomagam mu tylko z redagowaniem.

– Pomagam z redagowaniem – powtórzyła kpiąco Dicte. – A kto wam kazał się zajmować działem kryminalnym?

– Kaiser – odparł śmiało Holger. – To dla twojego dobra, Dicte – dodał z niekłamanym triumfem w głosie. – Nie chce ryzykować, że coś ci się stanie.

– Ach tak, nie chce ryzykować.

Czuła, jak cały zmagazynowany w niej strach przeistacza się w nieodpartą chęć, by porządnie przyłożyć tej dwójce przydupasów, którzy wspólnymi siłami zawzięcie piszą artykułiki, żeby się przypodobać szefostwu. Pomaszerowała do swojego biurka, podniosła słuchawkę i

wstukala bezpośredni numer Kaisera.

– Kaiser – odebrał szef, a w głosie było słycać poranne rozdrażnienie.

– Odebrales mi temat?

– Svendsen – powiedzial zaskoczony – cholera, przeciez to dla twojego dobra. Nie możemy pozwolić...

– Pozwolić na co?

– Jezu... na dolewanie oliwy do ognia, jeśli wiesz, o czym mówię. Holger był najlepszym kandydatem.

Dicte spojrzala na Cecilie. Zaczela myśleć o konsekwencjach. Moze da się to załatwić inaczej. Moze właśnie zdobyła arsenał, coś, co w dalszej perspektywie będzie jej kartą przetargową.

– Holger niespodziewanie zachorował – powiedziała ni stąd, ni zowąd. – Leży z gorączką. Grypa, jak sądzę.

– Dicte, do diabła.

– Chcesz czy nie chcesz, żeby ktoś pisał o tych zabójstwach? Bo to ja mam wszystkie notatki i dostęp do źródeł.

Zapadło długie milczenie. W końcu się złamał, tak, jak to przewidziała.

– Ale uważaj, na Boga. I postaraj się niepotrzebnie nie drażnić sprawcy – jęknął.

– Będę go głaskać z włosem – zapewniła i dodała, rzucając okiem na Holgera, który wydawał się teraz bardzo malutki – a potem rozszarpię go gołymi rękami.

Napisała ten artykuł. Tak zdecydowała. A potem zadzwoniła do Wagnera, wiedząc, że ten tekst niweczy jej plan niemówienia Rose o groźbie.

– Dzwonię tylko po to, żeby ci powiedzieć, że jutro o tym napiszemy.

– Co zrobicie?

– Ujawnimy informację o mailu i groźbie i napiszemy, że osoba z redakcji gazety stała się celem ataku obłąkanego zabójcy.

Jego głos brzmiał tak, jakby każde jej słowo sprawiało mu ból.

– Czego się nie robi, żeby sprzedać gazetę, co? – jęknął.

– To moja decyzja – podkreśliła Dicte. – Kaiser nie jest tym zachwycony, jeśli chcesz znać prawdę.

Teraz Wagner był wyraźnie zdezorientowany.

– Więc czemu to robisz? To go jedynie sprowokuje.

– Otóż to – powiedziała i pomyślała o Cecilie. – To go rozdrażni. Skusi do wyjścia na pierwszy plan, gdzie będziemy go widzieli wyraźniej.

W ciszy, jaka zapanowała, słyszała dźwięk, jakby Wagner klikał w kółko długopisem.

– Zastanowiłaś się nad konsekwencjami?

Teraz to ona musiała przemyśleć i sformułować to, co jej chodziło po głowie, odkąd trzymany przez nią ręcznik smagnał Bo po karku, którego to ruchu nie była w stanie powstrzymać. Wiedziała, że to początek stopniowego rozpadu i że na koniec poczucie bezsilności pozbawi ją wszelkiej zdolności do działania i zmieni w roztrzęsony ludzki wrak. Nadawca tego maila również zdawał sobie sprawę, że jej panika jest jego sprzymierzeńcem.

– Zastanawiałam się nad konsekwencjami beczynności – odparła w końcu.

– Dicte Svendsen, twarda z ciebie sztuka – mruknął Wagner i dodał gorzko: – ktoś mógłby nawet uznać cię za lekkomyślną.

Była piąta, kiedy razem z Bo wjechali przez bramę z dwiema potężnymi metalowymi kolumnami po obu stronach. Dawniej była ona jedynym otworem w zasiekach bandyckiej twierdzy.

– Może należałoby je odbudować – powiedziała do siebie.

– Co takiego? – spytał Bo.

– Ogrodzenie – odparła Dicte i pokazała dłonią, kiedy wysiedli. – Miało ze dwa metry wysokości, zamontowali też kamery obejmujące całą działkę, a obraz było widać na monitorze w domu.

– Myślisz, że to by w czymś pomogło?

Widziała, że od razu pożałował swoich słów. Ale było za późno. Więc pokręciła tylko głową i poszła sprawdzić skrzynkę na listy.

– Nic by nie pomogło, nawet jakbym się zamknęła w cholernym bunkrze.

Wyjęła klucz i otworzyła skrzynkę. Wygarnęła całą korespondencję i trzymając ją w ramionach, prawie upuściła torebkę.

– Czekaaj, pomogę ci.

Bo wziął od niej listy. Razem weszli do domu, gdzie Svendsen zapomniał już o porannej awanturze o mleko i wydawał się wyjątkowo uradowany, że ich widzi.

Bo położył cały stos na komodzie, a Dicte przystanąła przy niej, odłożyła na bok gazetę i przejrzała korespondencję. Przyszło coś z redakcji w Kopenhadze, rachunek za prąd i wyciąg z banku, których postanowiła nie otwierać. Człowiek mógłby dosłownie utonąć w złych wiadomościach.

Przez chwilę obracała w rękach bąbelkową kopertę, która wyglądała na mocno zniszczoną. Nie było adresu zwrotnego, ale jej imię i adres były wyraźne, wydrukowane czarnym atramentem. Gdzieś w środku coś ją tknęło, ale uświadomiła to sobie dopiero wtedy, kiedy kciukiem rozerwała papier i folię. Zajrzała do środka. Poczowała, jak ściany napierają na nią z obu stron, i usłyszała własny przerywany oddech, kiedy koperta wypadła jej z rąk na podłogę.

– Co znowu?

Bo musiał ją przytrzymać i pomóc dojść do krzesła. Potem wrócił do przedpokoju i podniósł kopertę. Dicte miała wrażenie, że zaraz zemdleje, kiedy wypadł z niej sznurek i leżał na podłodze jak groźny wąż. Zawiązany w węzeł stryczkowy.

35

Na zewnątrz zapadał zmrok i sypał śnieg. Duże płatki wolno leciały z zachmurzonego nieba, okrywając białym widmowym kocem placyk przed domem, samochód i przyczepę w rogu.

Søren był w szkole na spotkaniu z rodzicami, a ona siedziała przy fortepianie i zamierzała trochę poćwiczyć, gdy usłyszała samochód na podjeździe. Przez okno zobaczyła, że tym razem jest sam, i zastanawiała się, co też to może oznaczać. Bo że to ma znaczenie, była pewna. Wszystko, co robili albo mówili policjanci, miało ukryty sens. Nie wolno o tym zapominać, ostrzegła samą siebie, kiedy John Wagner pokonał trzy stopnie i stanął z włosami przyprószonymi śniegiem przed jej drzwiami.

Otworzyła mu i mimo wszystko zapomniała o ostrożności.

– Pracuje pani? Słyszałem fortepian.

Powitanie miało brzmieć nieformalnie, ale wyraźnie było widać, że jest spięty, i mimowolnie zrobiło jej się go żal. Potwierdziła skinieniem i zaprosiła go do pokoju muzycznego. Przyglądała mu się, gdy podszedł do instrumentu, przeglądał nuty i zagrał kilka akordów.

– Zapraszam. Odwieszę panu płaszcz.

Z bladym uśmiechem oderwał ręce od klawiatury, rozpiął tweedowy płaszcz i podał go jej wraz z szalikiem, dziękując skinieniem głowy.

– To stary grat – rzuciła przez ramię, wynosząc płaszcz, żeby go powiesić na wieszaku, a szalik wepchnęła do rękawa. – Proszę śmiało spróbować.

Gdy wróciła, siedział przy fortepianie i wygrywał powolne dźwięki fugi g-mol ze zbioru *Das Wohltemperierte Klavier* Bacha. Z początku nieśmiało, potem coraz pewniej. Temat wybrzmiewał jasno i wyraźnie, gdy pojawiał się w czterech głosach. Karen stała kawałek dalej i obserwowała jego

wyginające się nad uchem włosy i ostry profil nosa. Komisarz był zgarbiony i wyglądał tak, jakby napięcie opadło z niego i znalazło ujście.

– Może i stary, ale na pewno nie grat – mruknął, gdy ostatni durowy akord wybrzmiał do końca.

– Nie, jeśli ktoś wie, co robi. Pan nie ma własnego fortepianu?

Zapytała, bo jego gra brzmiała tak, jakby wyszedł z wprawy. Jakby jego palce posiadały umiejętność, którą zaniedbał, a jej zdaniem to wielka szkoda.

Odwrócił się, ale pozostał na ławie.

– Kupiliśmy fortepian mojej córce.

– Chyba więc może pan czasem z niego korzystać?

– Córka mieszka w Kopenhadze. Nie widzimy się zbyt często.

To ostatnie zdanie powiedział głosem, w którym Karen usłyszała rezygnację, więc szybko porzuciła temat.

– Domyślam się, że słyszała pani o groźbie, jaką otrzymała Dicte Svendsen. Piszą o tym w gazecie.

Było to stwierdzenie, nie pytanie. Karen nie do końca wiedziała, dlaczego miałyby się czuć winna, ale tak właśnie się poczuła.

Spojrzał jej w oczy.

– Ile właściwie lat ma to gospodarstwo?

Karen zamrugała, zaskoczona kolejną zmianą tematu.

– Pochodzi z tysiąc osiemset trzydziestego piątego roku – wydusiła z siebie.

– Zna pani jego historię?

– Chce pan wersję krótką czy długą?

Nie odpowiedział wprost, lecz raz jeszcze okręcił się na ławie, by spojrzeć przez okno na spalone zabudowania stajni.

– Tamte budynki pochodzą z tysiąc osiemset siedemdziesiątego siódmego – wyjaśniła, kiwając głową w ich kierunku. – Dom został zrównany z ziemią

i postawiony na nowo w tysiąc dziewięćset jedenastym przez mojego pradziadka.

Wagner odwrócił się do niej przodem.

– I gospodarstwo od tamtej pory jest w rękach waszej rodziny?

Pokiwała głową. Czasem wręcz czuła zamkniętą w tych murach historię. Losy poprzednich pokoleń, ich troski i radości, narodziny, śluby i pogrzeby.

– Ten dom musi wiele dla pani znaczyć – podsumował.

Karen pomyślała, że nawet się nie domyśla, jak wiele. Często powtarzała Sørenowi, że to przekleństwo, ale jednocześnie zobowiązanie. Dawał jej poczucie, że została jej przekazana pochodnia, którą ona niesie dalej, najdalej, jak potrafi.

Skoro w żaden sposób nie skomentowała tego, co powiedział, wstał i przespacerował się po pokoju, oglądając stare zdjęcia, które wisiały tylko tutaj, bo Karen nie chciała dodatkowo wzmacniać wrażenia, że ich dom to muzeum.

– Żniwa... – powiedział do siebie, oglądając ziarniste fotografie – orka... A to tutaj?

Wskazał głową zdjęcie w rogu.

– Kopanie torfu na mokradłach – wyjaśniła. – Do każdej działki w Kasted przynależał fragment bagna, skąd ludzie mogli brać torf na opał. Po wojnie, kiedy brakowało innego opału, znów zaczęto kopać torf.

Wagner długo przyglądał się fotografii, jakby liczył, że znajdzie w niej odpowiedź na wszystkie swoje pytania. Potem westchnął głośno, ponownie odwrócił się do fortepianu i zaczął przeglądać nuty.

– Nie będzie pani przeszkadzało, jeśli trochę w nich pogrzebię? Od dawna nie miałem na to czasu.

Na końcu języka miała komentarz, że prowadząc śledztwo w sprawie dwóch zabójstw i groźby trzeciego, powinien raczej jeszcze trochę poczekać, nim odda się przyjemnościom. Było w nim jednak coś, co kazało jej tylko pokiwać przyzwalająco głową. Usiadła więc i czekała, a on próbował to tego, to owego, aż zdecydował się na jeszcze jedną fugę Bacha. Zwróciła uwagę,

że wyjątkowo dobrze wychodzi mu oddzielanie poszczególnych głosek i nadawanie każdemu własnego, odrębnego charakteru. Stąd nasunął się jej wniosek, że musi być skuteczny w swojej pracy, bo chyba o to również chodziło w wyjaśnianiu zabójstw. O umiejętność porównywania ze sobą rozlicznych informacji i zeznań i zestawiania ich w różnych kombinacjach.

– Zatem mieszka pani w tym gospodarstwie od urodzenia? – zapytał, gdy skończył grać.

– Mieszkałam tu do dwudziestego trzeciego roku życia. Ponownie wprowadziłam się tu dopiero, gdy ojciec zachorował i nie był w stanie samodzielnie funkcjonować. Sprzedaliśmy z Sørenem nasz dom w Hasle i przenieśliśmy się tutaj.

Znów wstał z ławy i spojrzał na stare fotografie.

– To w dzisiejszych czasach niezwykle – powiedział cicho. – Niewiele dorosłych dzieci byłoby w stanie poświęcić własne samodzielne życie, żeby się zaopiekować rodzicami.

Karen westchnęła. Mogła oczywiście zacząć mu opowiadać o poczuciu obowiązku, które nigdy jej nie opuszczało, i o tęsknocie za czymś, za rodziną, której nigdy tak naprawdę nie miała i możliwe, że nigdy mieć nie będzie.

– No cóż, ja nie mam dzieci – powiedziała zamiast tego – a Inger miała wtedy aż nadto na głowie problemów z mężem, dzieckiem i pracą. Poza tym Søren mógł tutaj trzymać swoje konie – dorzuciła.

Wyglądał tak, jakby miał ochotę jeszcze chwilę u niej zabawić.

– Może napije się pan kawy? – zaproponowała, a on skinął głową z wdzięcznością.

– Z ogromną chęcią.

Kiedy poszła do kuchni nastawić ekspres, a z szafki wyjmowała pudełko ciasteczek, usłyszała, że wrócił do gry. Korzystając z przerwy w ich rozmowie, zastanawiała się, jak przekazać mu tę informację, żeby mimo wszystko zachować coś dla siebie. Czy w przypadku zabójstwa trzeba koniecznie wywlekać na wierzch całą historię rodziny ofiary?

– Niech mi pani opowie o waszym dzieciństwie tu, na gospodarstwie. O dorastaniu pani i Inger – poprosił, kiedy wróciła, pchając przed sobą stolik kawowy na kółkach.

Przez chwilę namyślała się, od czego by zacząć. Postanowiła, że nie będzie kłamać, tylko trzymać się jak najbliżej prawdy.

– Zawsze pomagałyśmy przy gospodarstwie, od najmłodszych lat – zaczęła wreszcie. – A że Inger była pięć lat młodsza, to głównie pomagałam ja. I zawsze się znalazło coś do zrobienia.

– Wspomniała pani kiedyś, że ojciec pani jeszcze żyje. Proszę opowiedzieć trochę o swoich rodzicach.

Chciała rzucić coś całkiem swobodnie. Że właściwie nie ma za dużo do opowiadania. Ale czuła się tak, jakby na siedzisku fotela ktoś rozłożył rozżarzone węgle, a ona musi stale zmieniać pozycję, żeby się nie oparzyć.

– Nie ma za dużo do opowiadania – usłyszała swój głos i pomyślała o mężczyźnie w domu opieki i jego dłoni wyciągniętej w jej stronę. Dłoni, której zawsze się bała i którą nawet teraz miała przed oczami z wszystkimi szczegółami, plamami wątrobowymi, wypukłymi żyłami i długimi, silnymi palcami.

– Miałyście szczęśliwe dzieciństwo?

Jego głos stał się nagle tak nieskończenie łagodny. Z przerażeniem poczuła, że w jej oczach wzbiera woda i lada chwila przeleje się i spłynie po policzkach. Musiała odwrócić wzrok, spojrzała więc na fortepian i pulpit z otwartą fugą Bacha. Tyle mogłaby opowiedzieć. W tym momencie pragnęła wyjawić mu wszystko, caluteńką prawdę, a jednak coś ją powstrzymywało i wiedziała, że tym czymś jest jej wychowanie, bo przecież zawsze chodziło wyłącznie o to. W głowie wręcz usłyszała głos swojej matki dobiegający z odległości kilkudziesięciu lat: „Nie należy publicznie prać swoich brudów”.

– Oczywiście – odparła mechanicznie, ale po jego oczach widziała, że odpowiedź była zbyt daleka od prawdy, więc się poprawiła. – To znaczy nie – i dodała całym zdaniem, jakby rozwiązywała ćwiczenie z gramatyki. – Nie miałyśmy szczęśliwego dzieciństwa.

A kiedy nie przestawał wpatrywać się w nią pytającym wzrokiem,

spoglądając na rozłożoną fugę, dorzuciła jeszcze pośpiesznie, zanim ponownie nie powstrzyma jej głos matki:

– Byłyśmy bite. Niemal codziennie.

36

Dicte chciała tylko zasnąć. Odpłynąć na chmurce i zapomnieć o wszystkim. Zamiast tego od kilku godzin czuwała, a w mroku czaiły się cienie i przeistaczały w dziwaczne postacie, które lada chwila mogły przyskoczyć do niej i ją przygnieść.

Słuchała regularnego oddechu Bo i szczerze mu zazdrościła, aż na koniec miała ochotę go obudzić i siłą przerzucić na niego strach, który tak mocno się w niej zagnieździł. Wydawało się, że tak będzie już zawsze. Obawa czaiła się wysoko w gardle i uwalniała do jej krwiobiegu strumienie adrenaliny za każdym razem, gdy jej zmysły widziały, słyszały bądź czuły coś, co było inne, niż to zapamiętała. Stojący w kącie orbitrek zmieniał się w pokrzywioną chudą postać z podniesionymi ramionami. Poduszki spiętrzone na starym skórzanym fotelu stawały się obłąkanym grubasem, który tylko czeka, aż ona podda się i zaśnie. Nieustające skrzypienie starego drewna zmieniało się w ciężkie kroki kogoś obcego na schodach.

I tylko trochę pomagało, że był przy niej Bo. Czasem wolałaby, żeby w ogóle go nie było. Miała ochotę wymazać jego wyrzuty sumienia i powiedzieć, że sama sobie poradzi. Ale jednocześnie wiedziała, że to nieprawda. Tak chyba czuje się ktoś, kto oślepnął albo został unieruchomiony przez artretyzm i musi się zdać na innych, a ci z kolei wiedzą, że muszą wziąć na siebie tę odpowiedzialność. Rodzice, współmałżonkowie, partnerzy, dzieci. Mnóstwo ludzi żyje w relacjach opartych na rozpaczliwej zależności, w których dominującym uczuciem bywa nawet nienawiść, bo jedna strona o wiele bardziej potrzebuje tej drugiej.

Odrzuciła na bok kołdrę. Potrzebowała światła, ale nie chciała włączać lampki i budzić Bo, żeby nie widzieć rezygnacji w jego oczach i po raz kolejny nie słuchać jego zapewnień, że najbardziej na świecie chce być przy niej i się nią opiekować. Zapewnień, którymi okłamuje i siebie, i ją.

Spojrzała na budzik. Była druga. Uznała, że ma dość, więc podniosła z podłogi spodnie z dresu i bluzę i zniosła je na dół do kuchni, gdzie zapaliła światło. Będzie czuwać, pomyślała. Zaparzy sobie kawę i posiedzi, dumając i strzegąc dwóch istnień ludzkich o skomplikowanej historii.

Próbowała to wszystko robić bezdźwięcznie. Nalała wody do czajnika. Z szafki wyjęła kubek, a z drugiej kawę. Mimo wszystko miała wrażenie, jakby ktoś podkręcił dźwięk. Odgłos tych czynności dudnił jej w głowie jak cała orkiestra symfoniczna i była przekonana, że Bo zaraz się obudzi i zaspany, i nie do końca przytomny poczuje się w obowiązku siedzieć tu z nią i czekać, aż wstanie dzień.

A ona nie chciała jego towarzystwa. Zresztą niczyjego towarzystwa nie chciała. Przyszło jej to do głowy, gdy włożyła do opiekacza kromkę chleba, a urządzenie właśnie z głośnym stuknięciem wyrzuciło grzanekę wysokim łukiem na blat. W zasadzie powinna się przyzwyczajać do samotności. Do tego, by pomagać sobie samej. Ostatecznie tylko to może ją uratować, bo instykt głośnym, ostrzegawczym krzykiem upominał ją, że jeśli całkiem zda się na innych, to tak jakby wydała na siebie wyrok śmierci.

Wzięła kromkę z serem i kawę i poszła do salonu. Svendsen zaspany wyszedł z kojca w korytarzu, z grzeczności chcąc jej dotrzymać towarzystwa.

– Idź sobie – przekonywała. – Wracaj do spania.

Ale on tylko ułożył się ufnie w jej stopach i po dziesięciu sekundach znów smacznie spał. Dicte złapała się na tym, że zazdrości psu, bo dla niej samej w ciągu jednej doby spokój i sen stały się kompletnie obce.

Piła więc kawę i czuła, jak noc rozjaśnia i wyostrza jej myśli, a ciało się napina gotowe do obrony albo ucieczki, albo obu naraz. Starła się analizować wszystko, co się wydarzyło, prześledzić kolejne sytuacje i racjonalnie je ocenić.

Dochodziła ósma, kiedy przyjechał Wagner – sam. Wcześniej oczywiście byli u nich inni. Ludzie z Wydziału Technicznego zjawili się, żeby zabezpieczyć linę. Jan Hansen, żeby ją przesłuchać, po czym wrócił na komendę napisać raport, na którym będzie się zbierał kurz, a w tym czasie zabójca będzie nadal hulał w okolicach Århus. Obawiała się, że tak to właśnie się skończy, zwłaszcza jeśli pozwoli, aby to zadanie wykonali dla

niej inni. W dodatku mimo wszystko po części sama była sobie winna. Upierała się, żeby napisać ten artykuł i upublicznić informację o groźbach, i wkrótce będzie miała na karku Rose, która oczywiście zadzwoniła kompletnie roztrzęsiona. Mnóstwo wysiłku kosztowało Dicte przekonanie jej, żeby trzymała się od tego z daleka.

Znów wzięła łyk kawy i kęs kanapki. Mogła żałować swojej decyzji i jakaś jej część faktycznie żałowała, ale w głębi duszy wiedziała, że to była jedyna słuszna reakcja. Gdzieś tam żyje człowiek – mężczyzna lub kobieta – który chce jej wyrządzić krzywdę, więc trzeba go wypłoszyć z jego kryjówki. Zbombardować taką ilością informacji i dezinformacji na jego temat, że będzie zmuszony wyjść i pokazać, co jest prawdą, a co nie.

– Taki mniej więcej jest plan – powiedziała cicho i podrapała Svendsena za uchem, po czym wmusiła w siebie resztę grzanki, bo cały dzień nie była w stanie nic przełknąć. – Brzmi całkiem prosto, prawda?

Wagner uważał inaczej.

– Pogarszasz sprawę, zarówno dla nas, jak i dla siebie.

Nie pierwszy raz był u niej w domu i również poprzednio chodził niespokojnie tam i z powrotem, uważnie przyglądając się temu, co wisiało na ścianach. Ze dwie abstrakcje z czasów Torstena i jego intelektualnych upodobań oraz kilka aktów węglem, które sama kupiła, by wesprzeć potrzebującego młodego artystę. Domyślała się, że to zainteresowanie Wagnera gustem innych ludzi było skrzywieniem zawodowym. Wiele o człowieku mówi to, co zdecydował się powiesić na swojej ścianie.

Kiedy on był zajęty obcowaniem ze sztuką w jej salonie, Dicte przypomniawszy sobie nieliczne wieczory spędzone z nim, Idą Marie i kilkorgiem bliskich przyjaciół. Kolacje przy winie i swobodne rozmowy. Jak inny świat i inna epoka.

– Co macie? – zapytała i pomachała do niego ręką, żeby usiadł, zamiast dodatkowo wprowadzać niepokój swoim chodzeniem.

Przysunął sobie krzesło, usiadł na samym skraju i mniej więcej się uspokoił. Bo tymczasem skorzystał z okazji, żeby przed nią uciec, i wyszedł z psem.

– Mamy samochód. Należy do Zakładów Komunalnych Århus. Jego kradzież zgłoszono dzień przed znalezieniem ciała Inger – powiedział. Dicte słyszała, że stara się, by jego głos brzmiał krzepiąco. – Niedawno znaleziono go na parkingu w Vejle.

– Skąd wiecie, że to ten samochód?

Widziała, że się zawahał.

– Czy nie możesz tego ujawnić?

Lekko wzruszył ramionami.

– To raczej nie zaszkodzi sprawie. Kto wie, może nawet się jej przysłuży.

A jednak chwilę trwało, zanim przeszedł do wyjaśnień.

– Na ubraniu Inger znaleziono dwa białe włosy – zaczął. – Morfolog stwierdził, że to sierść białej myszy.

Dicte wiedziała, co zaraz powie. Dlatego uniosła brwi, jakby chciała o coś zapytać, ale się nie odezwała.

– Dziś odebraliśmy samochód i technicy znaleźli kolejne trzy białe włosy. Wyglądają, jakby również pochodziły od myszy.

– Siekiera, sznur i białe myszki – podsumowała. – I co, zbliżyliście się do rozwiązania? A co z Lise? Udało wam się znaleźć jakiś trop? Rozmawialiście z tym uwięzionym guru i członkami sekty? No powiedz coś. – Słyszała gorzkość w swoim głosie zmęczonym płaczem i oskarżeniami, lecz nie była w stanie się zatrzymać. – Macie choć cień czegokolwiek, za czym moglibyście podążyć, poza własnymi nosami?

Przy innej, weselszej okazji pewnie zaczęłby bronić roli policyjnego nosa w wyjaśnianiu zabójstw, ale teraz milczał. Wyglądał na bezradnego. Dicte wiedziała, że bardzo by chciał uciszyć jej lęki, ale nie potrafi.

– Uważamy, że powinnaś nosić alarm – powiedział tylko.

– Alarm? Taki jak te, które noszą starsze panie, a kiedy wreszcie są zmuszone go użyć, ktoś coś źle odczytuje i staruszka leży na zimnej posadzce przez osiem godzin, po czym umiera na zapalenie płuc? O taki alarm chodzi?

Zdecydował się ją skorygować.

– Chodzi o alarm, jaki dajemy kobietom, którym grozi przemoc. Takim, których mężczyźni są zdolni do wszystkiego.

– Wszystko jedno. Efekt jest taki sam – powiedziała. – Zanim dotrzecie na miejsce, najprawdopodobniej będzie po sprawie.

– To być może lepsze niż nic. No i jest jeszcze radiowóz – powiedział z nadzieją w głosie. – Na twoim miejscu bym się zgodził.

Zastanawiała się, ale tylko przez chwilę.

– Dziękuję, nie skorzystam. Jakoś sobie poradzę.

Odsunęła od siebie talerz, choć zjadła tylko połowę grzanki. Podkuliła pod siebie nogi i patrzyła przez okno na nocny pejzaż, w którym błądy księżyc i śnieg, który wrócił po niedawnej odwilży, lśniły jak srebro. Powiedziała Wagnerowi, że przeżyje, i że nie powinien się o nią martwić. Patrząc mu w oczy, oświadczyła, że nie potrzebuje pomocy, jeśli ma to być bezużyteczne cacko zawieszane u szyi.

– Skończy się tak, że mnie tym udusi – dodała i jednocześnie uświadomiła sobie, że to akurat jej nie spotka. Bo jej śmierć została już dokładnie zaplanowana, więc zginie od sznura i siekiery, a nie od cholernego bzyczka.

Powiedziała też, że da sobie radę, bo myśl, że miałyby zależeć od czyjejś pomocy, była jej tak bardzo obca. Tyle że choć kiedy to mówiła, czuła się niesamowicie harda, to teraz, gdy wokół niej skradała się noc, a drzewa zmieniały się w postacie, była zdecydowanie mniej pewna swego.

Wstała i zaciągnęła zasłony. Potem usiadła sztywno na fotelu, bo kanapa wydała jej się zbyt miękka, a ona nie może zasnąć, musi czuwać, żeby wyłapać każdy dźwięk, każdą najmniejszą oznakę obecności kogoś obcego.

A jednak ciało zaczęło się odprężyć i nie była w stanie tego powstrzymać. Przeciągłe buczenie krwi w jej głowie przycichło, a myśli odpływały w inne miejsca, takie, w których nie mogła już ich kontrolować i w których zmieniały się w obrazy oraz bezbarwne fale, spokojnie, monotonnym ruchem poruszające się w jej wnętrzu.

Wbrew sobie zamknęła oczy. Tylko na chwilę, pomyślała. Tylko trochę

odpoczną i zbiorę siły.

Osunęła się w ciemność i oddaliła od siebie strach. Później znów go odnajdzie i przyciągnie ku sobie jak tarczę ochronną, ale teraz odpłynął, a ona poczuła, jakby jakaś blokada się w niej zwolniła.

Odgłos przedzierał się bardzo wolno. Usłyszała z oddali ciche metaliczne kliknięcie klamki, a po nim szmer zamykanych drzwi.

Dicte walczyła ze sobą, aby się obudzić. Gdzieś w tyle głowy wiedziała, że to ta chwila i że musi być gotowa. Czuła, że w pokoju jest ktoś jeszcze. Oddech, ciepło czyjś ciała, ostrożne kroki po podłodze.

Otworzyła oczy i zobaczyła czarną ciemność. Chciała krzyknąć, sięgnąć po coś do obrony. Teraz widziała już postać w korytarzu, okutaną czymś jakby peleryną. Tylko kontur, kształt w odcieniu odrobinę ciemniejszym od tła. Jej dłonie po omacku szukały jakiejś broni, lecz niczego nie znalazły, i w mgnieniu oka poczuła, jak bardzo jest bezradna.

Postać się zbliżała, a ona skuliła się w fotelu. Chciałaby przynajmniej krzyknąć, ale głos uwiązł jej w gardle.

I nagle doszedł do jej uszu głośny zgrzyt metalu o metal i ten dźwięk jakby uwolnił jej głos, bo usłyszała też swój własny krzyk i poczuła ciało, które wyskoczyło jak sprężyna z fotela, i płacz, i własną siłę, i pięści okładające czarną zjawę.

– Mamo! Przestań! Mamo?! Proszę!

Lecz nie umiała przestać. Waliła na oślep, a dźwięk dobywający się z jej gardła zmienił się w jęk i szloch. Na koniec osunęła się wycieńczona na zimną metalową płytę pod piecykiem i uderzyła kolaniem o pogrzebacz i szufelkę przewrócone przez Rose.

Usłyszała, jak Bo zbiega boso z góry, i poczuła różnicę pomiędzy własnym, maksymalnie napiętym ciałem i miękkim dotykiem swojej córki, która tuliła ją do siebie.

37

– Zgłosiło się dwoje sprawców.

Wagner uniósł brew. Eriksen stukał palcami w blat stołu. Rytmicznie, jakby w głowie odtwarzał konkretną melodię, zapewne *Den Gamle Gartner*, pomyślał Wagner i zaczął się zastanawiać, kim trzeba być, aby potrafić jednocześnie układać piosenki okolicznościowe i szukać sprawcy zabójstwa.

– Oczywiście fałszywych – dodał Eriksen. – Jeden to osiemdziesięcioośmioletni emeryt, któremu wydaje się, że w poprzednim życiu był Kubą Rozpruwaczem. Drugie przyznanie się pochodzi od młodej kobiety, która osobiście przyniosła nam narzędzie zbrodni w reklamówce z Netto.

– Ach tak? – Ivar K z udawanym zdumieniem wyciągnął nogi pod stołem i zsunął się na skraj krzesła. – Dwa metry nici dentystycznej i obcinacz do paznokci?

– Coś w tym stylu – potwierdził Eriksen. – Rajstopy i młotek przypominający te, które za piętnaście koron można kupić w Bauhausie. Kiedyś studiowała psychologię i wydaje jej się, że to wyparła.

– Takie studia też bym wyparł – mruknął Ivar K i ostentacyjnie ziewnął.

– Chodziło jej o zbrodnie – sprecyzował Eriksen. – Nie studia.

– Nie przyłożyła się – uznał Arne Petersen. – Mogła przynajmniej poczytać gazety i choć trochę zapoznać się z metodą.

Wagner westchnął i podał dalej termos z kawą. Był to niestety jeden z niepożądanych skutków upublicznienia sprawy. Po artykułach w prasie zawsze następowała fala fałszywych zgłoszeń od urojonych sprawców, a sprawdzanie ich i przekonywanie zgłaszających, że nie są zabójcami, pochłaniało sporo czasu i zasobów.

– Jest coś jeszcze? Cokolwiek nowego w sprawie poszukiwań Lise? Komunikat w telewizji dał jakiś efekt?

Od znalezienia ciała Esther Rantzen zdecydowali się intensywniej włączyć do sprawy telewizję. Nie żeby Wagner był tym zachwycony. Trochę za bardzo mu to przypominało polowanie na czarownice, poza tym ryzykowali, że zostaną zalani taką masą zgłoszeń, że rok im zajmie przebrnięcie przez nie.

Eriksen przewrócił wymownie oczami.

– Mnóstwo efektów. Była widziana jednocześnie na Fionii i Zelandii, na Samsø i w Lystrup. Jednym słowem, jest mocno zagoniona.

– W Lystrup? – Wagner zainteresował się głównie dlatego, że mieszkała tam jego najmłodsza siostra.

– Świadek widział ją, jak kupowała papierosy w tamtejszym kiosku – powiedział Eriksen tonem zgorzelenia.

Wagner nie był pewien, czy zgorzelenie dotyczyło zakupu – Eriksen był nawróconym palaczem – czy też nikłego prawdopodobieństwa, aby młodą damą mogła być Lise.

– Jakiej marki?

Eriksen poszperał w swoich notatkach. Wagner dostrzegł, że płatki uszu kolegi są całkiem czerwone.

– Zielone looki – dorzucił. – Dwie paczki.

Hansen odchylił głowę do tyłu i bacznie obserwował sufit.

– Zielone looki – powtórzył z odrazą. – Kto pali ten szajs?

– Wiemy, czy Lise pali? – spytał Wagner.

Eriksen jeszcze bardziej się zaczerwienił. Pokręcił głową, ale na szczęście sam zaproponował:

– Zadzwoń do Karen Graugaard.

Wagner pokiwał z wdzięcznością głową. Eriksen potrafił czasem być tępy jak zużyty nóż. Ale się starał.

Hansen odchrząknął.

– W Wydziale Technicznym mają eksperta, który namierzył tego maila. Wysłano go z kafejki internetowej w centrum. Nazywa się Gate 78.

Wagner rozejrzał się po twarzach zebranych na porannej odprawie. Najmłodszy w ich zespole, od niedawna żonaty Kristian Hvidt podniósł rękę.

– Mogę tam podskoczyć. Może któryś z pracowników coś widział.

– Na przykład osobę, która weszła skorzystać z komputera? – skomentował złośliwie Ivar K.

Teraz Kristian Hvidt również zrobił się czerwony, a Wagner posłał Ivarowi K ostrzegawcze spojrzenie.

– Nierozważnie byłoby nikogo tam nie wysłać – Hansen wziął w obronę młodszego kolegę. – Możemy przecież również przyjrzeć się tamtejszej obsłudze. Oni mają największą swobodę w dostępie do komputerów.

– A co z myszami? – zapytał Arne Petersen, kiedy przez chwilę nikt nic nie mówił.

– Myszami? – Wagner odpłynął myślami. Przez nanosekundę znajdował się w domu w Viby z Idą Marie i przypomniało mu się, w jakim impasie się znalazł, kiedy próbowała uzyskać od niego jasną odpowiedź. Od rozmyślenia o tym robiło mu się słabo. W pracy jego umysł przez cały dzień nasiąkał śmiercią, a potem w domu miał się wypowiedzieć o powołaniu na świat nowego życia.

– No z białymi myszami – przypomniał Petersen. – Gdzie szukać powiązań?

Wagner sięgnął po szklanekę z wodą. W głowie miał pustkę. Jakby ktoś mu wykradł wszystkie myśli i koncepcje i chaos stał się od tego dziwnie wyrazisty. Poczł niemal nieodpartą potrzebę, by się skulić, zakryć głowę rękoma i pozwolić, by świat dalej kręcił się bez niego.

Uratował go Hansen.

– Może sprawdzić w laboratoriach? Albo na uniwersytecie? Na Wydziale Biologii na przykład?

Wagner pokiwał mechanicznie głową.

– Tak, to jest jakaś opcja.

Rozdzielili zadania. Wagnerowi zakręciło się w głowie, kiedy zbyt szybko wstał z miejsca, więc musiał się złapać oparcia.

– Jesteś blady – powiedział Hansen ściszym głosem. – Jadłeś śniadanie?

Wagner szukał odpowiedzi w pamięci, która była jak sito z bardzo wielkimi okami.

– Kawę – powiedział w końcu. – Tylko kawę.

– A wczoraj wieczorem? – dopytywał Hansen. – Skorupiaki? Tartę jajeczną?

– Herbatniki – odparł Wagner zgodnie z prawdą, przypominając sobie wizytę u Karen Graugaard.

Po powrocie do domu był tak zmęczony, że zapomniał o kolacji. Ida Marie wyjechała z dziećmi do swojej matki, więc siedział sam, puścił muzykę i wypił jedno piwo.

Hansen patrzył na niego ze zgrozą.

– Chyba powinieneś natychmiast skoczyć po jakąś bułkę na stołówkę.

Wagner pokręcił jednak głową, napił się wody i na krótką chwilę odsunął od siebie to, co wiedział już, że wyrwało mu w brzuchu potężną dziurę.

– Zjem coś po drodze.

– Po drodze dokąd?

– Do Egå. Pojedziemy do dawnego domu Lise.

– Eriksen i Petersen już tam byli – przypomniał Hansen i dodał konspiracyjnym tonem, jakby dzielił się z kolegą wewnętrznym żartem: – Trzech pedagogów i dwójka mieszkańców, i nikt nie miał nam nic do powiedzenia.

Wagner poczuł się nieco orzeźwiony i pobudzony wypitą szklanką wody.

– Im – poprawił go, po czym zdjął z krzesła marynarkę i ją założył. – Im nie mieli nic do powiedzenia. A także w momencie, w którym zostali zapytani.

Pomalowany na czerwono domek letniskowy stał z dala od plaży i stanowił jedną z ofert, jakie władze miasta miały dla młodych ludzi z problemami. Trzy mieszkające w nim pedagożki opiekowały się dwiema dziewczynami w wieku piętnastu i szesnastu lat. Według informacji, jakie zdobył Wagner, jedna z dziewcząt należała do brutalnego dziewczęcego gangu i razem z innymi pobiła koleżankę z klasy. Ofiara trafiła do szpitala ze złamanym oczodołem i nosem, perforacją błony bębenkowej i punktowymi wybroczynami na obu gałkach ocznych. Druga podopieczna miała problemy z narkotykami i skomplikowany stosunek do prawa własności. Dziesięciokrotnie przyłapano ją na próbach kradzieży markowych ciuchów z różnych miejscowych butików, a także zaatakowała nauczycielkę, gdy ta chciała z nią porozmawiać o licznych wagarach.

Do niedawna Lise była tu trzecią mieszkanką i Wagner zastanawiał się, jak też mogła się czuć w towarzystwie dwóch rówieśniczek o zdecydowanych skłonnościach do przemocy i trzech opiekunek mających zapewne jak najlepsze intencje, których głównym zadaniem było powstrzymanie jej przed próbami nawiązania kontaktu z przebywającym w więzieniu ukochanym. Pomyślał, że chyba niezbyt dobrze, kiedy zaparkowali w pośniegowym błocie przed budynkiem, a gdy zobaczył dym unoszący się z komina, przyszło mu do głowy, że mogła mieć jeszcze więcej powodów, żeby stąd zwać.

Ich niezapowiedziana wizyta była wyraźnie nie w smak opiekunkom.

– Chciałybyśmy przynajmniej mieć możliwość jakoś się przygotować – powiedziała z wyrzutem tęga kobieta, która ich wpuściła. Miała gęste jasne włosy i oczy obrysowane kredką.

Wagner i Hansen skinieniem dali znak, że rozumieją, i minąwszy ją, weszli do dużego pokoju, gdzie przy stole siedziały cztery kobiety i grały w karty. Poza tą jedną wszystkie były chude i niechlujne. Ubrane w dzinsy i krótkie sweterki odsłaniające brzuchy, i z kolczykami w nosach, wargach i brwiach. Właściwie nie było widać, które to pedagożki, a które podopieczne,

pomyślał Wagner.

– Przecież już raz tu byliście.

Znów odezwała się ta gruba. Pozostałe skinęły między sobą głowami i kontynuowały grę.

– Prowadzimy dochodzenie w sprawie dwóch brutalnych zabójstw – wyjaśnił Wagner, tracąc cierpliwość.

– To może wymagać przeprowadzenia więcej niż jednej rozmowy z tymi samymi osobami – dodał nieco łagodniejszym tonem Hansen.

Wagner wysunął krzesło i nie czekając na zaproszenie, usiadł przy stole. Hansen zaczął się trochę rozglądać po pomieszczeniu.

– Szukamy Lise – powiedział Wagner tytułem wstępu. – Wiemy, że nie wiecie, gdzie przebywa. Ale może będziecie umiały nam powiedzieć coś innego.

Spojrzał na tę, którą uznał za pedagożkę numer dwa – młodą kobietę o lekko zapadniętych policzkach i oczach, których błękit mocno się odznaczał na tle opalonej na solarium twarzy.

– W jakim stanie psychicznym była Lise, zanim znikła? Czy była wściekła? Załamana? O czym mówiła?

Pedagożka przestawiła kartę w wachlarzu, który trzymała w ręce.

– Lise nigdy nic szczególnego nie mówiła – odparła w końcu i rzuciła porozumiewawcze spojrzenie dwóm siedzącym naprzeciwko dziewczynom. – Inaczej niż te dwie smarkule. Bez przerwy paplają o swoich chłopakach i o tym, że zamierzają stąd nawiać.

Dziewczyny zachnęły się tylko, ale Wagnerowi ich obrysowane kredką oczy wydały się twarde i surowe i ta refleksja go zasmuciła. Chyba nigdy nie oswoił się z faktem, że kobiety są zdolne do przemocy. Zastanowił się, czy to nie czyni go mniej skutecznym w pracy policyjnej. Skoro młode dziewczyny mogą sobie nawzajem łamać nosy i oczodoły, to oczywiście jest, że potrafią również zabijać.

– Cicha woda – podsunął – to chce pani powiedzieć?

Pedagożka wzruszyła ramionami.

– Trudno było do niej dotrzeć. Właściwie w ogóle niezbyt dużo mówiła.

– A jakie jest wasze zdanie? – Wagner zwrócił się do dwóch dziewczyn wodzących wzrokiem za Hansenem i niekryjących uznania. Obie wzruszyły ramionami, ale żadna nic nie powiedziała.

– One nie mają zdania – wyjaśniła gruba pedagożka i podążyła za wzrokiem podopiecznych. – W każdym razie nie o Lise. Była zbyt inteligentna.

Jan Hansen wreszcie do nich dołączył, a gdy usiadł, krzesło zaskrzypiało pod ciężarem jego mięśni. Atmosfera przy stole w jednej sekundzie się zmieniła. Jedna z dziewcząt odrzuciła kokieteryjnie włosy. Druga prychnęła, zasłaniając twarz kartami.

– Zagrasz w tysiąca? – zapytała Hansena i wycelowwała w niego prawie niewinne wielkie niebieskie oczy.

– Partyjkę możemy zagrać – wspaniałomyślnie zgodził się Hansen. – Kto rozdaje?

Człowiek powinien wiedzieć, kiedy jest niepotrzebny.

Wagner wstał i wyszedł się przejść po okolicy. Zimny wiatr szalał po opuszczonych ogródkach przy domkach letniskowych. Ziemia była usiana plamami zamrzniętych kałuż, a w kątach kłębiły się stosy starych zwiędniętych liści zmiecionych tu silnymi podmuchami. Ciśniej zapiął płaszcz i wdychał głęboko morskie powietrze, aż niemal czuł na wargach słony zapach. Pomyślał o Dicte, która nie chciała słyszeć o alarmie osobistym, za to pragnęła walczyć – otwarcie i szczerze – z zagrożeniem, które miało nadejść nie wiadomo skąd. Zastanawiał się, jak on by się zachował w obliczu takiej groźby, i doszedł do wniosku, że pewnie tak samo. Lepiej przejść inicjatywę, niż siedzieć i czekać. Może zresztą każdemu tak właśnie podpowiadałby instynkt. Może większość ludzi wolałaby zrobić coś ze swoim położeniem. Pomachać prześladowcy przed nosem czerwoną szmatą w nadziei, że się go sprowokuje do starcia, które przecież i tak było nieuniknione. Może to ludzki odruch, pomyślał, i dużym krokiem przekroczył kałużę o zamrzniętych brzegach na samym środku dziurawej

drogi. Ale wiąże się z tym śmiertelne niebezpieczeństwo.

Kiedy wrócił, od drzwi dobiegł go poufały śmiech i luźne komentarze rzucone przez Hansena i spółkę. Najwyraźniej zbliżali się do finału rozgrywki. Wagner chrząknął, ale nie ruszył się ze swojego miejsca na końcu stołu. Hansen podniósł na niego wzrok. Jego oczy lśniły zapamiętałe.

– Jeszcze chwilka, szefie. Niech tylko dokończę łoić im skórę.

Przez stół przelatywały strzały spojrzeń i nie tylko dziewczęta się czerwieniły.

– Jeszcze zobaczymy, kto komu złości skórę – ostrzegła gruba pedagożka, wykładając trzy króle.

– Twarda z ciebie babka, Alice – mruknął Hansen.

– To tylko pozory – uśmiechnęła się pedagożka i położyła dłoń na mocnym udzie Hansena. – Ty też nie jesteś mięczakiem.

Dziewczyny wybuchnęły typowym dla nastolatków śmiechem łączącym nieśmiałość i rozbuchaną seksualność. Powietrze w pokoju było ciężkie od erotyzmu. Wagner wbił wzrok w sufit, czekając, aż na stół padnie ostatnia karta i Hansen w końcu zdoła się pożegnać.

– No i? – zapytał go, kiedy ujechali tylko kawałek, a ich samochód zdawał się przegrywać w konfrontacji z dziurawą nawierzchnią. – Dowiedziałeś się czegoś, czego nie dowiedzieli się Petersen i Eriksen?

– Macały mnie stopami pod stołem – powiedział Hansen rozmarzonym głosem. – Chyba nawet obie.

– Mają wyrok za napad – przypomniał mu Wagner i sam usłyszał, że brzmi jak zgred.

Niemal dojechali do miasta, kiedy Hansen wreszcie się otrząsnął i był w stanie myśleć normalnie.

– Według jednej z dziewczyn Lise wspomniała, że jej matka poznała jakiegoś faceta.

Wagner niemal słyszał, jak włącza się alarm w jego głowie.

– Narzeczony?

Hansen wykonał głową ruch, który mógł oznaczać zarówno tak, jak i nie.

– Lise powiedziała, że był od niej sporo młodszy.

– A ona go widziała?

Hansen przytaknął.

– Malene dodała, że Lise opowiadała, jak ten gość przychodził do domu, w którym mieszkała sekta.

Wagner zerknął badawczo na Hansena, który na powrót się rozmarzył.

– Malene?

– Tak. I Mette – westchnął Hansen. – Nie można grać razem w karty, nie znając swoich imion.

Kiedy wrócili na komendę, Eriksen potwierdził, że Lise pali zielone looki, więc Wagner wysłał do Lystrup ludzi, żeby odświeżyli trochę pamięć kioskarki i popytali, czy ktoś jeszcze nie widział tam Lise tego dnia. Uważał jednak, że to bezcelowe i że aby ją znaleźć, potrzebują zdecydowanie większego przełomu i sporo szczęścia. No chyba że Lise postanowi zgłosić się sama.

W głębi serca Dicte wiedziała, że odgrywają jedynie teatrzyk. Zwyczajne powitania w redakcji. Przesadna uprzejmość Davidsena i słodko-kwaśny uśmiech Cecilie. Nawet filiżanki z resztkami kawy, stosy brudnych talerzyków z wyschniętymi od wczoraj niedojedzonymi kawałkami ciasta i przepelnione aluminiowe popielniczki śmierdzące starym tytoniem sprawiały wrażenie, jakby ktoś wynajął grupę statystów, wręczył im rekwizyty i umieścił na planie filmu *Zwykły dzień w redakcji* kręconego specjalnie dla niej. Żeby poczuła, że mimo wszystko coś w jej świecie wygląda tak jak zawsze. Normalnie, pomyślała. Kiedy meła w ustach to słowo, uświadomiła sobie nagle, że prawie już nie pamięta, jak smakuje normalność. Taka zwykła powszedniość, w której różne sytuacje przytrafiają się i odchodzą w niepamięć, nie powodując skoków adrenaliny. Gdy człowiekowi chce się złościć na to, że informator zmienia coś w swojej wypowiedzi. Albo gdy się siedzi spokojnie i z przyjemnością pije kawę, przegryzając strudlem, który Davidsen przynosił w każdą środę, kiedy mieli dłuższą naradę redakcyjną.

– Chyba jesteśmy w komplecie – powiedział Davidsen do ekranu swojego komputera ze stanowczością wydawcy regionalnego w głosie. – Zaczynamy?

Jego autorytet jak zwykle osłabł, zanim on sam zdążył wyłożyć ciasto na stół.

– Za pół godziny zaczyna się konferencja prasowa AGF – oświadczyła Cecilie, nie ruszając się ze swojego miejsca, jeszcze zanim zdążył jej powierzyć inne zadania.

– W jakiej sprawie?

Cecilie schyliła się i wyjęła z torebki lusterko i szminkę.

– Jeden z ich zawodników wdał się w knajpie w bójkę z grupą

prawicowych łysoli.

– White Pride? Wydawało mi się, że to ich kibice – zdziwił się Davidsen.

Cecilie wzruszyła ramionami, z wprawą nałożyła szminkę i zacisnęła wargi na chusteczce.

– Bo jedzie ze mną.

Wbiła pytające spojrzenie w Dicte.

– Nie ma sprawy – powiedziała Dicte, myśląc co innego. – Niech jedzie, jasne.

Wolałaby nie czuć rozczarowania, przez które jej głos nie zabrzmiał ani trochę przekonująco. Przecież nie będzie bez przerwy siedział przy niej i trzymał ją za rękę. Życie toczy się dalej. Bo musi pracować i zarabiać, i starać się, aby życie z nią i groźbą wiszącą nad jej głową przypominało normalność. Poza tym jakaś jej część chciała choć na chwilę pozbyć się go z jego umartwianiem się i cholernym poczuciem odpowiedzialności, które tak ciążyło jej na sumieniu. Jak wtedy, kiedy zemdląła przez to, że Rose przyszła do domu o siódmej rano, a on wyrzucał sobie, że nie obudził się w porę, a jej, że nie obudziła go wcześniej.

– Dicte?

Davidsen patrzył na nią z nadzieją.

– Mam spotkanie na komendzie – skłamała. – Z Wagnerem.

Entuzjazm Davidsena wyraźnie oklapł.

– A co masz na jutro?

Wstała i zaczęła zbierać kubki. Nagle rozpaczliwie zapagnęła zrobić porządek – gdziekolwiek. Jeśli nie może wyrównać terenu na swoim podwórku, przynajmniej zadba o to, aby redakcja nie wyglądała jak pobojuwisko.

– Postępy w śledztwie – rzuciła przez ramię, idąc do kuchni. – I może przydałby się artykuł o rejestrze DNA i o tym, jak skuteczna na przestrzeni lat stała się ta metoda.

Wzmianki o DNA zawsze były mile widziane, bo Davidsen w swoim

czasie sporo na ten temat pisał, a rejestr zdawał się uważać niemal za własny wynalazek.

Nim zdołał cokolwiek odpowiedzieć, na biurku Holgera zadzwonił telefon. Nie rozmawiali o tym, co zaszło. Dicte nikomu o tym nie powiedziała, a Cecilie trzymała buzię na kłódkę. Davidsen był przekonany, że Holger leży w domu z paskudną grypą, a ponieważ od zawsze śmiertelnie bał się zarazków i bronił się przed nimi dwoma jabłkami dziennie, był ostatnim człowiekiem, który by zachęcał kogokolwiek do przychodzenia do pracy z gorączką.

Normalnie nie odbierali nawzajem swoich telefonów, tylko pozwalali, by ludzie nagrywali się na sekretarkę. I Dicte sama nie wiedziała, dlaczego sięgnęła po słuchawkę telefonu Holgera. Może po prostu dlatego, że akurat przechodziła obok w chwili, gdy usłyszała dzwonek. A może była ciekawa, kto dzwoni. Kto próbuje się skontaktować ze stażystą mającym w zwyczaju podpisywać się pod cudzymi artykułami.

– Telefon Holgera Søborga, w czym mogę pomóc?

– Jest tam?

Głos należał do mężczyzny i był stanowczy i władczy jak u polityka.

– Obawiam się, że nie – odparła, starając się nadać swojemu głosowi przyjemny ton recepcjonistki. Mężczyzna w słuchawce brzmiał jak ktoś, kto nie jest zaskoczony, że dziennikarz ma własną sekretarkę. – Coś przekazać?

Mężczyzna odchrząknął znacząco. Tym bardziej się zdziwiła, kiedy rzucił:

– Proszę mu powiedzieć, że dzwonił jego wujek i prosi, żeby oddzwonił.

Złapała długopis i nie wiedząc właściwie dlaczego, szybko zapisała na starym odcinku wypłaty numer z wyświetlacza. Ze wszystkich sił starała się nie zapytać mężczyzny o nazwisko.

– Zostawiłam mu notatkę – powiedziała tylko i tamten rozłączył się, nie mówiąc do widzenia ani dziękuję.

Dicte oderwała skrawek papieru i włożyła do kieszeni.

Jeździła bez celu po mieście, aż niespodziewanie zatrzymała się przed

biurem podróży przy Store Torv. Na szybie wielkimi literami napisano „Jutlandzkie podróże”. Dicte pchnęła drzwi i weszła do środka, zanim zdążyła się rozmyślić. Wspólniczka Idy Marie, Jane, siedziała w dziale sprzedaży na piętrze i rozmawiała z klientami, którzy weszli chwilę przed nią. Skinęła Dicte głową i pokazała, że Ida Marie jest w biurze na dole. Dicte przez chwilę próbowała ułożyć sobie w głowie, co powinna powiedzieć. Ostatecznie zrezygnowała z przygotowań i chwyciła poręcz, a chłód metalu ostudził narastające zdenerwowanie.

Ida Marie siedziała sama nad stosem papierów. Długie blond włosy miała puszczone luźno na plecy. Dicte zaczęła obserwować jej profil i dostrzegła wyraźne skupienie na twarzy przyjaciółki, dzięki któremu ujawniała się jej szczególna jasna uroda. Jak anioł, powtarzała zawsze Anne, nie kryjąc zazdrości. Dicte nazwałaby ją w tym momencie zjawiskową. Jak figura Madonny z dawnych czasów przeniesiona wehikułem do dwudziestego pierwszego wieku.

– Cześć.

Ida Marie aż się wzdrygnęła.

– O rety. To ty?

Cisza, jaka między nimi zapadła, była niemal słyszalna. Po chwili Ida Marie wstała i podeszła do Dicte. Nim ta zdążyła się odsunąć, poczuła na szyi szczupłe ramiona i znalazła się w mocnych objęciach. Na moment zeszywniała, ale potem w środku coś się w niej rozluźniło i odwzajemniła uścisk.

– Dobrze, że przyszedłaś.

Ku przerażeniu Dicte piękne niebieskie oczy Idy Marie zmieniły się w małe jeziora, które lada chwila mogły wystąpić z brzegów.

– Chodź, siadaj – powiedziała Ida Marie, pociągając nosem. – Musi ci być cholernie ciężko.

To ostatnie zdanie w ustach anioła brzmiało zaskakująco i Dicte uśmiechnęła się lekko.

– Strasznie. Ale już mi lepiej. Jesteś zajęta?

Dłonie Idy Marie pofrunęły w stronę stosu dokumentów.

– Jak zwykle mam tu całą masę ludzkiej złości. Uwierzysz, że ktoś złożył reklamację, bo w hotelu rankiem obudził go ptak za oknem? A inni grupową, bo przez tydzień padał deszcz.

– Jezus Maria – mruknęła Dicte. – Mam nadzieję, że macie gdzieś kartotekę klientów, których nie obsługujecie.

Ida Marie pokręciła głową i odsunęła od siebie listy.

– Ale może powinniśmy to rozważyć. Napijesz się herbaty? Albo wody? Na co masz ochotę?

W głos Idy Marie zakradła się niepewność. W głębi jej spojrzenia Dicte dostrzegła jakiś smutek.

– Przepraszam, że cię unikałam – powiedziała wreszcie. – To nie miało z tobą nic wspólnego.

– Coś z Bo?– Ida Marie wypowiedziała jego imię tak ostrożnie, jakby je kładła na poduszce z powietrza. – Pomyślałam, że być może chodziło o niego.

Dicte wzruszyła nieznacznie ramionami.

– Dasz radę wyskoczyć na lunch? Może do Jorden?

Latem do kafejek nad rzeką ciągnęły tłumy, ale zimą ludzie woleli się schronić w przytulnych brukowanych uliczkach Dzielnicy Łacińskiej. Kiedy szły obok siebie, Dicte pomyślała, że mogła ich spłoszyć również tamta historia z dzieckiem w rzece. Błękitna miska kołysząca się na powierzchni mętnej wody i dziecięca twarzą z malowniczo zamkniętymi oczami. Minęło półtora roku, ale chyba nikogo szczególnie nie ciągnęło w miejsce, gdzie wydarzył się tamten koszmar.

– Sporo czasu minęło, prawda? – zapytała Ida Marie, jakby czytała w jej myślach. – Wiesz, od tamtego wrześniowego dnia.

Dotarły do Café Jorden. Otworzyły czerwone drzwi i weszły do ciepłego wnętrza. Dicte przywitała się skinieniem.

– Dużo się od tamtego czasu wydarzyło.

Zajęły stolik przy oknie i zamówiły herbatę i kanapki.

– Człowiek czasami potrzebuje przyjaciółek – zaczęła ostrożnie Ida Marie. – Ale są być może i takie chwile, kiedy ma się ochotę samemu ze wszystkim uporać. Ostatecznie nie w każdej sytuacji jesteśmy w stanie wzajemnie sobie pomóc.

Dicte poczuła ukłucie. Szukała w twarzy Idy Marie tej radości, którą sobie bez przerwy wyobrażała. To przecież ona jest tą szczęśliwą. Tak w każdym razie myślała. Sądziła również, że kiedy ktoś znajduje pełnię szczęścia, to nic innego nie jest mu już potrzebne, a na pewno nie przyjaciółki, których miłosne życie przedstawia się jako jeden wielki chaos.

– Chyba próbowałam usunąć się w cień – powiedziała i zdała sobie sprawę, że jej tłumaczenie brzmi nieudolnie. – Staralam się trzymać z dala z moimi problemami.

Przypomniała sobie wszystkie burzliwe miesiące po tym, jak Bo odszedł od Evy, i to, jak wyraźnie było widać zarówno wtedy, jak i teraz, że on nadal ma wątpliwości, czy postąpił słusznie. Bywały takie weekendy, kiedy samotnie spędzała wieczory, bo mimo wszystko postanowił zostać w domu, który był teraz domem Evy i dzieci, po to tylko, aby być blisko Tobiasa i Ninki. Wszystko to sprawiało, że nie czuła się pewnie. Miała świadomość, że nie zawsze jest dla niego tak ważna, jak by chciała, a czasami, w najgorszych momentach, miała wrażenie, że w ogóle jej nie potrzebuje.

– Nikt nie posiada nikogo w stu procentach – powiedziała w końcu Ida Marie.

Oczywiście miała rację. Nie fizycznie, pomyślała Dicte. Ale zdarza się przecież, że ludzie żyją na dwóch różnych półkulach, a mimo to do siebie należą. Może to kwestia poczucia pewności swoich wzajemnych uczuć. Znalezienia bezpiecznej przystani.

– Zatem w dziewięćdziesięciu dziewięciu – zgodziła się Dicte. – U mnie to góra sześćdziesiąt trzy procent.

Ida Marie pochyliła się do przodu, podniosła do ust filiżankę i podmuchała parujący napój.

– Akurat w tej chwili, mówiąc szczerze, więcej energii poświęca tobie niż

mnie – powiedziała, najwyraźniej mając na myśli Wagnera. – Musiałam się nauczyć, że na pierwszym miejscu zawsze jest śmierć. Ważniejsza niż życie – dorzuciła.

Coś w jej słowach poruszyło w Dicte czułą strunę. Usłyszała wręcz jej brzdęk i zaczął w niej narastać bunt, jak wtedy, gdy czuwała nocą w swoim domu.

– Czy powinniśmy to akceptować? – zapytała, szukając odpowiedzi w spojrzeniu Idy Marie. – Czy jesteśmy skazane na to, by strach zawsze przesłaniał radość?

Ida Marie uśmiechnęła się jak za dawnych czasów, a Dicte dostrzegła pod powierzchnią melancholii łobuzerską butę.

– Jasne, że nie, do licha – potwierdziła półszwedzka anielica, która pewnego dnia z niebios zstąpiła do Århus. – Chcę jeszcze jedno dziecko – dodała.

W jej głosie była siła i wola życia, którymi dzielące je powietrze nasiąknęło, aż można się było nimi zaciągać niczym narkotykiem. Dicte nabrała powietrza i wstrzymała oddech najdłużej, jak była w stanie.

– A ja chcę przeżyć – powiedziała w końcu, wypuszczając powietrze z płuc. Ida Marie podniosła uroczyście filiżankę.

– Zatem za życie!

– I przyjaźnie – dodała Dicte ostrożnym tonem.

– Kobiece przyjaźnie – poprawiła ją Ida Marie. – Te nieprzerwane i te z przerwami.

Po powrocie w domu zastała Rose, mimo że oboje z Bo próbowali ją nastraszyć po to, żeby wróciła do chłopaka.

– Może to jednak było odrobinę za wcześnie – oświadczyła Rose dojrzałe, kiedy siedziały przed telewizorem i oglądały wiadomości na TV2. – Jan mówi, że poczeka, aż poczuje się na to gotowa.

W sercu Dicte sprzeczne uczucia walczyły o jej uwagę. Czy przypadkiem nie było takiej bajki, w której bohaterce spełniało się jej największe życzenie, ale jego koszt okazał się niewspółmiernie wysoki? Wcześniej bardzo chciała,

aby Rose podjęła taką decyzję, ale teraz pragnęła czegoś odwrotnego. Żeby jej córka zrozumiała, jak niebezpieczne jest pozostawanie w tym domu i że obecnie lepiej jej będzie przy Janie i jego zupełnie zwyczajnej rodzinie.

– Może zresztą powinnam przed tym spróbować czegoś innego.

– Innych chłopaków? – Bo zapytał bez przekonania.

Dicte również nie bardzo umiała sobie wyobrazić, aby jej do bólu rozważna córka miała zmieniać chłopaków równie często jak jej koleżanki styl ubierania się.

– Mogłabym na przykład po liceum trochę pojeździć po świecie – powiedziała Rose niepewnie. – Przeżyć coś nowego.

Dicte wstała i wyniosła puste talerze oraz resztki ugotowanego przez Rose makaronu do kuchni.

– No dobrze – powiedziała po powrocie. – Zechcesz mi opowiedzieć, co się stało?

Ale Rose nagle pogрузyła się we własnych rozmyślaniach i zamknęła w sobie w ten swój ciepły, przyjazny sposób, którym jednoznacznie dawała Dicte do zrozumienia, że nic z niej w tym momencie nie wyciągnie. Zamiast tego zostawiła ich dwoje przed telewizorem i wyszła na korytarz. Wyjęła z kieszeni numer wujka Holgera i zadzwoniła na informację.

– Mam numer telefonu, ale straciłam adres osoby, do której należy. Czy może mi pani pomóc?

Najwidoczniej kobieta po drugiej stronie słuchawki zamierzała zrobić wszystko, aby przeciągać w nieskończoność połączenie, którego astronomiczna cena za minutę oznaczała, że Dicte zapłaci pewnie jak za rozmowę przez ocean.

– To kancelaria adwokacka – powiedziała wreszcie. – Lars Søborg-Olsen i partnerzy.

– Søborg-Olsen?

– Z dywizem – dodała uprzejmie.

Dicte się rozłączyła. O Larsie Søborgu-Olsenie wiedziała tyle, że był

obrońcą młodych podpalaczy. Holger Søborg najwyraźniej zdecydował się, podobnie jak wielu innych dziennikarzy, zrezygnować z popularnego nazwiska z końcówką -sen na rzecz takiego, które czytelnikom być może łatwiej zapadnie w pamięć. Zataił przy tym fakt, że jest spokrewniony z jedną ze stron w sprawie, co groziło brakiem obiektywizmu.

Z zamyślenia wyrwał ją okrzyk Rose, która wpatrywała się w telewizor. Dicte podążyła za jej wzrokiem. Ekran wypełniało zdjęcie Lise, a neutralny głos z offu odczytywał komunikat.

– Policja otrzymała liczne zgłoszenia, ale wciąż nie natrafiono na istotny ślad szesnastoletniej Lise Graugaard poszukiwanej w związku z zabójstwem dwóch kobiet w okolicach Århus, z których jedną była jej matka. Lise Graugaard zniknęła miesiąc temu z domu letniskowego w Egå koło Århus, gdzie czuwała nad nią trójka pedagogów.

– Rose?

Dicte nie mogła oderwać wzroku od córki i poczuła nagle, jakby w ogóle jej nie znała. Myśli jak błyskawice przelatowały wzdłuż i wszerz jej głowy.

– Co wiesz o Lise?

Rose odwróciła od ekranu pobladłą twarz.

– Ja nie wiedziałam. Nie oglądałam telewizji – wyszeptała.

Dicte podeszła do niej i położyła dłoń na jej ramieniu. Przez bluzę czuła, jak jej córka drży.

– Co wiesz?

Rose pokręciła głową.

– Ona nie ma z tym nic wspólnego – powiedziała. – Chce tylko, żeby ją zostawić w spokoju.

Dicte przysunęła krzesło i usiadła blisko Rose. Przyciągnęła ją do siebie.

– Ona nic nie zrobiła – upierała się Rose, a w jej głosie pojawiła się zapowiedź płaczu.

– Jestem w stanie w to uwierzyć – zapewniła ją Dicte łagodnym tonem – ale ta dziewczyna może mieć ważne informacje, nie zdając sobie nawet z

tego sprawy. Powiesz mi, gdzie ona jest?

Rose długo się nie odzywała. Potem westchnęła i ukryła twarz w zagłębieniu szyi matki. Długo nagle przypomniała sobie, jak czuła w sobie życie i radość z powodu noszenia w brzuchu dziecka oraz bezkresny smutek, gdy przyszedł czas rozstania.

39

Rose podniosła wzrok na matkę, a ta odpowiedziała badawczym spojrzeniem. W matczynym wzroku kryła się rozpacz i Rose poczuła się winna.

– I naprawdę o niczym nie wiedziałaś? – zapytała ją Dicte.

Rose sama w kółko powtarzała sobie to pytanie. Ile właściwie wiedziała? A ile wygodniej jej było wyprzeć ze świadomości?

Chciała się wytłumaczyć, ale jak opisać słowami, że od wielu dni odnosi wrażenie, że żyje w jakiejś bańce. Jak o tym opowiedzieć, by inni zrozumieli, że spotkanie z Lise w jakiś sposób przebiło tę bańkę i pozwoliło jej nagle zobaczyć samą siebie i własne życie jasno i wyraźnie.

– Wiedziałam, oczywiście, że się ukrywa, ale nie, że jest poszukiwana aż tak pilnie. Do teraz nie czytałam gazet i nie oglądałam wiadomości. Nie byłam w stanie – dodała.

Bo poszedł do kuchni zrobić kawę i herbatę. Dicte usłyszała, jak się krząta.

– A co z Janem? – zapytała Dicte. – On przecież musiał gdzieś zauważyć ogłoszenia. Nie wspomniał ci o tym?

Rose pomyślała, że jej matka nagle się postarzała. Próbowwała znaleźć tę zmianę i skupić się właśnie na niej. Nie chodziło o nowe czy głębsze zmarszczki ani o to, że Dicte przytyła albo schudła. Wszystko w niej było jak zawsze, poza oczami. Stały się dziwnie rozbiegane. Rose skojarzyło się to z jednym z tych filmów przyrodniczych Jana. Wyobraziła sobie połyskującą w słońcu rzekę i rybę, która się rzuca na żyłce wędkarza.

– Myślę, że Jan chciał mi tego oszczędzić – odparła. – Wiedział przecież, że starałam się przed tym uciec. Przed tym, czego nie umiałam wytrzymać.

Przed ciałem Inger i zapachem martwych koni.

Gdy to wyznała, zorientowała się, że potrafi o tym mówić i myśleć. Pomimo że groźba, jaka zawisała nad jej matką, była bardzo realna, wszystko to wydawało się tak nierzeczywiste, niemal niebezpiecznie niegroźne, jakby zużyła już cały strach i teraz, kiedy naprawdę powinna się bać, już nie była w stanie.

Dicte ukryła twarz w dłoniach i potarła oczy. Potem na powrót odchyliła się na kanapie, a głowę odrzuciła w tył, aż włosy jej podskoczyły. Rose zauważyła, że matka wygląda na zmęczoną i pozbawioną energii. Zmęczona ryba, która wkrótce nie będzie miała już sił dalej się rzucać.

– Opowiedz mi wszystko raz jeszcze. Od samego początku – powiedziała Dicte powoli. – Znasz ją od tamtego dnia, kiedy wyprowadziłaś się do Jana?

Rose ponownie skinęła głową.

– Wyszła z domu Karen i Søren i odjechała dokądś zielonym puchem maxi. Potem pojawiała się w różnych miejscach. Pod szkołą. W autobusie. Tego typu.

– I przestraszyłaś się?

– Na początku. Nawet bardzo. Przecież już i tak byłam nerwowa.

– Boże drogi, dziecko, powinnaś była mi o tym powiedzieć.

Matka wykonała rękami ruch, jakby chciała po coś sięgnąć, ale zrezygnowała. Rose szukała odpowiednich słów.

– Ty przecież byłaś w to wszystko zamieszana.

– A teraz co się zmieniło? Teraz przestałam być w to zamieszana? – Dicte pochyliła się ku Rose i spojrzała jej głęboko w oczy. – Czy nie sądzisz, że masz teraz jeszcze więcej powodów, aby zostać u Jana?

Nim Rose zdążyła odpowiedzieć, matka powiedziała tonem nieco surowym, ale dziewczyna wiedziała, że ona sama nie zdaje sobie z tego sprawy.

– Powinnaś się trzymać z daleka od tego miejsca. To najlepsze, co możesz w tej chwili zrobić.

Ale ona od wczoraj rozważała za i przeciw. I podjęła ostateczną decyzję. Pomogło jej w tym spotkanie z Lise i to, że tak naprawdę nie miała innego wyjścia. Ucieczka nic tu nie da, a przecież tym właśnie była przeprowadzka do Jana. Wyprowadziła się z domu nie dlatego, że tak bardzo chciała być blisko niego, ale dlatego, że pragnęła się znaleźć jak najdalej od tego domu i przeczucia, że nadciąga coś nieuchronnego. Ale Lise zostanie odnaleziona. Bo nie można uciec przed tym, co stanowi połowę twojego życia. Trzeba stawić temu czoła, jakkolwiek byłoby to przerażające. Trzeba się zatrzymać, spojrzeć na to i sprawdzić, przed czym właściwie odczuwa się strach.

– Wydaje mi się, że w ten sposób uprzedziłam wszystkie nieszczęścia – wyjaśniła, choć zdawała sobie sprawę, że to nie jest właściwe określenie. – Mamo, ja się bałam, że stracę to wszystko.

– Jakie wszystko?

Rose z jej tonu wywnioskowała, że matka zrozumiała ją tylko w połowie. Może tak już jest z matkami. Dziewczyna pokiwała głową.

– Ciebie i tatę, ten dom i psa. Bezpieczeństwo, być może. Wydaje mi się, że chciałam sama sobie zbudować poczucie bezpieczeństwa, bo wiem przecież, że to tutaj nie może trwać wiecznie. Ale okazało się, że nie jestem na to jeszcze do końca gotowa.

To nie było łatwe. Chciała lepiej to wytłumaczyć, ale zamiast tego znów zaczęła mówić o Lise. O tym, jak się czuła, wiedząc, że ktoś ją śledzi. I że miała wrażenie, jakby Lise była kimś na kształt złego ducha. Czymś, co się pojawiło w niej samej. Opowiedziała też o spotkaniu, kiedy stanęły naprzeciw siebie w strugach deszczu. Że ta obca dziewczyna wyglądała na zaniechaną i samotną, że była jak obraz Rose, tylko w innym czasie i w innej sytuacji.

– Ona straciła matkę – powiedziała Rose szeptem. – Spotkało ją to, co najgorsze. To, czego ja sama boję się najbardziej na świecie. Było mi jej żal, ale jednocześnie byłam jej ciekawa.

– Dlaczego, Rose? Dlaczego byłaś ciekawa? – chciała wiedzieć jej matka.

Rose odparła:

– Bo ona to najgorsze przeżyła.

Poczuła się nieskończenie zmęczona i na moment zamknęła oczy. Znowu usłyszała głos Lise i poczuła jej obecność w tamtym domu w Lystrup. Zobaczyła jej chudą postać w płaszczu o wiele za cienkim na tę porę roku. Rozczochrane włosy i bladą twarz. I papierosy, które Lise wyjęła z plecaka i wyciągnęła w jej stronę, kiedy stały w salonie naprzeciw siebie.

Rose pokręciła głową.

– Nie palę.

Lise zapaliła sama i Rose zauważyła, że dłoń trzymająca plastikową zapalniczkę się trzęsie.

– Nie wiem, co o mnie słyszałaś, ale pewnie same kłamstwa – powiedziała Lise i zaciągnęła się mocno.

– Właściwie to za dużo nie słyszałam – odparła ostrożnie Rose. – Coś o jakiejś sekcie, ale sama nie pamiętam dokładnie, co to było.

Stojącą przed nią dziewczyną wstrząsnął dreszcz, jakby marzła. Może się rozchorowała, pomyślała Rose. Ona sama już dawno by się przeziębila w takim stroju.

– Wszyscy myślą, że nienawidziłam mojej matki i że to dlatego się ukrywam. Może nawet wydaje im się, że ją zabiłam. – W jej głosie pojawił się pełen buty gniew. – Jakbym była w stanie zamordować własną matkę – powiedziała wzburzona. – Wyobrażasz sobie coś takiego?

Rose szybko pokręciła głową, bo to była prawda. Nie była w stanie wyobrazić sobie czegoś takiego. Dziewczyna absolutnie nie sprawiała wrażenia zimnej i nieczułej. Była taka jak ona – młoda i niepewna, i tak jak ona przed czymś uciekała.

– I to nie przed matką uciekałam – powiedziała rozzalona Lise. – Ani nawet przed opiekunkami w Egå. One przecież nie mogły nic na to poradzić. Nic z tych rzeczy. Chodziło tylko o to, że nie wolno mi było robić tego, co chciałam.

Rose zaciekawilo, jaką wolność dawał pobyt w sekcie, ale nie miała odwagi zapytać. Na szczęście Lise po chwili sama odpowiedziała na niezadane pytanie.

– Jasne, że u Bożych Kwiatów też nie byłam wolna. Ale tam byłam zniewolona w inny sposób, a poza tym, gdyby nie Anders, tobym z nimi nie została.

– Anders? – Rose ostrożnie próbowała się upewnić. – Czy to nie on był przywódcą?

Lise przytaknęła.

– Byłaś kiedyś zakochana?

To pytanie bardzo głęboko wbiło się w jej myśli. Rose przyjrzała się uważniej własnym uczuciom. To, co czuła do Jana, mogło mimo wszystko należeć do innej kategorii mieszczącej się w szerokim pojęciu sympatii. Miała wrażenie, że to, co ich łączy, ma bardziej praktyczny i przyziemny charakter.

– Chyba nie. W każdym razie nie tak do końca.

Lise zaśmiała się krótko i melodyjnie.

– To może tak do połowy?

Rose też się uśmiechnęła.

– Tak, do połowy tak.

– No więc ja zakochałam się w Andersie, jak miałam czternaście lat. Na sto procent.

– Ale czternaście lat... – zauważyła Rose niepewnie – Czy to nie bardzo wcześnie?

Lise pokiwała głową.

– Jasne, że to wcześnie. Zdecydowanie zbyt wcześnie. Zresztą z tego też powodu szybko mi przeszło.

Machnęła papierosem, na którego końcu zrobił się długi słupek popiołu.

– Nie masz tu jakiejś popielniczki?

Rose wstała i przyniosła podstawkę jednej z doniczek.

– Więc skoro to minęło i nie jesteś w nim już zakochana, to dlaczego

uciekasz?

Lise westchnęła.

– Nawet chciałam z tym skończyć i gdzieś się zgłosić. Miałam dość ukrywania się: najpierw u Bożych Kwiatów, a potem u przyjaciół i znajomych. W różnych przypadkowych miejscach. Ale wtedy znalazłaś moją mamę na tym bagnie i się przestraszyłam. Potrafisz to zrozumieć?

Rose potrafiła. Chciała przekonać Lise, że nie może uciekać w nieskończoność, ale zrozumiała, że akurat w tym momencie najsilniejsza jest dla Lise jej potrzeba wolności i pragnienie, aby pozostać niezauważoną.

– Sądzą, że mam coś wspólnego z jej śmiercią – powiedziała Lise szeptem. – Będą mnie w kółko przesłuchiwać i naciskali, żebym cokolwiek ujawniła i opowiadała różne rzeczy o ludziach, u których mieszkałam. A ja tego nie chcę.

Znów strzepnęła popiół i patrzyła na Rose szklistymi oczami. Na białej twarzy wydawały się jeszcze większe.

– Oni nie mają z tym nic wspólnego. Anders nie ma z tym nic wspólnego. I nigdy nie odwiedziłam go w więzieniu i nie mam takiego zamiaru, bo ten rozdział mojego życia jest już zamknięty. Chcę tylko, żeby mnie zostawili w spokoju.

Być może właśnie to ostatnie zdanie nie przestawało pobrzmiewać w myślach Rose. Żeby tak móc zostać zrozumianą, a potem pozostawioną w spokoju, by samej sobie poukładać wszystko w głowie. Zamiast spotkać się z niezrozumieniem i kpina, jak to się stało z Janem. Komornikiem, jak go nazywał Bo, kiedy kupował jej prezenty w Bilce. Albo z ojcem i matką, którzy uważali jej marzenia za drobnomieszczańskie i nudne. O tak, doskonale wiedziała, jakie to uczucie, gdy nikt nie traktuje cię poważnie.

– Ale dlaczego właśnie ja? – spytała Rose. – Co ja mogę zrobić?

Lise pociągnęła nosem i Rose przez chwilę myślała, że się przeziębila, biegając w tym cienkim płaszczu na takim zimnie. Zaraz jednak się zorientowała, że dziewczyna płacze.

– Chciałam tylko poznać prawdę. Usłyszeć ją od ciebie, bo to ty ją

znalazłaś i dlatego, że nie wierzę, że się wygadasz. Czy nie chciałabyś tego samego, gdyby chodziło o twoją mamę? Prawdy?

Rose długo przyglądała się siedzącej na wprost niej dziewczynie z plecakiem u stóp i papierosem bez przerwy nerwowym ruchem podsuwanym do ust. I po raz kolejny pomyślała, że pod tyłoma względami są do siebie podobne i że Lise ma rację. Ona też chciałaby poznać prawdę, jakkolwiek byłaby straszna.

– Poszłam na spacer z psami. To było tego dnia, kiedy spłonęło gospodarstwo twojej cioci – zaczęła.

Bo wrócił z kuchni i postawił przed nimi kubki. Potem wlał do nich kawę i położył na ławie miseczkę z maślanymi ciasteczkami, jakby zawsze właśnie to robił.

– I co na to Jan? – zapytał. – Jest na ciebie zły?

Rose sięgnęła po parujący kubek i pokręciła głową.

– Mówi, że mnie rozumie. Ale nie wiem, czy jest całkiem szczerzy.

– To w każdym razie bardzo wspaniałomyślne z jego strony – powiedziała Dicte, uśmiechając się lekko. – Choć pewnie liczy, że wkrótce zmienisz zdanie i z powrotem się do niego wprowadzisz.

– Ale co z Lise? – Bo nie dawał za wygraną. – Masz jakikolwiek pomysł, gdzie może być? Rozumiesz chyba, jakie to ważne, aby ją odnaleźć?

Rose zajrzała w głąb siebie i musiała przyznać, że rozumie to aż za dobrze. Wiedziała również, że zwlekała zbyt długo, choć minęła tylko doba. Ucieczka Lise w tym momencie musi się skończyć, bo jej zeznanie może nie tylko pomóc w wyjaśnieniu dwóch zabójstw, ale również ocalić jej własną matkę i wskazać tego, kto jej zagraża.

– Nic nie wiem. W każdym razie nic pewnego. Mam tylko niejasne przeczucie.

Przypomniała sobie niespokojny wzrok Lise, którym wodziła po pustym domu, i komentarz, jaki rzuciła, kiedy stały w deszczu, zanim się rozstały i każda poszła w swoją stronę.

– Ładny dom. Ale chyba ktoś powinien w nim zamieszkać. Czuć w nim

puszkę.

– Możliwe, że go kupimy. Jan i ja.

Lise popatrzyła na nią sceptycznie.

– Nie wydaje ci się, że jesteś za młoda?

Rose nie odpowiedziała. Ale po powrocie do domu oznajmiła Janowi, że ten dom jednak nie jest w jej stylu i że poza tym nie jest jeszcze gotowa, aby z nim zamieszkać.

– Co zatem podpowiada ci twoje przeczucie? – spytał Bo ciepłym głosem i sięgnął po ciasteczko.

Rose wzięła łyk kawy. Tłumaczyła sobie, że robi to, co należy, ale nie umiała się uwolnić od poczucia, że postępuje jak zdrajczynie.

– Myślę, że ona tam jest. Że zawróciła i jakimś sposobem włamała się do domu w Lystrup.

40

Dicte siedziała w ciemnym pokoju i kolejną noc trzymała wartę. Bo i Rose już od dawna byli w łóżkach. Tylko Svendsen nie spał. Wstał ze swojego miejsca i patrzył na nią błagalnie, dopóki go nie wypuściła do ogrodu tylnymi drzwiami. Mroźne nocne powietrze uderzyło ją w twarz i całkowicie obudziło.

Zamknęła drzwi i pomyślała o dniu sądnym, Armagedonie, gdy przed wybrańcami Jehowy otwarte zostaną bramy Królestwa Tysiąclecia, a wszystkie pozostałe zagubione dusze skończą w krwawej łaźni. Bez względu na to, jak bardzo starała się przed nim uciec, wiedziała, że strach przed krwawą łaźnią nigdy jej nie opuszcza. Jak niewidzialny kompan trwale wpleciony w jej życie – w małżeństwo z Torstenem, narodziny i wychowanie Rose. Ostatnim razem dał o sobie znać, kiedy w rzece znalazła martwe dziecko – przypomniawszy o jej własnym dziecku, które oddała obcym.

Rozsądek oczywiście protestował, więc koszmar nawiedzał ją głównie w snach. Już dawno pogodziła się jednak z faktem, że nigdy do końca się od niego nie uwolni.

A przecież próbowała, prawda? Zatrzymałaby tamto dziecko, gdyby mogła. Wychowałaby je z miłością, dokładnie tak jak Rose. Prawda?

Rozum przekonywał, że nie mogła wtedy postąpić inaczej. Lecz instynkt podpowiadał co innego. Dicte przechodziły ciarki na myśl o tamtym mailu. Jego autor trafił właśnie w to miejsce, w którym tkanka jej duszy była najcieńsza. Tam, gdzie bez najmniejszego wysiłku można ją przerwać jak stare skruszałe płótno. Jak mu się to udało? Jak osoba, której nie zna, mogła zaatakować z taką precyzją, jakby sama była tamtym dzieckiem, które powraca, by ją ukarać? Jak to możliwe?

Pies zaczął drapać w drzwi, więc wstała i go wpuściła. Postanowiły z

Rose, że z samego rana razem pojedą do Lystrup i odszukają Lise. Lecz nagle stało się dla niej jasne, że nie może czekać. Nie może się chować za plecami córki. Rose w niczym nie zawiniła, w przeciwieństwie do niej samej, gdy dwadzieścia pięć lat temu podjęła taką, a nie inną decyzję, trzymając na rękach swojego syna i wiedząc, że nie będzie w stanie dać mu życia. Tak, oddała go. I owszem, płaciła za to każdego dnia. I wciąż się z tym nie uporała.

Poszła do przedpokoj, a za nią pies, który posłusznie położył się w kojcu zwinięty z pyskiem wsuniętym pod ogon. Wciągnęła buty i założyła płaszcz. Ze szklanego spodka na komodzie zabrała kluczyki i wyszła w noc tak skutą mrozem, że ziemia skrzypiała jej pod stopami. Przez chwilę stała nieruchomo przy samochodzie, nasłuchując i rozglądając się, żeby się upewnić, czy radiowozu nie ma gdzieś w pobliżu. Ale nie, nie widziała żadnych świateł ani nie słyszała odgłosu silnika. Wzdrygnęła się, gdy sobie uświadomiła, że stoi pośród nocy bez jakiegokolwiek ochrony, a wszyscy w domu śpią. Ciemność zdawała się zacieśniać wokół niej i wyciskać ostatnie tchnienie, a kiedy przebiegający kot uruchomił fotokomórkę, aż się zapowietrzyła ze strachu.

Trzęsącymi się rękoma otwarła drzwi samochodu, usiadła za kierownicą i nie umiała trafić do stacyjki. W końcu jej się udało i silnik głośno się zakrztusił. Cofając, dodała za dużo gazu. Miała ogromną nadzieję, że nikogo nie obudziła, kiedy przyśpieszyła na drodze w stronę Nowego Młyna.

Pojechała w prawo w Søftenvej, przed rondem skręciła i pokonała Randersvej w kierunku Terp, a potem ruszyła wyboistą szosą przez uśpioną wieś, ignorując ograniczenie do czterdziestu kilometrów na godzinę. Ciemność była przytłaczająca. Aż do skrzyżowania w Lystrup, gdzie na żółto świecił neon Netto, nie napotkała ani jednego samochodu. Skręciła w lewo i jadąc według wskazówek Rose, wkrótce zobaczyła rząd identycznych domków za niskim żywopłotem. Zostawiła samochód spory kawałek od właściwego numeru. Ze schowka wyjęła latarkę i resztę drogi pokonała pieszo. Wtedy też dotarło do niej, że w ogóle sobie nie przemyślała, w jaki sposób powinna się zabrać do tego, co zamierza zrobić.

Uciszyła wątpliwości i szła dalej, aż stanęła przed numerem pięćdziesiątym szóstym. Odetchnęła z ulgą na widok żółtego kamienia w morzu identycznych domków z czerwonej cegły.

W oknach było ciemno. Ruszyła ścieżką do drzwi i w absolutnej ciszy jej kroki rozbrzmiewały jak wystrzeliwane kapiszony. Zajrzała do pierwszego z brzegu okna, które obstawiła jako kuchenne. Włączenie latarki było ryzykowne, dlatego przez chwilę rozważała za i przeciw. Ostatecznie uznała, że o tej porze wszyscy śpią, a poza tym jest osłonięta żywopłotem, więc z ulicy snop światła nie będzie aż tak widoczny. Włączyła. Poświeciła przez okno – tylko na chwilę, ale tyle wystarczyło. Na stole dostrzegła dwa banany, a w rogu paczkę płatków śniadaniowych. Obok zlewu na rozłożonym ręczniku kuchennym leżały do góry dnem dwa talerze, jakby ktoś je umył i zostawił do wyschnięcia.

Nacisnęła klamkę. Drzwi otwały się bez przeszkód. Zamek był pewnie zniszczony. Został wyłamany, więc nie da się go ponownie zamknąć. Weszła głębiej w ciemność. Na ścianie znalazła kontakt i zapaliła światło. Przez chwilę musiała mrużyć oczy, zostając nagle w pełni oświetlona w obcym domu.

– Halo – zawołała i nagle poczuła się idiotycznie. – Lise? Jesteś tu?

Usłyszała jakiś dźwięk. Głośny huk i krótki krzyk, a potem ktoś szarpnięciem otworzył drzwi. Stały na wprost siebie, przyglądając się sobie w napięciu. Dziewczyna była niemożliwie chuda. Spod długiej koszuli wystawały jej nogi cienkie jak zapalki. Włosy miała rozczochrane, a w oczach, które w twarzy koloru ściany wyglądały jak czarne dziury, kryły się sen i przerażenie.

– Czego chcesz?

Głos miała zachrypnięty. Dicte dostrzegła, że przez chwilę nozdrza Lise wibrowały, jakby starała się węchem wyczuć, czy ma do czynienia z przyjacielem czy z wrogiem. Przemknęło jej nawet przez myśl, że może rzucić się do ucieczki, ale mimo wszystko uznała to za mało prawdopodobne. Dokąd niby miałyby uciec boso i w koszuli nocnej? Do najbliższego budynku poskarżyć się sąsiadom, że ktoś włamał się do domu, do którego sama się włamała?

– Jestem mamą Rose – powiedziała Dicte możliwie najspokojniej. – Chcę z tobą porozmawiać.

Dziewczyna szybko rzuciła okiem na drzwi wejściowe. Dicte pokręciła

głową.

– Jestem sama.

– A Rose?

– Śpi. Ona nie ma z tym nic wspólnego.

Lise otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, lecz z powrotem je zamknęła. Dicte wskazała głową w kierunku pomieszczenia, które jak przypuszczała, powinno być salonem.

– Możemy tam usiąść?

Lise ponownie spojrzała spłoszonym wzrokiem. Jej ciało zdawało się zdolne, by lada chwila poderwać się do ucieczki, lecz rozsądek je powstrzymywał. Na twarzy malowały się na przemian popłoch i rezygnacja. W końcu odwróciła się na pięcie i ruszyła przodem w stronę skromnie umeblowanego salonu, gdzie zapaliła górne światło. Bez słowa osunęła się na krzesło i wzięła ze stołu papierosa i zapalniczkę.

– Ja nic nie zrobiłam – powiedziała niewyraźnie, kiedy zapaliła trzymanego w ustach papierosa. – W każdym razie nic poważnego.

Dicte wzięła głęboki wdech i powoli wypuściła powietrze. Tu trzeba ostrożnie, pomyślała. Nie przestraszyć. Nie oskarżać. Siedząca przed nią dziewczyna wyglądała jak delikatny kwiat, który wprawdzie rozwinął się i przetrzymał wiatr i niepogodę, ale bardzo szybko, przy najlżejszym choćby dotyku może się zamknąć w sobie.

– Lise, musisz mi pomóc – zaczęła i uświadomiła sobie, że może mieć przed sobą morderczynię.

To Lise mogła zabić swoją matkę i Esther Rantzen, a potem wysłać tamtego maila do niej. Wprawdzie wydawało się nieprawdopodobne, aby ta chuda dziewczyna potrafiła się posłużyć narzędziem zbrodni, ale dane się zgadzają: jest motyw, a fakt, że ukrywa się przed policją i urzędnikami, nie przemawia na jej korzyść. Dicte poczuła pod skórą ostrzegawcze ukłucie, ale je zignorowała. Zdecydowała się zaryzykować i teraz nie mogła się wycofać.

– Osoba, która zabiła twoją matkę, grozi, że zamorduje również mnie. Zamierzam zrobić wszystko, aby znaleźć tego człowieka.

Dziewczyna wyglądała tak, jakby jej nie wierzyła. Ona najwyraźniej też nie czyta gazet.

– To nie ja.

– Nie uważam, że to ty.

– Ale policja tak myśli.

Dicte pokręciła głową.

– Policja nic nie myśli. Ale to prawda, szukają cię i pewnie masz tego świadomość. W końcu cię znajdą i wówczas to, że się ukrywasz, będzie wyglądało bardzo podejrzanie. Może znajdziemy sposób, aby ci oszczędzić całej masy kłopotów.

Lise zaciągnęła się papierosem. Dicte widziała, jak wciąga dym do samego końca, a potem powoli go wypuszcza. Pochyliła się nieco w jej stronę i spróbowała nawiązać kontakt wzrokowy.

– Gdzie byłaś tamtej nocy, kiedy twoja mama została zabita, a stajnia spłonęła? W nocy z pierwszego na drugiego lutego? Lise, musiałaś przecież myśleć o tamtej nocy niezliczoną ilość razy.

Dwoje czujnych oczu długo się jej przyglądało.

– Chcę tylko, żeby mnie zostawiono w spokoju – powiedziała wreszcie. – Chcę móc być sobą.

Dicte pokiwała głową.

– Doskonale to rozumiem – powiedziała, słysząc gorycz we własnym głosie. – Chcę tego samego. Ale dostałam maila, w którym ktoś napisał, że czeka mnie śmierć przez powieszenie i siekiera wbita w głowę, dokładnie to, co spotkało twoją matkę.

Dziewczyna zaczęła nerwowo mrugać, na bladej twarzy odbijało się przerażenie i niepokój. Dicte zrozumiała, że trzeba drążyć dalej.

– Wyobraź to sobie. Żyjesz w ukryciu, ale jedynie przed sobą samą, a ściga cię tylko policja. Ja natomiast jestem ścigana przez kogoś, kto chce mnie zabić w niesłychanie brutalny sposób. Kogoś, kto pewnie już teraz z upodobaniem wyobraża sobie, jak to robi. Jaki dźwięk wyda moja

rozłupywana czaszka. Jak będę wyglądała, wisząc na haku w suficie. Tak jak twoja mama. Lise. Jak będę wyglądała z siekierą w głowie. Tak jak ona, kiedy Rose ją znalazła.

Lise znowu otworzyła usta. Wzrok miała wbity w pustkę. Dicte mówiła dalej.

– Nie wierzę, że masz z tym cokolwiek wspólnego. Być może jestem naiwna, ale nie wierzę, że byłabyś zdolna do takiego bestialstwa. Jesteś po prostu nastolatką, która chce decydować o własnym życiu. Ale możliwe, że posiadasz jakieś informacje. Albo cokolwiek, choćby tylko przeczucie, które mnie naprowadzi na właściwy trop.

Znów pochyliła się do przodu i patrząc Lise prosto w oczy, z wszystkich sił próbowała się przedrzeć przez warstwy młodzieńczego buntu pomieszanego z wrażliwością i gniewem.

– Rose to moje dziecko. Jeśli umrę, ona straci matkę dokładnie tak jak ty. Ona cię polubiła. Być może jesteś w stanie temu zapobiec.

Wargi Lise miękko zamknęły się wokół filtra, ale kiedy wyjęła papierosa z ust, stały się cienką kreską, a w spojrzeniu dziewczyny kryła się prowokacja.

– Dlaczego miałyby mnie obchodzić Rose?

Dicte spuściła powieki do połowy. Miała nadzieję, że trafnie odczytała to, co zobaczyła.

– Bo ona mogłaby być tobą. O tym właśnie pomyślałaś, prawda? Kiedy usłyszałaś, że twoją matkę znalazła siedemnastoletnia dziewczyna. Że to mogłaś być ty i zapragnęłaś ją poznać. Nie tylko po to, aby się dowiedzieć, co się stało z twoją matką i jak została znaleziona, ale także dlatego, żeby poznać reakcję Rose. To z tego powodu ją śledziłaś, prawda?

Jeśli istnieje jakiś sposób, by do niej dotrzeć, to ten, który znalazłam, pomyślała Dicte. W lustrzanym odbiciu losów tych dwóch młodych dziewczyn i tym, jak ich życie się zmieniło, kiedy dorośli podjęli za nie określone decyzje. Rose musiała się uporać z ich rozwodem i kurczowo uchwyciła się Jana. Lise wbrew swojej woli wychowywała się w sekcie, której członkowie najpierw stali się dla niej rodziną, a potem ją zniewolili.

– Coś was łączy – wyjaśniła Dicte. – Obie postanowiłyście wziąć życie we własne ręce w akcie sprzeciwu wobec rzeczywistości, jaką wam narzucono. Również fizycznie jesteście podobne. To chyba zauważyłaś sama.

Usta Lise nieznacznie się poruszyły. Kreska ponownie się zaokrągliła. Dziewczyna spuściła wzrok i strzepnęła popiół na podstawkę pod doniczkę. Kiedy ponownie spojrzała na Dicte, oczy miała szkliste i wielkie jak spodki.

– Kochałam mamę – powiedziała głosem podniesionym od emocji. – Również jej nienawidziłam, ale przede wszystkim ją kochałam.

Dicte pokiwała głową. To oczywiste. Można się kłócić. Robić sobie wyrzuty. Odciać się. Można się czuć zdradzonym i niekochanym, ale mimo wszystko się kocha. Raz jeszcze przeżyła tamte minuty nad otwartym grobem ojca. I raz jeszcze poczuła w sobie niesłabnącą nigdy nadzieję na pojednanie.

– Był pewien mężczyzna – zaczęła Lise wreszcie nieco spokojniejszym tonem. Swoje słowa kierowała do trzymanego w ręce papierosa. – Zaczął przychodzić do nas do Åbyhøj.

– Do Bożych Kwiatów?

Lise przytaknęła.

– Chciał się do nas przyłączyć, ale wydawało się, że tam nie pasuje. I choć próbował to ukryć, widziałam, że bardzo się interesował mamą. Ale nie tak, jakby się zakochał. W tym jego zainteresowaniu było coś nieprzyjemnego.

– W jakim sensie nieprzyjemnego? Chcesz powiedzieć, że jego zainteresowanie było podejrzanе?

Lise dobrze się namyśliła, a potem skinęła głową.

– Na przykład siedział z boku i gapił się na nią, kiedy nie widziała. Miał ładne oczy, ale czasem było w nich coś takiego, że człowieka przechodziły ciarki.

Dicte w spojrzeniu Lise dostrzegła złość, smutek i rozpacz jednocześnie.

– Był od niej znacznie młodszy. Tłumaczyłam jej, że jest głupia, jeśli myśli, że on ją traktuje poważnie. Chciałam, żeby uważała, ale ona, zaślepiona, wciąż tylko próbowała mu się przypodobać, za każdym razem.

– Jak się nazywał? Pamiętasz?

Lise pokręciła głową.

– Nazwiska nie znam. Ale na imię miał Klaus. Tak się w każdym razie przedstawił – sprecyzowała.

– A dlaczego uważasz, że jego zainteresowanie twoją mamą nie mogło być szczere?

Lise machnęła gwałtownie ręką, aż popiół spadł na podłogę. Nastoletnie oburzenie wyrażone świetlistym łukiem żaru papierosa.

– Niech mnie pani nie rozśmiesza. Mama była stara i zaniedbana. Nie farbowała włosów i chodziła w płaskich butach. A on wyglądał super. Mógł mieć każdą.

– Czyli był przystojny?

Lise pokiwała głową.

– Prawie jak Brad Pitt.

41

Wagner otworzył drzwi swojego domu i wszedł do przedpokoju.

Zanim z teczką pod pachą wtarabanił się do środka, pojawił się kot i zaczął się ocierać o jego nogawki. Komisarz chciał coś powiedzieć, zawołać, że jest w domu, jak to robią w filmach ojcowie po ciężkim dniu w biurze, ale słowa utknęły mu w gardle, kiedy uderzyła go panująca wewnątrz pustka. Nikogo nie było. Wagner uzmysłowił sobie, że w normalnych warunkach nawet by się ucieszył, że będzie miał chwilę spokoju, którego czasem mu brakowało. Teraz jednak nic nie wydawało się normalne. Wszystko stanęło na głowie. Złapał się na tym, że brakuje mu oparcia. A może po prostu poczucia spełnienia i bycia kochanym.

Odwiesił płaszcz na wieszak w korytarzu i zdjął buty. Potem poszedł do sypialni i tam w oczy uderzył go porządek. Ani jednej rzuconej niedbale skarpetki, nigdzie nie dostrzegł żadnego buta. Błękitna narzuta leżała równiutko i lśniła jak gładka sierść jakiegoś zwierzęcia. Wszędzie pachniało sterylną czystością. Przypomniał sobie, że dziś był dzień sprzątanego. Vibe Rasmussen z pewnością była tu z wiadrem, szmatą i odkurzaczem. I usunęła wszelkie ślady ludzkiej bytności w tym domu, jak sprawca zbrodni ukrywa swoje ślady przed technikami. Przeszedł przez wszystkie pokoje. Zabawki Martina leżały w jednym rogu salonu i nawet pokój Alexandra został starannie wysprzątnięty.

W salonie na szklanym stoliku Idy Marie w wazonie stały świeże kwiaty, a gazety leżały na stojaku przy kanapie. Poduszki wytrzepano i ułożono w równym rzędzie, a lawendowy koc złożono równiutko do milimetra i przewieszono przez jasnoszare oparcie kanapy. Dekorator z Bo Bedre nie zrobiłby tego lepiej, pomyślał z goryczą i zapragnął usłyszeć w salonie głos Idy Marie i gaworzenie Martina, a także poczuć spokój na myśl, że Alexander jest w swoim pokoju i odrabia lekcje albo pochłania go krowa

walka dobra ze złem w *Gwiezdnym wojnach*. Ale w domu nie było nikogo. Teraz sobie przypomniał, że Anne obiecała zająć się Martinem, bo Ida Marie miała jakieś wieczorne spotkanie biznesowe, a Alexander był u jego siostry, Hanne, która mieszkała kilka domów dalej na tej samej ulicy. Przypomniał sobie również, że przecież się cieszył na myśl, że wróci do domu i będzie miał ciszę i spokój. Że będzie mógł usiąść w fotelu, posłuchać muzyki i odpłynąć myślami. Ale było wpół do dziewiątej, a on był wykończony. Jego ciało domagało się drugiego ciała. Pragnął nie tyle seksu, ile poczuć wokół siebie czułe ramiona i czyjeś bicie serca tuż przy swoim. Chciał się znaleźć wśród żywych ludzi, którzy kochają i mówią czułe słowa. Ludzi rozumiejących, że jak każdy policjant on także czuje się czasem, jakby stał w rozkroku między królestwem żywych i umarłych.

– Żałosne – mruknął do siebie i w ślad za kotem ruszył do kuchni. Kot przemykał między jego nogami i głośno obwieszczał swój głód, albo może zwykłe łakomstwo.

– Dobrze już, dobrze.

W głębi szafki Wagner znalazł starą puszkę z kocim gulaszem ukrytą przed Idą Marie, która skonfiskowała wszystkie pozostałe i zastąpiła gulasz nudną suchą karmą. Komisarz uśmiechnął się, przekładając zawartość do miski. Dorsz i makrela. Ida Marie toczyła krucjatę o zdrowe jedzenie dla kota, ale sama nie miała większych oporów przed zamawianiem pizzy w budce za rogiem.

Kiedy postawił miskę na podłodze, kot odwdzińczył się, czule gryząc go w rękę.

Wagner wyjął z lodówki piwo i zrobił sobie kanapkę. Zabrał to wszystko do salonu, gdzie puścił VII symfonię Beethovena. Nieczęsto jej słuchał. Jak wiele klasycznych dzieł trzeba ją było oszczędzać, aby dźwięki się nie zużyły, aby wybuchowa gwałtowność pierwszej frazy i jej ekstatyczne powtórzenie we frazie wolniejszej nie rozmyły się w mgłę banalności. Utwór na szczególne okazje. Dni takie jak ten, kiedy w myślach wrzały wszystkie krwawe szczegóły jego codzienności, więc żeby się nie załamać, był zmuszony zbombardować swoją głowę zmasowaną dawką piękna o sile równoważącej brutalność zbrodni. Tu nie wystarczał Bach ani Mozart.

Wagner westchnął i zamknął oczy, opierając kark na wytartej tapicerce fotela. Tym razem jednak nawet Beethoven nie potrafił rozproszyć jego myśli. Wypływały na wierzch – tak to się działo ostatnimi czasy, gdy próbował zapomnieć o pracy i się wyłączyć. Inger Graugaard leżąca w zimnym bagnie i Esther Rantzen o jasnych włosach posklejanych krwią i ze sterczącą rękojęścią siekiery wciąż tkwiącej w jej głowie, podczas gdy jej syn siedział ukryty pod łóżkiem na górze. Co widział? Nie udało im się od niego wyciągnąć ani słowa.

Za to na poranną odprawę Dicte Svendsen przyprowadziła im Lise. Musiał przyznać, że tu faktycznie posunęli się spory kawałek do przodu. To ich wszystkich podniosło na duchu, choć niektórym było trochę wstyd, że dziennikarka wykonała tę pracę za nich. On sam jednak już dawno się przekonał, że szkoda energii na małostkowość. Nie stać ich było na odrzucanie jakiegokolwiek pomocy, podobnie zresztą jak nie mogła sobie na to pozwolić Dicte. O tym, że jej córka doprowadziła ich do Lise, zdecydował szczęśliwy traf, którego nikt nie mógł przewidzieć.

Wziął kęs kanapki z serem, ale okazało się, że jednak nie ma na nią ochoty, więc odłożył talerz z powrotem na stolik. Beethoven zaczął drugą frazę, a on siedział nieruchomo i dał się porwać strumieniowi muzyki i tęsknocie za Idą Marie. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że jej spotkanie było ważne, ale mimo wszystko czuł się trochę tak, jakby go chciała ukarać, albo przynajmniej na jakiś czas przytrzymać na dystans. Wiedziała przecież, że bije się z myślami po tym, jak mu powiedziała o dziecku. Wiedziała też, że odczuwa zdecydowany opór, a myśl o braniu na siebie jeszcze większej odpowiedzialności wyraźnie mu ciąży. Chciałby wrócić do tamtej rozmowy i powiedzieć, że powinni po prostu to zrobić, a wszystko jakoś się ułoży. Jednak miał wrażenie, że sprawa, którą prowadzi, stanęła mu na przeszkodzie, jakby logika zabójcy przeniknęła do jego własnej świadomości i sprawiła, że widział przyszłość wyłącznie w ciemnych barwach.

Wziął spory łyk piwa. Wyobraził sobie, jak napój spływa na samo dno jego ciała, a alkohol zaczyna działać, sprawiając, że robi się bardziej ociężały i bardziej beztroski. Uważał, że groźba skierowana do Dicte wyraźnie nakreśliła motyw. Kobiety, które sprawca uważał za złe matki, musiały zostać ukarane. Nawet jeśli w kluczowym momencie swojego życia nie miały

innego wyjścia i musiały tak postąpić. Matki, które porzuciły swoje dzieci, i takie, które pozwoliły, aby otoczenie bądź okoliczności wzięły górę nad miłością do dziecka. Matki, które się znęcały i które wypłacały miłość w czekach bez pokrycia. To było potworne i chore, i stanowiło ten rodzaj sprawiedliwości, którym zawsze się brzydził. Sąd uliczny odbywający się w żadnym zemsty umyśle jednego człowieka. A jednak to rozumowanie zabójcy gdzieś tam znajdowało odbiór w jego własnej głowie. Mimo wszystko potrafił w jego myśleniu dostrzec źdźbło sprawiedliwości i gardził sobą za to. Bo przecież gdyby morderca jego ocenił tak samo jak te kobiety, on także by zginął. A także dlatego, że rozumowanie zabójcy – choć przyznawał to ze wstydem i zgrozą – wydawało mu się słuszne.

Wstał z fotela. Beethoven zasługiwał na więcej uwagi, niż był w stanie mu poświęcić. Wyłączył wieżę i schował płytę do pudełka. Potem założył płaszcz i buty i wyszedł z domu, wystawiając się na zimno i wilgoć.

Idąc w stronę domu Hanne z wiatrem wiejącym w plecy, myślał, że właściwie powinien się cieszyć. Lise miała alibi na tę noc, gdy zabito jej matkę. Sprawdzili je i wyglądało na to, że rzeczywiście cały wieczór i noc spędziła w towarzystwie dziewczyny poznanej w sekcie, a obecnie mieszkającej u swojego ojca przy Assensgade. Mieli też podejrzanego, a raczej domniemanego imię potencjalnego sprawcy. Lise zgodziła się z nimi współpracować pod warunkiem, że zapewnią jej własny kąt, a opieka społeczna da jej spokój. Z tym nie będzie problemu. Została wprawdzie odebrana matce i przekazana pod kuratelę państwa, ale śmierć Inger wszystko zmieniała. Szkoda tylko, że Lise nie zorientowała się wcześniej, jak ważny jest jej wkład w sprawę, i od razu nie przekazała im swoich informacji, zamiast ukrywać się w przekonaniu, że policja zamierza odebrać jej wolność, dla której tak wiele zaryzykowała.

Westchnął głęboko. Być może tak właśnie jest, kiedy się jest młodym, pomyślał, choć nie potrafił sobie tego przypomnieć. Wiedział jednak z doświadczenia, że młodzież obawia się policji, nawet jeśli nie ma ku temu powodów.

Hanne wypatrzyła go przez okno w kuchni, przy którym stała, myjąc naczynia.

– A czemuż to zawdzięczamy ten zaszczyt?

Otworzyła mu szeroko drzwi i Wagner wiedział, że właśnie wpuszcza do swojego domu chłód.

– Pomyślałem, że Alexander może chciałby już wrócić do domu.

Popatrzyła na niego, jakby mu nie wierzyła, a on stał chwilę i wdychał zapachy. W domu Hanne i Karstena nie pachniało czystością, tylko świeżo usmażonymi klopsikami. Przez korytarz prawie nie dało się przejść, tyle się tam walało butów w najróżniejszych rozmiarach, i można było ogłuchnąć, bo trzech chłopcy w wieku siedmiu, dziesięciu i jedenastu lat urządzali sobie właśnie zabawę, której elementem były głośne wrzaski, jakby je wzięli z komiksowych dymków.

– Ale on myśli, że zostaje u nas na noc – przypomniała mu z belferską pewnością siebie, która pojawiła się u niej, kiedy zaczęła żyć wśród dzieci zarówno w domu, jak i w przedszkolu. – Przecież tak się umawialiśmy.

Zaprowadziła go do kuchni, gdzie usiadł na taborecie, nie zdejmując płaszcza.

– Naprawdę? – zapytał głupio, bo doskonale wiedział, że tak. Coś jednak kazało mu iść w zaparte. Alexander jest przecież jego synem, do diabła.

– Może zanocować u was innym razem – zaproponował Wagner. – Możesz mu powiedzieć, że po niego przyszedłem?

Hanne wskazała głową korytarz i schody na piętro.

– Dlaczego sam nie pójdziesz na górę i z nim nie pomówisz?

To jednak okazało się zbyteczne, bo nagle usłyszeli na schodach głośne kroki i Alexander wsunął do kuchni małą czarną głowę. Wagner spojrzał w zmartwione oczy syna.

– Tato, co się stało?

Nim Wagner cokolwiek odpowiedział, zdążył pomyśleć, że chyba naprawdę coś jest nie tak, skoro człowiek przychodzi po swoje dziecko, a ono od razu myśli, że dzieje się coś złego. Odchrząknął i już miał się odezwać, kiedy Alexander go uprzedził:

– Tak fajnie nam się bawi.

Z piętra dobiegało pokrzykiwanie oraz odgłosy imitujące wybuchy i strzelaninę, a po chwili usłyszeli Johanna, syna Hanne:

– Alexaaander! No chooodź!

Alexander przez chwilę przestępował z nogi na nogę, zerkając ku schodom. Wagner nie był w stanie wydusić słowa, więc w milczeniu patrzył, jak jego syn z przeproszającym uśmiechem wycofuje się na górę.

– No dobra, to do jutra, tato. Skoro nic się nie stało – dodał.

Wagner pokręcił głową na znak, że wszystko jest w porządku, choć zrobił to wbrew sobie. Bo oczywiście, że coś się stało. Świat stanął na głowie, skoro jego syn wolał być w innym domu niż swój własny.

– Dojrzewa.

Hanne powiedziała to pocieszającym głosem, doskonale odczytawszy wyraz jego twarzy. Zawsze tak było. Praktyczna, trzeźwo myśląca Hanne, która umiała odgadnąć, co czują jej bliscy i dlaczego.

– Zanedbuję go.

Hanne podeszła do okna i zaczęła wycierać parapet zastawiony doniczkami z ziołami i rzeżuchą.

– Nic mu nie jest – powiedziała, nie odwracając się. – Jest szczęśliwy. Bawi się z rówieśnikami i nie ma problemów w szkole. – Odwróciła się i dodała: – Czego chciałbyś więcej?

No właśnie: czego chciałby więcej? Może mniejszego poczucia winy. Może bardziej chodziło mu o niego samego niż o Alexandra. Popatrzył na siostrę. Miała jasną karnację ich matki i jej łagodność. Dzieci i zwierzęta instynktownie się do niej garnęły, zawsze tak było. Podobnie zresztą jak młodzież i dorośli, którzy często się jej radzili. Czasem się zastanawiał, do kogo ona zwraca się po radę. Ale miała przecież Karstena – potężnego, dobrodusznego Karstena, który pracował w opiece społecznej i umieszczał dzieci w placówkach opiekuńczo-wychowawczych. Nie była to najweselsza praca na świecie, a jednak Karsten cudownym sposobem niemal zawsze był w dobrym nastroju.

– Czy jako rodzice nie powinniśmy się trochę bardziej starać? – rzucił w przestrzeń, właściwie mimowolnie, bo nie chciał powiedzieć tego, co jednak po chwili dodał: – Czy nie jest naszym obowiązkiem poświęcać im trochę więcej czasu?

Hanne wzięła się pod boki. Wyglądała tak, jakby ktoś dał kawalerii sygnał do ataku.

– Chciałbyś wysłać kobiety do garów, tak?

Odwrócił wzrok. Hanne usiadła naprzeciwko.

– Nie da się cofnąć czasu – zaczęła. – I mogę cię zapewnić, że mit o zaniedbywanych dzieciach jest mocno przesadzony. Większość przedszkolaków to wesołe, szczęśliwe maluchy, które zanudziłyby się na śmierć, gdyby miały siedzieć w domu wyłącznie w towarzystwie mamy.

Pokręciła głową.

– Dlaczego nagle mówisz takie rzeczy? Chodzi o tę sprawę? O tych chłopców, którzy podpalili szkoły? Albo o śmierć tych kobiet?

– Zabójstwa – poprawił ją zmęczonym głosem.

– Złe matki – ciągnęła niezrażona i przewróciła oczami. – Dzięki, czytam gazety. W życiu nie słyszałam podobnego steku bzdur.

Nie mógł się nie uśmiechnąć. Hanne jak nikt umiała trafić w sedno.

– Ida Marie chce jeszcze jedno dziecko – wypalił.

Hanne zmrużyła oczy, jakby nagle zaczęła widzieć niewyraźnie. A potem się roześmiała i rozłożyła ręce.

– No to chyba musisz się wziąć do roboty!

Nim zdążył cokolwiek powiedzieć, podeszła do lodówki i wyjęła z niej piwo, które postawiła przed nim.

– Wyglądasz na zmęczonego. Pewnie nie będzie miała z ciebie wielkiego pożytku do zakończenia śledztwa – powiedziała, jak zwykle nie zważając na kurtuazję. – Ta sprawa cię wykańcza.

I znów nie zdążył zareagować, bo oto z salonu wszedł Karsten i patrzył

na nich pytająco.

– Wydawało mi się, że coś słyszałem.

Stał przez chwilę w drzwiach, zastanawiając się, co zrobić ze swoim wielkim ciałem, ale w końcu przysunął sobie krzesło i usiadł przy stole. Wskazując głową butelkę, dodał:

– Wyglądasz, jakbyś tego potrzebował.

I już zaczął się podnosić, pewnie po to, żeby sobie również wziąć piwo, ale Hanne się domyśliła i postawiła przed nim butelkę i szklanę, wsypała do miski chipsy, z których Ida Marie zrezygnowała całkowicie, bo to przecież czyste bomby tłuszczu, i przysiadła się do nich z kieliszkiem czerwonego wina.

– Jak idzie śledztwo? Czy nie możesz o tym mówić?

Wagner przez chwilę się nie odzywał, czekając, aż w jego ustach wybrzmi smak łyku piwa i dwóch chipsów. Zazwyczaj nie rozmawiał o pracy z nikim poza Idą Marie i nawet wtedy z reguły ostrożnie dawkował jej informacje. Było jednak coś magicznego w tej kuchni. Cały dom zresztą miał w sobie jakiś spokój, pomimo wrzasków dzieci i hałasu sprzętów domowych. Atmosfera zachęcała do rozmowy. Wagner poczuł, jak słowa powoli się z niego wylewają, i wydarzenia ostatnich dni zostały wyłożone na stole przykrytym ceratą w czerwoną kratkę. Opowiedział o Dicte i tym, że jej grożono, o czym oni oczywiście wiedzieli z mediów. O znalezieniu ciała Esther Rantzen i o wyjaśnieniach Lise. Tych dwoje ludzi, których bardzo cenił, choć zbyt rzadko widywał, słuchało go uważnie.

Kiedy skończył, Karsten przyglądał mu się bacznie, pijąc powoli swoje piwo.

– U nas w pracy mawiamy, że trzeba śledzić przemoc – powiedział w końcu.

Wagner spojrzał na niego pytająco.

– Gdy analizujemy sytuację zaistniałą w rodzinie, zwykle jak po czerwonej nitce jesteśmy w stanie prześledzić przemoc aż do samego jej źródła. Często kilka pokoleń wstecz.

Ostrożnie odstawił szklanę na stół.

– Ale wy pewnie już to zrobiliście – dorzucił Karsten. – Sprawdziliście przeszłość tych rodzin i te rzeczy.

Wagner przytaknął. Owszem, sprawdzili. Prawda? Spojrzał na zegarek i zaczął się zbierać do wyjścia.

– Powinienem już iść.

Hanne odprowadziła go do drzwi. Przez chwilę myślał, że chce mu dać krótki wykład, zanim go wypuści na mróz. Zapewnić go, że jest dobrym ojcem i spokojnie może sprowadzić na świat kolejne dziecko. Ograniczyła się jednak do wyściskania go, po czym puściła go wolno na zewnątrz, gdzie marznący deszcz smagał go po twarzy.

Gdy następnego ranka przeglądał gazetę, a Ida Marie i Martin gaworzyli ze sobą, siedząc po przeciwnych stronach stołu, bardzo długo przyglądał się portretowi pamięciowemu poszukiwanego mężczyzny stworzonemu na podstawie rysopisu, jaki im podała Lise. Kim może być? Dlaczego wszedł w życie Inger Graugaard? Dlaczego uwolnił drzemiące w sobie zło i brutalnie zabił dwie kobiety? O ile to faktycznie był on.

Pozwolił myślom biec własnym torem, a twarz na jego oczach powoli się przemieniała, rysunek stawał się człowiekiem z krwi i kości. Mężczyzna wyglądał na przystojnego. Mocno zarysowana szczeka, zdecydowane spojrzenie. Wagner pomyślał o tym, co mu poradził Karsten. Prześledzić przemoc. Wtedy przypomniał sobie Karen Graugaard i to, jak zmroziła go jej opowieść o dzieciństwie jej i Inger.

Musi jak najprędzej odwiedzić dom opieki w Tilst.

Karen zawsze liczyła razy. Może po to, aby zająć czymś myśli, uchwycić się czegoś. A może gromadziła w ten sposób amunicję, by być przygotowaną, kiedy przyjdzie czas zapłaty. Bo nadejdzie dzień, w którym on zapłaci za to wszystko – dla tego dnia żyła. Miała dziesięć lat i wiedziała już, jak smakuje nienawiść i jak działa na nią od wewnątrz i na zewnątrz. Czuła, jak powoli zjada ją od środka, niczym robak, który wgryza się w jabłko. I zdawała sobie sprawę, że zatruwa całe jej życie. Może właśnie z tego powodu najbardziej na świecie bała się nienawiści. Bo była pewna, że właśnie ona bardziej niż cokolwiek innego może któregoś dnia zabić zarówno ją, jak i Inger.

Leżąc w łóżku obok Sørena i śniąc koszmar, w którym czuła, jak padają kolejne ciosy, nagle, w samym środku kaźni, zdała sobie sprawę, że to właśnie jest majak. Że się obudzi, a wtedy zastanie koszmar jeszcze potworniejszy, i jeśli ma go przetrwać, musi żyć z minuty na minutę, z dnia na dzień. Całe jej ciało krzyczało z bólu i tęsknoty i jak zawsze wzywała na pomoc matkę. Ale we śnie odpowiadał jej głos ojca i to jego ręka ją uderzała.

– Ale z ciebie cholerna papla. Człowiek tylko się odwróci, a ta już zaczyna nadawać. Czy ci nie mówiłem, że masz trzymać buzię na kłódkę?

Nie czuła, aby zrobiła coś złego. Zapomniała tylko zasłonić siniaki na prawej ręce i sąsiadka przyszła, żeby powiedzieć coś ojcu do słuchu. Karen błagała ją, by tego nie robiła, ale Marie nie dało się przemówić do rozumu.

– Wstydz się, Jørgenie Graugaard! Żeby bić małe, bezbronne dziewczynki? Jeśli jeszcze raz zobaczę, że to zrobiłeś, to pójdę na policję.

Ale tego nie zrobiła, bo jej mąż, Jens, dzierżawił od Jørgena spory kawałek wyjątkowo żyznej ziemi, z której zawsze były dobre plony. Szkoda byłoby naruszyć ten układ.

Padaly kolejne razy. Plecy miała obolałe, a w nogach i ramionach straciła niemal czucie. Odnosiła wrażenie, jakby się wyslizgiwała, odpływała gdzieś daleko od niego i czuła, jak powoli zamykają jej się oczy.

– I co, teraz będziesz udawać martwą? – warknął, ale jego ręka mimo wszystko zwolniła tempo. – Nie myśl, że to ci pomoże.

A jednak pomogło, gdy ciemność się nad nią zamknęła. Pomogło, kiedy się przestraszył.

Dotyk był ostrożny, lecz obudziła się przerażona. Pościel była pomięta i zwinięta w ciasną kulkę, a ona leżała zlane potem.

– Znów miałaś koszmary?

Szept Sørena wibrował w ciemności. Tak dobrze ją znał. Wiedział również, że jeszcze nie wolno mu zbyt do niej zbliżyć.

Dlatego znalazł tylko jej dłoń pod kołdrą i uściśnął delikatnie.

– To minie – powiedział, na próżno starając się ją pocieszyć. – Zawsze jest gorzej, kiedy sytuacja staje się napięta. I teraz ta historia z Lise...

W ustach miała sucho i cała była sztywna, jakby ktoś złamał ją w połowie. Z wdzięcznością wzięła z jego rąk szklanekę z wodą. Potem położyła głowę na poduszce i czekała, aż życie powoli do niej wróci.

– Ten policjant tu był. Mówiłam ci?

Przysunął się bliżej, pościel zaszeleściła. Głaskał ją po dłoni.

– Czego chciał?

Karen poprawiła poduszkę, żeby wygodniej oprzeć na niej kark.

– To było, zanim znaleźli Lise – powiedziała w przestrzeń i znów przypomniała sobie sen. – Opowiedziałam mu o ojcu – dodała po chwili. – Nigdy jeszcze nie mówiłam o nim nikomu poza tobą.

Søren westchnął. Karen usłyszała również stłumione ziewnięcie, ale o piątej rano to chyba nic dziwnego.

– Powinnaś była to zrobić. Rozmawiać o tym z innymi ludźmi prócz mnie.

Odwróciła się do niego.

– Nie potrafiłam. Do tej pory. To jakbym miała żywcem samą siebie obdrzeć ze skóry i stanąć przed drugim człowiekiem całkowicie odsłonięta.

– Ale jemu umiałaś to powiedzieć?

W jego pytaniu nie było śladu zazdrości, pobrzmiwało raczej zdumienie. Karen przełknęła ślinę. Przypomniała sobie dźwięki fortepianu, jakie słyszała, stojąc w kuchni i robiąc dla nich kawę.

– Zagrał Bacha – odpowiedziała i zdawało się, że Sørenowi to wystarczyło, bo o nic więcej nie pytał. Przysunął się jeszcze odrobinę bliżej, nie wypuszczając jej ręki.

– Śpij – mruknął i już go nie było.

Sen nie opuszczał jej aż do południa i właściwie wciąż nie do końca czuła się obudzona, kiedy zadzwonił telefon.

– Mówi Wagner. Nie przeszkadzam?

– Siedzę nad preludium Bacha, ale on może chyba poczekać.

W słuchawce zatrzeszczało, kiedy Wagner odchrząknął.

– Chodzi o pani ojca. Chcielibyśmy z nim porozmawiać. Czy ma pani coś przeciwko temu?

Mogła się tego spodziewać, a jednak poczuła tępy ból w miejscu, w którym we śnie padały ciosy wymierzone jego ręką. Szukała jakiejś wiarygodnej wymówki, być może trochę za długo, bo komisarz dorzucił:

– Jeśli sobie pani tego życzy, może pani być przy naszej rozmowie. Lecz o ile mi wiadomo, nie jest ubezwłasnowolniony.

Opuściła ramiona i przypomniała sobie o nienawiści, o tym, jak z nią walczyła i jak wciąż przegrywała tę bitwę. Pomyślała też o swojej matce. Przez te wszystkie lata ona, Karen, próbowała zachować to w rodzinie, tak jak obiecała matce. Teraz, kiedy jej się to nie udało, ze zdumieniem stwierdziła, że nie czuje wstydu. Tylko nienawiści się bała.

– Możecie spróbować – powiedziała wreszcie. – Ale niełatwo z nim rozmawiać. Ma dość zaawansowaną demencję, a wiadomość o śmierci Inger

jeszcze ją pogłębiła.

Głos w słuchawce był ciepły i łagodny – Karen poczuła wdzięczność do tego człowieka.

– Zdaję sobie sprawę, że to nie jest dla pani łatwe. Obiecuję, że zachowamy dyskrecję.

– Ale co chcecie...?

Nie wiedziała, jak dokończyć to pytanie, więc zrobił to za nią.

– Co chcemy przez to osiągnąć? Być może jakieś rozwiązanie. A może tylko zdobyć kolejny kawałek układanki. Oczywiście nie jest podejrzanym, nie o to chodzi.

O nic więcej nie pytała, a on więcej nie powiedział.

Jadąc do kościoła, żeby poćwiczyć, miała nadzieję, że skończy się tak, jak zresztą w głębi serca czuła, że się skończy. Że wrócą z niczym i zrozumieją, że to ślepy trop i nie warto nim iść. Rozumiała oczywiście, że chcą spróbować. Starali się powiązać ujawnione przez nią samą cierpienie z dzieciństwa z cierpieniem, które rozgrywało się obecnie. Tak uczyła współczesna psychologia. To śmieszne, powiedziała do siebie, wjeżdżając na plac przed kościołem. Strata czasu i zasobów policyjnych w sytuacji, gdy zabójca wciąż chodzi na wolności.

Wysiadła i wyjątkowo głośno trzasnęła drzwiami. Polubiła Johna Wagnera i szanowała jego wnikliwość jako śledczego, ale może jednak nie powinna była mu opowiadać o starych dziejach. W dzisiejszych czasach ludzie mają skłonność do doszukiwania się źródeł wszystkiego w dzieciństwie i zwalniania od odpowiedzialności przestępców, dla których nie było ono lekkie. Jej ojciec jednak nie był żadnym przestępcą.

Gdy szła od samochodu do kościoła, w jej głowie panowała absolutna cisza. Karen stąpała ostrożnie, żeby się nie przewrócić na cienkiej warstwie lodu, taszcząc teczkę z nutami. Zapowiadali ocieplenie, ale najwyraźniej jeszcze tu nie dotarło.

Dopiero kiedy otwarła ciężkie drzwi do przedsionka, poprawiła się w myślach: on nie był tego rodzaju przestępcą, jakiego szukali.

Lubiła ćwiczyć w pustym kościele. Uwielbiała siłę, z jaką dźwięki wydobywały się z piszczałek, wypełniały przestrzeń i omiały wszystko – ławy, ściany, światło padające z wysokich okien, samotną kazalnicę i subtelne zdobienia ołtarza autorstwa Emila Gregersena. To tutaj osiągała stan najbliższy szczęściu, a w każdym razie pojednaniu. To tu miewała swoje najlepsze chwile, gdy nienawiść rozpraszała się i z ciężkiej lodowej kuli, którą stale w sobie nosiła, zmieniała się w coś płynnego i ciepłego.

Pomyślała o tym, gdy jej palce przesuwają się po manuale, a stopy naciskają odpowiednie klawisze pedału, dziergając ścieżki preludium Bacha i tworząc z nich muzyczną całość z wszystkimi ozdobnikami i modulacją. Sørenowi byłoby przykro, dlatego nigdy mu nie powiedziała, że choć jest ważną częścią jej życia, to jednak znacznie trudniej byłoby jej żyć bez muzyki, kościoła i tej przestrzeni oraz nadziei na spokój, jakie ze sobą niosą.

Lecz zdarzały się również chwile, gdy miała wrażenie, że melodia odsuwa się od niej niczym chimeryczny kochanek. Gdy to pomyślała, mimowolnie uśmiechnęła się na takie porównanie, bo ona akurat nigdy nie miała żadnego kochanka i nigdy specjalnie nie lubiła seksu. Ale tak, rzeczywiście, zdarzało się, że nie potrafiła dostrzec w muzyce żadnej spójności i ogarniało ją poczucie bezsensu. Tak właśnie było z nią od dłuższego już czasu. Od śmierci Inger, kiedy Bóg się od niej odwrócił – ona wciąż go szukała, lecz znajdowała tylko dudniącą pustkę. Może tylko wtedy, kiedy stojąc u siebie w kuchni, usłyszała *Das Wohltemperierte Klavier* Bacha grane przez policjanta, na krótką chwilę znów poczuła sens.

Ostrożnie wygrywała dźwięki preludium i pozwalała im wybrzmieć, starając się znaleźć nic, która by ją poprowadziła. Wiedziała, że zawiodła i spotkała ją za to kara. Nie dość dobrze zaopiekowała się Inger i dlatego musiała się zmierzyć z surową brutalnością rozpacz i starą nienawiścią do ojca – zlepiły się one w jej żołądku w śniegową kulę, która nie chciała stopnieć. Ale czy mogła coś zrobić? Cokolwiek. Czy mogła się wyzwolić z tego uchwytu, który ścisnął ją tak mocno?

Długo tak siedziała, a organy wypychały w przestrzeń kościoła powietrze i dźwięki. Nie usłyszała, kiedy otworzyły się drzwi, ani kroków na schodach wiodących na chór, gdzie siedziała odwrócona plecami do pustej sali. Nie usłyszała też tłumionego oddechu i nie poczuła ciepła drugiego człowieka

stojącego tuż obok.

– Cześć.

Nie usłyszała nawet tego pierwszego słowa, dlatego Lise musiała podnieść głos i przekrzyczeć piszczałki.

– Ciociu!

Wzdrygnęła się, odrywając dłonie od manualu. W jednej sekundzie wszystko wokół runęło – dźwięk, powietrze i ściany.

– Ciociu – Lisa powtórzyła, tym razem łagodniej. Głaskała ją po plecach wstrząsanych płaczem.

– Przestraszyłaś mnie.

– Przepraszam. Nie chciałam.

Karen odwróciła się na ławie i spojrzała na bladą twarz Lise, na długie włosy, które tworzyły ramę wokół jej pięknego owalu. Wdzięczność przeturlała się przez jej ciało jak perliste szesnastki, które przed chwilą zagrała.

– Siedziałam właśnie, rozmyślając o nadziei – powiedziała – i nagle się zjawiłaś.

Lise usiadła obok niej na ławie. Ostrożnie dotknęła manualu i zagrała *Wyszły w pole kurki trzy*.

– Pamiętasz, jak uczyłaś mnie grać?

Karen się uśmiechnęła.

– Do pewnego momentu. Niespecjalnie cię to interesowało. Ale mimo wszystko jesteś muzykalna.

Lise wzruszyła ramionami i oderwała ręce od klawiszy. Potem sięgnęła do plecaka opartego o stół i czegoś w nim szukała. Karen rozpoznała należącą do Inger szkatułkę na biżuterię, kiedy Lise ją jej wręczyła.

– Chciałam tylko mieć coś, co do niej należało – powiedziała cicho Lise.
– Ale musiałam sprzedać złoty zegarek. Ten, który odziedziczyła po babci. Nie miałam pieniędzy.

Karen schowała kasetkę z powrotem do plecaka. Zastanawiała się, co oznacza pojawienie się Lise.

– To należy teraz do ciebie – wyjaśniła. – Możesz z tym zrobić, co tylko zechcesz.

Jej płacz zabrzmiał rozdzierająco i nadzwyczaj głośno, jego potęgę wzmocniała akustyka pustej przestrzeni. Szloch wstrząsał chudym ciałem Lise, więc Karen otoczyła ją ramieniem i teraz to ona była pocieszycielką.

– Przeczytałam w gazecie, że mama nie żyje. Nie miałam odwagi iść na policję. Wiedziałam, że będą myśleli, że to ja zrobiłam.

– Bzdura – skłamała Karen i przypomniała sobie o własnych podejrzeniach. – Przecież jesteś jeszcze dzieckiem. Ale teraz wszystko się wyjaśniło, możesz spokojnie wrócić do domu.

Lise podniosła wzrok na ciotkę. Na policzkach ślady łez lśniły jak małe strumienie.

– Do domu? – pokręciła głową, a Karen poczuła, że serce zamarło jej w piersi. – Raczej nie. Muszę zacząć własne życie.

Karen przypomniała sobie, że tak samo mawiała Inger, kiedy w końcu zostawiła za sobą dzieciństwo i wyprowadziła się z gospodarstwa. Pamiętała również nadzieję w głosie siostry i jej własny podziw, bo w tych słowach była wielka siła, taka, której ona nigdy w sobie nie znalazła. Własne życie, w pełni samodzielne i wolne od upiornych cieni bolesnej przeszłości. O tak, Inger przynajmniej zakosztowała życia zgodnego z własnymi wyborami.

Lise wyjęła z plecaka gazetę i ją otworzyła.

– Był, ciociu, pewien mężczyzna. Może Inger wspomniała o nim? Miał na imię Klaus.

Karen pokręciła głową, a Lise kartkowała gazetę. Inger była bardzo skryta, ale być może właśnie to powinno było ją zaniepokoić, bo to było do niej niepodobne. Może to właśnie powinna była powiedzieć Johnowi Wagnerowi.

Lise znalazła to, czego szukała, i podsunęła gazetę ciotce.

– Podałam im rysopis. Ale nie wiem, gdzie on jest ani jak ma na

nazwisko.

Karen od razu się zorientowała, że to przystojny mężczyzna. Kiedy uważniej przyjrzała się zdjęciu, uświadomiła sobie prawdę i poczuła, jak ta świadomość chwyta ją za gardło i zaciska się na nim coraz mocniej, aż trudno jej było oddychać. Szerokie czoło, niepokojące spojrzenie niebieskich oczu, wąskie usta. Być może nikt inny nie zwróciłby uwagi na to, co ona rozpoznała niemal od razu. Podobieństwo było uderzające i niezaprzeczalne, podobnie jak fakt, że nienawiść zwyciężyła.

43

– Ale tak szczerze, czy to nie lekka przesada?

Daidsen rzucił na stół gazetę i zaczesał do tyłu rzadkie włosy ruchem dłoni, który dobitnie wyrażał jego sceptycyzm wobec jej intuicji zawodowej, ale jeszcze dobitniej niepewność co do własnej przyszłości na stołku wydawcy regionalnego.

– Przesada?

Wszystkie mechanizmy obronne Dicte zostały uruchomione. Czyżby zamierzał się na niej mścić za to, że nie została zwolniona, na co on być może liczył?

– W jakim sensie „przesada”? – powtórzyła pytanie i odwróciła wzrok od ekranu, na którym czekała cała kolejka depeszy agencji Ritzau. Upubliczniono już wersję mówiącą, że Lise odnalazła dziennikarka, której domniemany zabójca groził śmiercią. – To chyba w gestii policji leży rozstrzygnięcie, czy istnieją podstawy do wszczęcia poszukiwań – ciągnęła. – Poza tym nie ma tu wzmianki, że mężczyzna jest podejrzanym.

Daidsen posłał jej kwaśne spojrzenie. Wreszcie wskazano kandydatów do zwolnień i jakimś cudem okazało się, że redakcję w Århus cięcia ominą. Jedynie stanowisko stażysty po wygaśnięciu umowy z Holgerem w maju zostanie zlikwidowane. Daidsen odebrał to jako osobisty afront i atak na imperium, które jak mu się zdawało, zbudował z dala od centrali.

– W takim, że nie bardzo rozumiem, dlaczego poświęcamy tyle miejsca na portret pamięciowy człowieka, który ma jedynie mglisty związek ze sprawą.

– Mglisty? Czy nie policja powinna to oceniać?

Wzruszył ramionami i z pochmurną miną spojrzał na rysunek mężczyzny. Dicte musiała przyznać, że wątek poszukiwanego rzeczywiście przedstawili

dość dobitnie – sześć szpalt na stronie. Kaiser uwielbiał takie niespodzianki.

Davidson odsunął się na krzesło i wyciągnął pod stołem długie nogi.

– Nie ma żadnych nowych informacji, które by wskazywały, że ten człowiek groził Inger Graugaard, że zachowywał się wobec niej agresywnie albo w jakikolwiek inny sposób naraził ją na niebezpieczeństwo – podsumował. – Równie dobrze to może być zwykły Bogu ducha winny gość, być może ojciec i mąż, który po prostu miał pecha znaleźć się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze.

W jego głosie brzmiało święte oburzenie, ale Dicte nie dała się na to nabrać. Zdążyła go poznać na tyle dobrze, by wiedzieć, że jeśli dla zwiększenia atrakcyjności tematu trzeba ujawnić czyjąś tożsamość, niewielu dziennikarzy dorównywało mu w braku skrupułów. Ileż to razy wymieniał podejrzanych z imienia i nazwiska, zanim postawiono ich w stan oskarżenia i skazano? Ot, choćby sprawa bestialskiej napaści seksualnej na małą dziewczynkę z zeszłego roku, kiedy podejrzany mógł przeczytać swoje nazwisko w gazecie, zanim jeszcze trafił do policyjnego aresztu. Efekt był taki, że wściekły tłum mieszkańców małego miasteczka dokonał na nim linczu i dotkliwie go pobił.

Dicte wstała i zaczęła sprzątać filiżanki ze stołu. Było późne popołudnie i w redakcji zostali tylko oni. Z jednej strony chciała już znaleźć się w domu, ale z drugiej wiedziała, że tam znowu dopadnie ją niepokój. On oraz strach przed prześladowcą i jego groźbami tkwiły w niej niczym stałe gorączkowe pobudzenie.

– Holger zrobiłby to inaczej – zawołał, gdy wychodziła, pobrzękując porcelaną.

Odwróciła się gwałtownie i łyżeczka z piramidy, którą niosła, upadła na podłogę.

– Holger?!

Chciałaby zamknąć oczy i policzyć do dziesięciu, a jeszcze lepiej do stu. Obiecała sobie przecież, że będzie lojalną koleżanką i nie wyda Holgera, który ostatecznie jako stażysta stawiał dopiero pierwsze kroki w dziennikarskim fachu. Ale coś w niej głośno domagało się, by bronić

własnego zdania i swoich decyzji. Opowiedzieć o dziennikarskim pseudoobiektywizmie Holgera i jego wujku, i o tym, że Holger wraz z Cecilie piszą artykuły podpisywane jego nazwiskiem. Przemknęło jej nawet przez myśl, że opowiedzenie o tym jest wręcz jej obowiązkiem. Kto wie, do czego dziennikarz taki jak Holger Søborg może być zdolny, jeśli kiedykolwiek dostanie się na stanowisko kierownicze. Czy nie powinna od razu ujawnić, że to człowiek nieetyczny i moralnie zdeprawowany, nawet jeśli musiałaby to zrobić wbrew sobie?

Patrzyła wściekle na Davidsena, a on szybko spuścił wzrok. Gdy przychodziło co do czego, wołał unikać konfliktów.

- Tak, wiem – powiedział ugodowo. – I tak nie możemy go zatrzymać.
- Na szczęście – powiedziała tylko i wyszła do kuchni.

Zmęczenie po nieprzespanej nocy spędzonej w domku w Lystrup wciąż dawało o sobie znać i tłumilo wszystkie inne sprawy domagające się jej uwagi. Dicte czuła się, jakby za pomocą tabletek sztucznie podtrzymywano ją w stanie pobudzenia, ale wszystko, co robiła, podszyte było kilkusetletnią deprywacją snu. Długo tak nie pociągnę, pomyślała. Wkrótce będzie mógł mnie zerwać jak trawkę, a ja nie będę miała siły nawet spróbować mu się oprzeć. Może właśnie na to czeka. Aż się poddam i pozwolę, by stało się to, co nieuniknione.

Wyjechała ze Skejby i samochód spokojnie toczył się w stronę Nowego Młyna, gdy na skraju drogi dostrzegła gwałtowny ruch jakiegoś zwierzęcia i na jezdnię tuż przed nią wbiegł kot. Nie wiedziała, skąd się w niej nagle znalazł taki refleks, ale błyskawicznie, nim zdążyła pomyśleć, wcisnęła hamulec. Kot pobiegł dalej, jakby nic się nie stało. Może rzeczywiście nic się nie stało, pomyślała nieco ożywiona, kiedy ruszyła dalej. Może człowiek ma w sobie więcej siły, niż mu się zdaje. Gdy sytuacja staje się naprawdę trudna, odnajduje w sobie normalnie ukryte zdolności, takie jak szybkość reagowania, spryt, a kto wie, może nawet odwagę? Czy i ona ma w sobie tę ostatnią? Próbowała ją w sobie odnaleźć, ale ostatecznie musiała zarzucić poszukiwania i uznać, że nie ma pojęcia i chyba nie dość dobrze zna samą siebie.

Zacisnęła dłonie na kierownicy i skręciła z Nowego Młyna w Topkærvej.

Nie wolno jej się poddać. Gdzieś tam istnieje rozwiązanie. Być może portret pamięciowy był jego częścią. Młodszy mężczyzna próbował dostać się do sekty przyciągającej raczej kobiety w średnim wieku. Dicte pomyślała – podobnie jak Lise – że coś tu nie pasuje. Atrakcyjny wygląd, pewność siebie w postawie i mowie, o których również wspominała dziewczyna. Davidsen może się zżymać ile chce, ale w tym naprawdę coś jest. Zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę, że ten człowiek szczególne zainteresowanie okazywał Inger Graugaard. Można oczywiście stłumić w sobie uprzedzenia i stanąć na stanowisku, że ludzie mogą się zakochiwać bez względu na różnicę wieku, ale Dicte czuła, że instynkt Lise dobrze jej podpowiadał. W relacji tych dwojga było coś groźnego.

Akurat skrzyła w podjazd, kiedy Bo zadzwonił do niej na komórkę.

– Cześć, skarbie, mamy mały poślizg. A ty? Gdzie jesteś?

Relacjonował z Cecilie mecz piłki ręcznej. Dicte otworzyła drzwi samochodu i wysiadła, zabierając torebkę.

– W domu.

– A radiowóz? – w jego głosie usłyszała nerwowość.

Rozejrzała się. Nie widziała patrolu.

– Nie mogą tu przecież być non stop – powiedziała zmęczonym głosem i zdała sobie sprawę, że za moment zjawi się tu jak na sygnale, gnany wyrzutami sumienia.

– Nigdzie nie wychodź – powiedział szybko. – Będę za pół godziny.

– Bo?

Chciała powiedzieć, że nie jest za nią odpowiedzialny i że nie może być jej policjantem, ale już dawno przekroczyli tę granicę i teraz w każdej ich rozmowie brzmiały wyrzuty sumienia i strach.

On już się rozłączył, więc odłożyła telefon. Powiesiła torebkę na ramieniu i otworzyła drzwi, gdzie jak zawsze wylewnie powitał ją Svendsen. Kucnęła i ukryła twarz w jego sierści. Pies zapiszczał żałośnie i na pociechę polizał ją po twarzy.

– Przejdziemy się?

Gdy to powiedziała, nie było odwrotu. Pies podskoczył w miejscu i zaczął szczekać i deptać jej po piętach. Smutek w jego oczach w jednej chwili zmienił się w czystą euforię. Nie chciał odpuścić, dopóki nie wpięła mu smyczy i nie ubrała się w strój psiary składający się ze starej kurtki zionącej zapachem suszonej ryby, spodni przeciwdeszczowych i gumiaków, bo pogoda była niepewna.

– Tylko musisz mnie pilnować, rozumiałeś? – uprzedziła Svendsena, zanim zamknęła za nimi drzwi.

Ale pies zapomniał już o jej przygnębieniu i z nosem przy ziemi ciągnął ją w stronę mokradeł. Kiedy na skrzyżowaniu w Kasted skręcili w prawo, udało jej się mimo wszystko zachęcić go do pójścia w drugą stronę, obok małego białego domu i przylegającego do niego pola, po którym przechadzały się owce i nieliczne kury. Nieczęsto tędy spacerowali, bo w godzinach szczytu był tu spory ruch, ale nie ciągnęło jej na mokradła. Jeszcze nie, pomyślała. Może kiedyś, ale nie teraz.

Szli bez postojów, aż dotarli do stóp wzgórza, gdzie płynęła rzeczka, a droga wiodła przez niewielki most, z którego można było przyglądać się, jak woda obmywa kamienie. Tutejszy krajobraz był niewątpliwie urzekający. Trasa stanowiła część szlaku przyrodniczo-widokowego wiodącego po najpiękniejszych zakątkach kraju. Dicte przypomniała sobie, że kiedyś na łące nieopodal miejsca, w którym teraz stała, widziała czapłę. Dziś aura zrobiła im psikusę. Wyszło słońce i w powietrzu czuć było wiosnę. Dicte pociła się w gumowym ubraniu. Minął ją biegacz w żółtym stroju z czarnymi paskami. Svendsen naprężył się, aby pognać za zdobyczą.

– Stój! – dla pewności szarpnęła smycz i pies posłał jej skruszone spojrzenie mówiące: „Dobrze już, dobrze. Tak tylko chciałem spróbować”.

Odsunęła się na bok, trzymając Svendsena krótko, i poczekała, aż biegacz się oddali. Prawie się przewróciła i wpadła głową do rzeki, gdy nadepnęła na niski szyld, którego wcześniej nie widziała, bo stał do połowy ukryty w krzakach. Gdy mężczyzna oddalił się już na bezpieczną odległość, a Svendsen stracił zainteresowanie łowami, ponownie spojrzała na znak.

Była to tablica informacyjna, jakie się stawia dla miłośników przyrody. Ładne kolorowe rysunki przedstawiały ptaki i rośliny, które przy odrobinie

szczęścia można wypatrzeć w tej okolicy, i do tego przystępnym językiem została opisana historia powstania Egå-Kasted – doliny polodowcowej uformowanej wskutek erozji przez wodę przepływającą pod lądolodem grubym na dwa, trzy kilometry, pod koniec ostatniej epoki lodowcowej, czyli jakieś trzynaście tysięcy lat temu. Według informacji na tablicy źródło rzeki Egå bije na tym samym obszarze bagiennym, do którego należą mokradła Geding, Tilst i Kasted. Stamtąd wije się ona wśród krajobrazów wschodniej Jutlandii i wpada do zatoki Århus.

Pokrótkie opisano historię mokradeł. Dicte zaczęła czytać z zaciekawieniem, a Svendsen starał się węchem ocenić, ile psów przed nim przystało przy tym znaku.

Informacja, na którą natrafiła, zaskoczyła ją tak, że ze zdumienia niemal wypuściła smycz z ręki. Pomyślała nawet, że coś źle zrozumiała, więc raz jeszcze wróciła do akapitu zatytułowanego *Historia bagien*, by z dudniącym sercem przeczytać go od początku i dokładnie wszystko zapamiętać.

Po krótkim wstępie na temat powstania bagien znów dotarła do słów, na których jej wzrok się zatrzymał. Na wpół tego świadoma czytała na głos kolejne wersy, słuchając, jak dźwięki wydobywające się z jej gardła przecinają ostre marcowe powietrze, i czując, jak lęk spływa w dół pleców pod ciężką przeciwdeszczową kurtką i zamienia pot w lód.

„Mokradła często skrywają dawne tajemnice. Również na tych w Kasted w 1940 roku znaleziono szczątki mężczyzny z zawiązanym wokół szyi sznurem i siekierą wbitą w głowę. Podobno był to młynarz z Nowego Młyna, który pewnej mglistej nocy w 1660 roku wyszedł z domu i nigdy do niego nie wrócił, porwany przez trollicę z Kasted”.

Wagner nie bardzo wiedział, dlaczego do domu opieki w Tilst zdecydował się pojechać w pojedynkę.

Mógł przecież poprosić Hansena albo chociażby Ivara K, żeby się z nim wybrali, ale tego nie zrobił. Kiedy siedział w samochodzie na parkingu komendy i szukał adresu, pomyślał po prostu, że mogliby niepotrzebnie spłoszyć staruszkę. Padał lekki deszcz, ale w powietrzu czuło się, że wiosna jest tuż-tuż. Chodziło o światło. Ciemne poranki stały się mniej ponure, a przebijające się z rzadka promienie słońca zapowiadały jaśniejsze dni.

W końcu znalazł adres i ruszył w stronę Viborgvej, zastanawiając się, jakim człowiekiem okaże się Jørgen Graugaard.

Niepostrzeżenie od niego przeszedł myślami do własnego ojca, który też miał ponad osiemdziesiątkę. Ciekawe, jak on by zareagował, gdyby dwaj policjanci z wydziału zabójstw nagle stanęli w drzwiach jego domu na obrzeżach Viborga, o który nadal dbał samodzielnie po tym, jak trzy lata temu owdowiał. Pewnie by się zdenerwował. Albo gorzej – mógłby się naprawdę przestraszyć. Wagner doszedł do wniosku, że pewnie dlatego zdecydował się pojechać sam.

Nie ma się jednak czemu dziwić, bo przeszłość Karla Wagnera była nieco inna niż przeszłość większości staruszków. Był Niemcem pełniącym podczas wojny służbę w Danii. Tam poznał matkę Wagnera. Pod koniec wojny wściekły tłum ukarał ją za miłość do wroga ojczyzny. Motłoch ją złapał, rodacy ogolili jej głowę i publicznie ją upokorzyli. Po wojnie Karl Wagner wrócił do Aabenraa i ożenił się ze swoją duńską ukochaną. Od tamtej pory mieszkali w Danii i wychowali trójkę dzieci. Przejeżdżając skrzyżowanie Reginakrydset i kierując się w dół do Mølleparken, Wagner uświadomił sobie, że jego ojciec chyba nigdy nie poczuł się w Danii jak u siebie.

Zupełnie jakby stale unosił się nad nim cień wojny i jeszcze uwydatniał jego wrodzoną powagę. Wagner do dziś pamiętał cierpienie na twarzy ojca, kiedy jako dziecko wrócił ze szkoły z płaczem i poskarżył się, że koledzy go wytykają palcami, bo jego mama była niemiecką dziwką. Krótco potem całą rodziną przenieśli się do Viborga i przyjęli nazwisko rodowe matki, Petersen, licząc, że będą mogli zacząć od nowa. I faktycznie dla trójki dzieci życie stało się prostsze, ale Karl Wagner, teraz Petersen, stawał się coraz bardziej milczący i coraz bardziej zamykał się w sobie. To oczywiście nie przysparzało mu popularności wśród klientów sklepu mięsnego, jaki prowadził razem z żoną. Dopiero wiele lat później, kiedy Wagner był już dorosły i zaczął pracę w policji, ojciec odrobinę się otworzył. Komisarz przypomniał sobie rozmowę, jaką odbyli późnym wieczorem w dzień Bożego Narodzenia, kiedy pozostali poszli spać. Ojciec wyjął szachownicę i długo siedzieli, rozgrywając partyjkę i sącąc whisky, kiedy nagle spojrzał na syna swoimi niezgłębionymi, ciężkimi od powagi oczami, w których widać było kolejne warstwy przeżytych lat.

– Mam nadzieję, że wiesz, po co to robisz.

Nie wymienił słowa „policja”, ale Wagner, który w międzyczasie wrócił do starego nazwiska, zrozumiał, o co pyta. Przypomniał sobie teraz swoją młodzieńczo naiwną odpowiedź tak wyraźnie, że niemal wypowiedział ją na głos:

– Zamierzam robić to, co należy – oświadczył wtedy uroczyście i dodał: – stać na straży sprawiedliwości. Przestępcy muszą ponieść karę, aby zwyczajni ludzie mogli czuć się bezpiecznie.

Ojciec przestawił gońca i spojrzał na niego wzrokiem przyjaznym, ale i krytycznym:

– Czyli twoim zdaniem istnieje wyraźna granica oddzielająca przestępców od zwykłych ludzi?

Wagner popatrzył na ojca zdezorientowany, rozważając jednocześnie swój kolejny ruch.

– To się chyba rozumie samo przez się – odparł w końcu młody funkcjonariusz policji. – Przestępcy łamią prawo, a zwykli ludzie go przestrzegają – dodał, po czym wykonał ruch, którego natychmiast

pożałował, bo odsłonił swoją królową.

– I nie ma żadnych szarości? – Ojciec nie odrywał wzroku od szachownicy. – Żadnej sytuacji pośredniej, na przykład wtedy, kiedy się jest świadkiem przestępstwa popełnianego przez kogoś innego? Albo kiedy samemu padło się ofiarą przestępstwa i potem nie ma się odwagi zareagować z obawy przed represjami? To kim wówczas się jest? Niewinnym czy współwinnym?

Teraz, kiedy Wagner odtwarzał w pamięci tamtą rozmowę, uzmysłowił sobie nagle, że ojciec mógł mieć na myśli coś zupełnie innego niż to, co jemu wydało się wówczas najbardziej oczywiste. Karl Wagner miał osiemnaście lat, kiedy dostał powołanie do niemieckiej armii, a dwadzieścia, gdy Niemcy zajęli Danię. To, co uważał za słuszne i sprawiedliwe, później okazało się czymś odwrotnym. To, co na papierze było działaniem w ramach obowiązującego prawa, później stało się przestępstwem.

Mógł jedynie zgadywać, w jaki sposób na przestrzeni lat tamta rozmowa wpływała na jego wybory, bo nigdy wcześniej nie próbował nawet jej roztrząsać. Lecz na zawsze wrył mu się w pamięć jej sens i teraz nagle to sobie uświadomił. Że niezbędna jest krytyczna ocena faktów zamiast ślepego postrzegania przestępcy wyłącznie jako przestępcy, a bohatera – jako bohatera. Tę zdolność odziedziczył właśnie po ojcu, który z kolei nie otrzymał jej za darmo. Dla młodego niemieckiego żołnierza odkrycie, że prawda może mieć różne oblicza, w zależności od tego, jakie się nosi nazwisko, było ciężko okupioną lekcją.

Wagner skręcił w prawo na skrzyżowaniu przy Bilce, minął szkołę i wjechał w Havkærvej. W miarę jak zbliżał się do celu, zaczął się zastanawiać, jakie prawdy mógł przekazać swoim dzieciom starszerek, którego jechał odwiedzić. Karl Wagner nigdy nie dał swoim dzieciom nawet klapsa. Ten człowiek, według relacji Karen Graugaard, katował swoje córki dzień w dzień. Co można było wynieść na resztę życia, dorastając przy takim ojcu? Nienawiść? A może w najlepszym wypadku przebaczenie? I czy w ogóle zostawało wówczas w człowieku choć trochę miejsca na miłość?

Spotkanie w gabinecie kierowniczkii okazało się przedłużeniem krótkiej rozmowy, jaką przeprowadzili wcześniej tego ranka, kiedy zadzwonił, by

spytać o możliwość przesłuchania Jørgena Graugaarda. Była to również powtórka tego, co powiedziała Karen Graugaard.

– Jak wspomniałam, Jørgen miewa dni lepsze i gorsze – zastrzegła życzliwym tonem Irene Husum ze swego miejsca po drugiej stronie dużego biurka, gdzie zasiadała na fotelu wyższym niż jego – ale Katrine, nasza opiekunka społeczno-medyczna, twierdzi, że dziś rano umysł miał całkiem jasny.

Wagner pokiwał głową na znak, że rozumie.

– Muszę spróbować. To, o co chciałbym go spytać, dotyczy jego przeszłości. Może dawne wspomnienia są w jego pamięci żywsze niż teraźniejszość.

Kierowniczką uśmiechnęła się z uznaniem, lecz Wagner dostrzegł w jej uśmiechu pewien chłód.

– Jeśli Jørgen Graugaard w ogóle ma ochotę o czymkolwiek mówić, to zdecydowanie o swojej przeszłości. To dotyczy zresztą ich wszystkich – dodała i wstała. – Zaprowadzę pana.

Poszedł za nią długim korytarzem. Co jakiś czas mijali siedzących w wózkach pensjonariuszy, którzy odprowadzali ich wzrokiem.

– Czy moja córka dziś przyjdzie? – jeden ze staruszków zawołał za Irene.

– Nie dziś, Haraldzie – rzuciła przez ramię – kiedy indziej.

Wagnera przeszedł dreszcz. Nie mógł się wyzbyć wrażenia, że to pytanie i tę odpowiedź tych dwoje wymienia między sobą codziennie.

Irene Husum zapukała do drzwi na końcu korytarza i otworzyła je, nie czekając na odpowiedź.

– Jørgen, masz gościa. Ten pan jest z policji i chciałby cię o coś zapytać.

Mężczyzna siedział najwyraźniej zupełnie obojętny na wszystko, bokiem do okna, w którym akurat świeciło słońce, więc w pierwszej chwili jego twarzy nie było wyraźnie widać. Nagle jednak się ożywił i szybkim ruchem podjechał wózkiem na środek pokoju. Spojrzenie wyblakłych niebieskich oczu wbiło się w oczy Wagnera.

– Masz ciastka?

Głos miał zaskakująco silny i Wagner przez chwilę stał jak wryty. Pytanie mężczyzny kompletnie zbiło go z tropu. W końcu pokręcił głową.

– Powinienem być o tym pomyśleć.

Spojrzał na Irene Husum, która przysłała mu w sukurs, choć w jej głosie słychać było, że robi to niechętnie.

– Mogę poprosić Anję, żeby przyniosła kawę i może jakieś drożdżówki.

– Dziękuję, byłoby bardzo miło – powiedział Wagner i czekał, aż zamknie za sobą drzwi. Następnie podszedł i wyciągnął rękę do Jørgena Graugaarda.

– Nazywam się John Wagner. Jestem komisarzem.

Mężczyzna przez chwilę patrzył na wyciągniętą ku niemu dłoń z wyrazem nieufności na twarzy. Potem z prędkością atakującej kobry wbił w Wagnera palec:

– Lubię ciasto francuskie – powiedział, a z bezwładnego kącika ust pociekła mu strużka śliny.

Wagner usiadł na krześle na wprost Jørgena Graugaarda. Z jakiegoś powodu wciąż nie zdjął płaszcza. Mężczyzna podjechał wózkiem całkiem blisko i komisarz poczuł się nieswojo. Z trudem zmusił się, by pomyśleć o tym, o co chciał zapytać.

– Jest mi bardzo przykro z powodu śmierci Inger – zaczął, lecz mężczyzna nie zareagował. – Widziałem się z pańską córką, Karen. To piękny stary majątek – ciągnął. – Wisiały w nim zdjęcia z różnych pór roku. Ze żniw i orki, i z kopania torfu na mokradłach.

Miał wrażenie, że dostrzega jakieś ożywienie w oczach tego człowieka. Jego usta poruszały się bezdźwięcznie, a spojrzenie nabrało ostrości.

– To musiała być ciężka praca – dodał. – Pomyślałem, że może zechciałby mi pan o niej opowiedzieć.

Jørgen Graugaard przez chwilę siedział nieruchomo i znów poruszył ustami. Wagner pomyślał, że kiedyś musiał być postawnym mężczyzną.

Teraz był zgarbiony i pokurczony, ale po mocnych kościach i długich kończynach można było się domyślić, że ojciec Inger i Karen był imponującej postury.

Jakaś młoda kobieta przyniosła tacę z kawą i ciastem francuskim. Postawiła wszystko na stoliku i od razu wyszła. Wagner nalał kawy dla nich obu i rozdzielił ciasto. Mężczyzna na wózkach uśmiechnął się krzywo jednym kącikiem.

– Majątek – przypomniał mu Wagner. – Pańskie życie, pańska rodzina – odważył się dodać.

Staruszek, który właśnie wsunął sobie do ust kawałek ciasta, parsknął, tryskając okruszkami.

– Rodzina! Ha! Niewydarzone dziewczyszka – powiedział z wyrzutem. – Tylko by się uganiały za chłopakami. Trzeba je było krótko trzymać.

Wagner poczuł zimny pot na plecach. Zmusił się, by wziąć łyk kawy. Czego właściwie tu szukał? Co może wnieść do śledztwa stary, znęcający się nad dziećmi tyran? Przypomniało mu się sceptyczne nastawienie Karen Graugaard i teraz był gotów przyznać jej rację. Przemoc z przeszłości nie ma nic wspólnego z tą, która dokonuje się obecnie. Karsten może się wypchać ze swoimi teoriami o agresji przekazywanej z pokolenia na pokolenie i całą resztą.

– Nie to co on – odezwał się nagle staruszek. – On był inny.

Wagner gwałtownie powstrzymał swój tok myśli.

– Kto?

W oczach Graugaarda zalśnił gniew, a ich kolor stał się nagle wyrazisty, jakby w tęczęwkach skupił się cały rozproszony dotąd błękit.

– Ale młynarz go zabrał. I zniknął.

– Młynarz? – Wagner rozpaczliwie próbował wydusić ze staruszka więcej szczegółów. Dostrzegł, że wyraz jego oczu znowu się zmienił. Teraz wbijał w niego spojrzenie starcze i pełne niepokoju, a także kryjące w sobie pytanie, jakie padło po chwili:

– Myślisz, że jeszcze kiedyś wróci?

45

– Cholera jasna! – krzyknął Bo z łazienki, skąd również dobiegł ją dźwięk wody tryskającej gwałtownie z kranu. – Znowu coś się dzieje z wodą.

Problem nie był nowy. Przez cały ostatni tydzień ciśnienie było kompletnie nieprzewidywalne, a czasem z kranu płynęła woda zabarwiona ochrą.

– To napraw.

Wiedziała, że to nie fair, ale łatwo przywykła do złotej rączki w domu – Bo już na samym początku ich znajomości wykazał się zbawienną smyką do rozwiązywania problemów. Krótco po ich pierwszym spotkaniu naprawił jej kaloryfer i wyciąg kuchenny. Czemu więc nie kran?

Wszedł z mokrymi włosami, przepasany ręcznikiem i ze szczoteczką do zębów w ręce.

– Próbowałem. Musisz zadzwonić po hydraulika, żeby na to zerknął. Może będzie trzeba wymienić kran.

Westchnęła i zaczęła grzebać w szafie, aż wypadła z niej góra ubrań. Oczywiście, że życie nie może się sprowadzać do szaleńców i zbrodni na bagnach. Była jeszcze codzienność i kto wie, czy nie ona właśnie jest najważniejsza, kiedy wszystko inne się wali. Tak sobie myślała, kiedy znalazła w stercie dzinsy, bluzkę i rajstopy, w których nie poszło oczko.

– Dobra. Zadzwonię z redakcji. Za dwie minuty mam się spotkać z Hanne ze „Stiften”.

Bo najwyraźniej ucieszył się z takiego obrotu sprawy. Zerwał z siebie ręcznik i zaczął się ubierać. Zrobiło jej się smutno, kiedy patrzyła, jak to robi. Jeszcze niedawno na jego widok czuła motyle w brzuchu. Zaledwie parę dni temu trudno byłoby im zignorować wzajemny pociąg, zwłaszcza wtedy, kiedy udawało im się wcześniej wstać i ona stała w samych majtkach i

staniku, a on całkiem nagi.

W tej samej chwili jego oczy napotkały jej wzrok i zrozumiał. Domyśliła się tego ze sposobu, w jaki dyskretnie, nieco zawstydzony, odwrócił się plecami, a ona stała oniemiała, jakby właśnie miała się uczyć nowego języka.

Śniadanie zjedli w milczeniu. Rose już wyszła. Nawet pies był jakiś przybity, nie rozumiejąc, co się dzieje.

– To pewnie przypadek – powiedział wreszcie Bo po raz kolejny, bo to samo stwierdził poprzedniego wieczora. – To nie może być prawda. Zdarzenie sprzed tylu stuleci nie może mieć związku z czymś, co dzieje się teraz.

Wciąż mówił o tablicy nad rzeką, o której mu opowiedziała i o której rozmyślała przez całą noc. Późnym wieczorem zadzwoniła do Hanne, swojej dawnej koleżanki ze szkoły dziennikarskiej, która pracowała teraz w „Stiften” i zgodziła się trochę poszperać w archiwach gazety.

Dicte wzięła potężny łyk kawy, parząc się w język. Rzuciła się do zlewu i odkręciła zimną wodę. Ale kran znów tylko zakrztusił się i ją opryskał.

– Niech to szlag!

– O tym właśnie mówię – mruknął Bo z ustami zapchanymi kanapką z serem. – Ten dom potrzebuje generalnego remontu.

– To raczej nie za mojej kadencji – podsumowała, przypominając sobie o debecie na koncie.

– Mogłabyś wziąć jakąś tanią pożyczkę.

Jeszcze tego brakowało. Zbliźali się do poziomu Rose z jej upodobaniem do zabudowy szeregowej. Tymczasem nad głową wiszą jej groźby szaleńca, a w skrzynce znajduje sznur. Szybko dokończyła kanapkę, pożegnała się mniej więcej naturalnie i jak najprędzej odjechała w stronę Skejby i redakcji „Aarhus Stiftstidende” mieszczącej się w nowej eleganckiej siedzibie z modną przeszkloną fasadą. W pierwszej chwili poczuła się cudownie, wreszcie sama ze swoimi myślami mknęła przez krajobraz starym dobrym fiatem. Lecz gdzieś w okolicach Udkærvej dopadły ją wyrzuty sumienia. Przecież wiedziała, że jemu jest tak samo ciężko jak jej i tylko stara się

zachowywać normalnie i rozmawiać o zwyczajnych sprawach. W środku natomiast strach i niepewność tego, co się stanie, zawzięcie podkopują jego wiarę we własne siły i w to, że miłość zwycięża wszystko. Dicte doskonale zdawała sobie z tego sprawę, bo czuła to samo.

Zgłosiła się na recepcji, skąd po chwili odebrała ją Hanne.

– Jakąś godzinę zajęło mi grzebanie w starociach – powiedziała, gryząc jabłko, kiedy jechały windą. – Śmiesznie się czyta te stare gazety. Dziennikarstwo było wtedy czymś zupełnie innym.

Dicte spojrzała na nią pytająco.

– No wiesz, zdecydowanie więcej historii lokalnych – roześmiała się Hanne. – O tym, że kowala koń zrzucił z grzbietu, że w Skejby spłonął jakiś dom, i o jakiejś rodzinie, która musiała się przenieść do przytułku. Sprawy, które naprawdę ludzi poruszały.

– A zdjęcia? – zapytała Dicte.

– Nie jest ich oczywiście zbyt wiele. Ale się trafiają. Znalazłam też temat, o który pytałaś.

Dicte poczuła, że serce jej przyśpieszyło. Wysiadły na trzecim piętrze i ruszyły korytarzem do biura Hanne.

– A czemu właściwie interesujesz się tą starą sprawą? – Hanne była wyraźnie zaintrygowana. – To ma jakiś związek z twoją rodziną?

Dicte przytaknęła, bo była to odpowiedź najbliższa prawdy.

– Krążą u nas w rodzinie różne historie o zмумifikowanym ciecie na mokradłach i chciałam sprawdzić, jak było naprawdę – skłamała.

Hanne wpuściła Dicte do swojego biura i zamknęła za nimi drzwi. Głową wskazała mały stolik.

– Zrobiłam ci kopię. Wiadomo, oryginału nie mogę ci dać, ale i tak jest całkiem pozółkły i się rozpada.

Dicte usiadła bez słowa i wzięła kartkę do ręki. Czcionka była bardzo staroświecka, a sam tekst dość krótki, za to zawierał zdjęcie dwóch mężczyzn z łopatami. Stali, opierając się o ich trzonki. Dicte domyśliła się, że fotografię

zrobiono na mokradłach w Kasted. Kapelusze mieli zsunięte na kark i ubrani byli w swetry oraz grube robocze spodnie, wpuszczone w ciężkie wysokie buty.

„Podczas kopania torfu na mokradłach w Kasted znaleziono szczątki mężczyzny” – głosił nagłówek. Dalej opisano historię, którą znała już z tablicy informacyjnej nad rzeką. Sądono, że ofiarą jest młynarz z Nowego Młyna, który zaginął w 1660 roku.

Dicte szybko przesunęła wzrok na podpis pod zdjęciem i w jednej chwili zeszywniała: „Właściciel majątku Jens Graugaard i jego syn Jørgen na miejscu makabrycznego odkrycia. W trakcie kopania torfu łopata trafiła na coś twardego, co okazało się kością udową”.

Dicte długo wpatrywała się w kopię artykułu, próbując zebrać myśli i dojść do jakichkolwiek wniosków. Słyszała oczywiście o naśladowcach morderców. Ten wątek często pojawiał się w filmach. Zawsze jednak chodziło o zbrodnie współczesne inspirowane działalnością innego współczesnego zabójcy. Nieważne, jak bardzo łamałaby sobie głowę, nie była w stanie pojąć, czemu ktoś miałby naśladować zbrodnię dokonaną ponad trzysta lat wcześniej. A już na pewno nie potrafiła zrozumieć, dlaczego właśnie Inger Graugaard zginęła dokładnie tak jak mężczyzna, którego jej ojciec w młodości znalazł w bagnie Kasted.

Rose nie umiała się skoncentrować.

Nauczycielka bardzo się starała i normalnie już dawno cała uwaga Rose byłaby skupiona na omawianym problemie. Ale teraz nic nie było normalne. Świat stanął na głowie, a ona oddalała się myślami od tego, co na tablicy, ku temu, co na zewnątrz. Za oknem widziała słońce i błękitne niebo i zatęskniła nie tylko za świeżym powietrzem, ale za czymś nowym, być może za nowym życiem.

Od ich spotkania w domu w Lystrup nie widziała Lise, ale słyszała, co się stało. Czytała też o tym w gazecie i samo to stanowiło pewną odmianę w jej życiu, odkąd znalazła na bagnach Inger Graugaard. Nie bała się już otworzyć gazety. Widziała też portret poszukiwanego mężczyzny i jego twarz wydała jej się dziwnie znajoma. Matka się z nią droczyła, że pewnie za bardzo przypomina jej Brada Pitta.

Kiedy zabrzmiał ostatni dzwonek, pojechała do miasta spotkać się z ojcem w ich stałej kawiarni.

Był w Århus na jakimś seminarium i zadzwonił, że ma jej coś ważnego do powiedzenia. Poza tym wiedziała, że jest ciekaw, co u niej słychać, chociaż chyba lepszym określeniem byłoby, że się martwi. Śledził oczywiście wszystkie informacje o zabójstwach. Zaproponował nawet, żeby przeniosła się na jakiś czas do Kopenhagi i zamieszkała z nim i Sandrą, ale odmówiła. Wolała zostać tu, gdzie jest, a poza tym mama jej potrzebowała, mimo że ona także próbowała ją namówić na wyjazd.

Kiedy Rose siedziała w autobusie, w pamięci przewijała wydarzenia z ostatnich dni. O sprawie mówiło się bardzo dużo zarówno w prasie, jak i telewizji. Ujawniono rozmaite tropy badane przez policję – w każdym razie część z nich. Mama powiedziała jej o sierści białych myszy znalezionej na

ubraniu Inger Graugaard i w samochodzie porzuconym na parkingu w Vejle. To o włosach nie dawało jej spokoju. Jakby szukała w pamięci czegoś, co już wcześniej słyszała albo widziała i co mogłoby ją naprowadzić na właściwy trop, ale to coś wciąż jej się wymykało.

Wysiadła przy Magasinie i ruszyła do kafejki nad rzeką. Przy tak pięknej pogodzie postanowiła odłożyć te rozmyślenia na później. Było jeszcze za zimno na siedzenie w ogródku, nawet pomimo ustawionych grzejników gazowych. Znalazła więc wolny stolik przy oknie, a chwilę później w drzwiach stanął jej ojciec, powiewając siwymi lokami, z wielkim uśmiechem i słońcem igrającym w gęstej brodzie.

– Cześć, skarbie. Świetnie wyglądasz. – Uściskał ją, a potem odsunął kawałek i wciąż trzymając za łokcie, przyglądał jej się z uznaniem. – Niech mnie, chyba robisz się dorosła.

Naturalnie wiedział o wszystkim, być może od matki. Rose nie miała jednak ochoty rozmawiać o Janie. O zabójstwach właściwie też nie. Dlatego jedząc lunch, mówili o wszystkim innym, gdy ojciec niespodziewanie sięgnął przez stół i wziął ją za rękę.

– Mam niespodziankę – powiedział, a w jego głosie usłyszała lekkie drżenie – i mam nadzieję, że się ucieszysz.

Patrzyła na niego z zaciekawieniem. Zamrugał oczami, a na twarzy zamajaczył mu uśmiech.

– Żenisz się? Czy to aby nie jest trochę zbyt drobnomieszczańskie? – prychnęła.

– Będziesz starszą siostrą – wypalił i Rose dopiero po chwili się zorientowała, że siedzi z otwartą buzią, a serce przestało jej bić.

– Czym będę?

Tak naprawdę zapytała, by zyskać na czasie. Bo z jej słuchem było wszystko w porządku.

– Sandra jest w czwartym miesiącu – wyjaśnił z dumą. – Będzie chłopak.

Brat. Krew uderzyła jej do głowy. Nie tak dawno temu sama chciała mieć dziecko. A teraz ma być czyjąś siostrą i jakoś to do niej nie docierało. Życie z

jego niespodziankami i rozpadami stało się kompletnie niezrozumiałe. Do tego zdecydowanie potrzebne było prawko na wszystkie pojazdy, a ona jeszcze takiego nie miała.

– Gratulacje – wymamrotała i mimo wszystko poczuła ukłucie żalu. Ten brat nie będzie jej bliski. Będzie dorastał w innej rodzinie.

– Nie martw się, na pewno nawiążecie ze sobą relację – uspokoił ją ojciec, który potrafił czytać w myślach. – Oczywiście, jeśli będziesz chciała.

– Mama wie?

Pokręcił głową.

Łzy poląły się niekontrolowanie. Przypomniała sobie dzień, kiedy poszła z psami na spacer. Przypomniała sobie tęsknotę za rodziną, również tą, której nie znała. Słyszała, że można odczuwać ból w ręce albo nodze, której się już nie ma. Tak właśnie się czuła. Odczuwała ból i czegoś jej brakowało. Ludzi, rodziny, której nigdy nie poznała. Taki młodszy brat to już było coś...

Wstała, obeszła stół i uścisnęła swojego ojca.

Przez całą drogę do domu towarzyszyła jej radość, ale jednocześnie niepokój. Bo nad domem wciąż wisiał ten cień. Groźba, o której od czasu do czasu niemal zapominali albo byli skłonni uznać ją za ohydny żart, bo przecież mijały dni, a nic się nie działo. Rose miała wrażenie, że nawet patrol stał się jakby mniej widoczny. Policja być może uznała, że zagrożenie minęło.

Dopiero kiedy wysiadła z autobusu i ruszyła polną drogą w stronę domu, przypomniało jej się to, czego na próżno szukała w pamięci, jadąc na spotkanie z ojcem. Wieczór, kiedy siedzieli z Janem na kanapie i oglądali telewizję. To, jak się przestraszyła filmu na National Geographic. Przypomniało jej się, jak wąż przygwoździł wzrokiem białą mysz w terrarium, zanim jej zadał śmiertelny cios. Zmroziło ją na samo wspomnienie i z trudem łapała oddech. Ostatnie metry pokonała biegiem.

– Mamo!?

Choć powinna się przecież zorientować, bo samochodu nie było, a Svendsen spał w kojcu za przeszklonymi drzwiami. W rosnącej panice

nerwowo szukała kluczy. W końcu otworzyła drzwi i weszła do środka. Odruchowo przekręciła za sobą zamek i natychmiast rzuciła się do telefonu. Zadzwoiła pod redakcyjny numer matki. Nikt nie odbierał, więc zadzwoniła na komórkę.

– Rose?

Słyszając głos matki, Rose natychmiast się uspokoiła.

– Mamo, gdzie jesteś?

– Właśnie parkuję przed komendą. Coś się stało?

Gdzieś w głębi duszy wiedziała, że powinna jej powiedzieć o Sandrze i dziecku, ale teraz ważniejsze było co innego, dlatego pośpiesznie wyrzuciła z siebie jedno słowo:

– Węże.

– Węże? – zapytała niepewnie matka, a Rose usłyszała, jak w tle wyłącza silnik fiata. – Co z nimi?

Rose zamknęła oczy, przez cały czas przyciskając słuchawkę do ucha. Chciałaby, żeby mama była z nią teraz w domu. Niezupełnie wiedziała dlaczego.

– Węże karmi się białymi myszami. Czasem żywymi.

W słuchawce zapanowała cisza. Dochodził z niej tylko stłumiony odgłos ruchu ulicznego.

– Hodowcy gadów mają swoje stowarzyszenia. Widziałam o tym program w telewizji.

Przeszły ją ciarki. Wszystko, o czym myślała, że było już za nią, pojawiło się znowu ze zwiększoną siłą. Rose czuła, że się trzęsie.

– Myślę, że on hoduje węże.

Dicte przez chwilę siedziała w samochodzie z telefonem w ręce. W tyle głowy zaczynał dudnić ból. Z początku prawie nieodczuwalny, potem coraz silniej odbijał się od ścian czaszki. Wiedziała, że zbliża się migrena. Oparła czoło o chłodną szybę i przypomniała sobie głos Rose sprzed zaledwie kilku sekund. Były w nim rozpacz i strach, z którymi nie powinna zostawać sama. To zaniepokoiło ją znacznie bardziej niż wskazówka o węzłach. Ból się przemieszczał, jakby w jej głowie zamknięto wyjątkowo zdolnego bębniarza. Rytm zmieniał się z sekundy na sekundę, a mdłości przychodziły falami. Migreny przestały ją męczyć ponad dwa lata temu i zaczęła już wierzyć, że całkiem się ich pozbyła. Wyglądało jednak na to, że wraz z nieuchwytnym mordercą sprzysięgły się, by ją złamać.

Wiedziała, że to bezsilność, kiedy pięściami zaczęła okładać kierownicę, aż dudnienie w głowie zmieniło się w ciosy wymierzane sztyłem prosto w serce. Nie było jednak niczego innego, w co mogłaby uderzyć, nikogo, by się na niego rzucić z pięściami. A jednocześnie gdzieś tam był on. Czaił się w pobliżu jak drapieżca, czekał, zaostarzając sobie apetyt. Na myśl o tym zaschło jej w gardle. Spojrzała na siebie w lusterku wstecznym i zdziwiła się, widząc obcą kobietę z przekrwionymi oczami, potarganymi włosami i twarzą tak ciasno obciągniętą skórą, że wydawało się, jakby kości na nosie i policzkach w każdej chwili mogły ją przebić. Więc taki jest na razie efekt, pomyślała, albo raczej próbowała pomyśleć, bo ból obezwładniał ją tak, że niemal paraliżował jej mózg. Tyle już udało mu się osiągnąć. Ona i ludzie z jej otoczenia rozbici na czynniki pierwsze przez samo jego istnienie.

Nigdy jeszcze nie czuła czystej nienawiści do żadnego człowieka, ale znała jej smak. Kosztowała jej w drobnych kęsach w stosunku do matki. Zawsze jednak towarzyszyło temu także coś innego – być może nadzieja na pojednanie albo tęsknota za miłością. Teraz miała w ustach jej smak

skoncentrowany. Szczypał w język i rozlewał się po ciele, docierając aż po czubki palców u rąk i nóg. Cała, aż po koniuszki małych palców, drżała z nienawiści do człowieka, którego nie znała, a który niszczył jej świat.

– Sam giń – wycedziła w przestrzeń i raz jeszcze z całej siły uderzyła w kierownicę, nie zważając na ból – Giń. Giń. Giń. Giń.

I siedziała dalej. Nie wiedziała, czy trwało to długo, czy zaledwie parę minut, kiedy ból zniknął równie szybko, jak się pojawił, a ona osunęła się wyczerpana i zdyszana na fotelu i rozpaczliwie potrzebowała ugasić pragnienie.

Sięgnęła po colę na siedzeniu pasażera i zaczęła łapczywie pić. Potem niedbale wytarła usta wewnętrzną stroną rękawa. Otworzyła drzwi i wysiadła z samochodu. Z każdym krokiem jej tętno stawało się wolniejsze, a gniew cichszy. Nie powinna zabijać i w żadnym razie nie powinna o tym myśleć. Powinna za to postarać się zrozumieć, jakkolwiek wydawało się to chore. Powinna po omacku poszukać w sobie niewidzialnej sondy działającej zgodnie z jego logiką. Nie może pozwolić, aby nienawiść przejęła kontrolę, bo wówczas go nie zauważy, i kiedy nadejdzie, będzie stała nieruchomo, oślepiona jak zając reflektorami samochodu.

Złapała w płuca ostatni łyk świeżego powietrza, po czym pchnęła drzwi i poinformowała funkcjonariusza w okienku, że jest umówiona. Potem pojechała na górę do Wagnera. Już na nią czekał przy windzie. Na powitanie tylko coś mruknął i skinął głową.

Pomyślała, że wygląda jeszcze gorzej niż ona, i poczuła, że bardzo chciałaby dać mu coś, co naprawdę mogłoby pomóc, zamiast kawałka starej historii, która być może nie ma dla sprawy żadnego znaczenia. Gdy weszli do jego biura, Wagner opadł ciężko na swój fotel i przez chwilę siedział nieruchomo, patrząc na nią apatycznie, jakby próbował sobie przypomnieć, kim jest. Jego naturalnie oliwkowa cera teraz była bardziej szara niż kiedykolwiek. On także zmizerniał. Orli nos nabrał ostrego kształtu, a oczy, którymi na nią patrzył, były otoczone głębokimi cieniami, pozbawione żaru i nienaturalnie mętne.

Usiadła na fotelu naprzeciw niego.

– Źle wyglądasz – wyrwało jej się.

Uśmiechnął się tylko połowicznie.

– Sama wyglądasz niewiele lepiej. Co cię sprowadza?

Pogrzebała w torebce i wyjęła z niej kopię artykułu od Hanne. Przesunęła ją po biurku w jego stronę i obserwowała, jak jego postawa zmienia się w miarę czytania. Jakby ktoś podlał wyschniętą roślinę, a ta chciwie chłonęła wodę i w ciągu kilku sekund nawodniła liście. Ciało znów nabrało życia, ręce z zaciekawieniem pochwyciły kartkę. Wyprostował się, a na koniec spojrzął na nią z błyskiem w oku, o którym jeszcze parę minut temu sądziła, że zniknął na zawsze.

– Dobrze – mruknął. – Bardzo dobre.

Pochyliła się do przodu i spojrzała mu w oczy.

– Wobec tego wiesz więcej niż ja. Bo ja, szczerze mówiąc, nie widzę związku. Właściwie dlatego tu przyszedłam.

Wstał i nagle był pełen energii.

– Zjesz coś? Wyglądasz na głodną.

Myśl o jedzeniu z tutejszej stołówki wystarczała, aby uciszyć jakikolwiek ewentualny głód. Nie powiedziała tego, ale wzięła jego propozycję za dobry znak, więc poszła z nim do windy.

– Co znalazłeś?

Zapytała, gdy zamknęły się drzwi, i poczuła ssanie w żołądku.

– Znalazłem kawałek – powiedział poważnym głosem ze wzrokiem wbitym w drzwi windy – a ty znalazłaś drugi.

Spojrzął na nią:

– Zobaczmy, czy uda nam się z nich ułożyć róg tej układanki.

Wzięła kanapkę z rybą i ciastko, bo pomyślała, że być może łatwiej jej przyjdzie to przełknąć, a także dlatego, że wszystko inne wyglądało jak coś, co patomorfolog uznałby za zmarłe z przyczyn naturalnych, a czas zgonu oszacował na zeszły tydzień.

Wagner odważnie rzucił się na pieczeń wieprzową z wyschniętą skórą i

górami czerwonej kapusty pełniące rolę kamuflażu, a do tego drożdżówkę z serem tak suchą, że serwowanie jej dałoby się podciągnąć pod próbę zabójstwa.

– Czy możemy rozmawiać bez ryzyka, że jutro przeczytam o tym na okładce? – zapytał, siadając przy stoliku w rogu sali. – Myślę, że w tej chwili jest to dla śledztwa kluczowe.

Na szybko rozważyła za i przeciw i wzruszeniem ramion poświęciła lojalność wobec gazety.

– Można powiedzieć, że dobro śledztwa leży również w moim osobistym interesie – potwierdziła i pomodliła się w duchu: „Niech to się stanie. Ześlij nam to, co konieczne, żeby wypłoszyć go z kryjówki”.

Przez chwilę miał taki wyraz twarzy, że zupełnie nie wiedziała, co sobie myśli.

– Rozmawiałem z ojcem Karen Graugaard w domu opieki w Tilst – zaczął wreszcie i zaatakował pieczeń.

– Po co? Myślałam, że ma demencję.

Wagner nieznacznie się uśmiechnął.

– Ja też tak myślałem. Ale to było, zanim przyniosłaś mi dziś tę historię o młynarzu na bagnie.

Pochylił się, a kawałek wieprzowiny groźnie zawisł na jego widelcu tuż nad szklanką z wodą.

– Nie pojmuję, dlaczego tamta stara zbrodnia nie wyszła na jaw wcześniej – powiedziała. – Ludzie z wioski musieli przecież sobie o niej przypomnieć, gdy znaleziono Inger. Dlaczego nikt nie zdecydował się o niej opowiedzieć?

Wagner spojrzał na nią łagodnie.

– Mężczyzna z bagna został najwyraźniej powieszony. A kiedy znaleziono Inger, w gazetach nie wspomniano nic o powieszeniu – przypomniał jej. – Celowo tego nie ujawnialiśmy. Ludzie pewnie wyszli z założenia, że została uduszona, więc podobieństwo nie było tak oczywiste.

– Ale mimo wszystko. Zostaje przecież siekiera.

Wagner badawczo obejrzał swój widelec, jakby w mięsie dostrzegł jakieś ciało obce.

– Minęło tyle lat. Wszyscy pewnie sądzili, że to nie ma związku.

– A Karen?

Pokręcił tylko głową.

– To co innego. Ale ona pewnie też uznała, że to bez znaczenia. Pięćdziesiąt trzy lata to szmat czasu.

Dicte zdobyła się na odwagę i wbiła widelec w filet, a potem chwilę walczyła, by odkroić kawałek.

– Zatem co ci powiedział ten ojciec?

– Wspomniał coś o jakimś młynarzu. I o kimś jeszcze. Mówił o nim po prostu „on”.

– „On” w znaczeniu: nie „ona”?

Wagner pokiwał głową i wreszcie się ulitował nad kęsem mięsa trzymanym na widelcu.

– Zapytałem go o jego rodzinę, a on wspomniał coś o córkach. O Inger i Karen – dodał, kiedy przełknął. – Wiedziałaś, że ojciec je bił?

Pokręciła głową.

– Ale kiedy byłem z samochodem u mechanika, to trochę się dowiedziałam o tym, jak traktował ludzi.

Powtórzyła to, co usłyszała od mechanika o robotniku, który przy żniwach upadł z wyczerpania, a Graugaard nie pozwolił mu pomóc.

– Przyjemniaczek – skomentował z odrazą Wagner.

– Właśnie.

Przez chwilę się nie odzywali, układając sobie w głowach nowe informacje. Jørgen Graugaard najwyraźniej przez całe życie terroryzował ludzi ze swego otoczenia, wykorzystując swoją pozycję i siłę. Dicte pomyślała, że takich jak on jest pewnie wielu. Osób, które znęcają się nad innymi i nigdy nie ponoszą za to odpowiedzialności. Nawet teraz, choć stracił

córkę, nie został w pełni ukarany. Demencja łaskawie przytępiła mu zdolność pełnego uświadomienia sobie, co go spotkało. Bo człowiek chyba kocha swoje dzieci, nawet jeśli je bije, pomyślała i przypomniała sobie słowa mechanika, że Inger była jego ulubienicą.

Wagner wziął duży łyk wody.

– Powiedział, że trzeba je było trzymać krótko, córki. Że się uganiały za chłopakami.

Odważyła się na potężny kawałek fileta i z pełnymi ustami odparła:

– To się wydaje wręcz absurdalne. Stary człowiek, który tyle lat temu znalazł szczątki w bagnie, może sobie być sadystą i okrutnym ojcem dla Karen i Inger, może nawet je wykorzystywał, ale ma ponad osiemdziesiąt lat i mieszka w domu opieki.

Spojrzała na Wagnera, który był już w połowie pieczeni.

– On przecież nie mógł tego zrobić, prawda? To bez sensu. W tę sprawę musi być zamieszany ktoś jeszcze. Być może nie osobiście. Kto zna starą historię o szczątkach w bagnie.

Spojrzał na nią, ale Dicte wiedziała, że jej nie widzi. Myślami był gdzie indziej. Widziała wręcz, jak wyrusza w mentalną podróż, jak objeżdża wszystkie tak bardzo od siebie oddalone aspekty sprawy. Spróbowała przyłączyć się do jego milczących obrachunków. Kto mógł znać historię z 1940? Komu mogło przyjść do głowy wykorzystanie dawnej zbrodni jako wzorca dla dokonania współcześnie serii aktów zemsty? Kомуś, kto brutalnością dorównuje staremu Jørgenowi Graugaardowi i myśli podobnie jak on. Prawdopodobnie komuś, kto go znał. Znał tę rodzinę i wiedział, co się działo w czterech ścianach ich domu. Kto czuł się upokorzony. Kto miał rachunki do wyrównania.

W postawie Wagnera dostrzegła tę samą przemianę co wtedy, gdy pokazała mu stary artykuł z gazety. Odłożył sztućce i wpatrywał się w nią wnikliwie. Krew nagle zaczęła żwawiej krążyć w jego ciele, twarz nabrała kolorów, a w oczach błysnął żar. Wcale by się nie zdziwiła, gdyby zaczął poruszać nosem, łapiąc trop.

– Chłopiec – powiedział sucho i zakaszłał, jakby okruch wpadł mu do

gardła. – W przeciwieństwie do dwóch dziewczynek.

Wciąż nie wiedziała, o czym on mówi, i niecierpliwie czekała na wyjaśnienia.

– Przecież był jeszcze syn – przypomniał sobie Wagner. – Karen mówiła, że po śmierci matki wysłali go, żeby zamieszkał z dalszą rodziną, bo ojciec przeszedł załamanie.

Coś jej zaświtało. Dicte pokiwała głową.

– Brat Karen i Inger.

Wagner zerwał się z miejsca, przewracając krzesło, ale zdawało się, że tego nie zauważył.

– Później został przez nich adoptowany. Gdzieś musi być jego imię i nazwisko.

Ruszyła za nim. Niemal truchtem opuścili stołówkę i skierowali się ku schodom. Wciąż nie do końca rozumiała jego tok myślenia.

– Skoro jako dziecko został odsunięty od ojca brutala, to chyba nie powinien się skarżyć na swój los, prawda? I po co zabijałby Inger? A potem Esther Rantzen? Dlaczego po prostu nie zabił starego?

Wagner spojrzał na nią i nagle zrozumiała, że tu i teraz, w tej konkretnej sytuacji potrafi dostrzec w niej partnera. Że nigdy więcej nie spojrzy na nią w ten sposób, ale w tej chwili, ponieważ była częścią sprawy i potencjalną ofiarą oraz dlatego, że czuł, iż powinien być temu zapobiec, zdecydował się włączyć ją do śledztwa. A potem, kiedy to wszystko się skończy, znów zaciągnie żelazną roletę i będzie policjantem skąpo wydzielającym informacje prasie, a ona znów będzie dziennikarką starającą się te informacje od niego wyciągnąć.

– Może dobrze będzie, jeśli razem z tobą pojedę do Karen – zaproponowała – bo to z nią chcesz porozmawiać, prawda?

Dopiero kiedy wyszli przed budynek i kierowali się do samochodów, odwrócił się do niej:

– Zawsze dziennikarka, co? – zapytał krótko, a ona wyczuła w jego głosie żal, który ją zaniepokoił i na moment kazał jej zwolnić.

Czy mógł mieć rację? Czy rzeczywiście gonitwa za gorącym tematem tak głęboko weszła jej w krew, że nawet teraz nie potrafiła się wyzwolić? Przez chwilę stała, niezręcznie manewrując kluczykami, a on wciąż nie spuszczał z niej wzroku. Wreszcie szczerłość wygrała i Dicte przytaknęła.

Nie wiedziała, czy w jego głosie słyszy pogardę czy podziw, czy obie te rzeczy naraz, kiedy odparł:

– Widzimy się na miejscu.

Chrapy konia były miękkie. Karen trzymała dłoń tuż przy nich i czuła, jak ciepło oddechu zwierzęcia przepływa jej między palcami. Brązowe oczy spoglądały na nią spod długich rzęs. Jedną ręką pogrzebała w kieszeni i wyjęła z niej kostkę cukru. Podsunęła mu pod pysk na wyprostowanej dłoni. Koń ostrożnie poskubał kostkę i po chwili już jej nie było.

Karen rozejrzała się po skrzydle stajennym, gdzie Søren zrobił miejsce dla małego kuca szetlandzkiego i tylko tego jednego konia o imieniu Freja. Pozostałe nadal przebywały tymczasowo w stadninie w Brendstrup. Wokół budynków wciąż unosił się zapach paleniska, ale na szczęście wszystko wskazywało na to, że ubezpieczyciel wypłaci odszkodowanie i wkrótce będą mogli zacząć odbudowę.

Freja przyjacielsko trąciła ją w łokieć i błagała wzrokiem.

– Nie ma mowy. Więcej nie dostaniesz.

Ale koń trącił ją raz jeszcze i Karen ponownie sięgnęła do kieszeni.

– No dobrze. Ale na dziś to już wszystko.

Odsunęła się o krok i popatrzyła na zwierzę. Tak naprawdę konie to nie była jej pasja. Nigdy szczególnie jej nie interesowały. Ale po pożarze miała wrażenie, że coś się zmieniło. Polubiła towarzystwo Frei. Zapach ciepłego ciała, spokojny oddech i nieśpieszne ruchy. Dobrze jej robiło, gdy mogła wyjść z domu, zostawiając choć na chwilę zamknięte w nim na zawsze wspomnienia i wiszące na ścianach zdjęcia.

Oparła się o barierkę i patrzyła, jak koń kontynuuje biesiadę, wolno wciągając w siebie wiązki siana. Podjęła decyzję. Właśnie tu, stojąc w starej, wysłużonej stajni wypełnionej zapachem koni i spalenizny, zrozumiała, co musi zrobić. Powinna była to zrobić już dawno. Obawiała się jednak, że Lise

może być w to zamieszana, a w głowie słyszała głos matki powtarzający refren: „Karen, takie rzeczy załatwiamy w rodzinie. Zawsze tylko w rodzinie”. Od dziecka jej to powtarzano i nieważne, jak wiele rzeczy potem sobie uświadomiła i jak bardzo była wściekła, słowa matki wciąż dudniły jej w głowie i hamowały wszelkie działania. Przez wszystkie lata pozostała im posłuszna. Nikomu nic nie powiedziała. Rodzinę stawiała na pierwszym miejscu, tak było przecież od zawsze. Stawiała ją nawet ponad prawem – teraz to zrozumiała.

Usłyszała, że ktoś podjechał. Dicte Svendsen w swoim fiacie zaparkowała u siebie, a John Wagner stanął fordem przed jej domem.

Przeciągłym westchnieniem dała ujście poczuciu ulgi, jakie ją ogarnęło. Poklepała konia, który na wszelki wypadek raz jeszcze wcisnął chrapy w jej dłoń. Poczowała spokój na myśl, że w końcu przyszła ta chwila. Pogłaskała pysk konia i na moment przytuliła do niego policzek.

Pomyślała o tych wszystkich latach, kiedy kłamała przed samą sobą. Tak długo widziała w sobie posłuszną, odpowiedzialną córkę, która dwa razy w tygodniu odwiedza ojca w domu opieki. Dlaczego? Zastanawiała się nad tym, kiedy opuszczała stajnię i szła przez skąpane w mroźnym wiosennym słońcu podwórko. „Bo miałaś nadzieję, że uda ci się wybaczyć”, podpowiedział głos w jej głowie. Ale ani na widok jego powykręcanych palców, ani na dźwięk jego głosu jej skamieniałe serce nie miękło tak, jak na to liczyła. Przeciwnie, czuła się wówczas tak, jakby wir wciągał ją w odmęty przeszłości, i wychodziła od niego zawsze zlaną zimnym potem, który był jak dodatkowa warstwa skóry. Czuła skurcze na plecach, jakby ciało od nowa przeżywało chłostę.

Miała nadzieję, że uda jej się odwrócić wzrok od tego, co złe, i w ten sposób sprawić, że to zniknie. Tak się jednak nie stało. I teraz to zło uderzało w nią z całą mocą, wracało do niej to, co ojciec dał im w spadku.

– Nie ma na imię Klaus, tylko Henrik. Miał sześć lat, kiedy zmarła mama. Krótko potem tato dostał wylewu i to wszystko okazało się ponad nasze siły – Inger i moje. Poza domem i bratem musiałyśmy odtąd zajmować się jeszcze ojcem. Dlatego Henrik pojechał na wakacje do krewnych mamy w Års i z czasem ten układ coraz bardziej się utrwał.

Karen słyszała swój beznamiętny głos. Dziwiła się, że wcale nie czuje, iż to ona siedzi tu z nimi. Miała wrażenie, jakby przyglądała się wszystkiemu z boku.

– Domyśliłam się, że to on, kiedy zobaczyłam w gazecie portret pamięciowy – dodała, grzejąc dłonie na kubku z herbatą. – Zobaczyłam na nim ojca – sprecyzowała. – Takiego jak na zdjęciach z młodości.

Spojrzała na nich i zorientowała się, że i oni się w nią wpatrują. Zastanawiała się jednak, czy również ją rozumieją. W oczach Johna Wagnera dostrzegła łagodność. Oczy Dicte lśniły gorączkowo, a białka zdawały się zaczerwienione, jakby z braku snu lub z powodu płaczu.

– Dlaczego nie zgłosiłaś tego wcześniej? – chciała wiedzieć Dicte. – Dlaczego nie powiedziałaś o szczątkach, które twój ojciec znalazł w bagnie?

Karen znów obróciła w dłoniach kubek. Wciąż brakowało jej ciepła, ale wkrótce miała przyjść wiosna, a z nią Wielkanoc. Jej myśli oddaliły się na krótką chwilę, jakby same o sobie decydowały. Wielki Piątek jest najgorszy, ale potem przychodzi Zmartwychwstanie i wszystko znów podnosi się do życia. Tęskniła za dniem, kiedy ktoś inny weźmie na siebie winę, zdejmie brzemień z jej ramion i stopi lód w sercu.

– Tłumaczyłam sobie, że to nie może mieć związku – powiedziała do kubka. – Skąd mogłam wiedzieć, że jest inaczej? Minęło tyle lat.

Dicte nie zareagowała, ale Wagner odchrząknął i zmienił temat:

– Wie pani, gdzie teraz może być Henrik?

Co by zrobiła, gdyby to wiedziała? Zastanowiła się nad tym przelotnie. Czy próbowałyby się z nim skontaktować? Pokręciła głową. Tylko ojciec potrafił zrozumieć Henrika, a po tym, jak zachorował, już nikt. Inger wzbraniała się przed wzięciem odpowiedzialności. A ona sama? Może po tylu latach dźwigania wszystkiego na swoich barkach była zwyczajnie zmęczona.

– Straciliśmy kontakt dawno temu. Krewni mamy, którzy go adoptowali, od dawna nie żyją. Umarli jakieś dwadzieścia lat temu. Gdy u nich zamieszkał, byli już w podeszłym wieku.

– A ta historia ze szczątkami na bagnie – zapytała Dicte. – Rozumiem, że on ją znał.

Karen przez chwilę rozglądała się po pokoju. Niewiele się w nim zmieniło. Powinna była umeblować go na nowo. Pozrywać stare widma i wpuścić trochę świeżości. Prawda była jednak taka, że wszystko zostało tak jak wtedy. Te same meble, ten sam zegar bornholmski w kącie, który odmierza skrawki czasu. Kiedyś spróbowała się w nim schować, ale była za duża. Ojciec ją znalazł i wymierzył jej karę.

Tu, w tym pokoju w kółko im opowiadał tamtą historię. Henrik słuchał zawsze z otwartą buzią i wytrzeszczał oczy.

– Oczywiście, że znał – potwierdziła. – Sam stale prosił, żeby mu ją opowiadać.

Kubek przyjemnie ogrzewał jej dłonie. Przypomniała sobie fascynację, która udzieliła mu się po ojcu. Każdego wieczora słuchał tej samej opowieści: o tym, jak w mule natrafili na coś twardego. O twarzy, która wyglądała, jakby na nich patrzyła. O pętli na szyi i siekierze wciąż, po tylu latach tkwiącej w czaszce. Ktoś mógłby powiedzieć, że nie powinno się takich rzeczy opowiadać dzieciom, ale ojcu nikt nie zwróciłby uwagi.

– To była ulubiona historia Henrika – wyjaśniła. – Uwielbiał ją. Ojciec zresztą miał na jej punkcie obsesję, więc doskonale się dobrali pod tym względem.

– Ale dlaczego? – zapytał ostrożnie Wagner. – Czy był w tej opowieści jakiś morał?

Karen na niego spojrzała. Teraz ją oceni. Teraz rzuci ją na stos, ale przecież już postanowiła, że trzeba powiedzieć całą prawdę.

– To był oczywiście zabobon. W głębi serca ojca paraliżował strach przed zemstą młynarza – odparła szeptem. – Może zresztą było to odbicie jego własnych wyrzutów sumienia, któż to wie. Tak czy inaczej, był przekonany, że młynarz zemści się za to, że mu zakłócono wieczny odpoczynek. Ojciec uważał, że kiedy młynarz zdecyduje, że już pora, pošle do ziemi również jego.

– I wszystko to mówił sześciolatкови? – w głosie Dicte zabrzmiała

pogarda, bo nie mieściło jej się to w głowie.

Co tak naprawdę mówił? Karen próbowała sobie przypomnieć.

– To niepodobne do mojego ojca, aby brać pod uwagę, czy ktoś ma sześć czy szesnaście lat.

Wagner wstał i zaczął krążyć po pokoju. Chciałaby trochę bardziej pomóc. Wolałaby mniej się bać.

– Jak Henrik zniósł przeprowadzkę? – zapytał, studiując uważnie reprodukcję van Gogha na ścianie.

Karen zamknęła oczy. Wyraźnie zapamiętała tylko wyjazd Henrika. Rozdzierający płacz i to, że wczepił się w nią jak mała małpka. Pamiętała jego błagania i drobną, spuchniętą od płaczu twarz, a potem zamknięte z trzaskiem drzwi samochodu i dźwięk opon toczących się po podwórku. Dlaczego jej to nie poruszyło? Gdzie się wówczas ukryły jej uczucia? Karen miała wrażenie, jakby lód, który miała w środku, nie dopuścił ich do głosu, lecz zmroził je wszystkie w jedną wielką bryłę, która nigdy nie chciała stopnieć.

– Żle – powiedziała krótko i miała nadzieję, że nie będzie musiała rozwijać tematu. – On oczywiście sądził, że jedzie tylko na długie wakacje, ale i tak był rozżalony. Choć dla wszystkich było najlepiej, że trafił do dobrego domu – dodała.

– Skąd to wiesz? – spytała Dicte.

Karen wzruszyła ramionami i dała jedyną odpowiedź, jaka wydawała jej się sensowna.

– Przecież był u rodziny.

Przez dłuższy czas słychać było tylko tykanie stojącego w kącie zegara. Dicte rozmasowała sobie skronie. Wagner odwrócił się do kobiet plecami i wyglądał przez okno na zabudowania. A może patrzył na spaloną stajnię, gdzie wszystko się zaczęło? Dicte nie była w stanie tego ocenić.

Kiedy w końcu się odezwał, w jego głosie zabrzmiał smutek.

– Mamy więc do czynienia z mężczyzną po czterdziestce, który większość życia spędził w rodzinie adopcyjnej, ale znał swoją rodzinę

biologiczną.

Następnie się odwrócił i spojrzał na Karen pytająco. Ta potwierdziła skinieniem.

– Mężczyzną, który niespodziewanie, po wielu latach wraca i zabija najpierw swoją siostrę, a po niej zupełnie obcą kobietę, która krzywdziła swoje dziecko.

Zrobił dwa kroki w jej kierunku. W jego ruchach nie było groźby, ale Karen i tak się wystraszyła.

– Gdzie w tym sens?

Dicte przestała masować skronie i podniosła wzrok. Karen chciałaby uciec spojrzeniem, ale nie była w stanie.

– Inger była jego matką – powiedziała w przestrzeń. – Urodziła go, kiedy miała trzynaście lat. Nikt o niczym nie wiedział, bo razem z mamą na ostatnie miesiące ciąży przeniosły się do krewnych.

Zapadła długa cisza. Oboje z Wagnerem uważnie się w nią wpatrywali.

– Henrik wiedział, że Inger była jego matką? – zapytał wreszcie Wagner.

Karen pokręciła głową.

– A tamci krewni, którzy go adoptowali?

– Oni wiedzieli.

Wagner westchnął.

– Musieli mu powiedzieć, być może kiedy uznali, że jest dość duży. To przecież sporo wyjaśnia.

Światło wbijało jej się w mózg i ból rozrastał się niepohamowanie.

Dicte zaciągnęła zasłony i pożałowała, że nie wybrała granatowych zamiast białych, które promienie słońca przecinały jak świeżo naostrzone szable. Z trudem zdjęła dzinsy i zostawiła je na podłodze. Obok spadła bluzka. Wpełzła pod kołdrę, oczy przewiązała chustką i zwinęła się w kłębek. Migrena w jej głowie pulsowała czerwienią i była podszyta mdłościami.

Dicte próbowała wyłączyć świat zewnętrzny i zamknąć się w szybującej w powietrzu bańce nicości. Lecz to, co z takim trudem powiedziała Karen, przebiło tę bańkę. Wciąż od nowa rozbrzmiewała ta sama historia. Ona zaś z hukiem spadała na ziemię, zmuszona jej słuchać i znosić ból. Historia była niczym moździerz rozgniatający w jej głowie słowa i wydarzenia na gładką masę. Znow słyszała głos opowiadający o chłopcu odprawionym z domu, który nie wiedział, że jego siostra jest jego mamą. I o Karen, której uczucia obumarły, zgładzone wieloletnim biciem. Usłyszała o ojcu o sercu twardym jak ta siekiera, co rozłupała czaszkę młynarza, i o matce, która aż do śmierci zmuszała rodzinę do milczenia, bo uważała, że jej własna przewlekła choroba jest wystarczającym usprawiedliwieniem dla postępowania ojca. Wszystko to dochodziło do Dicte na tle dudniącego bólu, a jednocześnie z bardzo daleka z wolna do jej świadomości skradała się i przeplatała z opowieścią Karen inna melodia. Doskonale jej znana. Taka, której słyszeć nie chciała.

Przewracała się z boku na bok, nie mogąc znaleźć spokoju. Zasłoniła uszy poduszką Bo, żeby wyciszyć przynajmniej odgłosy z ulicy, którą ludzie wracali o tej porze z pracy w mieście, i nerwowej krzątaniny Bo na dole. Z rozmowy z Karen wróciła z migreną, która groziła nawrotem prawdziwego bólu. Zdążyła mu tylko wszystko pośpiesznie streścić, zanim musiała się poddać i schronić w łóżku.

Bo obiecał otworzyć hydraulikowi, który miał przyjść o trzeciej obejrzeć krany. Razem z Rose zajęli się obiadem, nakarmili psa i go wyprowadzili. Dicte chciała tylko leżeć tu, we własnej ciemności, ściszyć ich głosy i wyłączyć melodię, która teraz próbowała przekrzyczeć ból.

Te pigułki powinny wkrótce zacząć działać. Znalazła fiolkę swoich dawnych leków upchniętą pod tylną ścianą apteczki. Nie pamiętała już, kiedy ostatni raz musiała je zażyć. Jakies dwa lata temu, pomyślała. A może jeszcze dawniej, po rozwodzie z Torstenem, gdy jej świat się wywrócił.

Trochę jednak trwało, nim pastylki się wchłonęły, więc melodia brzmiała tak głośno i nachalnie, że Dicte nie miała siły dłużej się opierać.

To była jej własna piosenka i razem z kakofonią w uszach wciągała ją coraz głębiej w czarną dziurę. Dicte nie mogła w żaden sposób tego powstrzymać. Melodia zabrzmiała w niej, kiedy po raz pierwszy padło słowo „adopcja”, a ona pomyślała o swoim dziecku i poczuła wstyd, bo nie umiała oddzielić wyrzutów sumienia od tęsknoty i dlatego że podejrzewała, iż to pierwsze uczucie jest silniejsze od drugiego.

Mocno objęła poduszkę i ukryła w niej twarz. Czuła miękkość i wgrzyzała się w nią, a bębniarz w jej głowie zaczął solówkę.

Nic nie mogła zrobić, ale gdyby mogła, to jedno by zrobiła. Zatrzymałaby go, aby móc go kochać i uchronić się przed pustoszącym jej wnętrze poczuciem winy, jęczącą się raną, która otwierała się na nowo, kiedy tylko ktoś jej dotknął. To przecież właśnie zrobił ten nieszczęśliwy i okrutny człowiek. Chłopiec, którego bezwzględnie odrzucono i który wyrósł na żadnego zemsty mężczyznę. Dotknął jej rany i ją rozdrapał, aż znów popłynęła z niej krew.

Poprzez ścianę bólu i nieskładnych myśli dotarł do niej odgłos samochodu na podjeździe. To pewnie hydraulik. Usłyszała, jak drzwi pojazdu otwierają się i zamykają z głośnym trzaskiem, aż jej głowa zadrżała. Męskie kroki na żwirze odbijały się echem w jej czaszce, a dzwonek do drzwi zabrzmiał jak eksplozja. Tabletki powinny zacząć działać lada chwila. No już, prędzej, powtarzał głos w jej głowie, ale jeszcze głośniejsze w jej myślach przebijały się inne słowa. Powoli wyłuskiwała je z pamięci. Człowiek sieje wiatr i zbiera burzę. To właśnie robimy w relacjach ze swymi

dziećmi. Ona sama w relacji z synem, którego oddała do adopcji, a jej rodzicie – z nią. Wierzymy, że postępujemy właściwie. Sami siebie o tym przekonujemy, aż pewnego dnia nasze decyzje wracają do nas i uderzają z siłą, o jakiej nie mieliśmy pojęcia. Któregoś dnia przychodzi czas zapłaty. Jeśli istnieje dzień sądu ostatecznego, Armagedon, to tym właśnie jest – godziną rozliczeń z naszymi dziećmi, przez wszystkie niekończące się pokolenia. Ona była druga w kolejce. Pobrała już numerki i czeka, jak w urzędzie. Godzina wybiła i mechaniczny głos właśnie przywołał ją do okienka.

– Masz. Napij się.

Poczuła dłoń podpierającą jej kark i chłodną krawędź szklanki przy ustach. Otworzyła oczy i spojrzała prosto w oczy Bo.

– No, dalej. Wiem, że chce ci się pić. Pyszna, lodowata woda – zachęcał.

Wciągała płyn kropla po kropli. Najpierw ostrożnie, potem łapczywie.

Odstawił szklankę na stolik i położył się obok niej. Odsunął jej z szyi włosy i wtulił w nie twarz.

– Już lepiej?

– Mmm.

– Musisz się od tego zdystansować – powiedział po chwili. – Nie możesz się tak zadręczać.

Spojrzała na drewniany sufit i zauważyła, że migrena minęła, albo przynajmniej osłabła. Bo włączył lampkę po swojej stronie łóżka i postawił ją na podłodze, żeby światło nie było zbyt ostre. Pomyślała, że robi to dla niej. I przyniósł jej wody. Czy nie powinna posłuchać rady człowieka, który się o nią troszczy?

– Która godzina?

– Ósma. Właśnie zjedliśmy. Jesteś głodna?

Pokręciła głową.

– Chcę tylko poleżeć – mruknęła wtulona w niego. – Nie myśleć o niczym.

Minęło jeszcze trochę czasu, a jej życzenie się spełniło. Mózg został opróżniony z wszystkiego poza wdychaniem jego zapachu i utrzymywaniem się przy życiu.

– To nic nie da – powiedział w końcu łagodnym głosem. – Nie zdołasz tego powiązać. Nie możesz wciąż się obwiniać. Wówczas stajesz się podobna do niego – teraz w jego głosie pojawiła się desperacja. – Obwinianie się jest tak samo szalone jak to, co on robi. Nie widzisz tego?

Przyłgnęła do niego całym ciałem, a on ją objął, pogłaskał po plecach i pocałował.

– To do ciebie nie pasuje, aby dać się zastraszyć człowiekowi kierującemu się chorą logiką. Jesteś na to zbyt mądra.

– Zbyt mądra – powtórzyła z twarzą przy jego piersi i niemal w to uwierzyła. – Zbyt mądra.

Nie wiedziała, jak długo tak leżeli, ale zdała sobie sprawę, że zasnęła. A kiedy się obudziła, leżeli w tej samej pozycji. Bo wciąż nie spał.

– A może teraz coś zjesz?

Żołądek odpowiedział za nią. Potwierdziła skinieniem.

– Chili con carne?

– Ekstra.

Wstali i zeszli na dół. Bo podgrzał kolację, pokroił chleb i postawił na stole.

– A jak hydraulik? – przypomniała sobie nagle. – Naprawił tę wodę?

Bo pokręcił głową, stawiając przed nią parujący talerz.

– Powiedział, że to sprawa wodociągów.

Nabrała jedzenie na widelec i podmuchała.

– I co? Dzwoniłeś do nich?

– Mhm.

Powiedział to, nalewając sobie wina i stawiając przed nią szklanekę zimnej

wody.

– Przyjadą jutro o drugiej. Możesz być w domu? Mam wtedy zlecenie.

Pokiwała głową. Jadła i kurczowo trzymała się codzienności.

Bo wziął łyk wina.

– Dzwonił też mechanik. Ma dla ciebie zderzak. Obiecał, że jest używany i tani.

Hydraulik, zderzak, mechanik. Jak cudownie brzmią te słowa.

– Mogę jutro popracować z domu – powiedziała. – Będzie mógł wziąć samochód na warsztat.

Później, rozgrzana ciepłym posiłkiem i połową kieliszka wina, którego Rose zabraniała jej dotykać, kiedy była na lekach, przypomniała sobie to, co jej córka opowiadała o węzach. Zadzwoniła do Wagnera pod jego bezpośredni numer. Wciąż był na komendzie. Sądząc z ożywienia, jakie usłyszała w jego głosie, dzięki wydarzeniom dzisiejszego dnia śledztwo nabrało rozpędu. Krótko opowiedziała mu o stowarzyszeniach hodowców gadów.

– Pomyślałam, że powinnam o tym wspomnieć, chociaż pewnie już to sprawdzaliście.

Słyszała, jak szeleści papierami, w tle brzmiały głosy innych osób. Domyśliła się, że mają właśnie odprawę, zanim rozejdą się do domów.

– Mam nadzieję, że tak – powiedział przyjaznym tonem. – Ale zaczekaj chwilę. – Zasłonił słuchawkę ręką i Dicte usłyszała stłumioną wymianę zdań. – Sprawdziliśmy wszystkie stowarzyszenia, do których udało nam się dotrzeć – powiedział po chwili. – Największe szanse są u hodowców pytonów. Te jedzą myszy żywcem.

Dicte wzdrygnęła się na tę myśl.

– I żadnego Henrika Nøragera?

Karen podała im nazwisko rodziców adopcyjnych.

Wagner westchnął.

– Żadnego Henrika Nøragera. Ani Klausa Nøragera. Graugaarda zresztą też nie.

– Może przybrał jeszcze inne nazwisko? – Teraz słyszała w swoim głosie ślad desperacji.

– Możliwe. Najprawdopodobniej tak – mruknął. – Jakieś inne nazwisko, kompletnie nam nieznane.

– Jak igła w stogu siana – podsumowała.

– Coś w ten deseń – powiedział niewyraźnie.

Nagle sobie uświadomiła, jak wielkie wyzwanie mają przed sobą, i pożałowała, że zapytała.

50

– Trzymaj. To ci dobrze zrobi.

Ida Marie postawiła kubek na stoliku przed nim, a sama usiadła obok na kanapie, podwijając nogi. Miała na sobie błękitny jedwabny szlafrok, który rozsunął się, odsłaniając zarys krągłej piersi. Na ten widok coś w nim drgnęło, ale po chwili się wyciszył. Wziął do ręki kubek z grzany winem, oparł się wygodnie na poduszkach i słuchał sonat skrzypcowych Mozarta, które wybrała ona.

– Podły dzień? – zapytała cicho.

Było późno i dzieci już od dawna spały, kiedy wrócił do domu. Podgrzał sobie klopsiki z indyka, które przygotowała, razem z porcją kuskusu, nałożył surówki i bardzo potrzebował tego grzańca. Wymówką były objawy nadciągającego przeziębienia.

– Nie tyle podły – powiedział pomiędzy łykami ciepłego napoju – ile długi i frustrujący.

– Posunęliście się choć o krok?

Pytając, okrężnymi ruchami masowała mu kark. Raz jeszcze coś w nim obudziła. Nazwać to namiętnością byłoby pewną przesadą, pomyślał. To raczej pragnienie. Coś mniej zobowiązującego, bo w tej chwili trudno mu było wybiec w przyszłość dalej niż do jutra. Niewątpliwie jednak jej pragnął, być blisko, słuchać jej oddechu i wiedzieć, że jest pełna życia i go kocha.

Odchylił głowę, opierając kark o jej dłoń, i zsunął się niżej na kanapie.

– Wielki krok, tak się przynajmniej wydaje.

– Ale nie dość wielki?

Chwytał jej dłoń, która przesunęła się z jego karku na ramię. Pocałował jej wewnętrzną stronę, zaciągnął się zapachem mydła, a na wargach poczuł

delikatny posmak soli z jej skóry. Potem pokrótce i w ogólnikach opowiedział jej swój dzień.

Kiedy skończył, westchnął z kubkiem przy ustach i jednym haustem opróżnił go do połowy. Ciepło szybko rozlało się po brzuchu i stamtąd rozeszło do ramion, nóg i głowy, gdzie zaszumiało i przyniosło odprężenie.

– Dicte wpadła do mnie do biura parę dni temu – powiedziała Ida Marie i wygodniej oparła twarz na jego ramieniu. Jej włosy łaskotały go i podniecały, czego być może nie była świadoma. – Czuje się naprawdę źle.

Ujął długi blond kosmyk i przesunął go między palcami. Rozkoszował się jedwabistym dotykiem i kolejny raz zadziwiło go, że jego włosy natura uczyniła czarnymi jak węgiel, a jej zafarbowała na kolor tak jasny, że wydawały się niemal białe. Przeczytał kiedyś w jakimś artykule, że naturalnym blondynkom grozi wyginięcie w ciągu najbliższych dwustu lat.

– To nie jest dla niej łatwe – przyznał, bacznie przyglądając się kosmykowi. Przypomniawszy sobie kolor włosów Dicte, rudoblond, jej wymizerowaną twarz i zmęczone, przekrwione oczy. – To znaczy, że się pogodziłyście?

Nie lubił, kiedy w relacjach Idy Marie z jej przyjaciółkami pojawiał się chłód. Nie było to częste, ale się zdarzało. Może dlatego, że przy tak szerokiej gamie uczuć, jakie między nimi przepływały, niemożliwe było, aby zawirowania emocjonalne jednej strony umknęły drugiej.

– Nie wydaje mi się, abyśmy kiedykolwiek były skonfliktowane – powiedziała i wzięła mały łyk jego grzańca. – Ale myślę, że była trochę zazdrosna.

Wagner podniósł brew.

– Zazdrosna? O co?

Przesunęła palcem po wewnętrznej krawędzi jego rozpiętej koszuli.

– Może sądzi, że ja jestem szczęśliwa, a ona nie jest.

Wyczuł, że wchodzi na grząski grunt. Mimo to musiał spojrzeć jej w oczy i wyciągnąć z niej całą prawdę.

– A nie jesteś?

Przysunęła twarz tak blisko niego, że zobaczył niebieskie gwiazdy w jej oczach. Nosem muskała jego policzek, a jej usta drżały prawie niedostrzegalnie.

– Prawie – powiedziała w końcu i kamień spadł mu z serca. – Ale niewykluczone, że Dicte jest bliższa szczęścia, niż jej się wydaje. Oczywiście o ile akurat nie polują na nią obłąkani mordercy.

– Bliższa szczęścia? Z Bo?

– Owszem. Nieobliczalnym, skrytym Bo.

– Jest bardzo młody – powiedział Wagner i natychmiast zorientował się, że popełnił strategiczny błąd, bo Ida Marie z rozbawioną miną przytaknęła, ale miłosiernie nie skomentowała faktu, że on sam jest od niej o dwanaście lat starszy, co być może stanowiło jeden z czynników, z powodu którego tak się opierał przed powiększeniem rodziny o kolejne dziecko.

– Byłam dziś u lekarza wyjąć spiralę – powiedziała tylko.

– Już? Tak po prostu?

Wzruszyła ramionami i posłała mu zagadkowy uśmiech.

– Czasem trzeba je zmieniać.

Chciał spytać, czy to znaczy, że założyła sobie nową, ale w tej samej chwili ostrożnie wzięła go za rękę i wsunęła ją do skarbca ukrytego pomiędzy połami jedwabnego szlafroka. Pierś ułożyła się w jego dłoni miękkim, delikatnym ciężarem i poczuł w środku mocne szarpnięcie. Wszystko, co dotyczyło śmierci, zbrodni i zwątpienia, ulotniło się i rozplynęło w przestrzeni pomiędzy skrzypcami a towarzyszącym mu fortepianem.

– Nie bój się – szepnęła z anielską łagodnością – życie jest silniejsze niż śmierć.

Wiedział, że w tej chwili była syreną, która go kusi i zwodzi, wiedział, czego chce, że zarówno kocha go, jak i nim manipuluje. Ta świadomość nie osłabiała jednak jego pragnienia, wręcz przeciwnie. Wtulił w nią twarz, a ona przegoniła demony i na jakiś czas to, co powiedziała, stało się prawdą, która obudziła w nim coś, co do złudzenia przypominało namiętność. Kiedy

później przenieśli się do łóżka i Ida Marie spała obok niego, pomyślał, że być może jedyne, co właśnie zrobili, to zadbali o to, aby zagrożone wyginięciem blondynki dostały szansę przeżycia odrobinę dłużej niż dwa wieki.

Zespół śledczy spotkał się następnego dnia o ósmej rano w sali narad. Były ciastka i kawa, a także niewypowiedziane poczucie, że czas ucieka, a katastrofa nadciąga nieubłaganie. Wagner pomyślał, że wszyscy myślą to samo i to dlatego Ivar K nalał sobie za dużo kawy i miał na spodku małą kałużę, a Jan Hansen prawie przewrócił cukierniczkę. Mieli całą masę danych, ale wciąż brakowało im tych najważniejszych. A zabójca ciągle z ukrycia wypatrywał następnej ofiary. Mogła nią być Dicte Svendsen, o której nie mógł zapomnieć, bo nie przestawała go prowokować swoimi artykułami, ale mógł też z niej zrezygnować, uznając, że przyciąga zbyt wiele uwagi, i zacząć się na kogoś zupełnie innego. Na niczego niepodejrzewającą kobietę, która być może właśnie teraz otwiera drzwi i wpuszcza do domu swojego zabójcę albo ubiera się, aby się przejść w jakimś odludnym miejscu, lub też nie zamknęła drzwi na klucz, bo czeka na odwiedzinę przyjaciółki. Kiedy zaatakuje? Kiedy ich czas się skończy? Kiedy zadzwoni telefon i zostaną wezwani na miejsce kolejnej krwawej zbrodni?

– Urzędy są otwierane o dziewiątej – powiedział i rozejrzał się po twarzach kolegów. – Dopóki nie będziemy mieli przełomu, obawiam się, że pozostaje nam żmudna papierkowa robota. Musimy przejrzeć dokładnie ewidencję ludności i skontaktować się z biurem adopcyjnym. Trzeba dotrzeć do wszystkich instytucji, które mogą nam pomóc w namierzeniu Henrika Nøragera. Nøragerowie mieszkali w Års i adoptowali go, kiedy miał sześć lat. Wówczas przyjął ich nazwisko. Być może akta są zbyt stare, by widniał w rejestrach elektronicznych, dlatego musimy dzwonić i zdobyć kartoteki albo mikrofilmy.

Nalał sobie kranówki i mówił dalej.

– Jego rodzice adopcyjni nie żyją, ale w okolicy mieszkają pewnie jacyś inni krewni. Trzeba ich znaleźć i przesłuchać. Do tego dochodzą zgłoszenia w sprawie portretu pamięciowego. Musimy je przejrzeć.

Na bieżąco rozdzielali między sobą zadania. Jan Hansen i Ivar K wzięli na siebie sekte. Hansen miał przepytac członków wspólnoty, czy mogą

powiedzieć coś więcej o mężczyźnie, który przedstawił się jako Klaus i swego czasu zachodził do ich siedziby. Ivar K pojechał do zakładu karnego w Horsens spotkać się raz jeszcze z Andersem Langballem. Petersen i Eriksen mieli obdzwonić rejestry.

– I za godzinę chciałbym mieć na biurku wszystkie akta sprawy, od samego początku – dorzucił Wagner. Nie wyspał się tej nocy. Nie z powodu sytuacji z Idą Marie, która najwyraźniej podjęła już decyzję i nie przyjmowała odmowy ani nawet wahania. Z powodu nieustannego poczucia, że jest coś, co może zrobić, że istnieje droga na skróty, która pozwoli im zlokalizować Henrika Nøragera, i że wskazówki kryją się gdzieś w aktach sprawy.

– Aż od pożaru szkoły? – upewnił się Kristian Hvidt.

Wagner pokiwał głową.

– Od pożaru, zabicia królików, podpalenia stajni – od samego początku. I ktoś musi pojechać do domu opieki w Tilst i pokazać personelowi oraz mieszkańcom portret pamięciowy. Stary Jørgen Graugaard jest ojcem podejrzanego. Być może Henrik kiedyś go odwiedził.

Petersen i Eriksen wstali, aby zacząć od dostępnych całą dobę baz komputerowych. Wagner odsunął na bok szklankę z wodą, sięgnął po termos i wyjątkowo nalał sobie policyjnej lury. Wiedział, że to się na nim zemści i będzie musiał połknąć garść tabletek na wrzody, ale pilnie potrzebował kofeiny.

– A co z prasą? – spytał Jan Hansen. – Dajemy im coś?

Wagner zastanawiał się przez chwilę, ale pokręcił głową.

– To na nic. Teoretycznie mogłoby nam to pomóc w jego ujęciu, ale najprawdopodobniej skutek będzie odwrotny i nasz podejrzanym zapadnie się pod ziemię.

Stopniowo rozchodzili się do swoich zadań. Wagner dopił kawę, a następnie korytarzem ruszył do windy i swojego biura. Ida Marie zapewniła go, że życie jest silniejsze od śmierci. Przypomnił sobie jej łagodny głos, gdy napięte kable przesuwają kabinę między piętrami, a on na kilka sekund znalazł się pomiędzy niebem a ziemią. Musi go sobie zapamiętać. Powinien

stale brzmieć mu w głowie i zapewniać go, że tak właśnie jest. Bo jakimś cudem on sam w to wierzył, choć był to banał i frazes, i tak naprawdę pewnie zwykłe kłamstwo. Kiedy ona to mówiła, on w to wierzył.

51

Dicte podjechała na placyk przed warsztatem. Od poprzedniej wizyty samochodów nie ubyło. Wyglądały tak, jakby je tu zmagazynowano. Niektóre były w lepszym stanie od innych. Jeden – mała micra – miał przód ściśnięty w harmonijkę. Inny stał z podniesioną maską, a kolejnemu brakowało wszystkich kół.

Dicte zaparkowała i się rozejrzała. Na zewnątrz nie dostrzegła żywej duszy, więc podeszła do drzwi warsztatu i zapukała. Ze środka również nie dochodziły żadne dźwięki, więc ostrożnie otworzyła drzwi i wsunęła głowę do ciemnego pomieszczenia.

– Kurt?

Na platformie nad kanałem stało czarne renault. Przy nim poruszało się światło latarki.

– Kurt? To ty?

Najpierw usłyszała niewyraźne mamrotanie. Potem głos zabrzmiał głośniej.

– To pani dziennikarka?

Przytaknęła.

– Już idę.

Nim przyszedł, minęła jednak dłuższa chwila, podczas której Dicte chodziła niespokojnie po warsztacie. Rano z trudem się obudziła po tabletkach, jakie wzięła wieczorem. Migrena minęła, ale po tym wszystkim czuła się tak, jakby ktoś wypchał jej głowę watą. Pomyślała, że to dobrze, że nie pojechała dziś do redakcji, i podreptała do biura mechanika.

Ściany pomieszczenia zdobiły kalendarze, na których producenci

samochodów reklamowali swoje produkty zdjęciami piersiastych blondyn prężących się na maskach.

– Cześć.

Kurt zaszedł ją od tyłu, aż się spłoszyła. Był wysoki, ciemny na twarzy i jak zwykle w czarnym kombinezonie.

– Przestraszyłem cię?

Z trudem starała się zebrać myśli, kiedy patrzyła na jego zarośniętą twarz i porównywała ją w głowie z rysunkiem z gazety. Trzeba zachować ostrożność. Teoretycznie to mógł być on. Pod warstwą smaru i maską życzliwości mógł się kryć właśnie on. Odruchowo obejrzała się w stronę drzwi, które za sobą zamknęła.

– Jesteś tu sam? – wydusiła.

Zatoczył ręką półkole.

– Mój stażysta się pochorował. A roboty jest mnóstwo.

Złość w jego głosie podziałała na nią uspokajająco. Rzeczywiście, normalnie był tu jeszcze jeden młody chłopak. Wyraźnie było słyhać, że Kurtowi nie podoba się, że został w warsztacie sam. Zatem nie planował nikogo tu zabijać. Zwyczajnie nie miał na to czasu.

– Jesteś blada – zauważył. – Chyba niedługo znajdą tego zabójcę?

Zmusiła się, aby spojrzeć mu w oczy ukryte na pomazanej twarzy. Były brązowe i zmartwione jak u zatroskanego psiaka. Pomyślała, że nie da się żyć w ten sposób. Ten człowiek jest przecież zupełnie normalny. Żaden szaleniec. Wprost przeciwnie. A ona musi wziąć się w garść.

Kurt stał przez chwilę i niespokojnie przestępował z nogi na nogę. Trzymał się na dystans, jakby przeczuwał, że uciekłyby z wrzaskiem, gdyby się zbliżył. Potem się rozchmurzył, jakby przyszedł mu do głowy naprawdę dobry pomysł.

– Mam dla ciebie zderzak – oznajmił zadowolony, a ton jego głosu ponownie podziałał na nią uspokajająco.

– Bo mówił, że jest używany – odparła z trudem i dodała dla pewności: –

powiedział, że przyjedzie po mnie za parę minut.

Kurt jakby nie zwrócił uwagi na tę informację, zwinnym ruchem wyjął z tylnej kieszeni swoją szmatkę i wytarł sobie ręce, jak zwykle.

– Mam go tam, z tyłu. Jest jak nowy.

Zniknął w głębi warsztatu, przez chwilę słychać było, jak się tłucze, po czym wrócił, taszcząc kawał plastiku. Nic jej ten widok nie mówił, ale to również był dobry znak. Nie miał sznura ani siekiery. Ot, zwykły zderzak.

Podał cenę.

– Zdążysz go wymienić jeszcze dziś? Mogę ci zostawić samochód.

Obiecał, że tak. Dicte tyłem ruszyła do drzwi, po omacku znalazła klamkę, nacisnęła ją i wybiegła na powietrze odprowadzana jego zdumionym spojrzeniem.

Podczas krótkiego spaceru do domu wdychała zachłannie świeże powietrze. To nic nie da, powiedziała do siebie. Nie może tak łatwo wpadać w popłoch. Musi myśleć racjonalnie. Gdyby Kurt był groźnym zabójcą, to nie mógłby mieszkać na wsi. Ktoś przecież już dawno by coś wypatrzył albo usłyszał, ktoś by go rozpoznał na portrecie pamięciowym i zgłosił to na policję. Nie żeby był jakoś szczególnie podobny do mężczyzny z gazety, ale wiadomo, że takie rysunki nigdy nie są dokładnym odzwierciedleniem rzeczywistości.

Spojrzała na zegarek. Było wpół do jedenastej. Rano zwykle potrzebowała porządnej kąpieli, ale ciśnienie w rurach pozwalało tylko na mycie partiami. Bo ogromnie to denerwowało, dlatego Dicte pomyślała, że pewnie tęskni za swoim mieszkaniem w mieście. Kupił je po rozwodzie, żeby mieć gdzie spędzać czas z dziećmi i dlatego, że w tamtym czasie ona także nie czuła się gotowa dzielić z kimś domu tak krótko po własnym rozwodzie. Bo faktycznie korzystał ze swojego trzypokojowego lokum, ale głównie na samym początku, kiedy wszystko między nimi zdawało się jeszcze niepewne. Teraz mieszkanie najczęściej stało puste. I w chwilach zwątpienia nachodziły ją obawy, że już niedługo przestanie takie być.

Zmusiła się, by przestać rozmyślać o Bo. Odchyliła głowę do tyłu i próbowała cieszyć się słońcem na twarzy. Wiosna. Świeżość. Nowy rozdział.

Bardzo by tego chciała. Człowiek ma przecież prawo pomarzyć.

Teraz jednak najbardziej marzył jej się długi ciepły prysznic. Obiecała sobie, że tym razem nie spanikuje jak małolata. Kiedy przyjdzie człowiek z wodociągów, zachowa spokój i jak przystało na osobę dorosłą, zadba, aby zrobił to, po co przyszedł. Może nawet zaproponuje mu kawę.

Stery tezek zajmowały większą część biurka. To znaczy, nie licząc telefonu, komputera, zszywacza, pojemnika z długopisami i innych drobiazgów.

Wagner opadł ciężko na fotel i próbował się zdecydować, jak do tego podejść. Czy zacząć od końca, czy najpierw spróbować tam, gdzie przecucie podpowiadało mu, że coś może się kryć? Ale gdzie właściwie to było? Co dokładnie sprawiło, że poprosił o wszystkie akta? Objawienie?

Zaczął trochę po omacku kartkować teczkę z informacjami o podpaleniu szkoły. W aktach przewijały się doskonale mu już znane nazwiska. Złapał się na tym, że przy tej pracy chętnie posłuchałby muzyki. Najlepiej jakiejś pieśni, pomyślał i zatęsknił za chórem, na który nie mógł sobie pozwolić, odkąd wprowadziła się Ida Marie i jego dotychczasowe życie zmieniło się w nieustanną zonglerkę czasem na związek, dzieci i pracę. W zeszłym roku na Boże Narodzenie śpiewali Requiem Brahmsa. Melodia i tekst utworu pozwoliły mu przepracować rozpacz po śmierci Niny i oczyściły mu duszę, pozostawiając jedynie najbardziej niezbędne osady wspomnień. Nadal w nim były i czuł się z tym dobrze. Pomimo zbliżenia z Idą Marie i wszystkiego, co ich łączyło, wciąż zdarzało mu się boleśnie zatęsknić za Niną.

Otworzył następną teczkę i zaczął czytać. Były to akta dotyczące zabójstwa Inger Graugaard. Raporty z przesłuchań wszystkich, począwszy od Rose, która znalazła ciało, a skończywszy na członkach sekty i jej przywódcy, Andersie Langballem. Był tu również raport Gormsena z sekcji zwłok i opis faktów: ślady DNA, modus operandi i odkrycie białych włosów. Jego wzrok znowu napotkał znane mu nazwiska ludzi przesłuchanych przez niego albo innych funkcjonariuszy. Również teraz nie odezwały się żadne dzwonki alarmowe. Żadnego, najcichszego nawet brzęczenia.

Przerobił całkiem spory fragment akt dotyczących zabójstwa Esther Rantzen, zanim w jego głowie nie zaczęła kiełkować myśl, na którą czekał. Brakowało jednego nazwiska. Cofnął się i nie potrafił znaleźć miejsca, w którym powinno było się pojawić. Zwykle bałaganiarstwo, pomyślał poirytowany. Nie po raz pierwszy.

Złapał za telefon i wybrał wewnętrzny numer Eriksena.

– Tak?

– Jak się nazywał ten człowiek, który zgłosił kradzież swojego wozu?

W słuchawce zapadła cisza. Po chwili Eriksen odchrząknął i odparł: – Nie wiem, czy w ogóle dostaliśmy tę informację. Ale powinni ją mieć na dole w ekspedycji.

– Możesz to od nich dla mnie wyciągnąć? Jak najszybciej.

Eriksen obiecał, że natychmiast się tym zajmie, i się rozłączył. Potem, kiedy Wagner dalej przeglądał akta, ogarnęło go zwątpienie i pomyślał, że to prawdopodobnie ślepy zaułek. No, ale dla porządku trzeba to uzupełnić.

Burczało mu w brzuchu, bo opuścił zarówno śniadanie, jak i lunch, dlatego zszedł do kantyny po kanapkę i jasne piwo. Telefon zadzwonił w chwili, kiedy otworzył piwo.

– To Klaus Nordentoft.

– Nordentoft? Dość nietypowe nazwisko.

Eriksen się z nim zgodził.

– Możemy go sprawdzić?

– Jasne. Przepuścimy go przez bazy i zobaczymy, co wyskoczy.

Wagner wpatrywał się w nazwisko zapisane w notesie i czuł się kompletnie bezradny. To przecież tylko nazwisko. Głupie przeczucie. Pewnie nic takiego.

Zjadł i kartkował dalej, aż dotarł do danych z ostatnich dni – bez rezultatu. Wstał, poszedł po kawę i przez chwilę patrzył na stos dokumentów, a myśli w jego głowie zataczały koła. Pomyślał o Dicte Svendsen i o tym, co musi teraz przeżywać. Kiedy poprzedniego dnia przyjechała na komendę,

wyglądała jak czerwonoooka zjawa. I co to było, co zasugerowała jej córka? Coś o węzach. O stowarzyszeniach hodowców gadów. Pytał o to swoich ludzi. Odparli, że mają listy członków wszystkich organizacji, ale wtedy nie wiedzieli, jakiego nazwiska na nich szukać.

Wybrał wewnętrzny Ivara K.

– Chodzi o te białe myszy. Kto ma listy członków stowarzyszeń?

– Kristian – odparł Ivar K i wydawał się zły, pewnie dlatego, że dochodzenie nie przebiegało tak, jak by sobie tego życzył.

– Przejrzyj je jeszcze raz. Przejrzyjcie z Kristianem wszystkie listy i poszukajcie nazwiska Klaus Nordentoft.

– W tej chwili?

– Tak.

Odpowiedź przyszła pół godziny później, kiedy zdyszany Ivar K bez pukania wpadł do jego biura. Jak wariat wymachiwał kartką i Wagner wiedział już, zanim to usłyszał: – Mamy go.

Czuł jednak, że to nie pora na radość. Że czas, jakim w ogóle dysponowali, właśnie się kończy.

– Gdzie mieszka?

– W Tilst. Pracuje w wodociągach Kasted i należy do stowarzyszenia hodowców pytonów.

Zegar w głowie Wagnera tykał teraz jak szalony. Nie zdążą. Coś mu mówiło, że nie zdążą.

Zerwał się, złapał płaszcz i wybiegając, rzucił koledze:

– Wyślij ludzi do wodociągów i sprowadźcie go tutaj. Ty, ja i Hansen jedziemy do Tilst.

Svendsen zaszczekał, kiedy przyjechał listonosz. Dicte widziała przez okno, że idzie do nich z wielką kopertą, która nie mieści się w skrzynce. Biedak musiał zadzwonić i zajrzeć do ich domu, gdzie Svendsen już nie mógł się doczekać, aby mu pokazać, kto tu rządzi. Lepiej będzie, jeśli wyjdzie mu naprzeciw i obroni go przed bestią.

Kiedy szła w stronę drzwi, z niepokojem pomyślała o paczce, ale udało jej się nad sobą zapanować, dokładnie tak, jak to sobie obiecała. Nie było powodu do paniki, policja była bliska znalezienia sprawcy. Przesyłka nadeszła pewnie z klubu książki, gdzie zamówiła kilka tytułów, nie stanowi zaś kawałka układanki z pętlą. Poza tym, jeśli nie będzie nadawcy, to nie otworzy paczki. I już, proste. Tak zresztą się umówili z Wagnerem.

Przekręciła zamek i otworzyła drzwi.

– Dzień dobry – powiedział listonosz tonem tak oficjalnym, jakby zamierzał również zdjąć czapkę i się uklonić.

– Cześć, Jens. Masz coś dla mnie?

W swojej czerwonej kurtce aż nadto rzucił się w oczy. Przynajmniej zreflektował się i nie skomentował przyjemnego poranka, jak nakazywał tutejszy obyczaj.

To oczywiście nie jego wina, że jej dom był na końcu jego porannej trasy i rzadko udawało mu się dotrzeć tam przed południem. Choć to rozumiała, było to irytujące, bo nigdy nie mogła poczytać gazety do porannej kawy. Już dawno dzwoniła w tej sprawie do urzędu pocztowego, więc wiedziała, że nic nie da się zrobić, bo reklamacje można zgłaszać tylko wtedy, gdy listonosz przyszedł po trzynastej.

– Proszę.

Głos listonosza Jensa brzmiał bardzo niepewnie, kiedy podawał jej pakunek i gazetę przez szparę w drzwiach. Dicte nie otwierała ich do końca, bojąc się, że pies wyskoczy i rzuci się na intruza. Przez myśl przemknęło jej, że gdyby zjawił się prawdziwy intruz, to Svendsen pewnie schowałby ogon pod siebie. Był zbyt wielkim tchórzem, aby stawiać czoła prawdziwemu przeciwnikowi.

– Dzięki – powiedziała, odbierając przesyłkę. – Sprawię sobie większą skrzynkę, żebyś któregoś dnia nie został pożarty żywcem.

Jens uśmiechnął się i spojrzał nerwowo na Svendsena, który w tej chwili bardzo poważnie traktował swoje zadanie jako pies stróżujący i dawał głos najlepiej, jak się nauczył.

– Wystarczy, że nie pozwolisz mu się do mnie zbliżyć – powiedział hardo.

Dicte przypomniała sobie, jak raz opowiedział jej o psie z wioski, który chapsnął go i oderwał mu kawałek nogawki. Co właściwie psy mają do listonoszy?

Skinął jej na pożegnanie. Musiała bardzo się postarać, aby nie złajać psa za to, że wykonywał swoje zadanie. Zamiast tego, kiedy listonosz odjechał, nałożyła mu obrozę i wypuściła go do ogrodu, żeby ochłonął.

Przez okno w salonie widziała, jak najpierw dwukrotnie obiegnął trawnik, jakby gonił go sam diabeł, a potem trochę się uspokoił i zaczął niuchać w rabatach, gdzie ziemia nie była już twarda od mrozu, a pomiędzy krzakami i drzewami mieniły się krokusy i przebiśniegi. Wiosna, pomyślała. Zwłaszcza ostatnio dostrzegła jej nadejście. Czas ciemności powoli dobiegał końca, a słońce z każdym dniem rosło w siłę. Co roku było tak samo, ale w tym momencie, kiedy stała przy oknie i obserwowała psa węszącego gdzieś w głębi ogrodu, wydawało jej się, że nigdy tak bardzo nie pragnęła światła i ciepła. Teraz wszystko trzeba wysprzątać i wymienić. Głowę opróżnić ze starych strachów i trosk, a zamiast nich wpuścić pozytywne myśli. Wiosną wszystko wygląda lepiej.

Svendsen wybiegł z rabaty, wlokąc starą kość, która całą zimę leżała sobie spokojnie w błocie. Stał pod drzwiami do ogrodu, trzymając ją w pysku i zaglądnąjąc tęsknie do ciepłego salonu. Dicte nie miała jednak ochoty na

zgniłą kość na swoich dywanach. Odwróciła się do psa plecami i poszła na górę do swojego biura.

Tam właśnie siedziała z nosem w gazecie, która odwracała uwagę czytelników od ich codzienności natłokiem informacji z całego świata, kiedy usłyszała kolejny samochód na podjeździe. Ktoś wyłączył silnik, otworzył i zamknął drzwi. Potem dobiegł ją dźwięk otwierania kolejnych drzwi – rozsuwanych, które następnie z trzaskiem zamknięto. Svendsen szczekał w ogrodzie, choć nie był już taki groźny jak wcześniej, bo mimo wszystko bardziej interesowała go kość.

Schodząc, żeby wpuścić hydraulika z wodociągów, Dicte pomyślała o swoim prysznicu. Przez okienko w drzwiach zobaczyła mężczyznę w pomarańczowym kombinezonie. Na głowie miał służbową czapkę, zupełnie jak listonosz, doszła więc do wniosku, że pewnie właśnie tych czapek nie lubią psy. Albo po prostu nie lubią mężczyzn.

Postać na zewnątrz trzymała pod pachą niebieską skrzynkę z narzędziami. Na krótką chwilę znów owionął ją strach, ale kiedy pod daszkiem czapki dostrzegła przyjazny uśmiech, zganiła się w duszy. To bez sensu. Trzeba jakoś żyć, a jego przecież wkrótce złapią.

Przekręciła klucz i w tej samej chwili zadzwonił telefon. Stała przez moment, nie mogąc się zdecydować, czy najpierw wpuścić tego człowieka, czy odebrać.

Nie dane jej było jednak zastanawiać się zbyt długo. Poczowała, jak ktoś otwiera drzwi od zewnątrz, i zanim zdążyła cokolwiek zrobić, mężczyzna był w środku. Mocno chwycił ją za ramię, a w niej eksplodowała panika, gdy oczy Brada Pitta zaśniły i usłyszała:

– Na twoim miejscu bym nie odbierał.

Rose czekała tak długo, aż włączyła się poczta głosowa. Głupio się czuła, stojąc na długiej przerwie na korytarzu i mówiąc do maszyny. Możliwe, że innego dnia po prostu by się rozłączyła, ale dziś z jakiegoś powodu wiedziała, że nie może. Odkąd przyszło jej do głowy to o węzach, coś jakby zaczęło w niej bulgotać i nie dawało jej spokoju, mimo że mama powiedziała, że policja już to sprawdziła. Teraz wiedzą nawet, kim jest ten człowiek, więc wkrótce go złapią i będzie po wszystkim. Tak próbowała ją uspokoić matka, choć sama prawie zemdleła od ataku migreny, z którą nie miała problemów już od bardzo dawna.

O tym wszystkim myślała, słuchając sygnału w telefonie, aż w końcu włączyła się sekretarka: „Cześć. W tej chwili nie możemy odebrać, więc zostaw wiadomość, a oddzwonimy później”. Krótko i na temat, bez podawania nazwisk ani informacji, że nikogo nie ma w domu. Ale przecież to nieprawda, pomyślała Rose i poczuła niepokój przeszywający jej ciało jak prąd.

– Cześć, mamo. To tylko ja – mówiąc to, czuła się idiotycznie. – Zapomniałam kluczy i chciałam sprawdzić, czy jesteś w domu. Ale słyszę, że cię nie ma – dodała po chwili wahania. – Zadzwoń do Bo – dodała na koniec.

Rozejrzała się. Jej koleżanki i koledzy zaczęli już wracać z przerwy i ustawiać się pod drzwiami do klasy. Zaraz zacznie się fizyka. Rose chciała do nich dołączyć, ale coś ją powstrzymywało. Poza tym musiała przecież obmyślić jakiś plan z kluczami. Przewinęła kontakty w komórce i wybrała numer Bo. Znów musiała długo czekać, aż zwątpiła, czy odbierze. W końcu jednak usłyszała jego głos. Wydawał się spięty.

– Mówi Bo.

– Czy mama nie miała dziś zostać w domu?

Ze zdenerwowania zapomniała się przedstawić.

– Rose?

Potwierdziła i nagle poczuła, że zaschło jej w ustach. Serce waliło jak oszalałe, a ona nie miała pojęcia, co się dzieje.

– Zapomniałam kluczy, ale mama nie odbiera.

Słyszała, że jest w samochodzie. Zmienił bieg, a ktoś na miejscu pasażera się odezwał.

– Powinna być w domu – odparł, a telefon zatrzeszczał. – Miała podjechać do mechanika, a o drugiej miał przyjść gość z wodociągów. Może po prostu jest w łazience?

Rose spojrzała na zegarek. Krew dudniła jej w skroniach. Coś było nie tak. Bardzo, bardzo, strasznie nie tak.

– Jest pięć po drugiej – stwierdziła.

– Spróbuję do niej zadzwonić później – obiecał Bo. – Mam tu jedno zlecenie, z którym najpierw muszę się uwinąć. Będę w domu o czwartej. Możesz tyle poczekać?

Chciała zapytać, gdzie jest, ale poczuła, że to głupie.

– Jasne. Pojadę po prostu do centrum.

Rozłączyli się. Rose stała przez chwilę i patrzyła na komórkę, a w głowie jej wirowało. W końcu poszła na tę fizykę.

Przez całą lekcję nie mogła się skupić. Przed oczami bez przerwy stawały jej obrazy zdarzeń z wielu ostatnich tygodni. Minęło trochę czasu, zanim zrozumiała, że w tym chaosie szuka czegoś konkretnego. Czegoś, co powinna była zapamiętać.

Kiedy nauczycielka stała przy tablicy i rozdawała poprawione klasówki, Rose wyglądała przez okno. Słońce przebijało się przez chmury, rzucając na ziemię biblijne snopy światła. Poczuła nagłe pragnienie, aby znaleźć się na zewnątrz i spacerować z psem na świeżym powietrzu. Tylko że Svendsen zawsze chciał chodzić na mokradła, a ona wciąż nie miała na to ochoty.

Mokradła. Gdzieś coś zaskoczyło. Pamięć się ożywiła i podsuwała jej obrazy. Ostatni raz była tam z Janem. Spotkali mężczyznę z pudłem, który wabił się Kris. Spotkali też dwóch pracowników wodociągów. Tego z ciemnymi kręconymi włosami i w okularach w ciężkich oprawkach i tego drugiego. Niebieskookiego i z krótkofalówką. Serce nieomal wyskoczyło jej z piersi, gdy sobie przypomniała, jak te oczy niby przypadkiem wędrowały po jej ciele, aż się zaczerwieniła. Portret pamięciowy. Brad Pitt. Boże, niech to nie będzie prawda.

Złapała torbę i telefon, zerwała się z miejsca i potykając się o stoliki i krzesła, wypadła z klasy na korytarz. W biegu wybrała numer Bo.

55

– Głupia dziwka! Zostaw ten telefon w spokoju.

Cios w brzuch rozszedł się promieniście po całym ciele i wycisnął z płuc całe powietrze. Miała wrażenie, jakby wirując po podłodze, przesunęła się przez całą długość pokoju, zanim ugięły się pod nią nogi i upadła. Głową uderzyła w coś twardego. Świat na moment się przechylił, a potem zalał czernią. Dicte zdążyła tylko pomyśleć, że chciałyby, aby tak już zostało. Pozwól mi się zanurzyć w ten mrok, zabrzmiała gdzieś w głowie modlitwa. Pozwól mi uciec.

Ale nie uciekła. Jakimś cudem powietrze zdołało ponownie dotrzeć do jej płuc. Kolejnym cudem było to, że udało jej się otworzyć oczy i spojrzeć na niego. Stał nad nią, nozdrza mu drżały, a usta wykręcał jak warczący pies. Zauważyła też, że był bez brody, i zdziwiła się, że jest w stanie dostrzec taki szczegół. Zgolił ją. Twarz miał teraz szeroką, a spojrzenie twarde.

Nie zdążyła się podnieść, zanim otworzył niebieską skrzynkę z narzędziami. Mogła tylko bezradnie patrzeć, jak wyjmuje z niej rolkę taśmy klejącej. Sięgnął po Dicte ręką i jak szmacianą lalkę podniósł do pozycji siedzącej, z rękoma wykręconymi do tyłu. Słyszała szelest rozwijanej taśmy i chwilę później miała nadgarstki ciasno ze sobą związane.

– Wstawaj.

Zmusił ją, by wstała, łapiąc ją od tyłu pod pachy i podrywając brutalnie do góry. Popychał ją w stronę stojącego pod ścianą kuchennego krzesła. Posadził ją na nim, docisnął i wykręcił ramiona do tyłu za oparcie. Teraz już bardziej dokładnie i nieśpiesznie raz jeszcze odwinął kawałek taśmy i przymocował każdą z jej nóg do nóg krzesła. Dopiero gdy nie mogła się ruszyć, wstał i z wyraźnym zadowoleniem przyglądał się swojemu dziełu.

– Gotowe – powiedział. W jego głosie usłyszała niemal troskę. – Teraz nigdzie nie uciekniesz.

Zwilżyła suche wargi i wydusiła z siebie:

– A po co miałabym uciekać?

Jego twarz zmieniła wyraz z życzliwego na pełen odrazy. Nigdy by się nie spodziewała, że płaska dłoń może uderzyć z taką siłą. Gdy jego ręka znalazła się na jej policzku, poczuła, jakby przeskoczył jej krąg w szyi.

– Niech ci się nie zdaje, że będziesz się ze mną bawić w psychologa – ostrzegł. Mięśnie jego żuchwy pracowały intensywnie pod wpływem tłumionej wściekłości. – Właśnie dokonałaś swojej ostatniej analizy.

Próbowała się przedrzeć przez zasłonę strachu i uruchomić myślenie. Ale jej umysł bez reszty wypełniał ból w głowie i brzuchu, a także panika, która bulgocząc, dotarła aż do gardła.

– Boisz się? – zapytał, znowu łagodnie.

Próbowała myśleć racjonalnie. Jeśli powie, że tak, to może zrobi mu się jej żal i okaże choć trochę litości, ale równie dobrze może go to ucieszyć i uderzy ją raz jeszcze. A jeśli powie, że nie, będzie wiedział, że kłamie.

– Chciałbyś, żebym się bała? – zapytała, zdając sobie sprawę, że go prowokuje.

Znów zaświszczała otwarta dłoń.

– Ostrzegałem cię. Nie próbuj ze mną pogrywać.

Wykrzywiając twarz, wysokim, udawanym kobiecym głosem przedrzeźniał ją:

– „Chciałbyś, żebym się bała?” A jak ci się, kurwa, wydaje? Myślisz, że to żarty?

Przynajmniej udało jej się sprowokować go do mówienia. A dopóki mówi, to może zrobi jej krzywdę, ale jej nie zabije.

– Myślę, że robisz to z miłości. Myślę, że robisz to, bo od dziecka tęskniłeś za mamą, a kiedy ją odnalazłeś i powiedziałeś, kim jesteś, ona cię nie chciała.

Otwierał i zaciskał dłoń, jakby zamierzał ponownie uderzyć. Klatka piersiowa unosiła się i opadała i Dicte czuła nawet jego oddech. A może to

był zapach jej własnego strachu? Kiedy padnie cios? Musi się pośpieszyć.

– Robisz to, bo czujesz się bezradny. Bo nie da się zmusić drugiego człowieka do miłości.

– Pieprzona suka!

W końcu uderzył. Jej głowa zadudniła od bólu i Dicte na moment osunęła się w ciemną otchłań.

– I jeszcze dlatego – mówiła niewyraźnie, w ustach czuła smak krwi spływającej z nosa – że właśnie w ten sposób twój ojciec rozwiązywał problemy. Bo na rozwiązania inne niż siłowe nie wystarcza ci wyobraźni.

Liczyła, że sprowokuje go do dalszej rozmowy. Tak było w filmach. Nagle sprawca całkiem się otwierał i wyrzucał z siebie nagromadzoną złość oraz frustrację, ponieważ jego tajemnice ofiara i tak miała zabrać do grobu. Przyznawał się do kolejnych zbrodni, szczerze dzielił traumami z dzieciństwa i ujawniał, jak krok po kroku wszystko zaplanował i jeszcze to, jak wrzucił narzędzie zbrodni do czarnego, zimnego jeziora. Ale ten człowiek nagle zamilkł. I to milczenie przeraziło ją bardziej niż wszystko inne.

Odwrócił się do niej plecami, więc nie mogła zobaczyć, jakie wrażenie zrobił na nim jej monolog. Potem schylił się do niebieskiej skrzynki. A kiedy znów się odwrócił, w rękach trzymał sznur. Delikatnie, jakby to było małe dziecko. Na moment pozwolił, by pętla dyndała jej przed oczami. Potem czule ułożył ją na szyi Dicte, a jej po nodze spłynęło coś ciepłego, gdy puścił jej pęcherz.

Dom w Tilsted wyglądał jak szeregowiec przy jego ulicy w Viby. Czerwona cegła, czarny, kryty eternitem dach, plastikowe okna w białych ramach i tabliczka z nazwiskiem na drzwiach. Do garażu prowadził podjazd – Wagner szedł o zakład, że stamtąd było wejście do domu.

Nikt nie otwierał, kiedy zadzwonił do drzwi. Próbował coś dojrzeć przez szpary w zasłonach, ale wewnątrz było ciemne i odstrasające. Skinął na Hansena, który zniknął wewnątrz garażu, ale szybko stamtąd wyszedł, kręcąc głową.

– Chyba dałbym mu radę – zaoferował się Ivar K. Od dwóch dni nie palił i bez przerwy żuł gumę z nikotyną. – Zamek nie wygląda na szczególnie skomplikowany.

Wagner zdusił w sobie pytanie, jak jego kolega nauczył się rozróżniać zamki skomplikowane od tych prostszych. Pokiwał tylko głową na znak, że się zgadza, a jego ciekawość jeszcze wzrosła, kiedy Ivar K poszedł po coś do swojego samochodu. Wrócił z zestawem metalowych prętów zawieszonych na ogromnym kółku. Bez zbędnych wyjaśnień nachylił się i zaczął próbować w kasecie zamka kolejne wytrychy, które miał nie wiadomo skąd. Wagner wiedział tylko, że czasem technikom policyjnym ginęły różne przedmioty z archiwum, gdzie przechowywali materiały dowodowe: od śrubokrętów po broń palną.

Na moment zamknął oczy i starał się nie myśleć o konsekwencjach. Zasadniczo to, co robili, było przestępstwem i podlegało karze. Może nazbyt pochopnie zdecydował się, że wejdą? Czy właściwie ocenił sytuację, czy też przyjdzie mu za to zapłacić komisją dyscyplinarną i zawieszeniem?

Hansen spróbował uciszyć jego wątpliwości:

– To lepsze, niż zastrzelić bydlaka – powiedział, kładąc mu rękę na

ramieniu.

Wagner chciał powiedzieć coś neutralnego i obojętnego, bo na nic innego nie miał w tej chwili siły, ale oto usłyszeli brzęk odskakującego metalu i Ivar K się wyprostował.

– Bułka z masłem.

Pchnął drzwi.

Weszli do małego korytarzyka. Hansen zamknął drzwi za nimi i otoczyły ich ciemność i przytłaczająca cisza. Wagner poczuł, że ta cisza miała podtekst. Coś, nie wiedział co, się pod nią kryło, niczym przeciąg sunęło po podłodze od strony zamkniętych drzwi i wiło się wokół ich stóp.

Ivar K odsunął zasłony w salonie i wpuścił do środka światło. Wagner rozejrzał się i pierwszym, co przyszło mu do głowy, było słowo „pedantyczny”. Wszystko było czyste i schludne i zdawało się skrzętnie rozmieszczone, począwszy od książek na półce aż po pilota leżącego równiutko na telewizorze. Granatowa kanapa i dwa fotele obite tą samą tkaniną stały dokładnie naprzeciw siebie wokół ławy z lśniącem szklanym blatem. Meble jak gdyby czekały, aż zasiądą w nich ludzie i wypełnią pomieszczenie rozmową. Na stole stał bukiet świeżych białych lilii, z których pręcików nie spadła jeszcze ani jedna drobinka pomarańczowego pyłku.

Hansen chrząknął.

– Trzeba przyznać, że gość dba o porządek – skomentował, a w jego głosie zabrzmiała niemal zazdrość.

– To jeszcze nie zbrodnia – zauważył Ivar K, który oglądał regał z książkami. Stały równo jak żołnierze na paradzie wojskowej. Wyjął jedną i zaczął kartkować.

Wagnera zaś ogarnęło zwątpienie i ponownie zaczął się zastanawiać, czy w ogóle powinni tu przebywać akurat teraz.

Ivar K donośnym, aktorskim głosem i z nosem w książce wyrecytował:

– „Nazwa popularna: pyton królewski. Nazwa łacińska: *Python regius*. Pyton królewski żywi się myszami, niewielkimi szczurami i kurczętami. Młode węże należy karmić raz w tygodniu, dorosłe mniej więcej raz na trzy

tygodnie. Można podawać pokarm martwy, ale trzeba pamiętać, by został dokładnie rozmrożony przed karmieniem. Niektóre osobniki odmawiają przyjmowania martwego pokarmu”.

Zamknął książkę z głośnym klapnięciem. Na jego dźwięk Wagner się poderwał:

– Tylko gdzie one niby są? Te cholerne gady? Tu wygląda jak w katalogu IKEA.

– Gość ma obsesję na punkcie kontroli – mruknął Hansen. – Wszystko musi być dokładnie tak, jak zaplanował.

Wagner wrócił do korytarzyka, z którego przyszli. Były w nim jeszcze jedne drzwi. Domyślił się, że prowadzą do piwnicy. Nacisnął klamkę, ale były zamknięte na klucz, więc Ivar K znów musiał wyjąć swe narzędzia. Również tym razem poszło gładko i Wagner po chwili pchnął drzwi do środka. Na schodach panowała ciemność, ale z dołu dobiegało słabe światło. Słyszał też jakby chrobotanie i piski.

– No proszę – powiedział Ivar K, kiedy znalazł włącznik i nacisnął go. Błada żarówka rzucała słabe światło na schody. – Co my tu mamy?

Wagner ruszył w dół. Jako pierwsze odnotował ciepło. W pomieszczeniu było gorąco i wilgotno jak w tropikach. Byli kiedyś z Niną w Tajlandii i bardzo źle znosił nie tyle temperaturę, ile właśnie wilgotność powietrza, sięgającą momentami stu procent. Przypomniawszy sobie uczucie, jakby powietrze wypełniało go bez reszty i przyciskało do ziemi tak, że każdy ruch stanowił wyzwanie. Dojście na plażę wiązało się z tak ogromnym wysiłkiem fizycznym, że mieli dość na cały dzień.

Zatrzymał się na dole schodów i rozejrzył. Sporych rozmiarów terraria stały jedno obok drugiego. Było ich dziesięć, z tego co widział. W każdym paliło się światło, a wewnątrz mieściły się ciemne, pozwijane stworzenia, grube jak udo dorosłego mężczyzny.

Ivar K zagwizdał ze szczerym podziwem.

– O kurwa.

Chwilę podziwiali całą scenerię z dystansu. Jakby w podziemnej jaskini

odnaleźli inne życie, rozwijające się równoległe z życiem zwykłych ludzi na powierzchni. Również zapach był inny. Mokry, ciężki, mocno nasycony zapachem błota i zgniłych roślin, jak w lasach deszczowych. Piski i chrobotanie dobiegały z głębi pomieszczenia.

Wagner zmusił się, aby wejść w ciemność, gdzie tylko terraria świeciły jak neony wielkiego miasta nocą. Idąc, starał się patrzeć prosto przed siebie i skupić na swoim zadaniu, ale oczy nie chciały go słuchać. Bez przerwy szarpało je w stronę światła i wielkich szklanych klatek, gdzie leżały węże, czasem po kilka w jednej. W jednym miejscu kłębił się ich cały stos. Kiedy naliczył pięć głów, przerwał liczenie. Pewnie młode, pomyślał. Ten człowiek nie tylko hoduje pytony, ale również je rozmnaża.

Białe myszy znajdowały się w sąsiednim pomieszczeniu. Również tam zainstalowano sztuczne światło. W dwóch dużych klatkach trzymano myszy w różnym wieku – od osesków po dorosłe. Dno wysypano trocinami i żwirkiem. Myszy piszczały i drapały bez wytchnienia, biegając wokół i wchodząc na siebie nawzajem. Wagner przypomniał sobie, co wyczytał w książce Ivar K. „Niektóre osobniki odmawiają przyjmowania martwego pokarmu”. Nie było wątpliwości, w jakim celu znalazły się tu te stworzenia.

Za plecami usłyszał głos Hansena mówiący dokładnie to, co sam pomyślał.

– Jeśli ktoś nie radzi sobie z ludźmi, to zawsze zostają zwierzęta.

W kieszeni marynarki Wagnera zadzwonił telefon. Komisarz odebrał, ale połączenie było słabe i głos Eriksena dzwoniącego z biura wodociągów trzeszczał w słuchawce.

– Nie ma go tu.

Wagner zamierzał zapytać o szczegóły, jednak nie zdążył, bo Eriksen odpowiedział na jego pytanie:

– Nie zameldował, dokąd jedzie, ale jest zgłoszenie od Dicte Svendsen, że instalacja wodna w jej domu nie działa.

– Otwieraj!

Dicte wiedziała, że nie ma wyjścia i musi go posłuchać. Poczowała smak czegoś kwaśnego i mechatego, kiedy wepchnął jej do ust szmatkę. Jej ciało odrzucało obcy przedmiot i żołądek skurczył się w odruchu wymiotnym. Zamknęła oczy i walczyła, by nie zwymiotować, tylko oddychać nosem. Panika spadła na nią jak czarny worek. Nie teraz, powtarzała w kółko. Uduśisz się, jeśli zwymiotujesz. Myśl o czymś innym. Myśl o czymś przyjemnym.

Woda, zabrzmiało jej w głowie, kiedy z wysiłkiem odrywał kawałek srebrnej taśmy z rolki. Najbardziej przejrzysta, najczystsza woda ze strumienia szemrzącego wśród kamieni. Wyobraziła sobie ten dźwięk i skupiła się na nim, kiedy przycisnął jej taśmę do ust.

– I gotowe – powiedział wesoło. – Teraz musisz tylko myśleć o czymś innym.

Jej mózg zamarł na moment, ale udało jej się go zmobilizować i obudzić na nowo. Nie przestawaj. Walcz. Czy do pozostałych też tak mówił? Jak dentysta do pacjenta, który panikuje na fotelu?

Zaczął rozmawiać ze sobą, po czym znów pochylił się nad niebieską skrzynką i powoli wyjmował z niej narzędzia.

– Wydaje ci się, że rozumiesz – zaczął z odchyłoną w tył głową i wzrokiem wbitym w sufit. – Myślisz, że to takie proste. Miłość.

Smakował w ustach to słowo.

– Miłość – powtórzył, teraz z grymasem. – Ile ona właściwie jest warta, co? Co znaczy miłość? Gówno.

Odwrócił się do niej i zobaczyła jego oczy czerwone z wściekłości.

– Miłość matki – wycedził przez zęby. – Jeśli chcesz wiedzieć, to moim zdaniem czegoś takiego w ogóle nie ma. W rzeczywistości większość matek nienawidzi swoich dzieci, ale skoro już się pojawiły na świecie, to nie ma wyjścia. To jest największe cholerne kłamstwo naszej cywilizacji.

Ze skrzynki wyjął coś, co wyglądało na wiertarkę.

– To, co robię, ma charakter wyłącznie symboliczny, rozumiesz? Czynność rytualna.

Rozejrzał się i włożył wtyczkę do kontaktu przy drzwiach. Następnie zaczął wiercić w suficie. Dicte poczuła, jak żołądek jej się zaciska i znów miała wrażenie, że lada chwila udusi się szmatą w ustach. Siedzenie pod nią było mokre od potu i moczu. Roznosił się ostry i kwaśny zapach.

Zamknęła oczy i przywołała obraz strumienia, ale wciąż dźwięczały jej w głowie jego słowa. Miała wrażenie, że go rozumie. Dała się zmanipulować i zaczęła wierzyć, że on ma rację. Czy nie nazbyt łatwo odsłoniła swój czuły punkt? Pozwoliła mu poruszyć swoje sumienie i sprawić, że niemal znienawidziła samą siebie? Wyglądało to tak, jakby swoim działaniem chciał wzbudzić ukryte w każdej matce poczucie winy za to, że niewystarczająco kocha swoje dziecko i nie zawsze podejmuje właściwe decyzje. Ale kiedy można powiedzieć, że się kocha wystarczająco? Czy miłość w ogóle może być wystarczająca?

Śledziła go wzrokiem, kiedy starannie wkręcał w sufit metalowy wspornik, w którym tkwił wpięty duży karabińczyk. Dicte wiedziała natychmiast, do czego zostanie użyty. Pętla na jej szyi stała się ciężka.

Skazał ją na śmierć, ale ona sama była w tym procesie ławnikiem. Błyskawicznie przekonał ją, że ta kara jej się należała. Lecz Bo miał rację. Ani Inger, ani Esther, ani ona sama nie zasługiwały na śmierć. To, co się działo, było chore – wypaczona logika. Jednak choć jej rozum wiedział to od samego początku, ona poczuła to dopiero teraz, siedząc ze szmatą w ustach, unieruchomiona na krześle.

To olśnienie obmywało ją całą, gdy dokręcał ostatnią śrubę. Nie pozwoli mu wygrać. Nie złamie jej. Nie była gorsza od innych ludzi. Jej życie ma swoją wartość.

Przesunęła całą uwagę od strumienia na sytuację, w której się znalazła. Próbowała rozdzielić dłonie, z tyłu, gdzie nie mógł tego widzieć. Taśma była jednak mocno zaciśnięta. Musiałaby ją przeciąć. Rozejrzała się za czymś ostrym. Skrzynka z narzędziami stała dwa metry od niej. Dostrzegła w niej śrubokręt i klucz francuski. Na widok ostrza siekiery przeszył ją dreszcz. Była jeszcze piła. Trochę wystawała. Dicte spojrzała na nią tęsknie i poczuła okrucieństwo nadziei, lecz kiedy on odwrócił się z szerokim uśmiechem, wiedziała, że to na nic.

– To już prawie koniec.

Nie mogła odwrócić wzroku od karabińczyka wiszącego u sufitu. Znów pomyślała o strumieniu. Jeśli ma umrzeć teraz, to z takim obrazem przed oczami. Woda, która płynie w nieskończoność, jasna i czysta. Nie twarz Bo, a już na pewno nie Rose, bo wówczas się rozpadnie. Ale strumień. Wtedy być może uda jej się to przetrzymać.

– Płaczesz. Nie ma się co smucić – powiedział, zbliżając się o krok i wycierając łzy z jej policzków gestem tak czułym, że uniemożliwiał wszelką nienawiść.

Ponieważ nie było nikogo, kogo można by nienawidzić. Nie mogła nienawidzić jego ani swojej matki, ani siebie samej. Nie warto było i nie miała na to czasu. Było tylko życie albo śmierć.

Usłyszała samochód wcześniej niż on. Wydawało jej się, że rozpoznaje dźwięk silnika, ale nim nadzieja zdążyła się w niej obudzić, nim na żwir wtoczyły się koła i zatrzymały z piskiem, jego twarz wykrzywiła się i nie dostrzegła w niej już cienia łagodności.

– Wstawaj.

Ale przecież nie mogła – sam przykleił ją do krzesła. Kopnął ją więc z całej siły, aż się przewróciła. Patrzyła na niego z dołu. Pochylił się nad nią, w ręce nadal trzymał siekiere. Mógł to zrobić w tej chwili. W ciągu kilku sekund byłoby po wszystkim. Ale tego nie zrobił i Dicte nagle zrozumiała dlaczego. Kolejność by się nie zgadzała. Najpierw pętla, potem siekiera. Ten człowiek działał według scenariusza, nie potrafił improwizować.

Usłyszała, jak ktoś gwałtownie otwiera drzwi i wbiega do domu. Chciała

krzyknąć ostrzegawczo, ale nie mogła. Leżąc na podłodze, dostrzegła sylwetkę Bo – jakby frunął i z niewyartykułowanym krzykiem rzucił się na mężczyznę z siekierą. Ten zdążył jednak odsunąć się na bok i zamachnąć swoją bronią. Usłyszała jęk Bo, kiedy siekiera go trafiła. Potem doszło szuranie krzesel, ławy i przedmiotów spadających na podłogę, gdy Bo, pochylając głowę jak byk, ponownie rzucił się na oprawcę i powalił go na podłogę, gdzie zakleszczeni poczęli się kotłować. Nie tyle pomyślała, ile odnotowała, że skrzynka z narzędziami znalazła się teraz w zasięgu jej ręki, jeśli tylko zdoła się trochę odwrócić. Z krzesłem przyklejonym do pleców jak muszla ślimaka, wijąc się na podłodze, odwróciła się i poczuła nagle zimny metal na nadgarstku. Nic jednak nie widziała i nie umiała podnieść się wystarczająco, aby złapać piłę. Przez kilka sekund leżała bezradnie, nie mogąc się poruszyć, a gdzieś, poza zasięgiem jej wzroku trwała walka na śmierć i życie. No dalej. Jasne, że dasz radę. Wiedziała, że musi spróbować raz jeszcze. Z całej siły podniosła założone za oparcie ramiona, a ciało przeszył ból. Może wybiła sobie bark? Nie wiedziała, ale czuła, że to możliwe. To da się zrobić. Ona da radę to zrobić.

W końcu poczuła górną krawędź skrzynki z narzędziami. Palcami przesuwiała po zimnych kawałkach metalu. Śrubokręt, kombinerki, najwyraźniej jeszcze jeden karabińczyk. Jest. Opuszką kciuka wymacała zęby piły. Przyczołgała się odrobinę bliżej. Musi to przeciąć, nawet jeśli przy tym przetnie sobie nadgarstki. Szarpała dłońmi po zębach i przesuwiała je z całej siły. Znowu przeszył ją ból, ale go zignorowała. W końcu poczuła, że ucisk zelżał. Powoli, stopniowo się poluzniał i nagle miała wolne ręce. Podniosła piłę i uwolniła stopy.

Stała na chwiejnych nogach. Wszędzie krew. Bo leżał, z trudem oddychając, przygwożdżony leżącym na nim ciałem. Trzon siekiery wrzynał się w jego szyję. Rozejrzała się. Tarzając się, przewrócili stojak na pogrzebacz i szufelkę. Wzięła pogrzebacz. Ujęła go mocno oburącz i uniosła nad głowę. Z wszystkich sił uderzyła nim mężczyznę w tył głowy. Uderzała tak długo, aż wypuścił z rąk siekierę i wzdychając ze zdumienia, padł na podłogę obok Bo.

Dopiero wtedy sobie uświadomiła, że już od dawna, od co najmniej dwóch sekund słyszy syreny.

W Wielką Sobotę zaświeciło słońce, a powietrze było rześkie i świeże.

W kościele zebrało się sporo ludzi. Światło wpadało przez duże okna i w jego promieniach tańczył kurz. Wierni rozmawiali ściszymi głosami, podziwiając wiązanki żonkili i zielonych gałązek. Na ołtarzu stały duże gromnice, które wkrótce miały zapłonąć.

Dicte została w kurtce i usiadła w jednej z ostatnich ławek. To nie dla niej. Skończyła z religią, bez względu na wyznanie. Ale to nie oznaczało przecież, że nie może okazać odrobiny dobrej woli i zachować się, jak przystało na sąsiadkę. Poza tym Karen miała dar przekonywania. To miał być punkt zwrotny. Światło i nadzieja miały wzrastać, przeganiając zło. W dużym skrócie. Brzmiało bardzo obiecująco, ale Dicte przeczuwała, że podobnie jak wszystkie inne sposoby sztucznej stymulacji skończy się kacem i poczuciem pustki.

Dlatego się wzbraniała. Sądziła, że to niemożliwe. Zbyt wiele urazy żywiła do Najwyższego, aby jedno wielkanocne przedstawienie mogło oczyścić atmosferę między nimi. Właściwie całe jej życie było jedną wielką urazą do niego. Do tego strach przed śmiercią, który nieustannie do niej wracał. Zaraz po napadzie przez kilka dni prawie nie wychodziła z domu, a każdej nocy budziła się zdyszana i dopiero po paru godzinach, z czystego wycieńczenia, udawało jej się zasnąć, skulonej w ramionach Bo.

Ale Karen była irytująco uparta. Jej ojciec zmarł dwa tygodnie wcześniej. Po pogrzebie sprawiała wrażenie, jakby przyciąganie ziemskie jej nie dotyczyło. Wyglądała, jakby nie chodziła, tylko się unosiła. Stary Jørgen Graugaard nie zdążył zrozumieć, co się stało. Ciężkie przeziębienie przykuło go do łóżka na dwa dni, aż raz, kiedy Karen była u niego i w skupieniu rozwiązywała krzyżówkę, po prostu przestał oddychać. Śmierć z przyczyn

naturalnych – tak to się nazywało. Bardzo szerokie pojęcie.

Dicte usiadła wygodnie w ławce i otworzyła psalterz na przypadkowej stronie. Litery zwały jej się przed oczami. Myślami wróciła do poprzedniego dnia, kiedy ford Wagnera nagle wjechał na żwir, a ją przeszły ciarki, bo dźwięk nieznanych opon nadal przypominał jej napad.

– I to w takie święto – powiedziała, otwierając drzwi.

Tweedowy płaszcz zmienił na lekki trencz, a jego twarz znowu nabrała kolorów. Może przez to wiosenne słońce, pomyślała. A może dlatego, że śledztwo zostało zamknięte i stres minął.

– Przyznał się – powiedział zamiast powitania. – Pomyślałem, że powinnaś to wiedzieć. Po południu zwołaliśmy konferencję prasową.

– O, Holger się ucieszy.

Sama się zdziwiła, bo mimo wszystko poczuła lekkie ukłucie. Myślała, że ma to za sobą. Że skończyła z dziennikarstwem i całą resztą. Ale może jednak nie była gotowa w nieskończoność ukrywać się w swojej gangsterskiej melinie.

Zaprowadziła go do pokoju, a sama poszła zrobić kawę.

– Jesteś głodny? Może chcesz świeżego chleba? Albo ciastko?

– Ciastko bardzo chętnie – powiedział. Wyglądał na głodnego.

Więc choć nie prosił o nie, zrobiła im kanapki z serem. Wiedziała, że Ida Marie wprowadziła w ich domu dietę niskotłuszczową. Wsypała też garść ciasteczek do małej miseczki i razem z kawą zaniósła na tacy do pokoju i postawiła na ławie.

– Powiedział coś jeszcze? On w ogóle jest w stanie sklecić dwa zdania po zetknięciu z moim pogrzebaczem?

Usiadła na wprost Wagnera i zaczęła nalewać kawę do kubków. Gdzieś w głębi żałowała, że nie zabiła Henrika Nøragera, ale z drugiej strony może jednak trudno byłoby jej dźwigać taki ciężar przez całe życie.

Wagner podniósł parujący kubek.

– Powiedział, że myśl o zemście pojawiła się, gdy jego matka adopcyjna

na łożu śmierci opowiedziała mu całą prawdę. To było dziesięć lat temu.

– Czemu więc czekał? Dlaczego zabił Inger dopiero teraz?

Wagner bez słowa wziął kęs białego chleba posmarowanego półcentymetrową warstwą masła przygniecioną równie grubym plastrem pełnotłustego sera.

– Najprawdopodobniej przez swoją pracę. Rok temu przeprowadził się z Viborga do Tilst i wtedy wspomnienia obudziły się w nim na dobre. Zainteresował się, gdzie mieszka Inger i czym się zajmuje.

– Chory sukinsyn – mruknęła, wzdrygając się.

– Dalej jest pod obserwacją psychiatryczną – przypomniał ostrożnie Wagner.

– A co z zabójstwem Inger? – zmieniła temat. – Wszystko już wyjaśniliście?

Wagner przytaknął.

– Łatwo udało mu się do niej dotrzeć. Kontakt nawiązał przez sektę i wszedł z nią w dość poufałą relację, choć ona oczywiście nie wiedziała, kim on jest. Powiedziała mu, że będzie się zajmować domem siostry pod jej nieobecność, więc się tam pojawił późnym wieczorem, a ona go wpuściła.

Dicte próbowała odpędzić od siebie sceny, które mimowolnie stawały jej przed oczami. Wiedziała jednak, że musi poznać wszystkie szczegóły, bo niepewność będzie ją dręczyć jeszcze dłużej.

– Powiesił ją na belce pod sufitem. Potem odciął, a sznur zabrał ze sobą, żeby nie zostawiać śladów – dodał Wagner i patrzył na nią badawczo, jakby sprawdzając, czy zaraz nie zemdleje. – Jak ty się czujesz? – zapytał nagle.

– Dobrze – skłamała. – Potrzebuję tylko trochę czasu, żeby dojść do siebie.

Pokiwał wolno głową i Dicte wiedziała, że jej nie wierzy.

– Co było dalej? – zapytała głównie po to, by odwrócić jego uwagę od siebie.

Wagner przez chwilę siedział w milczeniu. Potem wziął ciastko i

przełamiał je na pół. Siedział, dalej trzymając w każdej dłoni po połówce.

– Przyniósł z samochodu stary koc, zawinął ją w niego i pojechał na bagno. Resztę znasz.

– I zapomniał porządnie zamknąć za sobą drzwi – dopowiedziała.

Przytaknął.

– Dlatego kiedy godzinę później na miejscu zjawił się Mikkel Andersen, bez przeszkód wszedł i zdemolował dom.

– A Esther Rantzen i ja? – spytała i przełknęła maleńki kawałek suchego ciastka.

– Was znał z mediów, tak jak się zresztą domyśliliśmy. Ciebie najwyraźniej miał na oku od dłuższego czasu. Może dlatego, że mieszkasz po sąsiedzku, a do tego pracujesz w gazecie w dziale kryminalnym. Na Esther Rantzen trafił przypadkiem i po prostu pasowała mu do koncepcji, że się tak wyrażę.

– A nasze problemy z ciśnieniem w kranach? Słusznie się domyślam, że to on odpowiednio ustawił je w wodociągach?

Znow przytaknął.

– To żaden problem. Jak ktoś nie płaci rachunków, to również potrafią mu odciąć wodę.

Dicte pochyliła się do przodu i spojrzała mu w oczy.

– Ile dostanie?

Wagner przez chwilę wyglądał tak, jakby był zły, że spytała. Potem jednak odparł z mało przekonującym optymizmem:

– Dożywocie, ale możliwe też, że detencję.

Oboje wiedzieli, co to oznacza.

Zamknęła psalterz i spojrzała na okna. Czuła pustkę. Zaproponowała Bo, żeby przyszli razem, ale nie powiedział ani tak, ani nie. Może zresztą w ogóle jej nie usłyszał. Eva odkryła, że czasem zabiera dzieci do McDonalda. Nie była zachwycona i za karę Bo jeszcze bardziej ograniczono z nimi kontakty.

Wyglądało na to, że narobił sobie większych problemów, niż był w stanie przewidzieć.

Szmer rozmów ucichł, kiedy pastor odwrócił się do zebranych i ogłosił, kto będzie odprawiał pozostałe nabożeństwa wielkanocne i w jakich godzinach. Potem poprosił wszystkich o powstanie, kiedy zabrmi preludium i zostanie odśpiewany pierwszy psalm. Gdy rozległy się dźwięki i muzyka zaczęła się wznosić do nieba, zebrani posłusznie wstali, cicho wzdychając.

Dicte była tak oszołomiona, że odruchowo chciała z powrotem usiąść. Jej oczy błyskawicznie napełniły się łzami i po chwili mokre strumienie spływały jej po policzkach. To zwykle zabobony, pomyślała w pierwszej chwili i zgaśniła się za własną egzaltację. Chciała się schylić po chusteczki do stojącej na podłodze torebki, ale coś kazało jej stać. Mój Boże, a nawet jeśli rzeczywiście to zwykła szopka, to co z tego, skoro jej pomaga?

Wyprostowała się i zlizując słone łzy z warg, pozwoliła, by dźwięki wniknęły w nią jak najgłębiej. Zamknęła oczy i znów znalazła się w domu razem ze swoim katem. Widziała jego twarz i oczy. Odnotowała uprzejmy ton zdolny zmrozić duszę na lód i przypomniała sobie własny strach oraz bezsilność, ale już ich nie czuła.

Kiedy ponownie usiedli, usłyszała otwieranie drzwi i kroki na posadzce. Po chwili do ławki obok niej wsunął się Bo z ręką w gipsie i uśmiechnął się zadziornie.

– Chyba nie może zaszkodzić – szepnął i wziął ją za rękę.

Nie była religijna. Ale mimo to pomyślała o człowieku, który umarł na krzyżu i o którym mówiono, że wziął na siebie ludzkie grzechy. Pomyślała, że kuszące byłoby w to uwierzyć. Wówczas może nawet ona mogłaby tu, w tym miejscu, dać sobie odrobinę wytchnienia i na ten krótki czas zapomnieć, że wszystkie pomyłki i błędy wracają i ścinają człowieka z nóg.

Spojrzała na Bo. Szare oczy zrobiły rundkę po kościele. Zawsze niespokojne i czujne, jakby w każdej chwili mogło się okazać, że wpadli w zasadzkę i z ganku wyskoczy ktoś z kałasznikowem. Powoli jednak się uspokoiły i skupiły na duchownym, jakby próbowały ocenić, który obiektów najlepiej by się sprawdził przy takim kącie padania światła.

Przeszło jej przez myśl, że może właśnie takiej chwili wytchnienia oboje potrzebują, i zapomniała o odpuszczaniu grzechów, życiu wiecznym i tym wszystkim, co niepojęte i tak czy inaczej, niepewne. Będzie szczęśliwa, jeśli tylko otrzyma właśnie to, nawet w niewielkich dawkach: zadowolenie i spokój, i słońce, które igra w wysokich oknach.

[1](#) Biblia Tysiąclecia, Poznań 2003 (przyp. tłum.).

[2](#) Ef 5, 8 (przyp. tłum.).

[3](#) Ps 36, 10 (przyp. tłum.).